

Terry Pratchett

POMNIEJSZE BÓSTWA

Rozważmy żółwia i orla. Żółw jest stworzeniem żrącym na ziemi. Właściwie nie jest możliwe życie bliżej gruntu, jeśli nie przebywa się pod nim. Horyzont żółwia sięga na kilka cali. Żółw porusza się z taką prędkością, jaka wystarcza do polowania na sałatę. Przeżył, gdy cała reszta ewolucji przemknęła obok, ponieważ - ogólnie rzecz biorąc - dla nikogo nie stanowił zagrożenia, a zjadanie go sprawiało zbyt wiele kłopotu.

A teraz weźmy orła. To istota, której światem jest powietrze i wysokie szczyty, której horyzont sięga aż po krańce ziemi. Orzeł ma wzrok tak ostry, że potrafi dostrzec maleńkie, piskliwe stworzonko przemykające o pół mili od niego. Czysta siła, czysta władza... Błyskawiczna skrzydlata śmierć. Szpony i dziób takie, że przerobią na posiłek cokolwiek mniejszego od orła, a zapewnią mu przynajmniej szybką przekąskę z czegośkolwiek większego.

Mimo to orzeł potrafi godzinami siedzieć na urwisku i obserwować królestwa tej ziemi, dopóki w dali nie zauważy ruchu. Wtedy skupia spojrzenie, skupia, skupia na maleńkiej skorupie kołyszącej się wśród suchych krzaków na pustyni. I zrywa się...

W chwilę później żółw odkrywa, że świat oddala się od niego. I widzi ten świat po raz pierwszy - już nie z wysokości jednego cala nad gruntem, ale z pięciuset stóp. I myśli: Jakimż wspaniałym przyjacielem jest orzeł.

I wtedy orzeł go puszcza.

Prawie zawsze żółw spada i ginie. Wszyscy wiedzą, dlaczego tak się dzieje: grawitacja to nałóg, z którym trudno zerwać. Nikt nie wie, dlaczego orzeł to robi. Owszem, żółwiem można sobie dobrze podjąć, ale biorąc pod uwagę włożony w to wysiłek, praktycznie wszystkim innym można lepiej. Po prostu orły uwielbiają dręczyć żółwie.

Oczywiście, orły nie zdają sobie sprawy z faktu, że uczestniczą w bardzo prymitywnej formie doboru naturalnego.

Pewnego dnia żółw nauczył się latać.

Ta historia rozgrywa się w pustynnej krainie, w odcieniach pomarańcza i ochry. Kiedy się zaczyna i kończy, to kwestie bardziej problematyczne, ale przynajmniej jeden z jej początków miał miejsce powyżej linii wiecznych śniegów, o tysiące mil od pustyni, w górach wokół Osi¹.

Jeden z często rozważanych problemów filozoficznych brzmi: Czy drzewo padające w lesie powoduje hałas, jeśli w pobliżu nie ma nikogo, kto by go usłyszał?

Problem ten wiele mówi o naturze filozofów, ponieważ w lesie zawsze ktoś jest. Może to być tylko borsuk, zastanawiający się, co to za trzask, albo wiewiórka, zdziwiona, że cała okolica nagle przesuwa się w górę... Ale jest ktoś. W najgorszym przypadku, jeśli drzewo pada w głębi lasu, słyszą je miliony pomniejszych bóstw.

Rzeczy zdarzają się po prostu, jedna po drugiej. Nie przejmują się, czy ktoś o nich wie. Ale historia... Nie, historia to coś innego. Historię należy obserwować. Inaczej nie jest historią, tylko... no... rzeczami zdarzającymi się jedna po drugiej.

¹ Albo też - jeśli jesteście wyznawcami omnianizmu - bieguna.

I oczywiście należy ją kontrolować. W przeciwnym razie mogłaby zmienić się w cokolwiek innego. Ponieważ historia, wbrew powszechnym przekonaniom, to rzeczywiście królowie, daty i bitwy. A te rzeczy muszą się zdarzać w odpowiednim czasie. To trudne. W chaotycznym wszechświecie zbyt wiele spraw może się niewłaściwie potoczyć. Koń generała aż nazbyt łatwo może zgubić podkowę w nieodpowiedniej chwili albo ktoś źle zrozumie rozkaz, albo goniec z ważną wieścią zostanie zatrzymany przez ludzi z kijami i problemem płynności finansowej. Są też dzikie opowieści, pasożytnicze narośla na drzewie historii, które próbują nagiąć je w swoją stronę.

Dlatego historia ma swoich opiekunów.

Żyją... Cóż, z samej natury rzeczy żyją tam, gdzie zostaną posłani, ale ich duchowym domem jest ukryta dolina w wysokich Ram-topach na świecie Dysku, gdzie przechowuje się książki historyczne.

Nie są to książki, w których przeszłe wydarzenia przypięte są do kartek jak motyle w gablocie. To książki, z których historia się wywodzi. Jest ich ponad dwadzieścia tysięcy; każda wysoka na dziesięć stóp, oprawna w ołów, zapisana literami tak małymi, że trzeba je czytać przez lupę.

Kiedy ludzie mówią, że coś „zostało zapisane”, zostało zapisane tutaj.

Istnieje o wiele mniej metafor, niż się powszechnie sądzi.

Każdego miesiąca opat i dwóch starszych mnichów wyrusza do groty, gdzie znajdują się księgi. Kiedyś był to obowiązek wyłącznie opata, ale dwaj inni godni zaufania mnisi zostali dołączeni do grupy po nieszczęśliwej historii pięćdziesiątego dziewiątego opata, który zarobił milion dolarów na drobnych zakładach, zanim przytłapali go inni zakonnicy.

Poza tym samotne wejście do groty nie jest bezpieczne. Przytłoczyć może choćby sama koncentracja Historii przeciekającej bezgłośnie do świata. Czas płynie. Zbyt wiele Czasu może człowieka utopić.

Czterysta dziewięćdziesiąty trzeci opat złożył pomarszczone dłonie i zwrócił się do Lu-Tze, jednego ze swych najstarszych mnichów. Czyste powietrze i spokojne życie w ukrytej dolinie sprawia, że wszyscy mnisi są starsi. Poza tym, kiedy się pracuje z Czasem, trochę go wciera się w człowieka.

- Miejscem tym jest Omnia - rzeki opat. - Na klatchiańskim wybrzeżu.

- Pamiętam - odparł Lu-Tze. - Ten młody człowiek imieniem Ossory, zgadza się?

- Sprawy powinny być... uważnie obserwowane - przypomniał opat. - Istnieją naciski. Wolna wola, przeznaczenie... potęga symboli... punkt zwrotny... znasz to wszystko.

- Nie byłem w Omni już chyba, no, będzie jakieś siedemset lat - stwierdził Lu-Tze. - Sucha okolica. Pewnie w całym kraju nie zbierze się razem tona porządnej gleby.

- Ruszaj zatem.

- Wezmę swoje góry. Klimat będzie dla nich odpowiedni.

Lu-Tze zabrał także swoją miotłę i matę do spania. Mnisi historii nie dbają o majątek. Przekonali się, że większość przedmiotów zużywa się już po stuleciu czy dwóch.

Podróż do Omni zajęła mu cztery lata. Po drodze musiał zobaczyć kilka bitew i jedno skrytobójstwo - inaczej byłyby tylko przypadkowymi zdarzeniami.

Był to Rok Hipotetycznego Węża albo dwusetny po Objawieniu Proroka

Abbysa.

Co oznaczało, że zbliża się czas Ósmego Proroka. W Kościele Wielkiego Boga Oma można było polegać na prorokach: zjawiali się bardzo punktualnie. Dałoby się według nich regulować kalendarz, gdyby tylko ktoś miał kalendarz odpowiednio duży.

I jak zwykle w porze, kiedy oczekiwany jest nowy prorok, Kościół zdwoił wysiłki zmierzające ku świętobliwości. Było to całkiem podobne do krzątania, jaka następuje w biurach dowolnego wielkiego koncernu, kiedy spodziewani są audytorzy. Jednak tutaj często polegało na wyszukiwaniu ludzi podejrzewanych o bycie nie dość świętobliwymi i zadawaniu im śmierci na wiele pomysłowych sposobów. Jest to uznawane za godny zaufania barometr stanu pobożności w większości popularnych religii. Pojawia się skłonność do deklaracji, że następuje upadek obyczajów większy niż przy solidnym trzęsieniu ziemi, że trzeba wyrwać herezję z korzeniami, a nawet z ręką,

nogą i okiem, że przyszedł czas, żeby oczyścić się moralnie. Krew jest zwykle uważana za środek niezwykle skuteczny do tego celu.

I stało się w owym czasie, że Wielki Bóg Om przemówił do Bruthy, którego wybrał: - Psst!

Brutha znieruchomiał w połowie zamachu motyką i rozejrzał się po świątynnym ogrodzie.

- Słucham? — powiedział.

Był piękny dzień mniejszej wiosny. Młynki modlitewne kręciły się wesoło na wietrze od gór. Pszczoły leniuchowały w kwiatkach fasoli, ale brzęczały głośno, by sprawiać wrażenie ciężko zapracowanych. Wysoko pod niebem krążył samotny orzeł.

Brutha wzruszył ramionami i wrócił do swoich melonów.

A Wielki Bóg Om znowu przemówił do Bruthy, którego wybrał:

- Psst!

Brutha zawahał się. Ktoś wyraźnie mówił coś do niego z pustki. Może to demon? Przewodnik nowicjuszy, brat Nhumrod, bardzo dokładnie omawiał temat demonów. Demonów i nieczystych myśli, gdyż jedno prowadziło do drugiego. Brutha był niepokojąco świadomy, że prawdopodobnie już dawno należy mu się demon.

Najlepszym wyjściem była stanowczość i recytacja Dziesięciu Fundamentalnych Aforyzmów.

I raz jeszcze Wielki Bóg Om przemówił do Bruthy, którego wybrał:

- Głuchy jesteś, chłopcze?

Motyka stuknęła o wyschniętą ziemię. Brutha odwrócił się gwałtownie. Widział pszczoły, orła, a na drugim końcu ogrodu starego brata Lu-Tze, sennie przerzucającego widłami stos nawozu. Młynki modlitewne wirowały pocieszająco wzdłuż murów.

Wykonał ręką znak, którym prorok Ishkible odpędził złe moce.

- Ustąp mi z drogi, demonie - wymamrotał.

- Przecież stoję za tobą.

Brutha odwrócił się jeszcze raz, bardzo powoli. Ogród nadal był pusty.

Brutha rzucił się do ucieczki.

Wiele opowieści zaczyna się na długo przed swym początkiem, a historia Bruthy sięga tysiące lat przed jego narodziny.

Na świecie istnieją miliardy bóstw. Roją się gęsto jak ławica śledzi. Większość

jest zbyt mała, by je zauważyć, i nigdy nikt ich nie czci, w każdym razie nikt większy od bakterii, które się nie modlą i nie mają wielkich wymagań w zakresie cudów.

To są właśnie pomniejsze bóstwa - duchy miejsc, gdzie krzyżują się ścieżki mrówek, bogowie mikroklimatów pomiędzy korzeniami traw. I większość z nich taka już pozostaje.

Ponieważ brakuje im wiary.

Garstka jednak trafia w wyższe regiony. Powodem może być cokolwiek. Pasterz szukający zbłąkanej owcy znajduje ją w krzakach i poświęca minutę czy dwie, żeby wzniesć niewielki kamienny ołtarzyk w ogólnej podzięce wszelkim duchom, jakie mogą przebywać w okolicy. Albo jakieś niezwykle ukształtowane drzewo zostanie skojarzone z lekiem na chorobę. Albo ktoś wyrze spiralę na samotnym głazie. Albowiem bogowie potrzebują wiary, a ludzie pragną bogów.

Często na tym się kończy. Ale czasami wydarzenia rozwijają się dalej. Dodawane są następne kamienie, układane kolejne głazy; w miejscu, gdzie kiedyś rośło drzewo, staje świątynia. Bóg wtedy nabiera mocy, wiara wyznawców niesie go w górę jak tysiąc ton paliwa rakietowego. Nieliczni sięgają aż do nieba.

A czasem nawet dalej.

Brat Nhumrod w odosobnieniu swej surowej celi walczył z nieczystymi myślami, kiedy usłyszał rozgorączkowany głos z sypialni nowicjuszy. Młody Brutha leżał plackiem przed posągami Oma w Jego manifestacji jako gromu, dygotał cały i mamrotał fragmenty modlitw. W tym chłopcu jest coś, co przyprawia o dreszcze, pomyślał Nhumrod. To sposób, w jaki patrzy, kiedy się do niego mówi. Całkiem jakby słuchał.

Podszedł bliżej i szturchnął nowicjusza końcem laski. — Wstawaj, chłopcze! Co właściwie robisz w sypialni w środku dnia, co?

Brutha zdołał jakoś odwrócić się, wciąż leżąc plackiem na podłodze, i chwycił kapłana za kostki.

- Głos! Głos! Mówił do mnie! - zajęczał. Nhumrod odetchnął. No tak... Znalazł się na znajomym terenie. Na głosach znał się doskonale. Słyszał je przez cały czas.

- Wstań, chłopcze - powiedział nieco łagodniejszym tonem.

Brutha podniósł się z podłogi.

Był - na co Nhumrod już wcześniej narzekał - trochę za duży do nowicjatu. Miał jakieś dziesięć lat za dużo. Dajcie mi chłopaka w wieku do siedmiu lat, mawiał zawsze brat Nhumrod.

Ale Brutha pewnie umrze jako nowicjusz. Kiedy ustalali zasady, nie przewidzieli kogoś takiego jak Brutha.

Szeroka, szczerą, rumianą twarz skierowała się ku przewodnikowi.

- Usiądź na swoim łóżku, Brutho — polecił Nhumrod.

Brutha natychmiast wykonał polecenie. Nie znał znaczenia słowa „nieposłuszeństwo”. Było to jedno z bardzo wielu słów, których znaczenia nie znał.

Nhumrod usiadł obok niego.

- Słuchaj mnie uważnie, Brutho - rzekł. - Wiesz, co spotyka ludzi, którzy głoszą kłamstwa, prawda?

Brutha zaczerwienił się i kiwnął głową.

- Doskonale. A teraz opowiedz mi o tych głosach. Brutha zmiął w palcach brzeg szaty.

- To był raczej jeden głos, mistrzu - wyznał.

- ...raczej jeden głos - powtórzył Nhumrod. - A co ten głos mówił? Hm?

Brutha zawahał się. Właściwie, kiedy się zastanowić, to głos w ogóle niewiele powiedział. Po prostu mówił. Ale rozmowa z bratem Nhumrodem nigdy nie była

łatwa. Miał on irytujący zwyczaj zerkania z ukosa na usta mówiącego i powtarzania ostatnich słów praktycznie w chwili, kiedy zostały wypowiedziane. I przez cały czas dotykał różnych rzeczy: ścian, mebli, ludzi... Jakby się bał, że cały wszechświat zniknie, jeśli nie będzie na niego uważał. A jego nerwowe tiki były tak liczne, że musiały ustawiać się w kolejce. Brat Nhumrod był całkiem normalny jak na kogoś, kto przeżył pięćdziesiąt lat w Cytadeli.

- No więc... - zaczął Brutha.

Brat Nhumrod uniósł szczupłą dłoń. Brutha widział błękitne żyłki pod jego skórą.

- Z pewnością wiesz, że istnieją dwa rodzaje głosów, które można usłyszeć duchowo. - Brew przewodnika nowicjuszy zadrgała gwałtownie.

- Tak - zapewnił pokornie Brutha. - Brat Murduck nam mówił.

- ...nam mówił. Tak. Gdy czasem w swej nieskończonej mądrości uzna to za stosowne, Bóg sam przemawia do wybrańca, który zostaje potem wielkim prorokiem. Jestem pewien, że nie uważasz się za takiego. Hm?

- Nie, mistrzu.

- ...mistrzu. Ale są też inne. - W głosie brata Nhumroda pojawiło się lekkie drżenie. — Mamiące, kuszące, przekonujące. Tak? Głosy, które tylko czekają, by nas zaskoczyć. Zgadza się?

Brutha odetchnął cicho. Wiedział już, na czym stoi.

Wszyscy nowicjusze znali tego rodzaju głosy. Tyle że zwykle mówiły one o rzeczach prostych, takich jak przyjemności nocnych manipulacji albo ogólna potrzeba dziewcząt. Co dowodziło tylko, że wśród głosów są to prawdziwi nowicjusze. Brat Nhumrod słyszał głosy, które wobec tamtych były niczym pełne oratorium. Niektórzy co bardziej zuchwali nowicjusze często próbowali nakłonić brata Nhumroda do wykładu o głosach. Jego wykłady były naprawdę kształcące, twierdzili. Zwłaszcza wtedy, kiedy białe kropelki śliny pojawiały mu się w kącikach ust.

Brutha słuchał.

Brat Nhumrod był przewodnikiem nowicjuszy, ale nie wszystkich - tylko tej grupy, do której należał Brutha. Byli też inni. Może ktoś w Cytadeli wiedział, ilu ich jest. Istniał gdzieś ktoś taki, czym zadaniem było wiedzieć wszystko.

Cytadela zajmowała całe centrum miasta Kom, leżącego pomiędzy pustyniami Klatchu a równinami i dżunglami Howondalandu. Rozciągała się na całe mile; jej świątynie, kościoły, szkoły, sypialnie, ogrody i wieże wyrastały z siebie nawzajem i dookoła siebie w sposób, który przywodził na myśl milion termitów próbujących równocześnie budować swoje kopce.

Kiedy wschodziło słońce, jego odbicie we wrotach głównej świątyni płonęło niczym ogień. Wrota były z brązu i miały sto stóp wysokości. Na nich, złotymi literami osadzonymi w ołowiu, wypisano Przykazania. Do tej pory było ich sto dwanaście, a następny prorok bez wątpienia dopisze kolejne.

Odbity blask słońca świecił na dziesiątki tysięcy wytrwałych w wierze, którzy trudzili się niżej na większą chwałę Wielkiego Boga Oma.

Najprawdopodobniej nikt naprawdę nie wiedział, ilu ich jest - niektóre zjawiska potrafią przejść w stan krytyczny. Oczywiście, był tylko jeden cenobiarcha, najwyższy iam. To pewne. I sześciu arcybiskupów. I trzydziestu niższych iamów. I setki biskupów, diakonów, subdiakonów i kapłanów. Od nowicjuszy roilo się jak od szczurów w magazynie ziarna. A jeszcze rzemieślnicy, hodowcy byków, oprawcy, święte dziewice...

Nieważne, jakie kto miał zdolności. Na pewno było dla niego miejsce w Cytadeli.

A jeśli zdolności te polegały na zadawaniu nieodpowiednich pytań albo przegrywaniu słusznych wojen, tym miejscem mogły się okazać paleniska oczyszczenia albo lochy sprawiedliwości Kwizycji.

Miejsce dla każdego. I każdy na swoim miejscu.

Żar słońca lał się na ogródek świątyni. Wielki Bóg Om starał się pozostawać w cieniu pnącza melona. Prawdopodobnie był tu bezpieczny - wewnątrz murów, z modlitewnymi wieżami dookoła... Ale ostrożności nigdy dosyć. Raz dopisało mu szczęście, ale oczekiwałby nazbyt wiele, gdyby liczył na nie po raz drugi.

Kiedy się jest bogiem, kłopot polega na tym, że nie ma się do kogo modlić.

Popelzł stanowczym krokiem w stronę starca przerzucającego nawóz. Wreszcie, strudzony, uznał, że znalazł się w zasięgu jego słuchu. Przemówił zatem: - Hej, ty!

Nie było odpowiedzi. Nie pojawiła się nawet najłżejsza sugestia, że cokolwiek zostało usłyszane.

Om stracił cierpliwość i zmienił Lu-Tze w nędznego robaka z najgłębszej otchłani piekła, po czym rozgniewał się jeszcze bardziej, bo starzec wciąż spokojnie machał łopatą.

- Demony nieskończoności napelnią twoje żywe kości siarką! - wrzasnął Om.

Nie nastąpiła żadna zmiana.

- Przygłuchy staruch - mruknął Wielki Bóg.

A może jednak był ktoś, kto wiedział o Cytadeli wszystko, co tylko możliwe. Zawsze istnieje ktoś taki, kto kolekcjonuje wiedzę, ale na tej samej zasadzie, jak sroka błyskotki, a chruściki - kawałki gałązek i kamyki. Zawsze też jest ktoś, kto robi wszystko to, co zrobić trzeba, a czym inni woleliby się raczej nie zajmować ani nawet przyznawać, że istnieje.

Trzecią cechą, jaką ludzie dostrzegali u Vorbisa, był jego wzrost. Vorbis miał ponad sześć stóp, ale był chudy jak patyk, niczym ktoś o zwykłych proporcjach, wymodelowany z gliny, a potem rozwałkowany.

Drugą cechą, jaką ludzie dostrzegali u Vorbisa, były oczy. Jego przodkowie pochodzili z pewnego plemienia żyjącego w głębi pustyni, u którego wyewoluowała dziwna skłonność do ciemnych oczu. Nie tylko o ciemnej tęczówce, ale o niemal czarnych całych gałkach. Trudno było ocenić, w którą stronę patrzy — zupełnie jakby miał pod powiekami słoneczne okulary.

Ale pierwszym, co dostrzegali, była czaszka.

Diakon Vorbis był łysy świadomie. Większość sług Kościoła, gdy tylko przyjęła święcenia, zapuszczała długie włosy i brody, w których można by zgubić kozę. Ale Vorbis golił całą głowę. Aż błyszczał. A ta łysina zdawała się zwiększać jego władzę. Nie strofował. Nigdy nie groził. Po prostu wzbudzał wrażenie, że jego przestrzeń osobista sięga na kilka sążni od ciała, i że każdy, kto się do niego zbliża, przeszkadza w czymś ważnym. Zwierzchnicy, starsi od niego o pięćdziesiąt lat, czuli się winni, przerywając rozmyślania o tym, o czym Vorbis akurat rozmyślał.

Z drugiej strony prawie niemożliwe było odkrycie, o czym właściwie myśli; nikt nigdy o to nie pytał. Najważniejszą tego przyczyną

był fakt, że Vorbis pełnił funkcję przywódcy Kwizycji, a jej zadanie polegało na robieniu tego wszystkiego, co zrobić trzeba, a czym inni woleliby się raczej nie zajmować.

Nie należy pytać takich ludzi, o czym myślą; mogliby odwrócić się powoli i odpowiedzieć: „O tobie”.

Najwyższym stanowiskiem dostępnym w Kwizycji była funkcja diakona. Regulę tę ustanowiono setki lat temu, aby ta gałąź Kościoła nie wyrosła zanadto z butów². Jednak z takim umysłem, twierdzili wszyscy, Vorbis z łatwością mógłby już zostać arcybiskupem, a nawet i amem.

Vorbis nie dbał o takie drobiazgi. Znał swoje przeznaczenie. Przecież sam Bóg mu je zdradził.

- Otóż to - zakończył brat Nhumrod, klepiąc Bruthę po ramieniu. - Jestem pewien, że teraz lepiej wszystko zrozumiesz. Brutha wyczuł, że powinien udzielić konkretnej odpowiedzi.

- Tak, mistrzu - zapewnił. - Jestem pewien, że tak.

- ...że tak. Twoim świętym obowiązkiem jest opierać się głosom o każdym czasie - dodał brat Nhumrod, wciąż go klepiąc.

- Tak, mistrzu. Będę się opierał. Zwłaszcza jeśli mi powiedzą, żeby robić którąś z tych rzeczy, o których wspomniałeś.

- ...wspomniałeś. Dobrze. Bardzo dobrze. A gdybyś znów je usłyszał, co wtedy zrobisz? Hm?

- Przyjdę i powiem ci o nich - odparł posłusznie Brutha.

- ...o nich. Dobrze. Bardzo dobrze. To właśnie chciałem usłyszeć — rzeki Nhumrod. - Zawsze wam to powtarzam, chłopcy. Pamiętajcie, jestem tutaj, żeby rozwiązywać te drobne problemy, które mogą was nękać.

- Tak, mistrzu. Czy mam teraz wrócić do ogródka?

- ...do ogródka. Tak myślę. Tak myślę. I żadnych więcej głosów, słyszysz? - Nhumrod pogroził palcem dłoni nie klepiącej ramienia Bruthy. Zmarszczył policzek.

- Tak, mistrzu.

- A co robisz w ogrodzie?

- Okopywałem melony, mistrzu.

- Melony? Ach tak, melony - powtórzył wolno Nhumrod. - Melony. Melony. No cóż, to wiele wyjaśnia, naturalnie. Powieka zatrzepotała mu szaleńczo.

Nie tylko Wielki Bóg przemawiał do Vorbisa w mrokach jego umysłu. Każdy rozmawiał z ekskwizytorem, wcześniej czy później. To tylko kwestia wytrzymałości.

Ostatnio Vorbis nieczęsto schodził na dół, żeby oglądać inkwizytorów przy pracy. Ekskwizytorzy nie mają takiej potrzeby. Przesyłają tylko instrukcje i odbierają raporty. Ale szczególne okoliczności wymagały jego szczególnej uwagi.

Trzeba przyznać, że w lochach Kwizycji niewiele było powodów do śmiechu - w każdym razie dla kogoś obdarzonego normalnym poczuciem humoru. Nie wisiły tu małe kartki z napisami w stylu: „Nie musisz być bezlitosnym sadystą, żeby tu pracować, ale to pomaga!”.

Pewne zjawiska sugerowały jednak człowiekowi myślącemu, że Stwórca wszechświata posiada mocno skrzywione poczucie tego, co zabawne; mogły także wzbudzić w Jego sercu gniew zdolny wstrząsnąć bramami niebios.

Kubki na przykład. Dwa razy dziennie inkwizytorzy przerywali pracę, by wypić kawę. Kubki, które przynieśli z domu, czekały ustawione wokół czajnika przy głównym palenisku, gdzie przypadkiem podgrzewały się także noże i obcęgi.

² Które miały uniwersalny rozmiar i śruby do dokręcania.

Kubki miały różne napisy, na przykład „Pamiętka ze świętej groty Ossory'ego” albo „Dla najlepszego tatusia na świecie”. W większości trochę wyszczerbione, żadne dwa nie były takie same.

I widokówki na ścianie. Tradycja nakazywała, by każdy inkwizytor przysyłał z urlopu prymitywnie kolorowany drzeworyt przedstawiający najbliższą okolicę, z odpowiednio zabawnym czy frywolnym liścikiem na odwrocie. Przypięto tam również wzruszający list od inkwizytora pierwszej klasy, Ishmale'a „Popa” Quooma, który dziękował kolegom za to, że zebrali aż siedemdziesiąt osiem oboli na jego prezent pożegnalny, i za piękny bukiet kwiatów dla pani

Quoom; zapewniał też, że nigdy nie zapomni dni spędzonych w lochu numer 3 i że gdyby brakowało im ludzi, zawsze chętnie przyjdzie i pomoże.

Wszystko to oznaczało jedno: trudno *znaleźć* taki wybryk najbardziej nawet obłąkanego psychopaty, żeby nie mógł go z łatwością naśladować człowiek normalny, spokojny ojciec rodziny, który codziennie przychodzi do pracy i wykonuje swoje obowiązki.

Vorbis lubił to wiedzieć. Człowiek, który to odkrył, dowiedział się już wszystkiego, co trzeba wiedzieć o ludziach.

W tej chwili Vorbis siedział obok ławy, na której leżało coś, co formalnie rzecz biorąc, nadal było drżącym ciałem brata Sasho, jego byłego sekretarza.

Zerknął na dyżurnego inkwizytora, który skinął głową. Vorbis pochylił się nad zakutym w łańcuchy sekretarzem.

- Jak się nazywali? - powtórzył.

- ...nie wiem...

- Wiem, że przekazywałeś im kopie mojej korespondencji, Sasho. To zdradliwi heretycy, którzy całą wieczność spędzą w piekle. Czy chcesz do nich dołączyć?

- ...nie znam imion...

- Ufałem ci, Sasho. A ty mnie szpiegowałeś. Zdradziłeś Kościół.

- ...żadnych imion...

- Prawda ukoi ból, Sasho. Powiedz.

- ...prawda...

Vorbis westchnął. I wtedy zauważył, że palec Sasho zgina się i prostuje pod kajdanami. Wzywa go.

- Tak?

Pochylił się niżej nad ciałem.

Sasho otworzył jedyne pozostałe mu oko.

- ...prawda...

- Tak?

- ...Żółw Się Rusza...

Vorbis wyprostował się. Jego twarz nawet nie drgnęła. Rzadko zmieniał jej wyraz, chyba że tego chciał. Inkwizytor patrzył na niego ze zgrozą.

- Rozumiem - rzekł Vorbis. Wstał i skinął na dyżurnego. - Jak długo on tu jest?

- Dwa dni, panie.

- I możecie utrzymać go przy życiu przez...

- Może jeszcze dwa, panie.

- Tak uczyńcie. Tak uczyńcie - polecił Vorbis. - Wszak naszym obowiązkiem jest chronić życie tak długo, jak to tylko możliwe. Czyż nie?

Inkwizytor uśmiechnął się nerwowo, jak człowiek w obecności przełożonego, którego jedno słowo może go doprowadzić w kajdanach na ławę.

- Ehm... Tak, panie.

- Wszędzie herezja i kłamstwa - westchnął ciężko Vorbis. - A teraz będę

musiał poszukać nowego sekretarza. To irytujące.

Po dwudziestu minutach Brutha trochę się uspokoił. Syrenie głosy zmysłowego zła chyba wreszcie ucichły. Wrócił do melonów. Czuł, że jest zdolny do zrozumienia

melonów. Melony wydawały się bardziej zrozumiałe od większości innych rzeczy.

- Hej, ty!

Brutha wyprostował się.

- Nie słyszę cię, ohydny sukubie - powiedział.

- Owszem, słyszysz, mój chłopcze. A teraz chcę, żebyś...

- Wsadziłem palce do uszu!

- Do twarzy ci z tym. Naprawdę do twarzy. Wyglądasz jak waza. Do rzeczy...

- Śpiewam psalm! Śpiewam!

Brat Preptil, nauczyciel muzyki, opisał głos Bruthy jako przywodzący na myśl rozczarowanego sępa, który za późno dotarł do zdechłego osła. Nowicjusze obowiązkowo śpiewali w chórze, ale po licznych petycjach brata Preptila udzielono specjalnej dyspensy dla Bruthy. Widok krągłej, czerwonej twarzy chłopca, wykrzywionej z wysiłku w próbie zadowolenia słuchaczy, był dostatecznie ciężkim przeżyciem. Gorsze jednak było słuchanie jego głosu, z pewnością potężnego, wyrażającego słusne przekonanie, falującego tam i z powrotem wokół właściwego tonu, ale jakoś nie trafiającego nigdy.

Przydzielono mu za to Dodatkowe Melony.

Na modlitewnej wieży stadko wron poderwało się pospiesznie.

Po pełnej zwrotce *Miażdży On nieprawości swymi kopytami z gorącego żelaza* Brutha wyjął palce z uszu i zaryzykował szybki nasłuch.

Jeśli nie liczyć odległych wronich protestów, panowała cisza.

Udało się... Trzeba pokładać ufność w Bogu, mówili wszyscy. A on pokładał - odkąd pamiętał.

Sięgnął po motykę i z ulgą stanął nad grządką.

Ostrze miało właśnie uderzyć o ziemię, kiedy Brutha zobaczył żółwia.

Żółw był mały, mniej więcej żółty i cały zakurzony. Skorupę miał mocno poszczerbioną. Miał też jedno paciorkowate oko - drugie padło ofiarą któregoś z tysiąca niebezpieczeństw, jakie zagrażają każdej powolnej istocie żyjącej o cal od ziemi.

Brutha rozejrzał się. Ogrody leżały wewnątrz kompleksu świątyń, otoczone przez wysokie mury.

- Jak się tu dostałeś, mały zwierzaczu? - zapytał. - Przyleciałeś?

Żółw przyjrzał mu się monooptycznie. Bruthę ogarnęła nostalgia. Na piaszczystych pagórkach wokół jego rodzinnego domu żyło mnóstwo żółwi.

- Dałbym ci trochę sałaty — zapewnił. - Ale żółwi nie wpuszcza się chyba do ogrodów. Czy nie jesteście szkodnikami?

Żółw wciąż mu się przyglądał. Właściwie nic nie potrafił się tak przyglądać jak żółw.

Brutha poczuł, że powinien coś powiedzieć.

- Są winogrona. To chyba nie grzech, jeśli dam ci jedno winogrono. Masz ochotę na winogrono, mały żółwiku? - zapytał.

- Masz ochotę zostać czymś obrzydliwym w najgłębszej otchłani chaosu? - zapytał żółw.

Wrony, które dotarły do zewnętrznych murów, poderwały się znowu, do wtóru psalmu *Droga niewiernego jest niby cierniowe gniazdo*.

Potem Brutha otworzył oczy i wyjął palce z uszu.

- Ciągłe tu jestem - oznajmił żółw.

Brutha zawahał się. Z wolna pojawiła się myśl, że demony i su-kuby nie pojawiają się chyba w postaci małych żółwi. Nie miałyby to sensu. Nawet brat Nhumrod musiałby przyznać, że w dziedzinie rozpasanego erotyzmu można wymyślić wiele obiektów ciekawszych od jednookiego żółwia.

- Nie wiedziałem, że żółwie umieją mówić - powiedział.

- Nie umieją - odparł żółw. - Czytaj z moich warg. Brutha pochylił się.

- Nie masz warg - zauważył.

- Nie - zgodził się żółw. - No właśnie. Ani porządných strun głosowych. Przekazuję słowa wprost do twojej głowy, jasne?

- Ojej!

- Rozumiesz chyba, prawda?

-Nie.

Żółw przewrócił jedynym okiem.

- Powinienem przewidzieć. Zresztą to bez znaczenia. Nie muszę tracić czasu na ogrodników. Idź i sprowadź tu kogoś najważniejszego. Ale już.

- Najważniejszego? - powtórzył Brutha. Zasłonił dłonią usta.

- Nie chodzi ci chyba o... o brata Nhumroda?

-Kim on jest?

- Przewodnikiem nowicjuszy.

- A niech mnie! - mruknął żółw. - Nie - mówił dalej, śpiewnie naśladując głos Bruthy. - Nie chodzi mi o przewodnika nowicjuszy. Chodzi mi o najwyższego kapłana, czy jak tam każe się nazywać. Przypuszczam, że jest ktoś taki?

Oszołomiony Brutha kiwnął głową.

- Najwyższy kapłan, tak? — powtórzył żółw. — Najwyższy kapłan. Najwyższy kapłan!

Brutha przytaknął jeszcze raz. Wiedział, że jest ktoś taki. Tyle że - co prawda - potrafił objąć myślą strukturę hierarchii pomiędzy własną osobą a bratem Nhumrodem, jednak nie był w stanie poważnie rozważać jakichkolwiek ogniów pomiędzy nowicjuszem Brutha a cenobiarchą. Teoretycznie wiedział, że istnieje potężny kanoniczny system z najwyższym kapłanem u szczytu i Brutha twardo umieszczonym na dole. Traktował go jednak podobnie jak ameba mogłaby traktować łańcuch ewolucji, prowadzący od niej do - na przykład - dyplomowanego księgowego. Wzdłuż całej drogi do szczytu aż gęsto było od brakujących ogniów.

- Nie mogę tak iść i prosić... - Brutha zająknął się. Sama myśl o rozmowie z cenobiarchą odbierała mu zdolność mówienia. - Nie mogę nikogo prosić, żeby prosił cenobiarchę, żeby tu przyszedł i wysłuchał żółwia!

- Zamień się w bagienną pijawkę i schnij w karzącym ogniu! -wrzasnął żółw.

- Nie ma powodu do przekleństw - zwrócił mu uwagę Brutha. Żółw z wściekłości podskoczył kilka razy.

- To nie było przekleństwo! To był rozkaz! Jestem Wielkim Bogiem Omem!

Brutha zamrugał.

- Nie, nie jesteś - stwierdził po chwili. - Widziałem Wielkiego Boga Oma. - Machnął ręką, nabożnie wykonując znak świętych rogów. — Nie pojawia się w postaci żółwia. Przybywa jako orzeł, lew albo potężny byk. Przy wielkiej świątyni stoi posąg wysoki na siedem łokci. Jest z brązu i w ogóle. Tratuje niewiernych. Nie możesz traktować niewiernych, kiedy jesteś żółwiem. Znaczy, możesz najwyżej spo-

glądać na nich znacząco. Ten posąg ma rogi ze szczerego złota. Tam, gdzie mieszkalem, też stał posąg, wysoki na jeden łokieć, i to też był byk. Dlatego wiem, że nie jesteś Wielkim Bogiem... - znów uczynił znak świętych rogów - ...Omem.

Żółw trochę się uspokoił.

- A ile mówiących żółwi w życiu widziałeś? - zapytał z ironią.

- Nie wiem - odparł Brutha.

- Jak to nie wiesz?

- Bo przecież one wszystkie mogły mówić — wyjaśnił z powagą Brutha, demonstrując tę osobistą logikę, dzięki której przydzielono mu dodatkowe zajęcia przy melonach. - Po prostu mogły się akurat nie odzywać, kiedy byłem w pobliżu.

- Jestem Wielkim Bogiem Omem - rzekł żółw groźnym i z konieczności niskim głosem. - A ty już niedługo będziesz bardzo nieszczęśliwym kapłanem. Idź i sprowadź go.

- Nowicjuszem.

- Co?

- Nowicjuszem, nie kapłanem. Nie dopuszczają mnie...

- Przyprowadź go!

- Nie wydaje mi się, żeby cenobiarcha kiedykolwiek zaglądał do naszego ogródka warzywnego. Nie sądzę, żeby w ogóle wiedział, jak wygląda melon.

- To mi nie przeszkadza - zapewnił żółw. - Idź po niego, bo inaczej zadrży ziemia, księżyc stanie się jako krew, gorączka i wrzody

dotkną ludzkość oraz najrozmaitsze nieszczęścia na nią spadną. Nie żartuję - dodał jeszcze.

- Zobaczę, co da się zrobić - zapewnił Brutha, wycofując się powoli.

- A biorąc pod uwagę okoliczności, i tak zachowuję cierpliwość! - krzyknął jeszcze żółw. - I wcale źle nie śpiewasz - dodał po chwili namysłu. - Słyszałem gorsze głosy!

Zakurzony habit Bruthy zniknął już za furką.

- Przypomina mi to czasy, kiedy rozszalała się zaraza w Pseudopolis - mruknął do siebie żółw, kiedy kroki chłopca ucichły. - Jakiż to był płacz i zgrzytanie zębów... - Westchnął ciężko. - Piękne czasy... Piękne czasy.

Wielu czuje w sobie powołanie do kapłaństwa, ale tak naprawdę oznacza to, że słyszą wewnętrzny głos, mówiący: „To spokojna praca pod dachem, nie wymaga wysiłku; czy może wolałbyś zostać oraczem jak twój ojciec?”.

Natomiast Brutha nie był zwykłym wierzącym. On Wierzył. Coś takiego jest nieco krępujące, jeśli przytrafi się w bogobojnej rodzinie, ale Brutha miał tylko babcię, a ona także Wierzyła. Wierzyła tak, jak żelazo wierzy w metal. Była kobietą, jakiej każdy kapłan obawia się w swojej kongregacji, która zna wszystkie psalmy i wszystkie modlitwy. W Kościele Omniańskim kobiety w świątyni były ledwie tolerowane; musiały zachowywać ciszę i okrywać się całkowicie w swojej części nawy za amboną, na wypadek gdyby widok połowy ludzkiej rasy sprawił, że męska część kongregacji usłyszy głosy nie całkiem niepodobne do tych, które prześladowały brata Nhumroda o każdej godzinie dnia i nocy. Kłopot polegał na tym, że babcia Bruthy miała charakter zdolny przebić się przez arkusz ołowiu i przez zaciętą pobożność niby diamentowe wiertło.

Gdyby urodziła się mężczyzną, omnianizm odnalazłby swego ósmego proroka nieco szybciej, niż tego oczekiwano. Jako kobieta, z przerażającą sprawnością ustalała i realizowała harmonogramy sprzątnięcia świątyni, polerowania posągu i

kamienowania podejrzanych o cudzołóstwo.

Brutha dorastał więc wśród absolutnie pewnej wiedzy o Wielkim Bogu Omie. Dorastał wiedząc, że Om nie spuszcza z niego wzroku, zwłaszcza w takich miejscach jak wygodka, i że demony czają się zewsząd, a powstrzymuje je tylko potęga wiary i ciężar babcinej laski, stojącej za drzwiami w tych rzadkich okazjach, kiedy nie była używana. Potrafił wyrecytować każdy wers ze wszystkich siedmiu Ksiąg Proroków i wszystkie Prawdy. Znał Prawa i Psalm. Zwłaszcza Prawa.

Omnianie byli bogobojnym ludem.

Naprawdę mieli się czego bać.

Cela Vorbisa mieściła się w wewnętrznej Cytadeli, co było niezwykle jak na zwykłego diakona. Nie prosił o to. Rzadko musiał prosić o cokolwiek. Przeznaczenie miało sposoby realizacji swych planów.

Odwiedzali go także najpotężniejsi ludzie z kościelnej hierarchii.

Oczywiście nie sześciu arcybiskupów ani nie sam cenobiarcha. Nie byli aż tak ważni - po prostu znajdowali się na szczycie. Ludzi, którzy naprawdę kierują organizacjami, zwykle spotyka się o kilka poziomów niżej, gdzie można jeszcze sprawnie kierować.

Ludzie lubili przyjaźnić się z Vorbisem. Głównie ze względu na wspomniane wcześniej pole psychiczne, które w najsubtelniejszy sposób sugerowało, że nie chcieliby zostać jego wrogami.

Dwóch takich siedziało teraz w jego celi. Byli to generał iam Fri'it, który - cokolwiek mówiły oficjalne dokumenty - dowodził Boskim Legionem, oraz biskup Drunah, sekretarz kongresu iamów. Ludzie sądzą zwykle, że stanowisko to nie daje władzy, ale pewnie nigdy nie dbali o protokół zebrania głuchawych staruszków.

Obu tych mężczyzn naprawdę tu nie było. Wcale nie rozmawiali z Vorbisem - takie to było spotkanie. Wielu ludzi nie rozmawiało z Vorbisem i bardzo się starało z nim nie spotykać. Niektórzy opaci z odległych klasztorów, ostatnio wezwani do Cytadeli, podróżowali w sekrecie czasem przez cały tydzień po nieprzyjaznym terenie, aby stanowczo nie dołączyć do tajemniczych postaci odwiedzających celę Vorbisa. W ostatnich miesiącach Vorbis miał najwyraźniej tylu gości co Człowiek w Żelaznej Masce.

Nie rozmawiali także. Ale gdyby tam byli, i gdyby rzeczywiście stoczyli rozmowę, potoczyłaby się tak:

- A teraz - rzekł Vorbis - sprawa Efebu. Biskup Drunah wzruszył ramionami³.

- Nie są ważni, jak słyszałem. Nie stanowią zagrożenia.

Obaj spojrzeli na Vorbisa, człowieka, który nigdy nie podnosił głosu. Trudno było ocenić, o czym myśli Vorbis, często nawet wtedy, kiedy o tym opowiedział.

- Doprawdy? A więc do tego już doszliśmy? Nie stanowią zagrożenia? Po tym, co zrobili nieszczęsnemu bratu Murduckowi? Po obelgach pod adresem Oma? Tego nie możemy darować. Jakie są propozycje dalszych działań?

- Żadnych bitew - oświadczył Fri'it. - Oni walczą jak szaleńcy. Nie. Zbyt wielu już straciliśmy.

- Mają potężnych bogów - stwierdził Drunah.

- Mają lepsze łuki - poprawił go Fri'it.

- Nie ma boga prócz Oma - rzekł Vorbis. - To, w co Efebianie wierzą, że wyznają, to tylko dżinny i demony. Jeśli można to nazwać wyznaniem. Widzieliście to?

³ Albo byłby wzruszył. Gdyby tam był. Ale go nie było. Więc nie mógł wzruszać.

Przesunął w ich stronę zwój papieru.

- Co to takiego? - spytał ostrożnie Fri'it.

- Kłamstwo. Historia, która nie istnieje i nigdy nie istniała... To... rzeczy... - Vorbis zająknął się. Próbował sobie przypomnieć słowo, które od dawna już nie było używane. - Jakby... bajki opowiadane dzieciom, które są za małe... słowa dla ludzi, którzy mają je wypowiadać... ta...

- Aha. Sztuka teatralna - domyślił się Fri'it. Wzrok Vorbisa przybił go do ściany.

- Wiesz o takich rzeczach?

- Ja... Kiedy podróżowałem przez Klatch... - Fri'it przełknął ślinę. I wyraźnie wziął się w garść. Dowodził setką tysięcy żołnierzy. Nie zasłużył na takie traktowanie. Ale nie odważył się spojrzeć Vorbisowi w twarz.

- Tańczą - wyjaśnił niepewnie. - W te swoje święta. Kobiety noszą dzwoneczki na... I śpiewają pieśni. Wszystkie o pierwszych dniach świata, kiedy bogowie...

Zamilkł na chwilę.

- To było obrzydliwe - dokończył. Stuknął o siebie kostkami dłoni, co robił z przyzwyczajenia, kiedy się czymś martwił.

- W tej... sztuce... są ich bogowie - oświadczył Vorbis. - Ludzie w maskach. Czy dacie wiarę? Mają boga wina, pijanego starucha. A ludzie mówią, że Efeb nie stanowi zagrożenia! I jeszcze to...

Rzucił na blat drugi, grubszy zwój.

- To jest o wiele gorsze. Ponieważ błędzą, wyznając fałszywe bóstwa, ich błąd tkwi w wyborze bóstw, nie w wierze. Ale to... Drunah spojrzał ostrożnie.

- Sądzę, że jest więcej kopii, nawet w Cytadeli - mówił dalej Vorbis. - Ta należała do Sasho. O ile pamiętam, rekomendowałeś go do służby, Fri'it.

- Zawsze wydawał mi się inteligentnym i bystrym młodzieńcem - zapewnił generał.

- Ale nielojalnym. I teraz odbiera sprawiedliwą zapłatę. Należy jedynie żałować, że nie udało się go skłonić, by wyjawiał nam imiona innych heretyków.

Fri'it starał się nie okazać nagłej ulgi. Popatrzył Vorbisowi w oczy.

Drunah przerwał milczenie.

- *De Chelonian Mobile*— odczytał głośno. — „Żółw Się Rusza”. Co to znaczy?

- Już wysłuchanie tego może narazić twoją duszę na tysiąc lat w piekle - odparł Vorbis.

Nie odrywał wzroku od Fri'ita, który teraz wpatrywał się nieruchomo w ścianę.

- Sądzę, że z pewną ostrożnością możemy podjąć to ryzyko — uznał Drunah.

Vorbis wzruszył ramionami.

- Autor twierdzi, że świat... płynie przez pustkę na grzbietach czterech ogromnych słoni - wyjaśnił. Drunah otworzył usta.

- Na grzbietach? — zdziwił się.

- Tak pisze - potwierdził Vorbis, wciąż obserwując Fri'ita.

- A na czym one stoją?

- Autor pisze, że stoją na skorupie gigantycznego żółwia. Drunah uśmiechnął się nerwowo.

- A na czym stoi ten żółw?

- Nie widzę sensu w spekulacjach, na czym może stać - warknął Vorbis. - Ponieważ on nie istnieje!

- Naturalnie, naturalnie — zgodził się szybko Drunah. - To tylko pusta ciekawość.

- Jak zwykle ciekawość - odparł Vorbis. - Prowadzi umysł na ścieżki spekulacji. Ale człowiek, który to napisał, chodzi wolny w Efebie. W tej chwili!

Drunah zerknął na zwój.

- On tu pisze, że wszedł na statek, który dopłynął do wyspy na krańcu świata, gdzie wyrżał poza krawędź i...

- Kłamstwa - przerwał mu spokojnie Vorbis. - I nic by z tego nie wynikało, gdyby nawet nie były to kłamstwa. Prawda leży wewnątrz, nie na zewnątrz. W słowach Wielkiego Boga Oma, przekazanych nam przez Jego wybranych proroków. Nasze oczy mogą nas oszukać, ale nasz Bóg nigdy.

-Ale...

Vorbis spojrzał na Fri'ita. Generał był złany potem.

- Tak? - rzucił.

- No... Efeb. Miejsce, gdzie szaleńcy miewają szalone pomysły. Wszyscy o tym wiedzą. Może najrozsądniej będzie pozostawić ich, żeby się dusili w swym obłądnie?

Vorbis pokręcił głową.

- Niestety, dzikie i nierozważne idee mają niepokojącą skłonność rozprzestrzeniania się i zyskiwania zwolenników.

Fri'it musiał przyznać, że tak jest w istocie. Z doświadczenia wiedział, że idee prawdziwe i oczywiste, takie jak niezmierna mądrość i osąd Wielkiego Boga Oma, wielu ludziom wydają się tak niejasne, że trzeba ich wręcz pozabijać, by zrozumieli swe błędy. A jednocześnie niebezpieczne, mgliste i błędne przekonania często tak ich pociągają, że nawet - tu w zadumie potarł brzozę - kryją się w górach i rzucają kamieniami, dopóki nie zamorzy się ich głodem. Wolą raczej zginąć, niż myśleć rozsądnie. Fri'it zaczął myśleć rozsądnie już w młodym wieku. Zrozumiał, że rozsądek nakazuje nie umierać.

- Co proponujecie? - zapytał.

- Rada wysłała poselstwo do Efebu - odparł Drunah. - Jak wiecie, mam zorganizować delegację, która wyruszy jutro.

- Ilu żołnierzy? - spytał Vorbis.

- Tylko eskorta - wyjaśni Fri'it. - Przecież zagwarantowano nam bezpieczny przejazd.

- Zagwarantowano nam bezpieczny przejazd - powtórzył Vorbis. W jego ustach brzmiało to jak długie przekleństwo. - A na miejscu...?

Fri'it chciał odpowiedzieć: Rozmawiałem z komendantem efebianskiego garnizonu i sądzę, że jest człowiekiem honoru, choć oczywiście jest też godnym pogardy niewiernym, stojącym niżej od robaka. Ale takich słów rozsądniej nie wypowiadać w obecności Vorbisa.

- Będziemy się strzec - obiecał tylko.

- Czy zdołamy ich zaskoczyć?

- My? - zdziwił się Fri'it.

- Ja poprowadzę delegację - oznajmił Vorbis. On i sekretarz błyskawicznie porozumieli się wzrokiem. - Chcę... chcę na jakiś czas opuścić Cytadelę. Zmienić powietrze. Poza tym nie powinniśmy dawać Efebianom do zrozumienia, że zasługują na uwagę któregoś z wyższych hierarchów Kościoła. Zastanawiałem się tylko nad możliwościami, gdyby nas sprowokowano...

Nerwowe stukanie kostek Fri'ita przypominało strzały z bicia.

- Daliśmy im słowo...

- Nie ma układów z niewiernymi.

- Ale są pewne względy praktyczne - przypomniał Fri'it tak ostro, jak tylko się odważył. - Pałac w Efebie to labirynt. Wiem o tym. Są pułapki. Nikt nie dostanie się do środka bez przewodnika.

- A jak dociera przewodnik?
- Sądzę, że sam siebie prowadzi.
- Doświadczenie mówi mi, że zawsze jest inna droga — stwierdził Vorbis. - Do wszystkiego istnieje inna droga. Bóg wskaże ją we właściwym czasie, tego możemy być pewni.
- Sytuacja byłaby lepsza przy braku stabilizacji w Efebii - wtrącił Drunah. - Kryją się tam pewne... elementy.
- I będzie on dla nas bramą do całego obrotowego wybrzeża - dodał Vorbis.
- Cóż...
- Do Djel, a potem Tsortu.
Drunah starał się nie widzieć wyrazu twarzy Fri'ita.
- To nasz obowiązek - przypomniał im Vorbis. - Nasz święty obowiązek. Nie wolno nam zapominać o biednym bracie Murducku. Był nieuzbrojony i samotny.

Wielkie sandały Bruthy stuknęły rytmicznie po kamiennej posadzce korytarza prowadzącego do surowej celi brata Nhumroda.

Po drodze próbował ułożyć w myślach swoją wypowiedź. Mistrz, jest tam żółw, który twierdzi... Mistrz, żółw chciałby... Wiesz co, mistrzu? Dowiedziałem się od żółwia pod melonami, że...

Brutha nigdy by się nie ośmielił myśleć o sobie jak o proroku. Dość dokładnie jednak potrafił przewidzieć, jak zakończyłaby się dowolna rozmowa w taki sposób rozpoczęta.

Wielu ludzi uważało Bruthę za idiotę. Wyglądał na takiego, od okrągłej szczerej twarzy po płaskie stopy i koślawe paluchy. Miał też zwyczaj poruszania wargami, kiedy się nad czymś zastanawiał, jakby powtarzał sobie szeptem każde zdanie. A to dlatego, że tak właśnie robił. Myślenie nie przychodziło mu łatwo. Większość ludzi myśli odruchowo, myśli tańczą w ich mózgach jak ładunki elektryczne w chmurze. A przynajmniej jemu tak się wydawało. On jednak musiał konstruować swe myśli po kawałku, jak ktoś wznoszący mur. Dotychczasowe życie, kiedy wszyscy śmiali się z niego, ponieważ miał korpus jak beczka i stopy wyglądające, jakby miały właśnie pomaszzerować w przeciwnie strony, nauczyło go, by dobrze się zastanowić, zanim cokolwiek powie.

Brat Nhumrod leżał wyciągnięty na posadzce przed posągami Oma Depczącego Bezbożników, zatykając palcami uszy. Głosy znowu nie dawały mu spokoju.

Brutha chrząknął. Potem chrząknął jeszcze raz.

Brat Nhumrod uniósł głowę.

- Bracie Nhumrodzie... - zaczął Brutha.

- Co?

- Ehm... bracie Nhumrodzie...

-Co?

Brat Nhumrod wyjął palce z uszu.

- O co chodzi? - zapytał zgryźliwie.

- Tego... Powinieneś coś zobaczyć. W tym, no... w ogrodzie. Bracie...?

Przewodnik nowicjuszy usiadł. Błyszcząca twarz Bruthy była wizerunkiem zatroskania.

- W ogrodzie. Trudno to wytłumaczyć. Boja, no... odkryłem, skąd się biorą głosy, bracie Nhumrodzie. A mówiłeś, żeby zaraz cię o tym zawiadomić.

Stary kapłan spojrzał na chłopca surowo. Lecz jeśli kiedykolwiek istniała

osoba całkiem pozbawiona przebiegłości i niezdolna do subtelności, to właśnie Brutha.

Strach to niezwykła gleba. Zwykle rodzi się na niej posłuszeństwo — niczym kukurydza, która rośnie równymi rzędami i łatwo ją pielć. Czasami jednak wyrastają na niej ziemniaki oporu, które rozwijają się pod ziemią.

W Cytadeli podziemi nie brakowało. Były lochy i tunele Kwizycji. Były piwnice i kanały, zapomniane cele, ślepe zaułki, puste przestrzenie za starożytnymi murami, a nawet naturalne jaskinie w skale macierzystej.

To była właśnie taka jaskinia. Dym z ogniska pośrodku uchodził przez szczelinę w sklepieniu i trafiał do labiryntu niezliczonych kominów i szybów oświetleniowych w górę.

W mroku tańczyło dwanaście postaci. Ubrane były w szerokie kaptury i szerokie płaszcze - prymitywne, zszyte z łachmanów. Nic, czego nie można by z łatwością spalić po spotkaniu, by szperające palce Kwizycji nie znalazły niczego obciążającego. Coś w poruszeniach obecnych sugerowało mężczyzn przyzwyczajonych do noszenia broni: tu czy tam jakiś gest... postawa... użycie słowa.

Na ścianie jaskini ktoś umieścił rysunek: nierówny owal z trzema wydłużeniami u góry - środkowe odrobinę większe od bocznych, i trzema na dole, środkowe odrobinę dłuższe i szpiczaste. Jak dziecięcy rysunek żółwia.

- Oczywiście, że popłynie do Efebu — oświadczyła maska. - Nie ośmieli się zrezygnować. Musi zatamować rzekę prawdy u jej źródła.

- Musimy więc ratować, ile zdołamy - odparła inna maska.

- Musimy zabić Vorbisa!

- Nie w Efebie. Kiedy przyjdzie czas, to musi nastąpić tutaj. Żeby ludzie wiedzieli. Kiedy będziemy już dostatecznie silni.

- Czy kiedykolwiek będziemy dostatecznie silni? — westchnęła maska. Jej właściciel nerwowo stuknął o siebie kostkami palców.

- Nawet chłopci wiedzą, że coś się dzieje. Nie można powstrzymać prawdy. Postawić tamę na rzece prawdy? Wtedy tworzą się przecieki o wielkiej sile. Czy nie dowiedzieliśmy się o Mudrucku? Ha! „Zabity w Efebie”, mówił Vorbis.

- Jeden z nas musi się udać do Efebu i ocalić Mistrza. Jeśli rzeczywiście istnieje.

- Istnieje. Jego imię jest na Księdze.

- Didactylos. Dziwne imię. Wiecie, to znaczy „Dwupalcy”.

- Muszą go szanować w Efebie.

- Sprowadźmy go tutaj, jeśli to możliwe. I Księgę.

Jedna z masek wyraźnie się wahała. Znowu stuknęła kostkami.

- Ale czy ludzie staną za... za książką? Potrzebują czegoś więcej. To chłopci. Nie umieją czytać.

- Ale umieją słuchać!

- I tak... trzeba coś im pokazać. Potrzebujemy symbolu...

- Mamy go!

Każda z zamaskowanych postaci odruchowo zwróciła twarz w stronę rysunku na ścianie, niewyraźnego w blasku ognia, ale głęboko wrytego w ich umysłach. Patrzyli na prawdę, która często robi wrażenie.

- Żółw Się Rusza!

- Żółw Się Rusza!

- Żółw Się Rusza! Przywódca skinął głową.

- A teraz - rzekł - ciągniemy losy.

Wielki Bóg Om rozpalał w sobie gniew, a przynajmniej bardzo się starał. Istnieje tylko ograniczona ilość gniewu, jaki można rozpaść o cal od ziemi, ale Om się nie poddawał. Bezgłośnie przeklął chrząszcza, ale przypominało to lanie wody do stawu. A w każdym razie nie wywołało żadnych skutków - chrząszcz poszedł dalej.

Przeklął melon aż do ósmego pokolenia, ale nic się nie stało. Spróbował plagi wrzodów - a melon nadal leżał spokojnie i dojrzewał powolutku.

Bóg chwilowo znalazł się w ciężkim położeniu, a świat uznał, że może to wykorzystać. Cóż, kiedy Om wróci do swej słusznej postaci i potęgi, powiedział sobie, zostaną Podjęte odpowiednie Kroki. Plemiona Chrząszczy i Melonów pożałują, że zostały stworzone. Coś okropnego przydarzy się orłom. I... i pojawi się boskie przykazanie dotyczące sadzenia sałaty...

Kiedy ten wielki chłopak wrócił w towarzystwie mężczyzny o woskowej skórze, Wielki Bóg Om nie miał ochoty już na uprzejmości. Poza tym, z punktu widzenia żółwia, nawet najpiękniejsza ludzka istota jest tylko parą stóp, odległą szpiczastą głową i gdzieś po drodze parą nozdrzy oglądaną z niewłaściwej strony.

- Co to za jeden? - warknął.

- To brat Nhumrod - wyjaśnił Brutha. - Przewodnik nowicjuszy. Jest bardzo ważny.

- Mówiłem chyba, żebyś nie sprowadzał mi tu jakiegoś tłustego, starego pederasty! - wrzasnął głos w umyśle chłopca. - Za coś takiego twoje oczy zostaną nabite na kolumny ognia!

Brutha przyklęknął.

- Nie mogę iść do najwyższego kapłana — tłumaczył tak cierpliwie, jak tylko potrafił. - Nowicjuszy w ogóle nie wpuszczają do Wielkiej Świątyni, chyba że przy wyjątkowych okazjach. Gdyby mnie złapali, Kwizycja szybko by mi wykazała, że błędziłem. Takie jest Prawo.

- Tępy dureń! - krzyknął żółw. Nhumrod uznał, że pora się odezwać.

- Nowicjuszu Brutho - rzekł. - Z jakiego powodu przemawiasz do tego małego żółwia?

- Ponieważ... - Brutha urwał na moment. - Ponieważ on do mnie przemawia... prawda?

Brat Nhumrod przyjrzał się niedużej jednookiej głowie wysuniętej ze skorupy.

Był zasadniczo dobrym człowiekiem. Czasem demony i diabły podsuwały mu do głowy niepokojące myśli, ale pilnował, żeby owe myśli tam już pozostały. W żadnym dosłownym sensie nie zasługiwał, by nazywać go tak, jak przed chwilą żółw. Zresztą nawet gdyby go usłyszał, pomyślałby, że ma to coś wspólnego ze stopami. Poza tym zdawał sobie sprawę, że można słyszeć głosy pochodzące od demonów, a czasami bogów. Żółwie to coś nowego. Żółw sprawił, że brat Nhumrod zaczął się martwić o Bruthę, którego zawsze uważał za miłego tępaka, co to bez słowa skargi robi wszystko, czego się od niego wymaga. Oczywiście, wielu nowicjuszy zgłaszało się na ochotnika do czyszczenia szamba i zagród byków; czynili to z dziwnego przekonania, że świątobliwość i pobożność ma jakiś związek z brodzeniem po kolana w gnoju. Brutha nigdy się nie zgłaszał, ale jeśli otrzymał polecenie, wykonywał je - nie dlatego że chciał zrobić dobre wrażenie, ale dlatego że mu polecono. A teraz zaczął rozmawiać z żółwiami.

- Muszę ci chyba wyznać, Brutho - rzekł Nhumrod - że on nie mówi.

- Nie słyszysz go, mistrzu?

- Nie słyszę, Brutho.
- Powiedział mi, że... - Brutha zawahał się. - Powiedział, że jest Wielkim Bogiem.

Drgnął mimowolnie. Babcia w tej chwili uderzyłaby go czymś ciężkim.

- Aha... Otóż widzisz, Brutho - zaczął brat Nhumrod, dygocząc lekko - takie zjawiska nie są całkiem nieznane wśród młodych ludzi niedawno Powołanych do służby Kościołowi. Jak sądzę, usłyszałeś głos Wielkiego Boga, kiedy zostałeś Powołany, prawda? Hm...

Brutha nie docenił metafory. Pamiętał, że słyszał głos swojej babci. Właściwie nie został Powołany, raczej Posłany. Ale na wszelki wypadek kiwnął głową.

- I w twoim... entuzjazmie, naturalnym entuzjazmie jest przekonanie, że słyszysz, jak Wielki Bóg nadal do ciebie przemawia. Żółw zaczął podskakiwać.

- Niech cię porażą gromy! — wrzasnął.

- Najlepszym lekarstwem są ćwiczenia fizyczne. I dużo zimnej wody.

- Wij się na ostrzach potępienia!

Nhumrod schylił się i podniósł żółwia. Odwrócił go grzbietem w dół. Łapki machały wściekle.

- Jak on się tu dostał, hm?

- Nie wiem, bracie Nhumrodzie - odparł szczerze Brutha.

- Niech ręka ci uschnie i odpadnie! - krzyczał głos w jego głowie.

- Takim żółwiem można sobie nieźle podjąć - mruknął przewodnik nowicjuszy. Dostrzegł wyraz twarzy chłopca. - Spójrz na to inaczej - zaproponował. - Czy Wielki Bóg Om... - znak świętych rogów - ...zamanifestowałby się w stworzeniu tak prymitywnym? Byk tak, naturalnie, orzeł z pewnością, przy jakiejś okazji także łąbądź, o ile dobrze pamiętam... Ale żółw?

- Niech twoje organy płciowe wypuszczą skrzydła i odleć!

- Zastanów się - ciągnął brat Nhumrod, nieświadom chórów w głowie nowicjusza. - Jakie cuda mógłby sprawić żółw? Hm...

- Niech twoje kości chrzęszczą miażdżone w szczękach olbrzymów!

- Może zmienić sałatę w złoto? - zgadywał brat Nhumrod jowialnym tonem człowieka pozbawionego poczucia humoru. - Deptać stopami mrówki? Ahaha.

- Haha - odparł grzecznie Brutha.

- Zabiorę go do kuchni, żeby już cię nie niepokoił. Znakomicie nadaje się na zupę. A potem nie będziesz już słyszał żadnych głosów, możesz mi wierzyć. Ogień leczy wszelkie szaleństwa, prawda?

- Zupę?

- Tego... - zaczął Brutha.

- Twoje wnętrzności będą owijać się wokół drzewa, aż pożałujesz! Nhumrod rozejrzał się po ogrodzie. Miał wrażenie, że pełno tu melonów, dyni i ogórków. Zadrżał.

- Dużo zimnej wody, to najlepsze - powiedział. - Mnóstwo. - Znowu popatrzył na Bruthę. - Hm? Po czym ruszył w stronę kuchni.

Wielki Bóg Om leżał z łapkami w powietrzu w koszu stojącym w którejś z kuchni. Był niemal całkiem przysypany pękiem ziół i kilkoma marchewkami. Przewrócony żółw usiłuje stanąć na nogi, wyciągając jak najdalej szyję i próbując użyć głowy jako dźwigni. Jeśli to nie skutkuje, gorączkowo macha łapkami w nadziei, że rozkołysze się i odwróci grzbietem do góry.

Przewrócony żółw to dziewiąta najbardziej żalosna rzecz w całym

wszechświecie.

Przewrócony żółw, który wie, co się z nim zaraz stanie, awansuje na tej liście na pozycję przynajmniej czwartą.

Najszybszym sposobem zabicia żółwia, przeznaczonego do jedzenia, jest wrzucenie go do wrzącej wody.

W całej Cytadeli rozrzucone były kuchnie, magazyny i warsztaty rzemieślnicze należące do cywilnych członków Kościoła⁴. To była jedna z nich - piwnica z czarnym od dymu sufitem, w której centrum znajdowało się wielkie palenisko. Ogień huczał w kominie. Tresowane psy biegały w kołowrotkach i obracały różny. Wznosiły się i opadały tasaki.

Z boku pieca, wśród innych poczerniałych kociołków, zaczynał już wrzeć nieduży garnek wody.

- Niech robaki zemsty pożerają twoje czarne nozdrza! - darł się Om, gwałtownie machając łapkami. Kosz się zakółsał. Owłosiona ręka sięgnęła do wnętrza i wyjęła zioła.

- Niech jastrzębie dziobią ci wątrobę!

Ręka pojawiła się znowu i zabrała marchewki.

- Obyś cierpiał od tysiąca ostrzy! Dłoń chwyciła Wielkiego Boga Oma.

- Niech ludożercze grzyby... !

- Zamknij się! - syknął Brutha, wsuwając żółwia pod szatę.

Dyskretnie ruszył do drzwi. W ogólnym chaosie kulinarnym nikt go na razie nie zauważył. Dopiero po chwili jeden z kucharzy wyprostował się i uniósł brew.

- Muszę *zabrać* to z powrotem - wybełkotał Brutha, wyjął spod szaty żółwia i pomachał nim szybko. - Diakon kazał.

Kucharz zmarszczył czoło, ale po chwili wzruszył ramionami. W Cytadeli wszyscy uważali nowicjuszy za najniższą formę życia, jednak rozkazy hierarchii należało wypełniać bez zbędnych pytań. Chyba że pytający miał ochotę rozważyć pytania o wiele ważniejsze, na przykład czy możliwe jest pójście do nieba, kiedy człowiek został żywcem usmażony.

Na dziedzińcu Brutha oparł się o mur i odetchnął głęboko.

- Twoje gałki oczne... - zaczął żółw.

- Jeszcze jedno słowo - przerwał mu chłopiec - i wracasz do kosza.

Żółw umilkł.

- I tak pewnie będę miał kłopoty, bo opuściłem religię porównawczą z bratem Whelkiem. Ale Wielki Bóg uznał za słuszne uczynić go krótkowzrocznym, więc Whelk pewnie nie zauważy, że mnie nie ma. A gdyby jednak, będę musiał mu powiedzieć, co zrobiłem, ponieważ okłamywanie brata jest grzechem i Wielki Bóg pośle mnie do piekła na milion lat.

- W tym przypadku mógłbym okazać łaskę - stwierdził żółw. - Nie więcej niż tysiąc lat.

- Babcia mówiła, że kiedy umrę, i tak pójdę do piekła. - Brutha nie zwracał uwagi na zwierzę. - Samo życie jest grzeszne. To logiczne, ponieważ musi się grzeszyć w każdym dniu swego żywota.

Spojrzał na żółwia.

- Wiem, że nie jesteś Wielkim Bogiem Omem... - święte rogi -...ponieważ gdybym dotknął Wielkiego Boga Oma... - święte rogi -...moje ręce by się spaliły. Jak mówił brat Nhumrod, Wielki Bóg nigdy nie stałby się żółwiem. Ale powiedziane jest w Księdze Proroka Ceny, że kiedy wędrował przez pustynię, duchy ziemi i powietrza przemawiały do niego... Zastanawiałem się, czy nie jesteś jednym z nich.

⁴ Potrzeba czterdziestu ludzi pewnie stojących na ziemi, żeby utrzymać jednego z gtową w chmurach.

Żółw przypatrywał mu się przez chwilę jednym okiem.

- Taki wysoki? - zapytał w końcu. - Gęsta broda? Oczy skakały mu z miejsca na miejsce?

- Co?

- Chyba go sobie przypominam. Przewracał oczami, kiedy mówił. A mówił przez cały czas. Do siebie. I często wpadał na skały.

- Wędrował po pustkowiu przez trzy miesiące - oświadczył Brutha.

- To wiele wyjaśnia - uznał żółw. - Niewiele tam jest do jedzenia. Głównie grzyby.

- A może naprawdę jesteś demonem? Septateuch zabrania prowadzenia dyskursu z demonami. Jednak opieranie się demonom, jako rzecz prorok Fruni, może wzmocnić naszą wiarę...

- Niech zęby ci zaropieją z gorączki!

- Słucham?

- Przysięgam na siebie, że jestem Wielkim Bogiem Omem, największym ze wszystkich bóstw!

Brutha stuknął żółwia w skorupę.

- Coś ci pokażę, demonie.

Czuł, jak wzrasta jego wiara. Musiał tylko uważnie słuchać.

Nie był to największy posąg Oma, ale stał najbliżej — na poziomie lochów przeznaczonych dla więźniów i heretyków. Zbudowano go z żelaznych płyt połączonych nitami. Korytarze były puste, tylko gdzieś daleko para nowicjuszy pchała wózek.

- To wielki byk - stwierdził żółw.

- To podobizna Wielkiego Boga Oma w jednej z Jego doczesnych inkarnacji - wyjaśnił z dumą Brutha. - I ty twierdzisz, że jesteś Nim?

- Ostatnio nie czułem się najlepiej - odparł żółw i mocniej wyciągnął chudą szyję. - Tam są drzwiczki na grzbiecie! - zauważył. - Po co mu drzwiczki na grzbiecie?

- Żeby włożyć tam to, co grzeszne.

- A po co te drugie na brzuchu?

- Żeby wysypać oczyszczone popioły. A dym wydobywa się z nozdrzy jako znak dla bezbożników.

Wykręcając szyję, żółw przyjrzał się rzędowi zakratowanych drzwi. Obejrzał pokryte sadzą ściany. Popatrzył na puste teraz palenisko pod żelaznym bykiem. Wyciągnął wnioski. Zamrugał jednym okiem.

- Ludzie? - zapytał w końcu. - Smażycie tam ludzi?

- No właśnie! - krzyknął tryumfalnie Brutha. - To dowód, że nie jesteś Wielkim Bogiem! On by wiedział, że oczywiście nie palimy tam ludzi. Palić tam ludzi? To niewyobrażalne!

- Aha... — mruknął żółw. — Więc co?

- Posąg służy niszczeniu heretyckich pism i innych tego rodzaju śmieci - wyjaśnił Brutha.

- Bardzo rozsądne - pochwalił żółw.

- Grzesznicy i przestępcy doznają oczyszczenia przez ogień w lochach Kwizycji albo czasami przed Świątynią. Wielki Bóg na pewno by to wiedział.

- Musiałem chyba zapomnieć - odparł cicho żółw.

- Wielki Bóg Om... - święte rogi - ...wiedziałyby, że On sam, osobiście, nakazał prorokowi Wallspurowi... - Brutha odchrząknął i zmarszczył czoło, zezując lekko.

Oznaczało to, że rozpoczął ciężki proces myślenia. - „Niech święty ogień bez reszty zniszczy niewiernego”. To werset sześćdziesiąty piąty.

-Ja tak powiedziałem?

- W roku Poblążliwego Warzywa biskup Kreeblephor walczył z demonem i nawrócił go jedynie mocą swego rozumu - mówił dalej Brutha. - Demon nawet przystąpił do Kościoła i został subdiakonem. Przynajmniej tak mówią.

- Przeciwno walce nic nie mam... - zaczął żółw.

- Twój kłamliwy język nie zdoła mnie skusić, gadzie! - zawołał Brutha. - Bowiem silny jestem w wierze! Żółw stęknął z wysiłku.

- Niech porażą cię gromy!

Mała, wręcz bardzo mała czarna chmura pojawiła się nagle nad głową Bruthy i mały, bardzo mały piorun lekko przypalił mu brew. Miał mniej więcej taką moc jak iskra strzelająca z kociego futra w ciepły, suchy dzień.

- Aj!

- Teraz mi wierzysz? - spytał żółw.

Na dachu Cytadeli dmuchał lekki wietrzyk. Poza tym rozciągał się stąd widok na pustynię.

Fri'it i Drunah odczekali chwilę, żeby odzyskać oddech. Potem Fri'it zapytał:

- Jesteśmy tu bezpieczni?

Drunah uniósł głowę. Nad suchymi wzgórzami krążył orzeł. Biskup zaczął się zastanawiać, jak dobry słuch ma taki ptak. Na pewno miał coś znakomitego. Czy aby nie słuch? Mógł usłyszeć ruch stworzenia pół mili niżej, w ciszy pustyni? Zresztą, do diabła, przecież nie potrafi o tym opowiedzieć, prawda?

- Prawdopodobnie - odparł.

- Mogę ci ufać? - spytał znowu Fri'it.

- A ja tobie?

Fri'it zabębnił palcami o balustradę.

- Hm...

Na tym polegał problem - problem wszystkich naprawdę tajnych stowarzyszeń: były tajne. Ilu członków miał Ruch Żółwia? Nikt dokładnie nie wiedział. Jak się nazywał człowiek obok? Wiedzieli dwaj inni członkowie, ponieważ oni go wprowadzali, ale kim byli pod maskami? Niestety, wiedza była groźna. Jeśli człowiek wiedział, Kwizycja mogła powoli wydobyć z niego te informacje. Dlatego każdy wołał dopilnować, żeby zbyt wiele nie wiedzieć. Dzięki temu rozmowy były o wiele prostsze na spotkaniach komórek Ruchu, a prawie niemożliwe poza nimi.

Z problemem tym zmagali się wszyscy ostrożni konspiratorzy w historii: jak konspirować, nie wypowiadając do nie całkiem zaufanego współkonspiratora słów, które powtórzone, mogą wskazać winnego rozgrzanym do czerwoności prętem grzechu?

Mimo wietrzyku na czole Drunaha wystąpiły drobne kropelki potu, co sugerowało, że sekretarza dręczą podobne obawy. Ale nie były dowodem. A Fri'itowi nieumieranie weszło głęboko w nawyk.

Stuknął kostkami palców.

- Święta wojna - rzekł.

To było raczej bezpieczne. Wypowiedź nie zawierała żadnej wskazówki dotyczącej opinii Fri'ita o tym wydarzeniu. Nie powiedział: „Na Boga, znowu święta wojna! Czy ten człowiek zwariował? Jakiś idiota misjonarz pozwala się zabić, jakiś obcy zapisuje jakiś bełkot na temat kształtu świata, a my mamy iść na wojnę?”.

Gdyby go przyciśnięto - a właściwie rozciągnięto i połamano kości - zawsze mógł twierdzić, że miał na myśli coś w rodzaju: „Nareszcie! Nie można zlekceważyć takiej okazji, by zginać chwalebnie dla Oma, jedyne prawdziwego Boga, który Zdepcze Nieprawych swymi Żelaznymi Kopytami!”. Nie sprawi to wielkiej różnicy — dowody nigdy się nie liczyły na niskich poziomach, gdzie zamiast nich wystarczały oskarżenia, ale jest szansa, że u jednego czy dwóch inkwizytorów wzbudzi uczucie, iż może jednak się pomylili.

- Oczywiście, w ostatnim stuleciu Kościół jest o wiele mniej waleczny - zauważył Drunah, spoglądając na pustynię. - Wiele energii pochłaniają przyziemne sprawy imperium.

Stwierdzenie. Najmniejszej szczeliny, w którą można by wcisnąć rozszczepiacz kości.

- Była krucjata przeciwko Hodgsonitom - przypomniał zamyślony Fri'it. - I podporządkowanie Melchiorów. I rozwiązanie sprawy fałszywego proroka Zęba. I naprawa Ashelian, i pokuta...

- Ale to przecież tylko polityka - przerwał mu Drunah.

- Hm... Tak, rzeczywiście. Masz rację.

- Poza tym, naturalnie, nikt nie mógłby zwątpić w mądrość wojny o dalsze poszerzenie czci i chwały Wielkiego Boga.

- Nie. W to nikt nie mógłby wątpić - zgodził się Fri'it, który wiele razy chodził po polach bitew następnego dnia po zwycięstwie i miał możliwość przekonania się, co ono oznacza. Omnianie zakazywali używania wszelkich środków odurzających. W takich chwilach zakaz ów naprawdę mu ciążył: kiedy nie śmiał zasnąć z lęku przed swymi snami.

- Czy Wielki Bóg nie rzeki, ustami swego proroka Abbysa, że nie ma większej i bardziej chwalebnej ofiary niż własne życie oddane dla Oma?

- Istotnie, tak rzekł.

Fri'it nie mógł nie myśleć, że zanim Abbys został wybrańcem Wielkiego Boga, przez pięćdziesiąt lat był biskupem w Cytadeli. Wrzeszczący nieprzyjaciele nigdy nie biegli na niego ze wzniesionymi mieczami. Nigdy nie patrzył w oczy komuś, kto życzył mu śmierci — chociaż nie, patrzył oczywiście, ponieważ Kościół miał swoją politykę, ale przynajmniej ten ktoś nie trzymał w ręku środka pozwalającego na natychmiastową realizację tych życzeń.

- Zginać z honorem za wiarę to rzecz szlachetna - zaintonował Drunah, jak gdyby czytał te słowa z jakiejś wewnętrznej księgi.

- Tak nam mówią prorocy — zgodził się żałośnie Fri'it.

Dobrze wiedział, że niezbadane są wyroki Wielkiego Boga. On wybierał swych proroków, ale wydawało się, że niezbędna Mu jest pomoc. Może był zbyt zajęty, żeby sam się tym zająć. Ostatnio jakoś częściej odbywały się spotkania, częściej kiwano głowami i wymieniano spojrzenia, nawet podczas nabożeństw w Wielkiej Świątyni.

Sporo się mówiło o młodym Vorbisie... Jak łatwo przejść od jednej myśli do drugiej... Vorbis to człowiek, którego dotknęło przeznaczenie. Niewielki fragment Fri'ita — ten fragment, który przez większą część życia mieszkał w namiotach, do którego często strzelali, który często znajdował się pośród chaosu, kiedy równie łatwo zginać

z ręki sprzymierzeńca, jak wroga - ten fragment dodał zgryźliwie: w każdym razie coś go dotknęło. Był to ten fragment, który zapewne spędzi wszystkie wieczności we wszystkich pieklach, ale już teraz miał w tym sporą praktykę.

- Wiesz, że za młodu wiele podróżowałem — powiedział.

- Często słyszałem, jak niezwykle interesująco opowiadasz o swoich wyprawach do pogańskich krain - zapewnił uprzejmie Drunah. - Zwykle wspominasz o dzwonekach.

- Czy mówiłem ci kiedyś o Wyspach Brunatnych?

- To gdzieś na końcu świata. Pamiętam. Chleb tam rośnie na drzewach, a młode kobiety znajdują małe białe kulki w ostrzygach. Nurkują po nie, nie ubrane nawet...

- Pamiętam coś jeszcze - przerwał Fri'it. Było to smutne wspomnienie tutaj, gdzie tylko kolczaste krzewy rosły pod fioletowym niebem. - Morze jest tam potężne. Wielkie fale, o wiele większe niż na Morzu Okrągłym, rozumiesz. Mężczyźni wypływają poza nie, żeby łowić ryby. Wypływają na takich dziwnych drewnianych deskach. A kiedy chcą wrócić, czekają na falę i... i stoją na tej fali, a ona niesie ich do brzegu.

- Najbardziej podobała mi się ta historia o nurkujących kobietach - stwierdził Drunah.

- Czasami fale są ogromne. — Fri'it nie zwracał na niego uwagi. - Nic ich nie powstrzyma. Ale jeśli jedziesz na niej, nie toniesz. Tego właśnie tam się nauczyłem.

Drunah dostrzegł błysk w oku generała.

- Aha... - Pokiwał głową. - Jak cudowna jest mądrość Wielkiego Boga, że umieścił na naszej ścieżce taki pouczający przykład.

- Sztuka polega na ocenie wielkości fali. A potem trzeba na niej pojechać.

- Co się dzieje z tymi, którzy źle oceniają?

- Toną. Często. Niektóre fale są bardzo wielkie.

- Taka już jest natura fal, jak rozumiem.

Orzeł wciąż krążył. Jeśli nawet coś zrozumiał, nie okazywał tego.

- Użyteczne fakty, które warto zapamiętać. — Drunah poweselał nagle. - Gdyby człowiek miał kiedyś trafić do pogańskich krain.

- W samej rzeczy.

Z wież modlitewnych wokół całej Cytadeli diakoni śpiewali godzinki.

Brutha powinien być na zajęciach. Ale kapłani nauczyciele nie byli dla niego zbyt surowi. W końcu potrafił co do słowa zacytować każdą księgę Septateuchu i dzięki babci znał na pamięć wszystkie modlitwy i hymny. Pewnie zakładali, że jest w czymś użyteczny. Użytecznie robi coś, czego nie chce wykonać nikt inny.

Teraz okopywał grządki fasoli, żeby lepiej wyglądały. Wielki Bóg Om, aktualnie będący małym bogiem Omem, zjadał liść sałaty.

Przez całe życie wierzyłem, myślał Brutha, że Wielki Bóg Om -bez przekonania zrobił znak świętych rogów-jest, no, jest wielką brodą na niebie, a czasem, kiedy zstępuje na ziemię, to jako wielki byk, lew albo... no, w każdym razie coś dużego. Coś, co budzi szacunek.

Żółw to jednak nie to samo. Staram się... ale to nie to samo. A słyszeć, że mówi o SeptArchach, jakby byli tylko... tylko obłąkanymi starcami... to jakiś koszmar.

W tropikalnej dżungli podświadomości Bruthy wykuł się motyl wątpienia i na próbę zamachał skrzydełkami, całkiem nieświadomy, co o takich wyczynach mówi teoria chaosu.

- Czuję się o wiele lepiej - zapewnił żółw. - Lepiej niż przez ostatnie miesiące.

- Miesiące? - zdziwił się Brutha. - Jak długo byłeś... chory? Żółw przycisnął liść łapką.

-Jaki dziś dzień?

- Dziesiąty grune'a.
- A którego roku?
- Tego... Hipotetycznego Węża... Co to znaczy: którego roku?
- W takim razie... trzy lata — policzył żółw. — Dobra ta sałata. Ja ci to mówię. W górach nie znajdziesz ani odrobiny sałaty. Rośnie czasem babka, jakiś kolczasty krzak czy dwa. Niech się stanie jeszcze jeden liść.

Brutha zerwał go z najbliższej główki. I oto, pomyślał, stał się jeszcze jeden liść.

- I miałeś zamiar być bykiem? - spytał.
- Otworzyłem oczy... jedno oko... i byłem żółwiem.
- Dlaczego?
- Skąd mogę wiedzieć? Nie mam pojęcia - skłamał żółw.
- Ale ty... Przecież jesteś wszechwiedzący.
- To jeszcze nie znaczy, że wiem wszystko. Brutha przygryzł wargę.
- Hm. Tak. Znaczy.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Myślałem, że to onnipotencja.
- Nie. Onnipotencja to wszechmoc. Zresztą wszechmocny też jesteś. Tak jest napisane w Księdze Ossory'ego. Wiesz - dodał Brutha - on był jednym z wielkich proroków.
- Kto mu powiedział, że jestem wszechmocny?
- Ty.
- Wcale nie.
- W każdym razie on twierdził, że to ty.
- Nie pamiętam nawet żadnego Ossory'ego - mruknął żółw.
- Przemówiłeś do niego na pustyni — odpowiedział Brutha. - Musisz pamiętać. Osiem stóp wzrostu? Bardzo długa broda? Wielka laska? I blask świętych rogów nad głową?

Zawahał się. Ale przecież widział posągi i święte obrazy. Nie mogły kłamać.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego - zapewnił mały bóg Om.
- Może był trochę niższy — ustąpił Brutha.
- Ossory, Ossory... Nie, nie... Trudno powiedzieć, ale...
- Twierdził, że przemówiłeś do niego z kolumny ognia.
- Ach, ten Ossory! - zawołał żółw. - Kolumna ognia.. Tak.
- I podyktowałeś mu Księgę Ossory'ego - mówił dalej Brutha. — Która zawiera Wskazania, Zasady, Wyrzeczenia i Nakazy. Sto dziewięćdziesiąt trzy rozdziały.
- Nie wydaje mi się, żeby to wszystko było moim dziełem - oświadczył z powątpiewaniem żółw. - Chyba zapamiętałbym sto dziewięćdziesiąt trzy rozdziały.
- W takim razie co takiego mu powiedziałeś?
- O ile sobie przypominam, coś w stylu: „Hej, popatrz, co mogę zrobić!” — wyjaśnił żółw.

Brutha przyjrzał mu się zdziwiony. Żółw wyglądał na zakłopotanego, przynajmniej tak, jak jest to możliwe dla żółwia.

- Nawet bogowie muszą się czasem rozerwać - przyznał.
- Setki tysięcy ludzi kierują się w życiu Wyrzeczeniami i Nakazami! - oznajmił gniewnie Brutha.
- To co? Przecież ja im nie przeszkadzam.
- Jeżeli nie tyje dyktowałeś, to kto?
- Mnie nie pytaj. Nie jestem wszechwiedzący. Brutha aż trząsł się ze złości.

- A co z prorokiem Abbysem? Pewnie całkiem przypadkiem ktoś akurat wręczył mu Kodycyle, co?

- To nie ja...

- Są wyrzeźbione na ołowianych płytach wysokości dziesięciu stóp!

- No tak, to przecież musiałem być ja. To jasne. Zawsze trzymam pod ręką tonę ołowianych płyt na wypadek, gdybym akurat kogoś spotkał na pustyni. Tak?

- Jak to? Jeśli ty mu ich nie dałeś, to kto?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie mogę być wszędzie.

- Jesteś wszechobecny!

- A kto tak twierdzi?

- Prorok Hashimi!

- W ogóle go nie znam!

- Nie? Nie? To pewnie nie ty mu dałeś Księgę Stworzenia?

- Jaką Księgę Stworzenia?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz?

- Nie!

- Więc kto mu ją dał?

- Nie mam pojęcia! Może sam ją napisał? Brutha ze zgrozą zasłonił sobie usta dłonią.

- Thoffbluffng!

- Co?

Brutha opuścił rękę.

- Powiedziałem, że to bluźnierstwo!

- Bluźnierstwo? Jak mogę bluźnić? Jestem bogiem!

- Nie wierzę ci!

- Nie? A chcesz jeszcze raz dostać piorunem?

- To nazywasz piorunem?

Brutha aż poczerwieniał na twarzy. Żółw ze smutkiem zwiesił głowę.

- Dobrze. Rzeczywiście. Zgadza się, że nie był imponujący - przyznał. - Gdybym był w lepszej formie, zostałyby po tobie tylko para dymiących sandałów. - Wyglądał na załamane. - Nie rozumiem... Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło. Zamierzałem stać się na tydzień ryczącym białym bykiem, a skończyłem na trzy lata jako żółw. Dlaczego? Nie wiem, a przecież powinienem wiedzieć wszystko. Przynajmniej według tych proroków, którzy twierdzą, że się ze mną spotkali. A wiesz, nikt mnie nawet nie słyszał. Próbowałem przemawiać do pasterzy i różnych takich, ale nie zwracali na mnie uwagi! Zaczynałem już podejrzewać, że jestem żółwiem, który śni, że jest bogiem. Tak źle ze mną było.

- Bo może jesteś - powiedział Brutha.

- Niech nogi ci spuchną jak pnie drzew! - burknął żółw.

- Ale... Ale... - jękał się Brutha - Twierdzisz, że prorocy byli... byli tylko ludźmi, którzy zapisywali różne rzeczy!

- Bo przecież nimi byli!

- Tak, ale te rzeczy nie pochodziły od ciebie!

- Może niektóre — ustąpił żółw. — Ja... tak wiele zapomniałem przez ostatnie lata.

- Ale jeżeli przebywałeś tutaj jako żółw, to kto słuchał modlitw? Kto przyjmował ofiary? Kto osądzał zmarłych?

- Nie wiem. A kto to robił przedtem?

- Ty!

- Naprawdę?

Brutha zatkał sobie uszy palcami i rozpoczął trzecią strofę *Patrzcie, jak niewierni pierzchają przed gniewem Oma*.

Po kilku minutach żółw wysunął głowę ze skorupy.

- No więc - zaczął — zanim niewierni zostaną żywcem spaleni... czy najpierw im śpiewacie?

- Nie!

- Aha. Łaskawa śmierć. Mogę coś powiedzieć?

- Jeśli raz jeszcze spróbujesz narażać na szwank moją wiarę... Om umilkł. Przeszukał swą słabnącą pamięć. Drapnął łapką ziemię.

- Pamiętam... dzień... letni dzień... miałeś... trzynaście lat... Cichy głos recytował jednostajnie. Usta Bruthy uformowały rozszerzające się O.

- Skąd to wiesz? - spytał w końcu.

- Wierzysz, że Wielki Bóg Om obserwuje wszystko, co robisz, prawda?

- Jesteś żółwiem. Nie mogłeś...

- Kiedy miałeś prawie czternaście, a twoja babcia zabiła cię za kradzież śmietany ze spiżarni, czego w rzeczywistości nie uczyniłeś, zamknęła cię w twoim pokoju, a ty powiedziałaś: Chciałbym, żebyś...

Pojawi się znak, myślał Vorbis. Zawsze przychodzi znak dla człowieka, który na znaki uważa. A człowiek mądry stawia się na ścieżce Boga.

Szedł przez Cytadelę. Zawsze pamiętał, żeby codziennie przespacerować się przez niektóre z niższych poziomów, choć oczywiście zawsze o innej porze i inną trasą. O ile Vorbisowi cokolwiek sprawiało przyjemność, a w każdym razie taką, jaką mogła zrozumieć zwykła istota ludzka, to widok twarzy skromnych przedstawicieli kleru, którzy nagle stawali oko w podbródek z diakonem Vorbisem z Kwizycji. Zawsze następowało lekkie syknięcie, wskazujące na nieczyste sumienie. Vorbis lubił widzieć odpowiednio nieczyste sumienia. Do tego przecież służyły. Wina była smarem, dzięki któremu obracały się koła władzy.

Skręcił za róg i zobaczył wydrapany na ścianie nierówny owal z czterema prymitywnymi nogami i jeszcze prymitywniejszymi głową i ogonem. Uśmiechnął się. Ostatnio jakoś częściej je widywał. Niech jątrzy się herezja, niech wydobywa się na powierzchnię niczym ropiejący pęcherz. Vorbis wiedział, jak używać lancetu.

Ale sekunda czy dwie zadumy sprawiły, że minął odgałęzienie i zamiast skręcić, wyszedł na słońce.

Przez moment poczuł się zagubiony, mimo całej swej wiedzy o zakamarkach Cytadeli. Przed sobą widział jeden z wewnętrznych ogrodów. Wokół pięknej kępy dekoracyjnej kukurydzy klatchiańskiej wyciągały ku słońcu czerwone i białe kwiaty pnąca fasoli; między nimi na pylistej glebie dojrzewały powoli melony. Normalnie Vorbis zauważyłby to wszystko i z aprobatą pomyślał o rozsądnym wykorzystaniu miejsca. W normalnym przypadku nie spotkałby jednak pulchnego młodego nowicjusza, który przetaczał się po ziemi z palcami w uszach.

Vorbis przyjrzał mu się. A potem trącił sandałem.

- Co cię dręczy, synu?

Brutha otworzył oczy.

Niewielu członków wyższej hierarchii potrafiłby rozpoznać. Nawet cenobiarcha był tylko odległą plamą wśród tłumu. Ale ekskwizytora Vorbisa znali wszyscy. Było w nim coś, co odbijało się w sumieniu każdego już po kilku dniach od przybycia do Cytadeli. Boga należało się lękać dość odruchowo, z przyzwyczajenia - ale Vorbis budził grozę.

Brutha zemdlął.

- Bardzo dziwne - mruknął Vorbis.

Usłyszał jakiś syczący odgłos i spuścił wzrok.

Przy jego stopie stał nieduży żółw. Pod spojrzeniem ekskwizytora usiłował się cofnąć, ale przez cały czas patrzył na człowieka i syczał jak czajnik.

Vorbis podniósł zwierzę i zbadał uważnie, obracając w dłoniach. Potem rozejrzał się, znalazł między murami miejsce leżące w pełnym słońcu i odłożył gada na ziemię, na grzbiet. Po chwili zebrał jeszcze parę kamieni z grządek warzywnych i podparł nimi skorupę, żeby gwałtowne ruchy nie przewróciły żółwia z powrotem.

Ekskwizytor wierzył, że nie należy marnować żadnej okazji zdobycia wiedzy ezoterycznej. Zanotował więc w pamięci, by -jeśli praca pozwoli - wrócić tu za kilka godzin i sprawdzić, co się dzieje.

Potem skierował wzrok na Bruthę.

Istniało piekło dla bluźnierców. Istniało piekło dla kwestionujących legalną władzę. Istniało kilka piekieł dla kłamców. Istniało też prawdopodobnie piekło dla małych chłopców, którzy chcieli, żeby ich babcie umarły. Piekieł nie brakowało.

Definicja wieczności brzmiała: to obszar czasu stworzony przez Wielkiego Boga Oma, mający zagwarantować, że każdy otrzyma karę, na jaką zasłużył.

Omnianie mieli bardzo wiele piekieł. W tej chwili Brutha trafił do jednego z nich. Brat Nhumrod i brat Vorbis obserwowali, jak rzuca się i przewraca na pryczy niczym wyrzucony na brzeg wieloryb.

- To z powodu słońca - stwierdził Nhumrod, niemal spokojny po pierwszym szoku, gdy dowiedział się, że szuka go ekskwizytor. - Biedny chłopak cały dzień pracuje w ogrodzie. W końcu musiało się to zdarzyć.

- Próbowaleś go zbić? — spytał brat Vorbis.

- Przykro mi to mówić - westchnął Nhumrod - ale bicie młodego Bruthy przypomina chłostanie materaca. Mówi „aj”, ale tylko dlatego, podejrzewam, by wykazać dobre chęci. Ten chłopak jest pełen dobrych chęci. O nim właśnie ci opowiadałem, bracie.

- Nie wygląda na bardzo bystrego - zauważył Vorbis.

- Bo nie jest.

Vorbis z aprobatą pokiwał głową. Nadmierna inteligencja u nowicjusza to wątpliwe błogosławieństwo. Czasem można nią pokierować ku większej chwale Oma, ale często sprawia... no cóż, nie sprawia kłopotów, ponieważ Vorbis dokładnie wiedział, jak postępować z niewłaściwie wykorzystywaną inteligencją, ale zmusza do dodatkowej pracy.

- Mimo to wspominałeś, że nauczyciele bardzo go chwalą - przypomniał.

Nhumrod wzruszył ramionami.

- Jest bardzo posłuszny - wyjaśnił. - No i... chodzi o tę jego pamięć.

- Co z jego pamięcią?

- Ma jej bardzo dużo.

- Ma dobrą pamięć?

- Dobra to nie jest właściwe słowo. Ma wspaniałą pamięć. Doskonale pamięta cały Septa...

- Hm? - rzucił Vorbis.

Nhumrod pochwycił wzrok diakona.

- Tak doskonale, chciałem powiedzieć, jak to tylko możliwe w tym najbardziej niedoskonałym ze światów - wymamrotał.

- Pobożny i czytany młody człowiek - pochwalił Vorbis.
- Ehm... Nie. Nie umie czytać. Ani pisać.
- Aha. Zatem leniwy.

Diakon nie był człowiekiem, który lubił rozważać dziedziny nieokreślone. Nhumrod kilka razy otworzył i zamknął usta, szukając odpowiednich słów.

- Nie - rzekł w końcu. - On się stara. Na pewno się stara. Tylko jakoś nie może zrozumieć... Nie potrafi zgłębić związku pomiędzy dźwiękami a literami.
- Czy zbiłeś go przynajmniej za to?
- Jak się zdaje, nie odniosło to skutku, diakonie.
- W jaki sposób więc stał się takim zdolnym uczniem?
- On słucha - wyjaśnił Nhumrod.

Nikt tak nie słuchał jak Brutha, uświadomił sobie przewodnik nowicjuszy. Dlatego trudno było go uczyć. To jakby... jakby stanąć w wielkiej, ogromnej jaskini. Wszystkie słowa znikwały w niezapelnialnej głębi umysłu Bruthy. Czysta koncentracja pochłaniania mogła zmusić niedoświadczonych nauczycieli do milczenia, gdy każde wypowiedziane słowo odpływało natychmiast do uszu chłopca.

- Słucha wszystkiego - mówił dalej Nhumrod. - I na wszystko patrzy. Wszystko wchłania.

Vorbis patrzył na Bruthę z namysłem.

- Nigdy też nie słyszałem, by odezwał się niezyczliwie. Inni nowicjusze pokpiwają z niego. Nazywają go Wielkim Tępym Wołem. Znasz, bracie, takie zachowania...

Wzrok Vorbisa oceniał dłonie Bruthy, wielkie jak bochny, i nogi niczym pnie drzew. Ekskwizytor zastanawiał się nad czymś.

- Nie umie czytać ani pisać - powtórzył. - Ale wyjątkowo lojalny, powiadasz?
- Lojalny i pobożny - potwierdził Nhumrod.
- I ma dobrą pamięć - mruknął Vorbis.
- To coś więcej. To jakby nie była zwykła pamięć. Vorbis wyraźnie podjął decyzję.
- Przyślij go do mnie, kiedy dojdzie do siebie - polecił. Nhumrod wyglądał, jakby wpadł w panikę.
- Chcę z nim tylko porozmawiać - uspokoił go Vorbis. - Być może, znajdę dla niego jakieś użyteczne zajęcie.
- Tak, panie.
- Podejrzewam bowiem, że niezbadane są ścieżki Wielkiego Boga Oma.

Wysoko. Bezgłośnie, jeśli nie liczyć świstu wiatru między piórami.

Orzeł zawisł nieruchomo i spoglądał na maleńkie budynki Cytadeli w dole.

Gdzieś tam upadł i teraz orzeł nie mógł go znaleźć. Gdzieś na dole, na tej małej plamie zieleni.

Pszczół brzęczały w kwiatkach fasoli. A słońce świeciło na odwróconą skorupę Oma. Istnieje również piekło dla żółwi.

Był już zbyt zmęczony, by wymachiwać łapkami. A to wszystko, co mógł robić w tej chwili - machać łapkami. I wyciągać szyję jak najdalej w nadziei, że zdoła o coś zaczepić.

Bóg umierał, jeśli nie miał wiernych, i o to właśnie martwiły się zwykłe pomniejsze bóstwa. Ale umierał również, kiedy umierał.

W części umysłu nie zajętej myślami o upale wciąż czuł przerażenie i zdumienie Bruthy. Nie powinien tak chłopca potraktować. Oczywiście, że mu się nie przyglądał. Jaki bóg to robi? Kogo obchodzi, co robią ludzie? Ważne, żeby wierzyli. Om po prostu wydobył wspomnienie z umysłu chłopaka, żeby zrobić na nim wrażenie - jak iluzjonista, który wyciąga jajko z czyjegoś ucha.

Leżę na grzbiecie, jest coraz goręcej i niedługo... umrę...

A jednak...Jednak ten przeklęty orzeł upuścił go na pryzmę kompostu. Prawdziwy magik z tego orła. Cała Cytadela wzniesiona na skałach, w kamienistej okolicy, a Om wylądował na jedynym miejscu, które mogło zamortyzować upadek. W dodatku całkiem blisko wiernego.

Właściwie to dziwne. Całkiem jakby istniała jakaś boża opatrzność, tyle że to przecież on sam był bożą opatrznością... i leżał na grzbiecie, było coraz goręcej i szykował się, by umrzeć...

Ten człowiek, który go przewrócił. Ten wyraz na łagodnej twarzy. Zapamięta go dobrze. Wyraz nie okrucieństwa, ale jak gdyby innego poziomu istnienia. Wyraz strasznego spokoju...

Jakiś cień przesłonił słońce. Om zmrużył oko i zobaczył nad sobą twarz Lu-Tze, który przyglądał mu się z łagodnym, odwróconym do góry nogami współczuciem. A potem postawił go na łapkach, sięgnął po miotłę i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Om z trudem chwycił oddech. Poweselał.

Ktoś tam na górze mnie lubi, pomyślał. I to jestem Ja.

Sierżant Symonia odczekał, aż wróci do swojej kwatery. Dopiero wtedy rozwinął skrawek papieru. Wcale się nie zdziwił, kiedy zobaczył mały rysunek żółwia. Szczęście mu sprzyjało.

Przez całe życie czekał na taki moment. Ktoś musiał sprowadzić Tego, który napisał Prawdę. Tego, który stanie się symbolem ruchu. I to musiał być on, Symonia. Szkoda tylko, że nie może zabić Vorbisa.

Ale to musi się zdarzyć tam, gdzie ludzie będą widzieli. Pewnego dnia. U wrót Świątyni. Inaczej nikt nie uwierzy.

Om włókł się zapiaszczonym korytarzem. Po zniknięciu Bruthy łąził jeszcze chwilę po ogrodzie. To kolejna czynność, którą żółwie wykonują perfekcyjnie. Są praktycznie mistrzami świata w łażeniu.

Całkiem bezużyteczny chłopak, myślał. Dobrze mi tak, skoro próbowałem rozmawiać z przygłupim nowicjuszem.

Oczywiście, ten chudy staruch w ogóle go nie słyszał. Ani kucharz. No tak, ale stary był prawdopodobnie głuchy. A co do kucharza... Om zanotował w pamięci, by - kiedy odzyska już boską moc - na kucharza czekał szczególny los. Nie był jeszcze pewien, na czym dokładnie ten los będzie polegał, ale na pewno wystąpi w nim wrząca woda i gdzieś też pojawią się marchewki.

Przez chwilę rozkoszował się tą myślą, ale do niczego nie prowadziła. Wciąż znajdował się w nędznym ogrodzie, w postaci żółwia. Wiedział, jak się tu dostał — z tępą zgрозą zerkał w stronę maleńkiego punkcika na niebie, w którym oko duszy rozpoznawało orła. Powinien *znaleźć* jakieś bardziej doczesne rozwiązanie, jeśli nie chce następnego miesiąca spędzić w ukryciu pod liściem melona.

Coś jeszcze przyszło mu do głowy: nieźle sobie podjąć!

Kiedy odzyska moc, poświęci sporo czasu na projektowanie kilku nowych piekieł. I kilku świeżych Nakazów przy okazji. Nie Będziesz Spożywał Mięsa Żółwi. Brzmi niezłe... Dziwił się, że wcześniej o tym nie pomyślał. Perspektywa, ot co.

Gdyby kilka lat temu wpadł na coś w stylu: Dla Własnego Dobra Lepiej Podnosił Będziesz Żółwie w Nieszczęściu i Niósł Je Tam,

Gdzie Zechcą, Chyba że, To Ważne, Jesteś Orłem, nie znalazłby się dzisiaj w takiej sytuacji.

Nie ma co czekać. Musi sam znaleźć cenobiarchę. Ktoś taki jak najwyższy kapłan z pewnością go przecież usłyszy.

Na pewno przebywa gdzieś blisko. Najwyżsi kapłani zwykle tkwią na miejscu. Łatwo będzie go odszukać. A chociaż chwilowo Om był żółwiem, przecież wciąż był bogiem. To przecież nie może być trudne.

Trzeba iść w górę. Na tym polega hierarcia. Ludzi stojących na szczycie odnajduje się, podążając do góry.

Kołysząc lekko skorupą, były Wielki Bóg Om wyruszył, by zbadać Cytadelę, wzniesioną ku Jego większej chwale.

Nie mógł nie zauważyć, że wiele się zmieniło przez trzy tysiące lat.

- Ja? - wystraszył się Brutha. - Ale... Ale...

- Nie sądzę, żeby chciał cię ukarać - uspokoił go Nhumrod. — Chociaż na karę zasługujesz, oczywiście. Wszyscy zasługujemy — dodał pobożnie.

- Ale dlaczego?

- ...dlaczego? Powiedział, że chce tylko z tobą porozmawiać.

- Przecież nie mogę powiedzieć absolutnie niczego, co kwizy-tor chciałby usłyszeć! - jęczał Brutha.

- ...usłyszeć. Jestem przekonany, że nie zamierzasz kwestionować życzeń diakona.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. Brutha zwiesił głowę.

- Dobry chłopak - pochwalił go Nhumrod. Poklepał Bruthę po plecach tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć. -A teraz biegnij. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. - A że i jego wychowano w uczciwości, dodał jeszcze: - Prawdopodobnie dobrze.

Liczne procesje, istotne w złożonych rytuałach Wielkiego Oma, wymagały łagodnych, długich pochylni, więc w Cytadeli niewiele było schodów. Te nieliczne, które zbudowano, były dość niskie, by nie przeszkadzać starcom w stawianiu chwiejnych kroków. W Cytadeli żyło bardzo wielu starców.

Wiatr bez przerwy nawiewał piasek z pustyni. Na schodach i na dziedzińcach tworzyły się wydmy, niezależnie od tego, czego potrafiła dokonać armia uzbrojonych w miotły nowicjuszy.

Ale żółw ma bardzo niesprawne łapki.

- Będziesz Budował Niższe Stopnie - syknął, podciągając się w górę.

Czyjeś stopy przebiegły obok, o kilka cali od niego. Korytarz był jedną z głównych arterii Cytadeli, prowadzącą do Placu Żalów. Codziennie przechodziły tędy tysiące pielgrzymów.

- Niech twoje stopy odpadną od ciała i będą pochowane pod kopcem termitów!
- wrzasnął.

Od razu poczuł się trochę lepiej.

Stopa następnego pielgrzyma kopnęła go i pchnęła po kamieniach. Wylądował z brzękiem na wygiętej metalowej kratce umieszczonej nisko w bocznej ścianie. Tylko błyskawiczny chwyt szczęk uratował go przed prześlizgnięciem się na drugą stronę. W rezultacie zawisł nad piwnicą.

Żółw posiada niewiarygodnie potężne mięśnie szczęk. Om za-kołysał się, machając w powietrzu łapkami. W porządku... Żółwie w pociętym rozpadlinami, kamienistym terenie są do tego przyzwyczajone. Wystarczy teraz zaczepić łapką o kratę...

Jego uwagę zwróciły jakieś ciche odgłosy. Usłyszał brzęk metalu, a potem bardzo cichy jęk.

Om przesunął jedyne oko.

Krata tkwiła wysoko w ścianie bardzo długiego, niskiego pomieszczenia. Światło wpadało tu przez liczne szyby oświetleniowe, jakich mnóstwo przecinało mury Cytadeli.

Vorbis uważał, że to bardzo ważne. Inkwizytorzy nie powinni pracować w mroku, twierdził, ale w pełnym blasku.

Żeby dokładnie widzieli, co robią.

Om też widział.

Przez dłuższy czas zwiślał z kraty, niezdolny oderwać wzroku od rzędu ław.

Generalnie Vorbis nie popierał używania rozgrzanych do czerwoności szczypiec, łańcuchów z kolcami ani urządzeń z wiertłami i wielkimi śrubami - chyba że na publicznych pokazach podczas

ważnych postów. Zadziwiające, zawsze powtarzał, czego można dokonać zwykłym nożem...

Ale wielu inkwizytorów wołało stare metody.

Po chwili Om bardzo powoli podciągnął się do kraty; drżały mu mięśnie szyi. Jak stworzenie myślące o czymś innym, zaczepił o pręt najpierw jedną przednią łapką, potem drugą. Tyłne przez moment wisiały w powietrzu, ale zaraz sięgnął pazurkiem do szorstkiego muru.

Naprężył mięśnie i wydobył się do światła.

Odszedł wolno, trzymając się blisko ściany, by unikać stóp pielgrzymów. Co prawda i tak musiał chodzić powoli, ale teraz szedł powoli, ponieważ myślał. Większości bogów równoczesne chodzenie i myślenie sprawia poważne kłopoty.

Każdy mógł wejść na Plac Żalów. Była to jedna z największych swobód omniańskich.

Wiele istniało sposobów przekazywania prośb Wielkiemu Bogu Omowi, ale zależały głównie od tego, na co wierny mógł sobie pozwolić - co jest słuszne, właściwe i dokładnie takie, jak powinno. Przecież ci, którzy osiągnęli sukces na tym świecie, w oczywisty sposób dokonali tego przy aprobach Wielkiego Boga; nie można bowiem wierzyć, że dokonali tego przy Jego dezaprobach. Na tej samej zasadzie Kwizycja mogła działać bez żadnych pomyłek. Podejrzanie było dowodem. Czy istniała inna możliwość? Wielki Bóg nie uznałby za stosowne wzbudzać podejrzeń w umysłach swych inkwizytorów, gdyby nie powinny się tam słusznie pojawić. Dla kogoś, kto wierzył w Wielkiego Boga Oma, życie było naprawdę całkiem proste. A czasami także bardzo krótkie.

Zawsze jednak zdarzali się nierozważni, niemądrzy i tacy, których - z powodu jakiegoś błędu czy niedopatrzenia w tym lub przeszłym życiu - nie było stać nawet na szczyptę kadzidła. Ale Wielki Bóg w swej mądrości i miłosierdziu, spływających na

Jego kapłanów, takim ludziom także stworzył możliwość.

Modlitwy i błagania można było wznosić na Placu Żalów. Z pewnością były wysłuchiwane. Może nawet spełniane.

Tuż za placem, który był kwadratem o boku ponad stu sążni, wyrastała Wielka Świątynia.

Tam, bez cienia wątpliwości, Bóg słuchał.

A w każdym razie gdzieś w pobliżu...

Codziennie na Placu Żalów zjawiały się tysiące pielgrzymów.

Pięta jednego z nich trąciła Oma tak mocno, że aż odbił się od muru. I natychmiast ktoś uderzył go kulą i pchnął w tłum, wirującego na krawędzi skorupy niczym moneta. Wyhamował na postaniu starej kobiety, która - jak wielu innych - uważała, że skuteczność jej modlitw będzie tym większa, im więcej czasu spędzi na Placu Żalów.

Bóg zamrugnął oszołomiony. To było prawie tak fatalne jak orły. Prawie tak jak piwnica... Nie, chyba nic nie było tak złe jak piwnica...

Pochwycił kilka słów, zanim kolejna stopa odkopnęła go dalej od staruszki.

- Susza dręczy naszą wioskę od trzech lat... Odrobinę deszczu, Panie!

Wirując na czubku skorupy, zastanowił się, czy właściwa odpowiedź nie skłoni ludzi, by przestali go kopać.

- Żaden problem - wymamrotał.

I znowu czyjaś stopa posłała go, niedostrzeżonego przez wyznawców, pomiędzy las nóg. Świat zmienił się w rozmazane plamy.

- Panie, dlaczego mój syn musi trafić do Boskiego Legionu? - dosłyszał starczy głos przesiąknięty brakiem nadziei. - Kto teraz zadba o gospodarstwo? Czy nie możesz wziąć jakiegoś innego chłopaka?

- Nie martw się o to - pisał Om.

Sandał uderzył go pod ogon i przerzucił o kilka łokci po bruku. Nikt nie patrzył pod nogi. Uważano powszechnie, że wpatrywanie się w złote rogi na dachu świątyni dodaje modlitwom mocy. Gdy ktoś niejasno rejestrował obecność żółwia - w formie uderzenia w kostkę — szybko pozbywał się problemu odruchowym pchnięciem drugą nogą.

- ...moja żona, chora na...

- Zgoda! Kop...

- ...oczyszczyć studnię w naszej wsi, zbrukaną...

- Załatwione!

Kop...

- ...co roku nadlatuje szarańcza i...

- Obiecuję, tylko... Kop...

- ...pięć miesięcy temu zaginął na morzu...

- ...przestańcie mnie kopać!

Żółw wyładował na chwilowo pustym kawałku bruku.

Widoczny...

Znaczna część zwierzęcego życia opiera się na rozpoznawaniu wzorców, kształtu łowcy i ofiary. Dla oka przypadkowego obserwatora las to... no, po prostu las; w oku gołębia to szerokie, rozmazane zielone tło dla jastrzębia, którego człowiek nie zauważa na gałęzi. Dla małego punkciku sokoła na wysokości cała panorama świata to tylko mgła w porównaniu z biegnącym wśród traw łupem.

Ze swego stanowiska na samych rogach orzeł wystartował do lotu.

Na szczęście ta sama umiejętność rozpoznawania kształtów, która uczyniła żółwia tak wyraźnie widocznym na placu pełnym ludzi, skłoniła go, by w przerażeniu

skierować swe jedyne oko ku górze.

Orły to bardzo proste stworzenia. Kiedy już myśl o obiedzie zagnieździ się w ich mózgu, zwykle pozostaje tam, dopóki nie zostanie zrealizowana.

Przed kwaterą Vorbisa stało dwóch boskich legionistów. Patrzeli z ukosa na Bruthę stukającego nieśmiało do drzwi, jakby szukali powodu, by go zaczepić. Niski siwy kapłan otworzył i wprowadził Bruthę do niedużej, skromnie umeblowanej celi. Znacząco wskazał mu stół.

Brutha usiadł. Kapłan zniknął za kotarą. Brutha rozejrzał się po celi i...

Ogarnęła go ciemność. Zanim zdążył się ruszyć - a jego reakcje nawet w najlepszych chwilach trudno by uznać za skoordynowane - usłyszał jakiś głos tuż przy uchu.

- Spokojnie, bracie, nie panikuj. Rozkazuję ci nie panikować. Miał na głowie worek.

- Tylko kiwnij głową, chłopcze.

Brutha kiwnął głową. Zakładali ci worek na głowę. Wszyscy nowicjusze o tym wiedzieli. Opowiadali sobie w sypialniach różne historie. Wkładają ci worek na głowę, żeby inkwizytorzy nie wiedzieli, nad kim pracują...

- Dobrze. A teraz przejdziemy do drugiego pokoju. Idź ostrożnie.

Jakieś ręce podniosły go i poprowadziły. Przez opary niezrozumienia wyczuł dotyk kotary, potem zszedł po kilku stopniach do pomieszczenia z piaskiem na podłodze. Ręce obróciły go kilka razy, stanowczo, ale bez złej woli, po czym pociągnęły wzdłuż korytarza. Zaszeleściła następna kotara i objęło go nieokreślone wrażenie większej przestrzeni.

Później, o wiele później Brutha uświadomił sobie, że wcale nie czuł grozy. Zarzucili mu worek na głowę w celi przywódcy Kwizycji, ale nie przyszło mu na myśl, że powinien się bać. Ponieważ miał wiarę.

- Za tobą jest stół, Brutho. Usiądź. Brutha usiadł.

- Możesz zdjąć worek.

Brutha zdjął worek.

Zamrugął.

Trzy osoby siedziały na końcu pomieszczenia między parą boskich legionistów. Brutha rozpoznał drapieżną twarz diakona Vorbisa; dwaj pozostali to niski, krępy mężczyzna i drugi, bardzo gruby. Nie potężnie zbudowany, jak sam Brutha, ale prawdziwa beczka tłuszczu. Cała trójka miała na sobie proste szare szaty.

Nie zauważył żadnych rozpalonych obcęarów ani nawet skalpeli.

Wszyscy trzej przyglądali mu się z uwagą.

- Nowicjusz Brutha? - spytał Vorbis.

Brutha skinął głową.

Vorbis zaśmiał się krótko, jak często czynią ludzie bardzo inteligentni, którym przyjdzie do głowy jakaś myśl, prawdopodobnie niezbyt zabawna.

- I oczywiście pewnego dnia będziemy musieli cię nazywać bratem Brutha - powiedział. - A może nawet ojcem Brutha? Bardzo zagmatwane, moim zdaniem. Lepiej uniknąć tego zamieszania. Myślę, że trzeba będzie zadbać, byś jak najszybciej został subdiakonem Brutha. Co o tym sądzisz?

Brutha nic o tym nie sądził. Niejasno zdawał sobie sprawę, że mowa o jego awansie, ale umysł miał całkiem pusty.

- Zresztą dość już o tym - zamknął sprawę Vorbis. Mówił lekko rozdrażnionym

tonem człowieka, który jest świadom, że w tej rozmowie będzie musiał się napracować. - Czy poznajesz uczonych ojców siedzących obok mnie?

Brutha pokręcił głową.

- To dobrze. Mają do ciebie kilka pytań.

Brutha kiwnął głową.

Bardzo gruby kapłan pochylił się z irytacją.

- Czy masz język, chłopcze?

Brutha kiwnął głową. A potem, czując, że to może nie wystarczy, wysunął go na dowód.

Vorbis uspokajająco położył grubemu kapłanowi dłoń na ramieniu.

- Myślę, że nasz młody przyjaciel jest nieco oszołomiony - rzekł łagodnie. Uśmiechnął się. - Posłuchaj mnie, Brutho... Proszę, schowaj język... Zadam ci teraz pytanie. Rozumiesz mnie?

Brutha kiwnął głową.

- Kiedy wszedłeś do mojej kwatery, przez kilka sekund czekałeś w przedpokoju. Opisz mi go, proszę.

Brutha wytrzeszczył na niego oczy. Ale turbiny wspomnień zakręciły się bez udziału woli, przelewając słowa do świadomości.

- To pokój o boku mniej więcej sześciu łokci. Białe ściany. Podłoga przysypana piaskiem z wyjątkiem kąta przy drzwiach, gdzie widać posadzkę. W przeciwległej ścianie jest okno, mniej więcej sześcian od podłogi. W oknie trzy pręty. Pośrodku stół na trzech nogach. Święty obraz proroka Ossory'ego, wyrzeźbiony z akacjowego drewna i oprawiony w srebrne liście. W dolnym lewym rogu ramki jest zadrapanie. Pod oknem wisi półka. Na półce leży tylko taca.

Vorbis splótł palce tuż przed swym nosem.

- Na tacy? - rzucił.

- Słucham, panie?

- Co było na tacy, synu?

Obrazy zawirowały przed oczyma Bruthy.

- Na tacy leży naparstek. Z brązu. I dwie igły. Na tacy leży kawałek sznura. Na sznurze są węzły. Trzy węzły. Na tacy leży dziewięć monet. Na tacy stoi srebrny kubek ozdobiony deseniem akacjowych liści. Leży długi sztylet, chyba stalowy, ma czarną rękojeść z siedmioma karbami. Na tacy leży kawałek czarnego materiału. I jeszcze rysik i tabliczka...

- Opowiedz mi o monetach — przerwał mu Vorbis.

- Trzy z nich to centy z Cytadeli. Na dwóch był znak rogów, na trzeciej korona o siedmiu pałkach. Cztery monety bardzo małe i złote. Były na nich litery, które... których nie umiałem przeczytać, ale gdybym dostał rysik, mógłbym chyba...

- Czy to jakaś sztuczka? - spytał gruby kapłan.

- Zapewniam cię - rzekł Vorbis - że chłopiec mógł oglądać pokój nie dłużej niż sekundę. Brutho, powiedz nam o innych monetach.

- Pozostałe monety były duże. I z brązu. To były efebjańskie derechmi.

- Skąd to wiesz? Rzadko sieje spotyka w Cytadeli.

- Widziałem je kiedyś, panie.

- Kiedy to było?

Brutha aż się skrzywił z wysiłku.

- Nie jestem pewien... - zaczął.

Gruby kapłan spojrzał tryumfująco na Vorbisa.

- Aha - rzekł.

- Myślę - mówił dalej Brutha - że to było po południu. Ale może rankiem. Mniej

więcej w środku dnia. Trzeciego grune'a w roku Zdumionego Żuka. Do naszej wsi przyjechali kupcy.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Niecały miesiąc brakowało mi do trzech, panie.

- Nie wierzę - stwierdził gruby kapłan.

Brutha raz czy dwa otworzył i zamknął usta. Skąd ten grubas może wiedzieć? Przecież go tam nie było!

- Możesz się mylić, synu - powiedział Vorbis. - Jesteś już dużym chłopcem, masz lat... siedemnaście, osiemnaście? Wydaje się nam, że nie mógłbyś sobie przypomnieć obcych monet widzianych przypadkiem piętnaście lat temu.

- Uważamy, że wszystko to zmyślasz - dodał grubas. Brutha nie odpowiedział.

Po co miałby cokolwiek zmyślać, skoro tkwiło to spokojnie w jego głowie?

- Czy pamiętasz wszystko, co się z tobą działo? - zapytał krępy mężczyzna, który w czasie całej rozmowy uważnie obserwował Bruthę. Chłopiec był zadowolony ze zmiany tematu.

- Nie, panie. Większość rzeczy.

- Zapominasz o niektórych?

- Ehm... Są pewne rzeczy, których nie pamiętam. — Brutha słyszał o zapomnieniu, chociaż trudno mu było sobie wyobrazić coś podobnego. Ale były takie okresy w jego życiu, zwłaszcza w pierwszych kilku latach życia, z których nie pozostało nic. Nie był to zanik pamięci, ale jakby wielkie, zamknięte pokoje w rezydencji jego wspomnień. Nie zapomniane, tak jak zamknięty pokój nie przestaje istnieć, ale... zablokowane.

- Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie, synu? - spytał Vorbis.

- Zapłonęło jasne światło, a potem ktoś mnie uderzył.

Trzej mężczyźni patrzyli na niego bez wyrazu. Potem zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Brutha, poprzez swe oszołomienie i lęk, słyszał urywki zdań.

- ...mamy do stracenia?

- Głupota, w dodatku to pewnie demoniczne...

- Stawka jest wysoka...

- Jedna szansa, potem będą się nas spodziewać...

I tak dalej.

Rozejrzał się po pokoju.

Umeblowanie nie miało w Cytadeli najwyższych priorytetów. Półki, krzesła, stoły... Wśród nowicjuszy krążyły plotki, że kapłani ze szczytów hierarchii mają meble ze złota, ale tutaj nie zauważył ani jednego. Pokój urządzone był surowo - jak większość w kwaterach nowicjuszy, choć tutaj surowość wydawała się jakby bogatsza: nie wymuszona przez nędzę pustka, lecz nagość zaplanowana.

- Synu...

Brutha natychmiast się wyprostował.

Vorbis zerknął na sąsiadów. Krępy mężczyzna skinął głową. Grubas wzruszył ramionami.

- Brutho — rzekł Vorbis — wrócisz teraz do swojej sypialni. Zanim odejdiesz, ktoś ze służących da ci coś do jedzenia i picia. Jutro o świcie zameldujesz się pod Bramą Rogów, skąd wyruszysz ze mną do Efebu. Słyszałeś o poselstwie do Efebu?

Brutha pokręcił głową.

- Może nie było powodów, byś słyszał. Mamy omówić z tyranem kwestie polityczne. Rozumiesz? Brutha pokręcił głową.

- Dobrze - pochwalił go Vorbis. - Bardzo dobrze. Aha, jeszcze coś. Brutho...

- Tak, panie?

- Zapomnisz o tej rozmowie. Nigdy nie byłeś w tym pokoju. Nie widziałeś nas tutaj.

Brutha rozdziawił usta. To przecież nonsens. Nie można zapomnieć o czymś tak na życzenie. Niektóre rzeczy same się zapominały - rzeczy w tych zamkniętych pokojach - ale to z powodu jakiegoś mechanizmu, którego nie rozumiał. O co chodziło Vorbisowi?

- Tak, panie - rzekł.

Wydawało się to najprostszym rozwiązaniem.

Bóstwa nie mają się do kogo modlić. Wielki Bóg Om pędził w stronę najbliższego posągu. Wyciągnął szyję i przebierał krótkimi łapkami. Zbiegiem okoliczności posąg przedstawiał jego samego jako byka depreczającego niewiernych, jednak nie dawało mu to wielkiej pociechy.

Było tylko kwestią czasu, kiedy orzeł przestanie krążyć i zanurkuje.

Om był żółwiem zaledwie trzy lata, ale wraz z postacią odziedziczył także cały pakiet instynktów. Wiele z nich dotyczyło absolutnego przerażenia przed jedynym dzikim stworzeniem, które odkryło, jak jeść żółwie.

Bóstwa nie mają do kogo się modlić.

Om naprawdę by wołał, żeby było inaczej.

Ale każdy kogoś potrzebuje.

- Brutha!

Brutha nie bardzo wiedział, jak powinna wyglądać jego najbliższa przyszłość. Diakon Vorbis najwyraźniej zwolnił go z wszelkich obowiązków nowicjusza, ale przecież i tak

nie miał co robić przez resztę popołudnia.

Coś go ciągnęło do ogrodu. Fasola czekała na podwiązanie

i Brutha cieszył się z tego. Z fasolą człowiek wiedział, na czym stoi.

Fasola nie nakazywała żadnych niemożliwych do wykonania czynności, takich jak zapomnianie. Poza tym, jeśli Brutha miał wyjechać na dłużej, powinien też okopać melony i wyjaśnić wszystko Lu-Tze.

Lu-Tze był nieodłącznym elementem ogrodu.

Każda organizacja ma kogoś takiego. Kogoś, kto spaceruje z miotłą po pustych korytarzach albo wędruje między półkami w głębi magazynów (wtedy jest jedyną osobą, która wie, gdzie co leży), albo też ma jakieś niejasne, ale bliskie stosunki z kotłownią. Wszyscy wiedzą, kim jest ta osoba, i nikt nie pamięta czasów, kiedy jej nie było, ani nie ma pojęcia, gdzie się podziewa, kiedy jej nie ma... no, tam gdzie zwykle przebywa. Tylko od czasu do czasu ludzie bardziej spostrzegawczy od całej reszty, co pozornie wydaje się niezbyt trudne, przystają i zastanawiają się nad tym przez chwilę... a potem zajmują się czymś innym.

Dziwne, ale mimo swych powolnych wędrówek od ogrodu do ogrodu w całej Cytadeli Lu-Tze nigdy nie przejawiał zainteresowania samymi roślinami. Pracował przy glebie, nawozie, gnoju i kompoście, mule i piasku oraz metodach przemieszczania ich z miejsca na miejsce. Na ogół machał miotłą albo odwracał pryzmę, a gdy tylko ktoś rzucił gdzieś nasiona, natychmiast przestawał się nimi interesować.

Kiedy pojawił się Brutha, Lu-Tze grabił alejki. Grabienie alejek wychodziło mu znakomicie. Pozostawiał deseń muszli i łagodne, uspokajające fale. Brutha zawsze

czuł się niepewnie, kiedy po nich chodził.

Rzadko odzywał się do Lu-Tze, ponieważ nie było istotne, co ktokolwiek do niego mówił. Starzec i tak tylko kiwał głową i uśmiechał się, pokazując jedyny ząb.

- Wyjeżdżam na jakiś czas - oznajmił Bruth głośno i wyraźnie. - Przypuszczam, że przyślą kogoś, kto zajmie się ogrodem, ale pewne rzeczy trzeba zrobić...

Kiwnięcie, uśmiech. Starzec cierpliwie szedł za chłopcem między grządkami i słuchał o fasoli i ziołach.

- Zrozumiałeś? - upewnił się Brutha po dziesięciu minutach wykładu.

Kiwnięcie, uśmiech. Kiwnięcie, uśmiech, skinienie ręki.

-Co?

Kiwnięcie, uśmiech, skinienie. Kiwnięcie, uśmiech... skinienie... uśmiech.

Lu-Tze przeszedł drobnym krokiem na koniec ogrodu, gdzie pod murem stały przyzmy kompostu, stosy donic i wszelkie inne ogrodowe kosmetyki. Brutha podejrzewał, że starzec tam sypia.

Kiwnięcie, uśmiech, skinienie.

W słońcu, obok pęku tyczek do fasoli, na drewnianych kozłach leżał blat. Rzucono na niego słomianą matę, a na niej stało pół tuzina stożkowatych kamieni, nie przekraczających stopy wysokości.

Wokół nich skonstruowano precyzyjny system patyczków. Cienkie skrawki drewna ocieniały kawałki kamieni, metalowe lusterka odbijały promienie słońca na inne kawałki, papierowe lejki ustawione pod dziwnymi kątami miały chyba kierować podmuchy wiatru w precyzyjnie dobrane punkty.

Brutha nigdy nie słyszał o sztuce bonsai ani o tym, jak można ją stosować do gór.

- Są... bardzo ładne - stwierdził niepewnie. Kiwnięcie, uśmiech, wybranie niewielkiego kamienia, uśmiech, podanie, prośba.

- Nie, naprawdę nie mogę wziąć...

Wręczenie, prośba. Szeroki uśmiech, kiwnięcie głowy.

Brutha wziął do ręki małą górę. Wyczuwał w niej dziwny, nierzeczywisty ciężar - dla jego dłoni ważyła może funt, ale w jego umyśle waga sięgała tysięcy bardzo, ale to bardzo małych ton.

- Tego... Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Kiwnięcie, uśmiech, grzeczne odepchnięcie.

-Jest bardzo... górską. Kiwnięcie, szeroki uśmiech.

- To przecież nie może być prawdziwy śnieg na szczycie, praw...

Brutha!

Potrząsnął głową. Ale głos dobiegał z jej wnętrza.

No nie, pomyślał żałośnie.

Wcisnął małą górę w dłoń Lu-Tze.

- Ale, no... przechowasz ją dla mnie, dobrze? *Brutha!*

Wszystko to było snem, prawda? Zanim stałem się ważny i rozmawiałem z diakonami. *Nie, nie było! Ratuj!*

Błagalnicy rozbiegli się, gdy orzeł przefrunął nisko ponad Placem Żalów. Zakręcił ledwie kilka stóp nad ziemią i wylądował na posągu Wielkiego Oma Tratującego Niewiernych. Był to ptak wspaniały, złocistobrązowy i żółtooki. Spoglądał na tłum z wyniosłą pogardą.

- Czy to znak? - zapytał starzec z drewnianą nogą.

- Tak! To znak! - potwierdziła stojąca obok kobieta.

- Znak!

Ludzie ruszyli do posągu.

- To drań - odezwał się cichy i nieusłyszany głos gdzieś spomiędzy ich stóp.

- Ale czego znak? - spytał starszy mężczyzna, który od trzech dni obozował na placu.

- Co to znaczy: czego? - zdziwił się starzec z drewnianą nogą. - To znak! Nie musi być znakiem czegośkolwiek. To bardzo podejrzane, tak pytać, czego to znak.

- Musi być czegoś znakiem - upierał się starszy mężczyzna. - To przecież wynika z odniesienia. Odsłownego. To jest jakmutam od-słowny.

Chuda figura pojawiła się na obrzeżu tłumu. Poruszała się ukradkowo, ale z zadziwiającą szybkością. Miała na sobie djelibę, jak plemiona pustynne, ale na szyi zawiesiła na pasku tacę. Taca niosła złowieszczą sugestię rzeczy lepkich, słodkich i pokrytych kurzem.

- Może to posłaniec samego Wielkiego Boga? - zastanowiła się kobieta.

- To tylko przeklęty orzeł, nic więcej - oświadczył zrezygnowany głos, wydobywający się spomiędzy ozdobnej spiżowej rzezi u podstawy posągu.

- Daktyle! Figi! Sorbety! Święte relikwie! Świeże odpusty! Jaszczurki! Na patyku! - wołał z nadzieją człowiek z tacą na szyi.

- Myślałem, że kiedy On pojawia się na świecie, to jako łabędź albo byk - stwierdził starzec z drewnianą nogą.

- Ha! - zabrzmiał niesłyszany przez nikogo głos żółwia.

- Zawsze mnie to dziwiło - stwierdził młody nowicjusz z tylnych szeregów. - No wiecie... znaczy... łabędzie? Trochę tego... brakuje im męskości, nie?

- Będziesz ukamienowany za bluźnierstwo! - krzyknęła różgórączkowana kobieta. - Wielki Bóg słyszy każde słowo, jakie wymawiasz bez szacunku!

- Ha! - zabrzmiało spod posągu.

Człowiek z tacą przecisnął się sprawnie trochę bliżej.

- Klatchiańskie rachatlukum! Szerszenie w miodzie! Bierzcie, póki zimne!

- Ale coś jest na rzeczy - mówił starszy mężczyzna głosem nużącym, lecz niepowstrzymanym. - Znaczy, jest w orle coś boskiego, prawda? Król ptaków, mam rację?

- To tylko trochę ładniejszy indyk! - odezwał się głos spod posągu. - Mózg wielkości orzecha.

- Bardzo szlachetny ptak, taki orzeł. I mądry - ciągnął starszy mężczyzna. - Ciekawostka: orły to jedyne ptaki, które odkryły, jak jeść żółwie. Wiecie? Chwytają je, wlatują bardzo wysoko, a potem rzucają na skały. Skorupa pęka na kawałki. Zadziwiające.

- Pewnego dnia - burknął ponury głos znad ziemi - wrócę do formy, a ty będziesz bardzo żałował, że coś takiego powiedziałeś. Bardzo długo będziesz żałował. Może nawet stworzę więcej Czasu, żebyś miał kiedy żałować. Albo... nie, zmienię cię w żółwia. Zobaczymy, czy ci się spodoba. Ten świst wiatru wokół skorupy, ten grunt rosnący z każdą chwilą... Tak, to będzie ciekawe.

- Okropne - stwierdziła kobieta spoglądając na orła. - Ciekawe, o czym myśli biedne stworzonko, kiedy spada.

- O swojej skorupie, droga pani - wyjaśnił Wielki Bóg Om, próbując wcisnąć się jeszcze głębiej pod spiżowy występ. Człowiek z tacą wydawał się przygnębiony.

- Wiecie co! - zawołał. - Dwie torebki słodzonych daktyli za cenę jednej! Co wy na to? To jakbym sobie rękę odrąbywał. Kobieta zerknęła na tacę.

- Faj... Muchy wszystko obsiadły! - zauważyła.

- To rodzynki, proszę pani.

- W takim razie dlaczego odleciały?

Człowiek sprawdził. Po czym spojrzał jej prosto w oczy.

- Cud! - krzyknął, dramatycznie wymachując rękami. - Nadchodzi czas cudów!

Orzeł przesunął się niespokojnie.

Rozpoznawał ludzi wyłącznie jako ruchome elementy krajobrazu, które w sezonie wypasu owiec w górach łączyły się jakoś z rzucanymi kamieniami, kiedy pikował, by porwać nowo narodzone jagnię. Poza tym jednak w schemacie świata były równie nieistotne jak kamienie i krzaki. Nigdy jednak nie znalazł się w pobliżu tak wielkiej ich liczby. Wściekłe oczka niepewnie badały tłum.

W tej właśnie chwili na placu zagrzmiwały trąby.

Orzeł rozejrzał się nerwowo. Małeńki mózdek drapieżcy usiłował poradzić sobie z nadmiarem bodźców.

Wreszcie ptak skoczył. Wierni rozstąpili się gwałtownie, schodząc mu z drogi, gdy opadł tuż nad kamienie bruku, po czym wzniósł się majestatycznie ku wieżom Wielkiej Świątyni i gorącemu niebu.

W dole skrzydła wrót Świątyni, każde odlane z czterdziestu ton złoczonego brązu, poruszane (jak mówiono) oddechem samego Wielkiego Boga, rozwarły się ociężale i - to właśnie było cudowne - bezgłośnie.

Wielkie sandały Bruthy stuknęły głośno o kamienie. Brutha zawsze wkładał w bieg sporo wysiłku: przebierał nogami od kolan, a golenie machały niczym koła łopatkowe.

Za dużo na niego spadło. Ten żółw, który twierdził, że jest Bogiem... A to przecież nie mogło być prawdą, tyle że musiało być prawdą, skoro wiedział to wszystko. Sam Brutha stanął przed sądem Kwizycji. Albo czymś w tym rodzaju. W każdym razie okazało się to mniej bolesne, niż się spodziewał.

Brutha!

Na placu, szumiącym zwykle szeptem tysiąca modlitw, teraz panowała cisza. Wszyscy pielgrzymi spoglądali ku Świątyni.

Czując w głowie wir zdarzeń tego dnia, Brutha przeciskał się przez milczący nagle tłum...

Brutha!

Ludzie mają tłumiki rzeczywistości.

Powszechnie wiadomo, że dziewięć dziesiątych mózgu nie jest wykorzystywane. Jak większość powszechnie znanych faktów, i ten nie jest prawdziwy. Nawet najgłupszy Stwórca nie zadałby sobie trudu, by wkładać do ludzkiej głowy parę funtów zbędnej szarej mazi, gdyby jej jedynym zastosowaniem było - na przykład - służyć jako smakołyk pewnym dalekim szczepom zamieszkującym niezbadane doliny. Ta część mózgu oczywiście jest wykorzystywana. A jedną z jej funkcji jest sprawiać, by cudowne wydawało się normalne, a niezwykle zmieniało się w zwyczajne.

Ponieważ gdyby tak się nie działo, istoty ludzkie, wobec codziennej przedziwności wszystkiego, chodziłyby dookoła z głupawymi uśmiechami - jak te na twarzach pewnych dalekich szczepów, które od czasu do czasu przeżywają kontrolę władz, a inspektorzy dokładnie sprawdzają zawartość ich foliowych cieplarni. Istoty ludzkie często mówiłyby „Ojej!”. I nikt by właściwie nie pracował.

Bogowie nie lubią ludzi, którzy nie pracują. Ludzie, którzy nie są przez cały

czas zajęci, mogliby zacząć myśleć.

Część mózgu istnieje jedynie po to, by do tego nie dopuścić. Jest bardzo sprawna. Potrafi skłonić człowieka, by doświadczał nudy w otoczeniu cudów. A mózg Bruthy pracował teraz gorączkowo.

Dlatego Brutha nie od razu spostrzegł, że przecisnął się przez pierwszy szereg pielgrzymów i wbiegł na środek wolnego pasa. Dopiero kiedy się obejrzał, zobaczył procesję. Cenobiarcha powracał do swych apartamentów, po odprawieniu - a przynajmniej po sennym kiwaniu głową, kiedy odprawiał je kapelan - wieczornego nabożeństwa.

Brutha rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Potem usłyszał gdzieś obok chrząknięcie i wtedy spojrzał prosto na wściekłe oblicza kilku niższych iamów, a między nimi zdziwione i geriatrycznie dobroduszne oblicze samego cenobiarchy.

Starzec odruchowo podniósł dłoń, by pobłogosławić Bruthę znakiem świętych rogów. Następnie dwóch przedstawicieli Boskiego Legionu uniosło nowicjusza - po drugiej próbie - za łokcie, szybko odsunęło z drogi procesji i cisnęło w tłum.

Brutha!

Brutha przeskoczył po bruku do posągu i zdyszany oparł się o niego.

- Pójdę do piekła! - wymamrotał. - Na całą wieczność!

Kogo to obchodzi ? Wyjmij mnie stąd!

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy patrzyli na procesję, gdyż nawet oglądanie procesji było uczynkiem nabożnym. Brutha przyklęknął i zajrzał między spiżowe ornamenty u stóp posągu.

Jedno paciorkowate oko rzuciło mu gniewne spojrzenie.

- Jak się dostałeś pod spód?

- W pośpiechu - odparł żółw. - Mówię ci, kiedy wrócę do formy, nastąpi istotna rekonstrukcja orłów.

- A co ten orzeł chciał z tobą zrobić?

- Chciał mnie zanieść do gniazda i zaprosić na kolację - burknął żółw. - Jak ci się wydaje, czego mógł chcieć?

Zamilkł na krótką chwilę, w czasie której ocenił daremność stosowania sarkazmu w obecności Bruthy; to tak jakby obrzucać mury zamku bezami.

- Chciał mnie zjeść - wyjaśnił spokojnie.

- Przecież jesteś żółwiem!

- Jestem twoim Bogiem!

- Ale obecnie w postaci żółwia. Znaczący, że skorupą.

- Orłom skorupa nie przeszkadza — odparł ponuro żółw. - Podnoszą cię w górę, niosą na paręset stóp, a potem... zrzucają.

- Urgh...

- Nie. To raczej... trzask... i ciap. Myślisz, że skąd się tutaj wziąłem?

- Zostałeś zrzucony? Przecież...

- Wylądowałem na stosie trawy w twoim ogrodzie. Takie są te orły. Cała Cytadela zbudowana z kamienia, brukowana kamieniami, na wielkiej skale, a on spudłował.

- Miałeś szczęście - uznał Brutha. - Szansa jedna na milion.

- Kiedy jeszcze byłem bykiem, nie miewałem takich problemów. Orły, które potrafią podnieść byka, możesz policzyć na palcach jednej głowy. Zresztą są gorsze rzeczy od orłów. Są...

- Nieżle można sobie takim podjąć - odezwał się jakiś głos za plecami chłopca.

Brutha znieruchomiał zawstydzony, z żółwiem w ręku.

- Och... Dzień dobry, panie Dhblah - powiedział.

Wszyscy w mieście znali Rękę Sobie Odrąbując Dhblaha, dostawcę podejrzenie nowych świętych relikwii, podejrzenie starych i zjeżdżających słodczy na patyku, a także suchych fig i daktyli długo po dacie przydatności do spożycia. Był czymś w rodzaju siły natury, jak wiatr. Nikt nie wiedział, skąd przychodzi ani gdzie znika nocą. Ale pojawiał się każdego ranka, sprzedając pielgrzymom lepkie towary. Kapłani umawiali, że czyni dobro, ponieważ większość pielgrzymów przybywała tu po raz pierwszy i brakowało im tego, co najważniejsze w kontaktach z Dhblahem - to znaczy doświadczenia zdobytego przy wcześniejszych kontaktach. Często na Placu Żalów widywało się osoby, które usiłowały z godnością rozkleić własne szczęki. Wielu pobożnych pielgrzymów, po tysiącu mil niebezpiecznej podróży, musiało zanosić swe modły językiem migowym.

- Może trochę sorbetu na deser? - zaproponował Dhblah z nadzieją. - Tylko jeden cent za kubek, to jakbym sobie rękę odrąbował.

- Co to za dureń? - spytał Om.

- Nie mam zamiaru go zjadać - zapewnił pospiesznie Brutha.

- To co, nauczysz go sztuczek? - zaproponował wesoło Dhblah. - Wyglądania przez obręcz i takich rzeczy?

- Pozbądź się go - poradził Om. - Najlepiej walnij go w głowę i wepchnij ciało za posąg.

- Cicho bądź - rzucił Brutha. Zaczynał znowu doświadczać problemów, jakie się pojawiają, kiedy człowiek rozmawia z kimś, kogo nikt inny nie słyszy.

- Naprawdę nie ma powodów, żebyś tak się do mnie odnosił - rzekł urażony Dhblah.

- Nie mówiłem do pana - zapewnił Brutha.

- Do żółwia, co? - domyślił się Dhblah. Chłopiec zawstydział się.

- Moja stara matka często rozmawiała z chomikiem. Takie domowe zwierzaki zawsze pomagają w nerwowych chwilach. I w czasach głodu też, naturalnie.

- Ten człowiek nie jest uczciwy - oznajmił Om. - Czytam w jego myślach.

- Czytasz?

- Co czytam? - Dhblah zerknął na Bruthę z ukosa. - W każdym razie będziesz miał przynajmniej towarzystwo w podróży.

-Jakiej podróży?

- Do Efebu. Tajna misja na rozmowy z niewiernymi.

Brutha wiedział, że nie powinien być zaskoczony. W zamkniętym świecie Cytadeli wieści rozprzestrzeniały się jak pożar prairii w czasie suszy.

- Aha - mruknął. - W tej podróży...

- Podobno Fri'it też wyrusza. I... i ten drugi. Ten *eminencegrease*.

- Diakon Vorbis to bardzo uprzejmy człowiek - zapewnił Brutha. - Był dla mnie bardzo dobry. Dał mi się napić.

- Czego? Mniejsza z tym. - Dhblah machnął ręką. - Oczywiście, nigdy bym słowa na niego nie powiedział - dodał szybko.

- Dlaczego rozmawiasz z tym głupcem? - zapytał Om.

- To... to mój przyjaciel - wyjaśnił Brutha.

- Chciałbym, żeby był moim przyjacielem - westchnął Dhblah. - Przy takich przyjaciółach człowiek nigdy nie ma wrogów. Może cię jednak namówię na kandyzowaną rodzinę? Na patyku?

Sypialnia Bruthy służyła też dwudziestu trzem innym nowicjuszom, w myśl

zasady, że samotne spanie zachęca do grzechu. Zawsze dziwiło to samych nowicjuszy, jako że chwila namysłu wystarczała, by się przekonać, że istnieją całe zestawy grzechów możliwych wyłącznie w towarzystwie. Ale chwila namysłu sama była grzechem największym z możliwych. Ludzie, którym pozwala się na zbyt długą samotność, mogą się poświęcić rozmyślaniom. A to, jak wiadomo, źle wpływa na wzrost. Może na przykład prowadzić do odrąbania stóp.

Brutha musiał więc wycofać się do ogrodu, z Bogiem wrzeszczącym mu w kieszeni habitu, między pękiem sznurka, nożycami i garścią ziaren luzem.

Aż wreszcie został wyjęty.

- Posłuchaj, nie miałem czasu ci powiedzieć - zaczął Brutha. - Wybrano mnie do bardzo ważnej misji. Jadę do Efebu, z poselstwem do niewiernych. Diakon Vorbis mnie wybrał. Jest moim przyjacielem.

- A kto to?

- Jest głównym ekskwizytorem. On... pilnuje, żebyś był czczony odpowiednio.

Om zauważył wahanie w głosie Bruthy i przypomniał sobie kratkę. I to zapracowanie na dole...

- On torturuje ludzi - oznajmił lodowatym tonem.

- Ależ nie! Tym się zajmują inkwizytorzy. Pracują do późnych godzin za całkiem niewielkie pieniądze. Tak mówił brat Nhumrod. A ekskwizytorzy tylko... organizują wszystko. Brat Nhumrod mówił, że każdy inkwizytor chce pewnego dnia zostać ekskwizytorem. Dlatego godzą się na długie dyżury. Czasami nie śpią całymi dniami.

- Torturując ludzi - mruknął Bóg.

Ktoś taki jak tamten w ogrodzie nie sięgnąłby po nóż. Inni by to zrobili. Yrbis woli inne metody.

- Usuwają tkwiące w ludziach zło i herezje - wyjaśnił Brutha.

- Ale ludzie... może... nie zawsze przeżywają ten proces?

- Przecież to nie ma znaczenia - zapewnił z przekonaniem chłopiec. - To, co się z nami dzieje w tym życiu, nie jest naprawdę realne. Może się zdarzyć trochę bólu, ale to nieważne. Nie wtedy, kiedy gwarantuje mniej czasu w piekle po śmierci.

- A jeśli ekskwizytorzy się pomylą? — zapytał żółw.

- Nie mogą się mylić. Kieruje nimi ręka... twoja ręka... twoja przednia łapa... znaczy, twój pazur - wymamrotał niepewnie Brutha.

Żółw zamrugał jedynym okiem. Pamiętał żar słońca, bezradność i oczy obserwujące go bez okrucieństwa, ale - to o wiele gorsze - z zaciekawieniem. Ktoś patrzy, jak ktoś inny umiera, tylko żeby sprawdzić, jak długo to potrwa. Nie zapomni tej twarzy. I umysłu tkwiącego poza nią - stalowej kuli myśli.

- Przypuśćmy jednak, że coś poszło nie tak - nie ustępował.

- Nie jestem dobry z teologii - odparł Brutha. - Ale testament Ossory'ego stwierdza bardzo wyraźnie: ci ludzie musieli coś zrobić, inaczej w swojej mądrości nie skierowałbyś do nich Kwizycji.

- Nie? - upewnił się Om, wciąż wspominając tę twarz. - Czyli to ich wina, że są torturowani. Naprawdę tak powiedziałem?

- „Osądzeni jesteśmy tak za życia, jak i po śmierci”... Ossory III, rozdział VI, wers 56. Babcia opowiadała, że kiedy ludzie umrą, muszą pokonać straszliwą pustynię, by stanąć przed tobą, a ty ważysz ich serca na jakiejś wadze, i kiedy takie serce waży mniej niż piórko, oszczędzone im jest piekło.

- Stanąć przede mną... - mruknął żółw. Po czym dodał: - Nie przyszło ci do głowy, mój chłopcze, że raczej nie mógłbym tego robić, a jednocześnie być tutaj i chodzić ze skorupą na sobie?

- Możesz zrobić wszystko, co tylko zechcesz. Om zerknął na Bruthę.

On naprawdę wierzy, pomyślał. Nie umie kłamać. Potęgą wiary Bruthy płonęła w nim jak ogień. I wtedy prawda uderzyła Oma tak, jak grunt uderza w żółwie po ataku orła.

- Musisz mnie zabrać do tego Efebu - oświadczył.

- Zrobię, co zechcesz - zapewnił Brutha. - Czy zniszczysz to miejsce kopytem i ogniem?

- Możliwe, możliwe... Ale musisz mnie tam zabrać. Om starał się ukrywać swe myśli, by Brutha ich przypadkiem nie usłyszał. *Nie opuszczaj mnie!*

- Gdybym cię wypuścił, mógłbyś tam dotrzeć o wiele szybciej - stwierdził Brutha. - W Efebie ludzie są bardzo grzeszni. Im szybciej zostaną oczyszczeni, tym lepiej. Mógłbyś przestać być żółwie, polecieć tam jako gorący wicher i zniszczyć miasto.

Gorący wicher, myślał Om. Przypomnił sobie milczące pustkowia w głębi pustyni, szepty i westchnienia bóstw, które przygasty, stały się zwykłymi dżinnami i głosami w powietrzu.

Bóstw bez wyznawców.

Ani jednego. Jeden wystarczał.

Bóstwa, które opuszczono.

Najważniejsze było to, że w całej Cytadeli, przez cały dzień, płomień wiary Bruthy był jedynym, jaki znalazł Bóg.

Fri'it próbował się modlić.

Dawno już tego nie robił.

Oczywiście, było te osiem obowiązkowych modlitw każdego dnia, ale w ciemności ponurej nocy dobrze wiedział, czym są naprawdę: przyzwyczajeniem. Może chwilą, żeby pomyśleć. Metodą odmierzania czasu.

Zastanawiał się, czy w ogóle kiedyś się modlił, czy otwierał serce i umysł przed czymś istniejącym poza, a może ponad nim. Na pewno tak, prawda? Może kiedy był mały. Nawet tego nie pamiętał... Krew splukała wszelkie wspomnienia.

To jego wina. To na pewno jego wina. Był już kiedyś w Efebie i nawet polubił marmurowe miasto na skałach ponad błękitnymi wodami Morza Okrągłego. Odwiedzał też Djelibeybi, tych szaleńców wierzących w bóstwa ze śmiesznymi głowami i chowających swoich zmarłych w piramidach. Dotarł nawet do Ankh-Morpork po drugiej stronie morza, gdzie oddawali by cześć każdemu bóstwu, byle tylko miało pieniądze. Tak, Ankh-Morpork, Ankh-Morpork... były tam ulice i uliczki bogów, ściśnięte razem niby talia kart. I nikt

nie chciał nikogo palić, a w każdym razie nie bardziej niż zwykle miewało to miejsce. Chcieli tylko, żeby zostawić ich w spokoju, a wtedy każdy będzie mógł iść do nieba albo piekła własną ścieżką.

W dodatku Fri'it za dużo dzisiaj wypił z tajnej skrytki z winem, której wykrycie w ciągu dziesięciu minut pchnęłoby go w tryby maszyny inkwizytorów.

Tak, trzeba to Vorbisowi przyznać. Dawno temu Kwizycja była do przekupienia - teraz już nie. Główny ekskwizytor wrócił do podstaw. Zapanowała demokracja ostrych noży. A nawet lepiej - poszukiwanie herezji na wyższych poziomach kościelnej hierarchii odbywało się z jeszcze większym wigorem. Vorbis jasno dał do zrozumienia: im wyższa gałąź, tym bardziej tępa piła.

Nie ma to jak dawna religia...

Zacisnął powieki, ale wciąż widział tylko rogi na świątyni, oderwane obrazy

rzezi, jaka nastąpi, albo... twarz Vorbisa.

Lubił białe miasto.

Nawet niewolnicy byli tam zadowoleni. Mieli swoje prawa. I swoją wartość. Nie wszystko można było robić z niewolnikami.

Tam właśnie dowiedział się o Żółwiu. To miało sens. Tak właśnie pomyślał: to brzmi logicznie. Ma sens. Ale sensowna czy nie, taka myśl skazywała go na piekło.

Vorbis na pewno wie o nim. Musi wiedzieć. Wszędzie ma szpiegów. Sasho był użyteczny. Ile wyjawiał Vorbisowi? Czy zdradził wszystko, co wiedział?

Oczywiście, w końcu zdradzi wszystko...

Coś pękło w umyśle Fri'ita.

Spojrzał na miecz wiszący na ścianie.

Właściwie dlaczego nie? Przecież i tak całą wieczność spędzi w tysiącu piekieł...

Wiedza to wolność, w pewnym sensie. Kiedy najmniejsze, co mogą ci zrobić, to wszystko, wtedy najgorsze, co mogą zrobić, nagle przestaje budzić grozę. Skoro mają cię ugotować jako jagnię, to równie dobrze mogą upiec jako barana.

Wstał chwiejnie i po kilku próbach zdjął pas ze ściany. Kwatera Vorbisa była niedaleko, jeśli tylko pokona jakoś stopnie. Jeden cios, więcej nie trzeba... Może od pierwszego zamachu rozciąć Vorbisa na połowy. A może... może potem nic się nie stanie. Są przecież inni, którzy czują to samo. Gdzieś są... W każdym razie na pewno

uda się zbiec do stajni, przed świtem odjechać daleko, może nawet dotrzeć przez pustynię do Efebu...

Staął przed drzwiami i sięgnął do gałki.

Poruszyła się sama z siebie.

Fri'it zatoczył się do tyłu, widząc, jak drzwi otwierają się do wewnątrz.

Na korytarzu stał Vorbis. W migotliwym blasku oliwnej lampki jego twarz wyrażała uprzejme zatroskanie.

- Wybacz tak późną wizytę - rzekł. - Ale uznałem, że musimy porozmawiać. O jutrzejszym dniu.

Miecz z brzękiem wypadł Fri'itowi z ręki. Vorbis pochylił się.

- Czy coś się stało, bracie?

Uśmiechnął się i wszedł do pokoju. Za nim wsunęli się dwaj za-kapturzeni inkwizytorzy.

- Bracie - powtórzył Vorbis. I zamknął drzwi.

- Jak ci tam jest? — zapytał Brutha.

- Będę grzechotał jak fasolka w rondlu - burknął żółw.

- Mogłem wrzucić więcej siana. Ale popatrz, mam to. Kępka zieleniny spadła Omowi na głowę.

- Z kuchni - wyjaśnił Brutha. - Obierki i kapusta. Ukradłem je - dodał. - Ale pomyślałem, że nie można mówić o kradzieży, jeżeli robię to dla ciebie.

Zapach cuchnących, nadgniłych liści sugerował, że Brutha popełnił swą zbrodnię, kiedy zielenina i tak była już w drodze na śmietnik. Om jednak nie powiedział tego głośno. Jeszcze nie.

- Dobrze - wymruczał.

Muszą być inni, przekonywał sam siebie. Na pewno. Gdzieś na wsiach. To miasto jest zbyt wyrafinowane. Ale... ale było tylu pielgrzymów przed świątynią. To przecież nie zwykli wieśniacy - to ci najbardziej pobożni. Całe wioski zbierały fundusze, żeby wysłać jedną osobę, by niosła prośby wielu. I nie wyczuł w nich

plomienia. Czuł strach, grozę, tęsknotę i nadzieję... Wszystkie te emocje miały swój aromat. Ale plomienia nie znalazł.

Orzeł upuścił go w pobliżu Bruthy. I wtedy... obudził się. Mgliście pamiętał bycie żółwiem. A teraz przypominał sobie, że jest bogiem. Jak daleko od Bruthy zachowa jeszcze te wspomnienia? Milę? Dziesięć mil? Jakie to uczucie, kiedy wiedza odpływa, zanika, kiedy pozostaje się tylko nędznym gadem? A może jakaś jego część zawsze będzie pamiętać, bezradna...

Zadrżał.

W tej chwili Om tkwił w zamykanym koszu, który Brutha zawiesił sobie na ramieniu. Nawet w najlepszych warunkach nie byłoby to wygodne schronienie, a teraz jeszcze trzęsło się od czasu do czasu, kiedy w chłodzie przedświt chłopiec tupał sandałami.

Po jakimś czasie z Cytadeli dotarli stajenni z końmi. Brutha stał się celem kilku zdziwionych spojrzeń. Uśmiechał się tylko - miał wrażenie, że to najlepsze wyjście.

Zaczynał odczuwać głód, ale nie opuścił posterunku. Polecono mu być tutaj...

Po chwili jednak głosy zza rogu skłoniły go, by przesunąć się o kilka kroków i sprawdzić, co się dzieje.

Dziedziniec miał kształt litery U obejmującej skrzydło zabudowań Cytadeli. Za rogiem zobaczył coś, co wyglądało, jakby inna grupa także szykowała się do wymarszu.

Brutha znał wielbłądy. W wiosce babci widział ich kilka. Ale tutaj zebrano chyba setki - chudych, hałaśliwych jak źle nasmarowane pompy i cuchnących jak tysiąc wilgotnych dywanów. Ludzie w djelibach przechodzili między nimi i czasem bili je kijami, co jest powszechnie przyjętą metodą postępowania z wielbłędami.

Chłopiec zbliżył się do najbliższego zwierzęcia. Jakiś człowiek mocował mu wokół garbu bukłaki z wodą.

- Dzień dobry, bracie - zaczął Brutha.

- Zmiataj stąd - odparł mężczyzna, nie oglądając się nawet.

- Prorok Abbys powiada nam (rozdział XXV, wers 6): „Biada tym, którzy usta swe brukają przekleństwami, gdyż słowa ich będą niczym pył”.

- Tak powiada? No to on też może zmiatać - odparł swobodnym tonem mężczyzna.

Brutha zawahał się. Formalnie rzecz biorąc, człowiek ów właśnie zyskał dla siebie wolne miejsce w którymś z tysiąca piekieł oraz miesiąc czy dwa zabiegów Kwizycji, ale teraz chłopiec zauważył, że

to żołnierz Boskiego Legionu: spod pustynnej szaty wystawał miecz. Cóż, legionistom wolno było więcej, podobnie jak inkwizytorom. Ich często bliski kontakt z bezbożnymi wpływał na umysły i narażał dusze na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Brutha postanowił być wspaiałomyślny.

- A dokąd się wybieracie z tymi wielbłędami w taki piękny ranek, bracie?

Żołnierz dociągnął popręg.

- Pewnie do piekła - odparł, uśmiechając się groźnie. - Zaraz za tobą.

- Doprawdy? Wedle słów proroka Ishkible'a, człowiek nie potrzebuje wielbłąda, by dojechać do piekła, o nie, ani konia, ani muła; człowiek może dojechać do piekła na własnym języku - rzekł Brutha, pozwalając, by w jego głosie zabrzmiała najłżejsza przygana.

- A czy jakiś prorok wspominał o wścibskich smarkaczach, którzy zaraz dostaną w ucho?

- „Biada temu, kto wznosi rękę przeciwko swemu bratu, jakby to był niewierny”. To Ossory, Nakazy XI, wers 16.

- „Zjeżdżaj stąd i zapomnij, że nas widziałeś, bo wpadniesz w prawdziwe kłopoty, przyjacielu”. Sierżant Aktar, rozdział I, wers I - odpowiedział żołnierz.

Brutha zmarszczył brwi. Tego cytatu nie mógł sobie przypomnieć.

- Odejdź - zabrzmiał głos Boga w jego głowie. - Nie potrzebujemy kłopotów.

- Mam nadzieję, że wasza podróż będzie przyjemna - rzucił Brutha na pożegnanie. - Niezależnie od jej celu. Wycofał się i zawrócił do bramy.

- Ten człowiek będzie musiał spędzić trochę czasu w pieklach poprawy - stwierdził.

Bóg milczał.

Grupa wyruszająca do Efebu zaczynała się już zbierać. Brutha rozglądał się, lecz uważał, by nikomu nie wchodzić w drogę. Spostrzegł kilkunastu żołnierzy, ale w przeciwieństwie do tych na wielbłądach, ci tutaj nosili wypolerowane pancerze i czarno-żółte płaszcze, jakie legionieści wkładali na specjalne okazje. Uznał, że wyglądają imponująco.

W końcu zbliżył się do niego któryś ze stajennych.

- Co tu robisz, nowicjuszu? - zapytał.

- Wyruszę do Efebu.

- Ty? Nie jesteś nawet wyświęcony! I jedziesz do Efebu?

- Tak.

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Ja mu to powiedziałem - zabrzmiał za plecami stajennego głos Vorbisa. -1 oto jest, posłuszny moim rozkazom.

- Diakon Vorbis... — szepnął stajenny.

- A teraz potrzebny mu będzie wierzchowiec. Twarz stajennego aż posiniała ze zgrozy.

- Z radością. Najwspanialszy ru...

- Mój przyjaciel Brutha jest człowiekiem pokornym przed obliczem Oma - przerwał mu Vorbis. - Z pewnością nie zechce niczego ponad muła. Prawda, Brutho?

-Ja... nie umiem jeździć, panie - wyznał Brutha.

- Każdy potrafi wsiąść na muła - zapewnił go Vorbis. - Często nawet po wielekroć na krótkim odcinku drogi. Tak... Zdaje się, że jesteśmy już wszyscy.

Uniósł brew, gdy sierżant gwardii zasalutował.

- Czekamy na generała Fri'ita, panie.

- Aha. Sierżant Symonia, prawda?

Vorbis miał przerażającą pamięć, jeśli chodzi o imiona - nie zapominał żadnego. Sierżant zbladł lekko, ale znów zasalutował sprężysto.

- Tak! Jest!

- Wyruszymy bez niego.

„A” ze słowa „Ale” uformowało się na wargach sierżanta i zniknęło.

- Generał Fri'it miał inne sprawy - wyjaśnił Vorbis. - Bardzo ważne i nie cierpiące zwłoki. Którymi tylko on sam mógł się zająć.

Fri'it otworzył oczy wśród szarości. Widział pokój wokół siebie, ale mgliście, jako ciąg krawędzi w pustce.

Miecz...

Upuścił miecz, ale może zdoła go odnaleźć. Zrobił krok naprzód, wyczuł słaby opór w okolicach kostek i spojrzał w dół.

Na podłodze leżał jego miecz. Fri'it sięgnął do rękojeści, ale palce przez nią przeniknęły na wskroś. Całkiem jakby był pijany -a nie był. Nie był nawet trzeźwy. Po

prostu... nagle rozjaśniło mu się w głowie.

Obejrzał się, by sprawdzić, co przez chwilę hamowało jego kroki.

- Oj - powiedział. DZIEŃ DOBRY.

- Oj.

NA POCZĄTKU WYSTĘPUJE LEKKA DEZORIENTACJA. TO NORMALNE.

Ku swemu przerażeniu Fri'it zobaczył, jak wysoka, chuda postać odchodzi przez szary mur.

- Zaczekaj!

Ze ściany wyrzała czaszka w czarnym kapturze.

TAK?

-Jesteś Śmiercią, prawda?

ISTOTNIE.

Fri'it zebrał resztki swej godności.

- Znam cię - oświadczył. - Wiele razy stawałem z tobą twarzą w twarz.

NIE, NIE STAWAŁEŚ.

- Zapewniam cię...

STAWAŁEŚ WOBEC LUDZI. GDYBYŚ STANAŁ PRZED MNA, ZAPEWNIAM... NA PEWNO BYŚ WIEDZIAŁ.

- Ale co teraz się ze mną stanie? Śmierć wzruszył ramionami. NIE WIESZ? zapytał i zniknął.

- Czekaj!

Fri'it podbiegł do ściany i ze zdumieniem odkrył, że nie stanowi dla niego przeszkody. Znalazł się w pustym korytarzu. Śmierć naprawdę zniknął.

I wtedy Fri'it uświadomił sobie, że nie jest to korytarz, który pamiętał, z jego cieniami i szorstkim piaskiem pod stopami. Tamten korytarz nie miał na końcu światła, które przyciągało go niczym magnes opiłki żelaza.

Nie warto uciekać przed nieuniknionym, gdyż wcześniej czy później trafia się w miejsce, gdzie nieuniknione właśnie przybyło i czeka.

To było to.

Fri'it przekroczył blask i wyszedł na pustynię. Na ciemnym niebie w górze lśniło tylko kilka dużych gwiazd, a jednak ciągnący się jak okiem sięgnąć czarny piasek był jasno oświetlony.

Pustynia. Po śmierci - pustynia. Na razie żadnych piekieł. Może jest jeszcze nadzieja.

Przypomniał sobie piosenkę słyszaną w dzieciństwie. To dziwne, ale nie mówiła o tratowaniu. Nikt nie był deptany kopytami. Nie wspominała o Omie, strasznym w swym gniewie. Zwykła, wiejska piosenka, przerażająca w swych rozpaczliwych powtórzeniach.

Musisz przejść wielką pustynię...

- Co to za miejsce? - zapytał przez zaciśnięte gardło.

- TO NIE JEST MIEJSCE, odparł Śmierć. *Musisz ją przejść całkiem sam...*

- Co jest po drugiej stronie pustyni?

SĄD.

Nikt jej nie przejdzie za dębem...

Fri'it spojrzał na bezkresną, pustą przestrzeń.

- Mam ją przejść całkiem sam? - szepnął. - Ale piosenka mówi, że to straszna pustynia.

DOPRAWDY? MUSZĘ CIĘ PRZEPROSIĆ...

Śmierć zniknął.

Fri'it odetchnął głęboko, z przyzwyczajenia. Może znajdzie tu parę kamieni.

Mały kamień, żeby go wziąć do ręki, i duży, żeby się za nim schować, kiedy będzie czekał na Vorbisa...

Ta myśl także pojawiła się z przyzwyczajenia. Zemsta? Tutaj?

Uśmiechnął się.

Bądź rozsądny, pomyślał. To pustynia. Byłeś żołnierzem. Kilka pustyń w życiu pokonałeś.

Żeby przetrwać na pustyni, trzeba ją poznać. Są całe plemiona, które nawet wśród najgorszej potrafią przeżyć. Zlizują wodę z ocienionych zboczy wydm czy coś w tym rodzaju... Czują się jak w domu. Gdyby ich przenieść do ogrodu warzywnego, wzięliby człowieka za wariata.

Pojawiło się wspomnienie: pustynia jest tym, za co ją uważasz. A że teraz wreszcie myślał jasno...

Tutaj nie było kłamstwa. Zniknęły wszelkie złudzenia. Tak się dzieje na pustyniach: zostajesz tylko ty i to, w co wierzyłeś.

W co zawsze wierzyłem?

Że tak w ogóle, generalnie, jeśli człowiek żył jak należy, nie według tego, co mówią jacyś kapłani, ale według tego, co wewnątrz wydaje się przyzwoite i uczciwe, to w końcu wszystko mniej więcej dobrze się skończy.

Nie da się tego wypisać na sztandarach. Ale pustynia wyglądała już znacznie lepiej.

Fri'it pomaszerował naprzód.

Muł był mały, a Brutha miał długie nogi. Gdyby trochęje wyprostował, zostałby na drodze, a muł wybiegłby truchtem spod niego. Porządek karawany różnił się od tego, jakiego można by oczekiwać. Sierżant Symonia i jego żołnierze jechali przodem, po obu stronach traktu. Za nimi ciągnęli służący, sekretarze i niżsi kapłani. Sam Vorbis podążał z tyłu, gdzie było należne ekskwytorowi miejsce - niczym pasterz pilnujący swej trzody.

Brutha jechał obok niego. Był to zaszczyt, z jakiego wolałby zrezygnować. Należał do tych ludzi, którzy pocą się nawet w mroźny dzień, a kurz osiadał na nim niby szorstka skóra. Jednak Vorbisa jego towarzystwo chyba bawiło. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie.

- Ile mil już przejechaliśmy, Brutho?
- Cztery mile i siedem *estado*, panie.
- Skąd wiesz?

Na to chłopiec nie umiał odpowiedzieć. Skąd wiedział, że niebo jest niebieskie? Po prostu coś takiego było w jego głowie. Nie można przecież myśleć o tym, jak się myśli. To tak jakby skrzynię otwierać łomem, który leży w środku.

- A jak długo trwa nasza podróż?

- Trochę ponad siedemdziesiąt dziewięć minut. Vorbis roześmiał się. Brutha nie rozumiał dlaczego. Dziwne było nie to, że on sam pamiętał, ale że wszyscy inni zapominali.

- Czy twoi przodkowie także posiadali ten niezwykły talent? Milczenie.
- Czy też to potrafili? - wyjaśnił cierpliwie Vorbis.
- Nie wiem. Była przy mnie tylko babcia. Miała... dobrą pamięć. Do niektórych rzeczy. - Do wykroczeń na pewno. - A także doskonały wzrok i słuch.

To, co zdawała się widzieć i słyszeć przez dwie ściany, jak pamiętał, było naprawdę niesamowite.

Obejrzał się ostrożnie. Jakąś milę za nimi nad drogą unosił się obłok kurzu.

-Jedzie reszta żołnierzy - powiedział swobodnie. Miał wrażenie, że zaszokował Vorbisa. Może po raz pierwszy od lat ktoś skierował do niego jakąś niewinną uwagę.

- Reszta żołnierzy? - powtórzył.

- Sierżant Aktar i jego ludzie na dziewięćdziesięciu ośmiu wielbłądach, z mnóstwem bukłaków z wodą. Widziałem ich, zanim wyjechaliśmy.

- Nie widziałeś ich - oświadczył Vorbis. - Nie jadą za nami. Zapomnisz o nich. Znowu to żądanie magicznych wyczynów.

- Tak, panie.

Po kilku minutach obłok skręcił znad drogi i ruszył długim zboczem w kierunku pustyni. Przez chwilę Brutha obserwował go dyskretnie, po czym uniósł wzrok ku łańcuchom wydm.

Nad nimi krążył czarny punkcik.

Brutha zasłonił usta dłonią.

Vorbis usłyszał syknięcie.

- Co cię dręczy, Brutho? - zapytał.

- Przypomniałem sobie o Bogu — odparł bez zastanowienia chłopiec.

- Zawsze powinniśmy pamiętać o Bogu - oznajmił Vorbis. -I ufać, że jest przy nas w tej podróży.

-Jest - zapewnił Brutha, a ton absolutnego przekonania w jego głosie wywołał uśmiech Vorbisa.

Chłopiec usiłował usłyszeć ten dokuczliwy wewnętrzny głos, ale bez skutku. Przez jedną straszną chwilę bał się, że żółw wypadł z kosza... ale nie, czuł uspokajający ciężar na pasku.

- I musimy nieść w sobie pewność, że będzie z nami w Efebie, pośród niewiernych - rzekł Vorbis.

- Jestem pewien, że będzie.

- I przygotować się na przybycie proroka.

Obłok dotarł na szczyt pasa wydm i zniknął w martwych pustkowiach.

Brutha próbował usunąć go z myśli, co przypominało próbę opróżnienia wiadra pod wodą. Nikt nie mógł przeżyć w głębi pustyni. Nie chodziło tylko o wydmy i upał. Groza trwała w gorącym sercu pustkowi omijanym nawet przez plemiona obłąkanych. Oceany bez wody, głosy bez ust...

Co nie znaczy, że najbliższa przeszłość nie kryła dostatecznej grozy...

Brutha widział już kiedyś morze, choć Omnianie go nie pochwalali. Może dlatego że pustynię o wiele trudniej przekroczyć. Pustynie zatrzymywały ludzi wewnątrz. Ale czasami te pustynne bariery stawały się problemem i wtedy trzeba było pogodzić się z morzem.

Il-drim było zaledwie grupką lepianek wokół kamiennego nabrzeża. Przy pomoście stała trirema ze świętym proporcem na maszcie. Kiedy Kościół ruszał w drogę, podróżnymi byli zwykle najstarsi dostojnicy. Dlatego Kościół, kiedy ruszał w drogę, podróżował z klasą.

Cała grupa zatrzymała się na szczycie wzniesienia, spoglądając na statek.

- Słabi i zepsuci - stwierdził Vorbis. - Tacy się staliśmy, Brutho.

- Tak, panie.

- I otwarci na zgubne wpływy. Morze, Brutho... Oblewa bezbożne brzegi i sprzyja niebezpiecznym ideom. Ludzie nie powinni podróżować, Brutho. W samym środku leży prawda. Kiedy wyruszasz w drogę, wkłada się błąd.

- Tak, panie. Vorbis westchnął.

- Za czasów Ossory'ego żeglowaliśmy samotnie w łódkach zbudowanych ze skór i zdążaliśmy tam, gdzie nas niosły przez Boga zesłane wiatry. Tak powinien

wędrować człowiek świątobliwy.

Maleńka iskierka oporu u Bruthy oznajmiła, że ona przynajmniej woli zaryzykować odrobinę zepsucia, ale za to mieć dwa pokłady między stopami a wodą.

- Słyszałem, że Ossory przepłynął kiedyś do wyspy Erebos na kamieniu młyńskim - wtrącił Brutha, by podtrzymać rozmowę.

- Dla silnych w wierze nie ma rzeczy niemożliwych - odparł Vorbis.

- To spróbuj zapalić zapalkę o galaretę. Brutha zeszytniał. Przecież niemożliwe, żeby Vorbis nie usłyszał tego głosu.

Głos żółwia słychać było w całej krainie.

- Co to za dureń?

- Naprzód - rozkazał Vorbis. - Widzę, że nasz przyjaciel Brutha nie może się doczekać wejścia na pokład. Muł ruszył powoli.

- Gdzie jesteśmy? Kto to był? Tu jest gorąco jak w piekle, a wierz mi, wiem, o czym mówię.

- Nie mogę teraz rozmawiać! - syknął Brutha.

- Ta kapusta cuchnie jak bagno. Niech się stanie sałatą! Niech się stanie plastrami melona!

Wierzchowce dotarły na nabrzeże i zostały pojedynczo wprowadzone po trapie. Wiklinowy kosz trząsł się cały. Brutha rozglądał się przerażony, ale na szczęście nikt nic nie zauważył. Bruthę łatwo było przeoczyć mimo jego wzrostu. Właściwie wszyscy mieli na głowie ważniejsze sprawy niż zauważanie kogoś takiego jak Brutha. Nawet Vorbis na chwilę o nim zapomniał i rozmawiał z kapitanem.

Chłopiec znalazł sobie miejsce na pokładzie niedaleko zwężonego końca statku, gdzie sterczące w górę kawałki z zawieszonymi na nich płachtami tkaniny dawały nieco odosobnienia. Dopiero wtedy, z niejakim lękiem, otworzył koszyk.

Żółw przemówił z głębi swej skorupy:

- Nie widać żadnych orłów? Brutha zbadał wzrokiem niebo.

-Nie.

Gadzia głowa wysunęła się na zewnątrz.

- Ty... - zaczął żółw.

- Nie mogłem rozmawiać! - przerwał mu Brutha. - Przez cały czas byli przy mnie ludzie! Nie mógłbyś... czytać słów z mojej głowy? Nie możesz czytać w myślach?

- Myśli śmiertelników to coś zupełnie innego - burknął Om. -Uważasz, że to jak patrzeć na słowa wypisujące się na niebie? Ha! To raczej jak próbować zrozumieć sens splątanej kępy zielska. Intencje,

owszem. Emocje, tak. Ale nie myśli. Prawie cały czas sam nie wiesz, o czym myślisz, więc skąd ja mam wiedzieć?

- Bo jesteś Bogiem - wyjaśnił Brutha. - Abbys, rozdział LIV, wers 17: „Zna wszystkie nasze myśli i nie ma przed nim tajemnic”.

- To był ten z popsutymi zębami? Brutha zwiesił głowę.

- Posłuchaj — rzekł żółw. —Jestem, który jestem. Nic na to nie poradzę, że ludzie uważają mnie za kogoś innego.

- Ale znałeś moje myśli... wtedy, w ogrodzie — wymamrotał Brutha.

Żółw zawahał się.

- To co innego — powiedział. — To nie były... myśli, tylko poczucie winy.

- Wierzę, że Wielki Bóg jest Omem i wierzę w Jego sprawiedliwość - oznajmił Brutha. - I dalej będę wierzył, cokolwiek byś mówił i czymkolwiek byś był.

- Miło to słyszeć - zapewnił szczerze żółw. - Tak trzymać. Gdzie jesteśmy?

- Na statku - poinformował chłopiec. - Na morzu. Ono się kołysze.

- Płyniemy do Efebu statkiem? A co komu przeszkadza pustynia?
- Nikt nie zdoła pokonać pustyni. Nikt nie zdoła przeżyć w jej sercu.
- Ja zdołałem.
- To tylko parę dni na morzu. - Żołądek Bruthy już protestował, choć statek ledwie odbił od brzegu. - I mówią, że Bóg...
- ...czyli ja...
- ...zsyła nam sprzyjający wiatr.
- Zsyłam? Aha. Oczywiście. Co do wiatru, możesz na mnie polegać. Całą drogę morze będzie gładkie jak strumień. Nie ma się o co martwić.

- Chciałem powiedzieć: jak staw! Staw!

Brutha z całej siły trzymał się masztu. Po chwili zjawił się któryś z marynarzy, usiadł na zwoju liny i przyjrzał się chłopcu z zaciekawieniem.

- Możesz puścić, braciszku - powiedział. - Stoi o własnych siłach.
- Morze... fale... - wyjaśnił Brutha ostrożnie, choć nie miał już czym wymiotować.

Marynarz splunął z namysłem.

- Tak - przyznał. - Widzisz, one muszą mieć taki kształt, żeby pasowały do nieba.

- Ale statek trzeszczy.
- Zgadza się. Rzeczywiście.
- Znaczy, to nie jest sztorm?

Marynarz westchnął i odszedł.

Po chwili Brutha zaryzykował i wypuścił maszt z objęć. Nigdy w życiu nie czuł się taki chory.

To nie była zwykła choroba morską. Brutha nie wiedział, gdzie jest. A przez całe życie wiedział, gdzie jest. To, gdzie jest, oraz istnienie Oma były zawsze najpewniejsze.

Ta cecha łączyła go z żółwiami. Wystarczy popatrzeć, jak żółw wędruje - od czasu do czasu przystaje, żeby zmagazynować wspomnienia dotychczasowej podróży. Nie bez powodu w innym punkcie multiwersum małe jeżdżące urządzenia, kierowane przez elektryczne układy myślące, nazywane są „żółwiami”.

Brutha wiedział, gdzie jest, ponieważ pamiętał, gdzie był przedtem - dzięki podświadomemu liczeniu kroków i zapamiętywaniu punktów charakterystycznych. Gdzieś w głowie miał zwiniętą nić pamięci, która - gdyby podłączyć ją bezpośrednio do tego, co kierowało stopami — mogłaby poprowadzić go wstecz po wszystkich ścieżkach życia aż do miejsca, gdzie się urodził.

Pozbawiona kontaktu z ziemią, na zmiennej powierzchni morza, nić zwisała luźno.

Om w swoim koszu podskakiwał i kołysał się w rytm ruchów Bruthy, który niepewnym krokiem podszedł do relingu.

Dla wszystkich z wyjątkiem nowicjusza statek ciął fale w pogodny dzień. Morskie ptaki krążyły za rufą. Po jednej stronie - za bak-burtą albo sterburtą, w każdym razie jedną z nich - ławica latających ryb wyskoczyła nad wodę, by umknąć uwagi kilku delfinów.

Brutha spoglądał na szare kształty zygzakujące pod kilem - w świecie gdzie nigdy nie musiały liczyć...

- Brutha... — odezwał się za nim Vorbis. - Karmisz ryby, jak widzę.

- Nie, panie - zaprotestował Brutha. - Wymiotuję.

Odwrócił się.

Za nim stał sierżant Symonia, muskularny młody człowiek ze śmiertelnie poważną miną zawodowego żołnierza. Obok był ktoś, w kim Brutha rozpoznał szyprę czy kogoś w tym rodzaju. I był uśmiechnięty ekskwizytor.

- To on! On! - wrzasnął głos żółwia.

- Nasz młody przyjaciel nie jest dobrym żeglarzem - zauważył Vorbis.

- On! Wszędzie bym go poznał!

- Panie, wolałbym nie być żadnym żeglarzem - zapewnił Brutha. Czuł, jak koszyk trzęsie się od podskoków Oma.

- Zabij go! Znajdź coś ostrego! Wypchnij go za burtę!

- Chodź z nami na dziób, Brutho - zaprosił chłopca Vorbis. - Według kapitana, jest tam wiele ciekawych rzeczy.

Kapitan rzucił im stężony uśmiech człowieka, który znalazł się między młotem a kowadłem. Vorbis zawsze mógł dostarczyć jednego i drugiego.

Brutha powlókł się za trzema mężczyznami.

- O co chodzi? - szepnął dyskretnie.

- On! Ten łysy! Zepchnij go do morza!

Vorbis obejrzał się, dostrzegł zakłopotaną minę Bruthy i uśmiechnął się szeroko.

- Z pewnością poszerzy to nasze umysły — rzekł. Wrócił do kapitana i wskazał palcem wielkiego ptaka szybującego nad falami.

- Bezcelowy albatros - wyjaśnił natychmiast marynarz. - Przelatuje od Osi do Kra... - zająknął się. Ale Vorbis spoglądał na ptaka z pozornym zainteresowaniem.

- Odwróć mnie na grzbiet! Popatrz na jego umysł!

- Od jednego bieguna świata do drugiego, co roku - dokończył kapitan. Spociał się trochę.

- Naprawdę? - zdziwił się Vorbis. - A dlaczego?

- Nikt nie wie.

- Oprócz Boga, naturalnie.

Twarz kapitana miała niezdrową, żółtą barwę.

- Oczywiście. Z całą pewnością.

- Brutha! - krzyknął żółw. - Słyszysz mnie?

- A tam? - spytał Vorbis.

Marynarz spojrzał we wskazane miejsce.

- To latające ryby. Ale tak naprawdę nie latają - zaznaczył szybko. - Nabierają pod wodą szybkości i szybują kawałek.

- Jeden z cudów bożych - oświadczył Vorbis. - Nieskończona odmienność, prawda?

- Tak, rzeczywiście - zgodził się kapitan. Ulga zajmowała teraz jego twarz niczym przyjazne wojsko.

- A te zwierzęta w dole? - spytał ekskwizytor.

- Te? To morświny. Odmiana ryb.

- Czy zawsze pływają tak koło statku?

- Często. Oczywiście. Zwłaszcza na wodach wokół Efebu.

Vorbis wychylił się przez reling i milczał. Symonia wpatrywał się w horyzont z absolutnie nieruchomą twarzą. To doprowadziło do przerwy w rozmowie, którą kapitan - bardzo niemądrze - spróbował wypełnić.

- Całymi dniami podążają za statkiem - powiedział.

- Zadziwiające.

Kolejna pauza, bagno milczenia, gotowe pochwycić mastodonta nieprzemyślanej uwagi. Dawniejsi ekskwizytorzy krzyczeli i ciskali gromy, by skłonić ludzi do zeznań. Vorbis nigdy tak nie postępował. On tylko kopał przed nimi głębokie doły ciszy.

- Chyba to lubią — dodał kapitan. Zerknął nerwowo na Bruthę, który usiłował stłumić w myślach głos żółwia, nie udzielił więc pomocy marynarzowi.

Z pomocą pospieszył Vorbis.

- To chyba bardzo wygodne w czasie długich rejsów - rzucił.

- Tego... Tak?

- Ze względu na zapasy żywności.

- Panie, nie całkiem...

- To tak jakby mieć ze sobą pływającą spiżarnię - wyjaśnił Vorbis.

Kapitan uśmiechnął się niepewnie.

- Ależ nie. Nie jemy ich.

- Czemu nie? Wydają mi się całkiem smaczne.

- Bo, panie, jest takie stare powiedzenie...

- Powiedzenie?

- No, znaczy mówią, że po śmierci dusze martwych żeglarzy stają się...

Kapitan widział przed sobą otchłań, ale zdanie sunęło dalej z przerażającym rozpędem.

Przez moment nie było słyhać nic prócz szumu fal, dalekiego pluskania morświnów i wstrząsającego nieboskłonem łomotania kapitańskiego serca.

Vorbis oparł się o reling.

- Oczywiście, my nie padliśmy ofiarą tego zabobonu — rzucił leniwie.

- Ależ skąd. - Kapitan chwycił się szansy ratunku. - Takie tam marynarskie gadanie. Jeśli kiedyś usłyszę coś takiego, każę wychłós... Vorbis spojrzał za niego.

- Hej, ty! Tak, ty! - zawołał. Jeden z marynarzy skinął głową.

- Przynieś mi harpun - polecił Vorbis.

Marynarz spojrzał na niego, potem na kapitana i odbiegł.

- Ale, ach, no... wasza wysokość nie powinna się, tego, no... próbować takiego sportu - odezwał się kapitan. - Bo tego... w niedoświadczonych rękach harpun to niebezpieczna broń. Obawiam się, panie, żebyś nie zrobił sobie krzywdy...

- Ale to nie ja będę go używał - wyjaśnił Vorbis. Kapitan zwiesił głowę i wyciągnął rękę po harpun. Vorbis poklepał go po ramieniu.

- A potem - rzekł - zaprosisz nas na obiad. Czekamy na to. Prawda, sierżancie?

Symonia zasalutował.

- Wedle rozkazu.

- Właśnie.

Brutha leżał pomiędzy żaglami i linami gdzieś pod pokładem. Było gorąco, a powietrze pachniało tak, jak powietrze na całym świecie, gdy styka się z zęzą.

Nic nie jadł przez cały dzień. Na początku było mu niedobrze i nie mógł. A potem po prostu nie jadł.

- To, że jest okrutny dla zwierząt, nie znaczy jeszcze, że jest... no, złym człowiekiem - stwierdził, ale brzmienie głosu sugerowało, że sam w to nie wierzy. To był całkiem mały morświn.

- Odwrócił mnie na grzbiet - przypomniał Om.

- Tak, ale ludzie są ważniejsi od zwierząt.
- Ten punkt widzenia często jest wyrażany przez ludzi.
- Rozdział IX, wers 16 księgi... - zaczął Brutha.
- Kogo obchodzi, co jest napisane w jakiejś księdze? - przerwał mu żółw.

Brutha był wstrząśnięty.

- Przecież żadnemu z proroków nie mówiłeś, że ludzie powinni być dobrzy dla zwierząt. Nic takiego sobie nie przypominam. Nie wtedy, kiedy byłeś... większy. Nie dlatego chcesz, żeby ludzie byli dobrzy dla zwierząt, bo ci zależy na zwierzętach, ale dlatego że jedno z nich może być tobą.

- To całkiem rozsądny powód.
- Poza tym on był dla mnie dobry. Chociaż wcale nie musiał.
- Tak ci się wydaje? Tak sądzisz? A obejrzałeś sobie jego umysł?
- Oczywiście, że nie! Nie potrafię!
- Nie?

- Nie! Ludzie nie umieją...

Brutha przerwał. Vorbis chyba jakoś to robił. Wystarczyło mu na kogoś popatrzeć, by wiedzieć, jakie skrywa niegodziwe myśli. Babcia była taka sama.

- Ludzie tego nie umieją, jestem pewien — rzekł. - Nie czytamy w myślach.

- Nie chodzi mi o czytanie. Chodzi mi o oglądanie. Zobaczenie kształtu. Nie można czytać w umyśle. Równie dobrze mógłbyś próbować odczytać rzekę. Ale zobaczenie kształtu jest łatwe. Czarownice to potrafią bez żadnych kłopotów.

- „Droga czarownicy będzie niby ścieżka usłana cierniami” -oświadczył Brutha.

- Ossory? - upewnił się Om.

- Tak. Ale wiesz o tym, naturalnie.

- W życiu tego nie słyszałem - odparł żółw z goryczą. - To było coś, co mógłbyś nazwać rozsądnym domysłem.

- Cokolwiek powiesz - stwierdził Brutha - i tak wiem, że nie możesz być Omem. Bóg nie mówiłby w ten sposób o swoich wybrańcach.

- Nikogo nie wybierałem — zapewnił Om. - Sami się wybrali.

- Jeśli naprawdę jesteś Omem, to przestań być żółwiem.

- Już ci tłumaczyłem, że nie mogę. Myślisz, że nie próbowałem? Trzy lata! I większość czasu myślałem, że naprawdę jestem żółwiem.

- Więc może naprawdę jesteś. Może jesteś żółwiem, który uważa, że jest bogiem.

- Nie. Nie zaczynaj znowu z filozofią. Myśl tak dalej, to w końcu uwierzysz, że jesteś motylem, który wierzy, że jest małżem albo co. Nie. Jednego dnia mogłem myśleć tylko o tym, jak długa droga dzieli mnie od najbliższego krzewu z przyzwyczajeniem nisko rosnącymi liśćmi, a następnego... cała pamięć wypełniła mi umysł. Trzy lata w skorupie. Więc mi nie mów, że jestem żółwiem z wielką wyobraźnią.

Brutha zawahał się. Wiedział, że to niegodziwe pytanie, ale chciał wiedzieć, czym naprawdę jest pamięć. Zresztą czy to naprawdę niegodziwe? Jeśli Bóg siedzi w koszyku i z nim rozmawia, to czy można powiedzieć coś naprawdę niegodziwego? Twarzą w twarz z Bogiem? Jakoś nie wydawało się to aż tak grzeszne, jak mówienie rzeczy niegodziwych, gdy Bóg jest na chmurze albo gdzie indziej.

- O ile pamiętam - ciągnął Om - zamierzałem stać się wielkim białym bykiem.

- Traktującym niewiernych - dokończył Brutha.

- Nie leżało to w moich zasadniczych planach, ale z pewnością jakieś traktowanie dałoby się zorganizować. Albo łabędziem, myślałem. Czymś imponującym. A trzy lata później budzę się i widzę, że jestem żółwiem. Rozumiesz, nie można upaść wiele niżej.

Ostrożnie, ostrożnie... Potrzebujesz jego pomocy, ale nie mów mu wszystkiego. Nie zdradzaj, co podejrzewasz.

- Kiedy zacząłeś myśleć... kiedy sobie to wszystko przypomniałeś? - zapytał Brutha. Fenomen zapominania wydał mu się tak dziwny i fascynujący, jak innym ludziom mogła się wydać myśl o lataniu przez machanie rękami.

- Jakieś dwieście stóp nad twoim ogrodem warzywnym — odparł Om. — A nie jest to miejsce, gdzie odzyskanie świadomości daje satysfakcję.

- Ale dlaczego? Przecież bogowie nie muszą zostawać żółwiami, chyba że tego chcą.

- Nie wiem — skłamał Om.

Jeśli sam do tego dojdzie, jestem skończony, myślał. Mam jedną szansę na milion. Jeśli popełnię błąd, wrócę do życia, gdzie szczęście oznacza liść, którego można dosięgnąć.

Jakaś część jego umysłu krzyczała głośno: Jestem bogiem! Nie muszę tak myśleć! Nie muszę się oddawać w moc człowieka!

Ale inna część, która dobrze pamiętała, jak to jest być przez trzy lata żółwiem, szeptała: Nie. Musisz. Jeśli znowu chcesz wrócić na górę. On jest głupi, nie ma ani krzty ambicji w tym sflaczałym ciele. Ale z nim właśnie musisz pracować...

Boska część tłumaczyła: Vorbis byłby lepszy. Bądź rozsądny. Taki umysł może osiągnąć wszystko.

Przewrócił mnie na grzbiet!

Nie. Przewrócił żółwia.

Tak. Mnie.

Nie. Ty jesteś bogiem.

Tak, ale uporczywie żółwiokształtnym.

Gdyby wiedział, że jesteś bogiem...

Ale Om pamiętał twarz Vorbisa, zaciekawienie w parze ciemnych oczu, za którymi tkwił umysł nieprzenikniony jak stalowa kula. Nigdy wcześniej nie widział takiego umysłu u żadnej istoty, która chodzi na dwóch nogach. To był ktoś, kto prawdopodobnie odwróciłby boga na grzbiet, żeby sprawdzić, co się wtedy stanie. Ktoś, kto nie myśląc o konsekwencjach, wyróciłby cały wszechświat, by zyskać wiedzę, co się dzieje, kiedy wszechświat leży na plecach...

Lecz Om miał do dyspozycji Bruthę, z umysłem tak ostrym jak beza. A gdyby Brutha odkrył...

Albo gdyby umarł...

- Jak się czujesz? - zapytał żółw.

- Niedobrze mi.

- Lepiej wsuń się głębiej pod żagle. Nie chcesz się chyba przeziębic.

Musi być jeszcze ktoś, myślał Om. Niemożliwe, żeby tylko on... Pozostała część tej myśli była tak straszna, że spróbował usunąć ją z głowy, ale nie potrafił.

...niemożliwe, żeby tylko on we mnie wierzył.

Naprawdę we mnie. Nie w parę złotych rogów. Nie w wielki budynek. Nie w strach przed rozżarzonymi obcęgami i nożami. Nie w płacenie danin dla świątyni dlatego, że wszyscy to robią. Po prostu w fakt, że Wielki Bóg Om naprawdę istnieje.

A teraz znalazł się w towarzystwie najpaskudniejszego umysłu, jaki w życiu widziałem - kogoś, kto zabija ludzi, żeby sprawdzić, czy umrą. Osoba typu orła, jeśli w ogóle ktoś taki może istnieć...

Om uświadomił sobie, że słyszy jakieś mamrotanie.

Brutha leżał twarzą w dół na pokładzie.

- Co robisz? - zapytał Om. Brutha odwrócił głowę.

- Modlę się.
- To dobrze. O co?
- Nie wiesz?
- Och.

Jeśli Brutha umrze...

Żółw zadygotał w swej skorupie. Jeśli Brutha umrze, to już słyszał w myślach szum wiatru w głębi gorącej pustyni... ...gdzie trafiają pomniejsze bóstwa.

Skąd się biorą bogowie? I dokąd odchodzą? Próbę odpowiedzi na to pytanie podjął filozof religijny, Koomi ze Smale, w swej książce *Ego-Video Liber Deorum*, co tłumaczy się na zwykły język jako *Bogowie: Poradnik poszukiwacza*.

Ludzie powtarzają, że musi być jakaś Istota Wyższa, ponieważ gdyby nie, jak wszechświat mógłby powstać, co?

I oczywiście musi egzystować Istota Wyższa, twierdził Koomi. Ale we wszechświecie panuje spory bałagan, więc jest równie oczywiste, że to nie Istota Wyższa go stworzyła. Gdyby to ona, to - będąc Wyższą - wykonałaby wszechświat o wiele lepiej, dokładniej planując takie rzeczy, jak - weźmy pierwszy z brzegu przykład - zwykłe nozdrze. Ujmując kwestię innymi słowy, istnienie źle złożonego zegarka dowodzi istnienia ślepego zegarmistrza. Wystarczy się tylko rozejrzeć, by praktycznie wszędzie dostrzec zjawiska wymagające poprawek.

To sugeruje, że wszechświat został prawdopodobnie stworzony w pośpiechu, przez kogoś z podwładnych, gdy Istota Wyższa akurat nie patrzyła. Na tej samej zasadzie plany działań drużyn harcerskich w całym kraju odbijane są na biurowych kopiarkach, gdy nie patrzy kierownictwo.

Zatem, rozumował Koomi, lepiej nie kierować żadnych modłów do Istoty Wyższej. Zwróci to jedynie jej uwagę i może spowodować kłopoty.

A jednak, jak się zdaje, na świecie przebywa sporo niższych bogów. Koomi wysunął teorię, że bogowie zaczynają istnieć i rosną, ponieważ się w nich wierzy. Wiara jest pokarmem bogów. Z początku, kiedy cała ludzkość żyła w niewielkich, prymitywnych plemionach, istniały pewnie miliony bóstw. Teraz pozostały zwykle te najważniejsze: miejscowe bóstwa gromu i miłości, na przykład. Te bóstwa zlewały się niczym krople rtęci, gdy niewielkie prymitywne plemiona łączyły się i stawały ogromnymi, potężnymi prymitywnymi plemionami, dysponującymi bardziej wyrafinowanym uzbrojeniem. Ale każdy bóg mógł dołączyć do pozostałych. Każdy bóg mógł zacząć od zera. Każdy bóg mógł nabierać potęgi, gdy rosła liczba jego wyznawców. I słabnąć, kiedy malała. Przypominało to wielką grę planszową.

Bogowie lubili gry - pod warunkiem że wygrywali.

Teoria Koomiego opierała się zasadniczo na starej, dobrej herezji gnostycznej, która pojawia się w całym multiwersum, gdy tylko ludzie podniosą się z kolan i zaczną przez chwilę myśleć. Niestety, wstrząs wynikający z nagłego wzrostu wysokości powoduje zwykle, że ich myślenie jest nieco skrzywione. Irytuje jednak kapłanów, którzy na ogół dają wyraz swemu niezadowoleniu w tradycyjny sposób.

Kiedy Kościół Omniański dowiedział się o Koomim, pokazywano go w każdym miasteczku kościelnego imperium, by zademonstrować zasadnicze błędy jego rozumowania.

Miasteczek było sporo, więc musieli go pociąć na bardzo małe kawałki.

Postrzępione chmury mknęły po niebie. Żagle trzeszczały na coraz silniejszym

wietrze, a Om słyszał krzyki marynarzy, którzy próbowali uciec przed sztormem.

To miał być potężny sztorm, nawet według standardów żeglarzy. Biała piana ukazywał się na szczytach fal.

Brutha pochrapywał w swoim gniazdku.

Om nasłuchiwał wołań marynarzy. Nie należeli do ludzi, którzy zagłębiali się w subtelności. Ktoś zabił morświna, a wszyscy wiedzieli, co z tego wynika. Wynika, że wybuchnie sztorm. Wynika, że statek zatoni. Prosty łańcuch przyczynowo-skutkowy. Sprawa gorsza niż kobieta na pokładzie. Gorsza niż albatrosy.

Om zastanawiał się, czy wszystkie żółwie potrafią pływać. Te morskie potrafiły na pewno. Ale łobuzy miały do tego odpowiednią skorupę.

Prosiłby o zbyt wiele (gdyby nawet miał kogo prosić) Jeśliby liczył, że ciało zaprojektowane do dreptania po suchych pustkowiach miało jakieś właściwości hydrodynamiczne inne od tych, które są konieczne, by pójść na dno.

Co tam. Nie ma o czym mówić. Wciąż przecież był bogiem. Miał swoje prawa.

Zsunął się ze zwoju lin i ruszył ostrożnie na sam brzeg rozkołysanego pokładu. Wkładał skorupę pod słupek relingu, by móc wyrzucić na spienione wody.

Po czym przemówił głosem niesłyszalnym dla niczego śmiertelnego.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Potem jedna z fal wzniosła się wyżej od pozostałych, zmieniając w ruchu kształt. Woda przelewała się w górę, wypełniając niewidzialną formę - humanoidalną, ale wyraźnie tylko dlatego, że tak zechciała. Równie dobrze mogła być trąbą wodną albo prądem. Morze zawsze jest potężne - wielu ludzi w nie wierzy. Ale rzadko odpowiada na modlitwy.

Woda podniosła się do poziomu pokładu i przesuwiała przed Omem. Pojawiła się na niej twarz i otworzyła usta.

- Słucham? - powiedziała.

- Bądź pozdrowiona, królowo... - zaczął Om. Wodniste oczy zogniskowały spojrzenie.

- Przecież jesteś tylko pomniejszym bóstwem. Jak śmiesz mnie przywoływać?

Wicher wył wśród takielunku.

- Mam wiernych - odparł Om. - A zatem mam prawo. Królowa Morza milczała przez chwilę.

- Jednego wiernego? - rzuciła.

- Jednego czy wielu, nie ma znaczenia. Mam swoje prawa.

- A jakich praw żądasz, mały żółwiu?

- Ocal statek. Królowa umilkła.

- Musisz spełnić moją prośbę - przypomniał jej Om. - Takie są zasady.

- Ale mogę naznaczyć cenę - odparła.

- To także jedna z zasad.

- Będzie wysoka.

- I będzie zapłacona.

Kolumna wody zaczęła opadać do morza.

- Rozważę to.

Om spoglądał w dół, na spienione fale. Statek zakołysał się, odsuwając go od burty, a potem cisnął z powrotem. Wyciągnięty rozpaczliwie pazur zaczepił o słupek, a cała skorupa zatoczyła krąg i przez moment obie tylne łapki Oma wymachiwały bezradnie nad wodą.

A potem coś białego sięgnęło ku niemu, gdy huśtał się nad krawędzią. Om wgryzł się w to coś.

Brutha wrzasnął i szarpnął dłonią, na końcu której wisiał żółw.

- Nie musiałeś gryźć!

Statek wspiął się na falę i rzucił chłopcem o pokład. Om rozwarł szczęki i odtoczył się na bok.

Kiedy Brutha wstał na nogi, a w każdym razie na łokcie i kolana, zobaczył stojących dookoła marynarzy. Dwóch chwyciło go pod pachy. Fala przetoczyła się przez burtę.

- Co robicie?

Unikali jego wzroku. Powlekli go do relingu.

Gdzieś przy szpigacie Om wrzeszczał do Królowej Mórz:

- Takie są zasady! Zasady!

Bruthę trzymało już czterech marynarzy. Ponad rykiem wichury Om słyszał ciszę pustyni.

- Czekajcie! - zawołał Brutha.

- To nic osobistego - zapewnił go jeden z marynarzy. - Wcale nie chcemy tego robić.

- Ja też nie chcę, żebyście to robili. Czy to w czymś pomoże?

- Morze żąda ofiary — wyjaśnił najstarszy żeglarz. - Ty byłeś najbliżej. Dobra, łapcie go za...

- Czy mogę pogodzić się z Bogiem?

-Co?

-Jeśli chcecie mnie zabić, czy najpierw mógłbym się pomodlić?

- Nie my cię zabijemy - odparł żeglarz. - Tylko morze.

- „Ręka, która dokonuje czynu, winna jest zbrodni” — oznajmił Brutha. - Ossory, rozdział LVI, wers 93.

Marynarze spojrzeli po sobie nawzajem. W takiej chwili nierozsądnie chyba byłoby narażać się dowolnemu bóstwu. Statek zsunął się po zboczu fali.

- Masz dziesięć sekund - zdecydował najstarszy żeglarz. - To o dziesięć więcej, niż dostaje większość.

Brutha położył się na pokładzie przy znaczącej pomocy kolejnej fali, która uderzyła o kadłub.

Om, ku swemu zaskoczeniu, usłyszał modlitwę. Nie zdołał rozróżnić słów, ale tkwiła jak cierań gdzieś w głębi umysłu.

- Nie prosz mnie - powiedział, usiłując stanąć. - Nie mam żadnych możliwości...

Statek runął w dół...

...na spokojną powierzchnię morza.

Sztorm szalał ciągle, ale na zewnątrz rosnącego kręgu ze statkiem w samym środku. Uderzające w wodę błyskawice otaczały ich niby pręty klatki.

Krąg wydłużył się przed dziobem. Statek mknął teraz wąskim kanałem spokojnej wody pomiędzy szarymi ścianami burzy, wysokimi na milę. Nad nimi jaśniał elektryczny ogień.

I nagle zgaśł.

Za rufą wyrastała nad wodą góra szarości. Gromy cichły z wolna.

Brutha podniósł się niepewnie. Kołysał się na boki, by zachować równowagę w czasie kołysania, które już ustało.

- Teraz... - zaczął.

Był sam. Marynarze uciekli.

- Om! - zawołał.

- Tutaj.

Brutha wyłowił swego Boga spomiędzy wodorostów.

- Mówiłeś, że nic nie możesz zrobić — powiedział z wyrzutem.

- To nie moja...

Om umilkł. Będzie naznaczona cena, pomyślał. Nie niska. Nigdy nie jest niska. Królowa Mórz jest boginią. Sam swego czasu

zmiażdżył kilka miast: święty ogień i takie rzeczy... Gdyby cena nie była wysoka, ludzie nie czuliby szacunku.

- Poczynilem pewne ustalenia — rzekł.

Fale pływów. Zatopiony statek. Parę miasteczek ginących pod powierzchnią morza. To będzie coś w tym rodzaju. Jeśli ludzie nie czują szacunku, to się nie boją, a jeśli się nie boją, jak można ich skłonić do wierzenia?

Właściwie to niesprawiedliwe. Jakiś człowiek zabił morświna. Oczywiście, dla Królowej Morza nie ma znaczenia, kogo wyrzucą za burtę, tak jak dla tego człowieka nie miało znaczenia, którego morświna zabije. I to właśnie jest niesprawiedliwe, bo przecież to wina Vorbisa. Zmusza ludzi do rzeczy, których nie powinni robić...

O czym ja myślę? Zanim stałem się żółwiem, nie wiedziałem nawet, co to znaczy „niesprawiedliwy”...

Otworzyły się luki. Ludzie wybiegali na pokład i zwieszali się na relingu. Pozostawanie na pokładzie przy sztormowej pogodzie grozi zmyciem za burtę, jednak perspektywa ta wydaje się całkiem atrakcyjna po kilku godzinach spędzonych pod pokładem z przerażonymi końmi i pasażerami cierpiącymi na morską chorobę.

Burze już im nie zagroziły. Statek płynął naprzód przy sprzyjającym wietrze, pod czystym niebem, po morzu tak pustym i bez życia jak gorąca pustynia.

Dni mijały bez żadnych wydarzeń. Vorbis prawie cały czas spędzał pod pokładem.

Załoga traktowała Bruthę z ostrożnym respektem. Takie wieści jak o wyczynie Bruthy rozchodzą się szybko.

Wzdłuż brzegu ciągnęły się wydmy, od czasu do czasu urozmaicane słonym mokradłem. Nad lądem powietrze drżało od gorąca. Na takim brzegu człowiek bardziej niż utonięcia obawia się, że po katastrofie fale rzucą go na ląd. Nie było żadnych ptaków. Zniknęły nawet mewy, zwykle lecące za statkiem i polujące na odpadki.

- Nie ma orłów - stwierdził Om. Sytuacja miała jednak pewne zalety.

Pod wieczór czwartego dnia monotonię krajobrazu zakłócił błysk światła pośród morza wydym. Migotało rytmicznie. Kapitan, którego twarz sugerowała, że sen nie jest jego regularnym nocnym towarzyszem, przywołał Bruthę.

- On... twój... diakon kazał mi uważać na takie rzeczy - powiedział. - Idź teraz i go sprowadź.

Kajuta Vorbisa mieściła się nad zęzą, gdzie powietrze było gęste jak rzadka zupa. Brutha zastukał.

- Wejść!⁵

Na dole nie było bulajów. Vorbis siedział w ciemności.

- Tak, Brutho?

- Kapitan mnie przysłał, panie. Coś błyszczący na pustyni.

- Dobrze. Posłuchaj mnie, Brutho. Uważnie. Kapitan ma lustro. Poproś, żeby ci je pożyczył.

- Ehm... Co to jest lustro, panie?

- Urządzenie bezbożne i zakazane - wyjaśnił Vorbis. - Które, niestety, daje się

⁵ Słowa są papierkiem lakmusowym duszy. Jeśli znajdziecie się we władzy kogoś, kto z zimną krwią używa słowa „Rozpocznijcie”, lepiej szybko wiedzieć gdzie indziej. Ale jeśli do tego mówi „Wejść”, nie traćcie czasu na pakowanie.

wykorzystać dla służby Bogu. On zaprzeczy, oczywiście. Ale człowiek z tak równą brodą i małym wąsikiem jest próżny, a człowiek próżny musi mieć lustro. Zabierz je więc. Potem stań w słońcu i poruszaj owym lustrem tak, żeby odbijało światło na pustynię. Rozumiesz?

- Nie, panie - przyznał Brutha.

- Twoja ignorancja jest dla ciebie najlepszą ochroną, synu. Potem wrócisz tutaj i powiesz mi, co zobaczyłeś.

Om drzemał w wieczornym słońcu. Brutha znalazł mu miejsce w pobliżu wąskiego końca pokładu, gdzie mógł się wygrzewać, nie zagrożony zbyt wykryciem przez marynarzy. Zresztą załoga i tak była roztrzęsiona i wołała nie szukać kłopotów.

Żółwie śnią... ..od milionów lat.

To był czas snów. Czas nieufirmowany.

Pomniejsze bóstwa ćwierkały i brzęczały na pustkowiach, w miejscach zimnych i miejscach głębokich. Roily się w ciemności, pozbawione pamięci, ale popychane nadzieją i pragnieniem jednego - jedyne, czego pożąda bóg: wiary.

W puszczy nie rosną średnie drzewa. Są tylko wysokie, których korony sięgają nieba. Poniżej, w półmroku, mogą przetrwać jedynie mchy i paprocie. Ale kiedy olbrzym upada, odsłaniając skrawek wolnej przestrzeni, zaczyna się wyścig - wyścig między drzewami ze wszystkich stron, które próbują rozrosnąć się na boki, a młodymi pędami w dole, które usiłują rosnąć w górę.

Czasami udaje się znaleźć trochę przestrzeni dla siebie.

Puszcze rosną daleko od pustkowi. Bezimienny głos, który starał się być Omem, dryfował na wietrze na granicy pustyni. Usiłował być słyszalny pośród niezliczonych innych, próbował nie dać się zepchnąć w głąb. Być może, krążył tak przez miliony lat - nie potrafił mierzyć upływającego czasu. Miał tylko nadzieję i pewne wyczucie obecności rzeczy. I głos.

A potem nadszedł dzień. W pewnym sensie był to dzień pierwszy.

Om od pewnego cza... przez chwilę świadom był obecności pasterza. Stado pasło się coraz bliżej. Deszcz padał rzadko. Brakowało paszy. Wygłodniałe mordki popychały wygłodniałe nogi coraz dalej między skały w poszukiwaniu wzgardzonych wcześniej kęp wyschniętej trawy.

Były to owce - prawdopodobnie najgłupsze zwierzęta we wszechświecie, może z wyjątkiem kaczek. Lecz nawet ich proste umysły nie słyszały głosu, ponieważ owce nie słuchają.

Ale było tam jagnię. Odbiegło kawałek od stada. Om zadbał, by odbiegło kawałek dalej. Za skałę. Zboczem w dół. Prosto w szczelinę.

Beczenie jagnięcia sprowadziło jego matkę.

Szczelina była dobrze ukryta, a owca zadowolona, że znalazła młode. Nie miała powodu, żeby beczeć, nawet gdy pasterz szukał jej między skałami, wołał, przeklinał, a w końcu prosił. Pasterz miał setkę owiec i dziwnym mógł się wydać fakt, że poświęcał całe dnie na poszukiwanie jednej zagubionej. Jednak właśnie dlatego, że skłonny był poświęcić całe dnie na poszukiwanie jednej zagubionej owcy, posiadał ich setkę.

Głos, który miał stać się Omem, czekał.

Dopiero wieczorem drugiego dnia wystraszył kuropatkę, która miała gniazdo niedaleko szczeliny. Właśnie w chwili, kiedy pasterz przechodził w pobliżu.

Nie był to szczególnie imponujący cud, ale dla pasterza wystarczył. Usypał w

tym miejscu kamienny kopczyk, a następnego dnia przyprowadził całe swoje stado. I kiedy zasnął w gorące popołudnie, Om przemówił wewnątrz jego umysłu.

Trzy tygodnie później pasterz został ukamienowany przez kapłanów Ur-Gilasha, który w owym czasie był głównym bogiem w okolicy. Ale spóźnili się. Om miał już setkę wyznawców, a ich liczba rosła...

Zaledwie o milę od pasterza owiec i jego stadka przebywał pasterz kóz ze swoim. Zwykły przypadek mikrogeografii sprawił, że pierwszym człowiekiem, który usłyszał głos Oma i który dał Omowi pierwszą wizję ludzi, był pasterz owiec, a nie kóz. Mieli całkiem inne poglądy na świat, więc historia pewnie potoczyłaby się inaczej.

Owce bowiem są głupie i trzeba je pędzić, natomiast kozy są inteligentne i trzeba je prowadzić.

Ur-Gilash, myślał Om. Tak, to były czasy... Kiedy Ossory i jego zwolennicy wdarli się do świątyni, rozbili ołtarz i wyrzucili kapłanki przez okna, by rozszarpały je dzikie psy - co jest właściwym sposobem rozwiązywania tych spraw - rozległ się wielki płacz i zgrzytanie zębów. A wyznawcy Oma zapalili ogniska w zburzonych halach Gilasha, dokładnie tak, jak zapowiedział prorok, i to się liczyło, chociaż powiedział to ledwie pięć minut wcześniej, kiedy szukali drewna. Wszyscy się bowiem zgadzali, że proroctwo to proroctwo i nikt przecież nie twierdzi, że trzeba bardzo długo czekać, zanim się wypełni.

Piękne czasy. Wspaniałe czasy. Codziennie nowi nawróceni. Potęga Oma rosła niepowstrzymanie...

Ocknął się nagle.

Stary Ur-Gilash. Bóg pogody, zdaje się... Tak. Nie. A może jedno z tych klasycznych bóstw w postaci pająka? Coś w tym rodzaju. Co się z nim stało?

A co się stało ze mną? I jak się stało? Krążył sobie po płaszczyznach astralnych, płynął z prądem i odczuwał rytmy wszechświata, przekonany, że wszyscy ci, no... ludzie tam na dole dalej wierzą. Postanowił trochę ich rozbudzić i nagle... żółw. To jakby iść do banku i odkryć, że pieniądze wyciekały przez jakąś dziurę. Szedł sobie i rozglądał się za jakimś poręcznym umysłem, a nagle był żółwiem, w dodatku pozbawionym mocy, by to zmienić.

Trzy lata patrzenia z dołu praktycznie na wszystko...

Stary Ur-Gilash? Może kręcił się jeszcze gdzieś w postaci jaszczurki, z jednym pustelnikiem jako wyznawcą. Ale raczej przepadł na pustyni. Pomniejsze bóstwa mają szczęście, jeśli dostaną jedną, jedyną szansę.

Coś tu się nie zgadzało. Om nie potrafił tego dokładnie określić. Bogowie powstawali i upadali jak kawałki cebuli w zupie na ogniu, ale teraz było jakoś inaczej. Tym razem coś się nie zgadzało...

Przepędził Ur-Gilasha. To uczciwe - takie jest prawo dżungli. Ale jego nikt przecież nie atakował...

Gdzie jest Brutha?

- Brutha!

Brutha liczył błyski światła na pustyni. - To chyba dobrze, że miałem lustro, prawda? - zapytał z nadzieją kapitan. - Liczę, że jego wysokość nie będzie się gniewał o to lustro, skoro okazało się użyteczne.

- On chyba nie myśli w taki sposób — odparł Brutha, nie przerywając liczenia.

- Nie. Też tak sędzę - zgodził się smętnie kapitan.
- Siedem, a potem cztery.
- To oznacza dla mnie Kwizycję.

Brutha miał już powiedzieć: „Ciesz się więc, gdyż dusza twoja dozna oczyszczenia”, ale nie powiedział. I nie miał pojęcia dlaczego.

- Przykro mi - rzekł.

Zasłona zdziwienia zakryła na moment smutek kapitana.

- Tacy jak ty tłumaczą zwykle, że Kwizycja jest pożyteczna dla duszy.
- Na pewno jest - zgodził się Brutha.

Kapitan z uwagą wpatrywał się w jego twarz.

- On jest płaski, wiesz? - oznajmił cichym głosem. - Żeglowałem po Oceanie Krawędziowym. Jest płaski i ma Krawędź. I się rusza. Nie Krawędź. Chodzi mi o... o to w dole. Mogą mi obciąć głowę, ale nadal będzie się ruszał.

- Jednak dla ciebie przestanie się ruszać - przypomniał mu Brutha. - Dlatego powinieneś uważać, z kim rozmawiasz, kapitanie. Marynarz przysunął się bliżej.

- Żółw Się Rusza - syknął i odbiegł.

- Brutha!

Poczucie winy szarpnęło chłopcem niczym haczyk złapaną rybą. Odwrócił się i odetchnął z ulgą - to nie był Vorbis, to był tylko Bóg.

Brutha poczłapał na dziób.

- Słucham?

Om spojrzał na niego gniewnie.

- Nigdy nie przychodzisz mnie odwiedzić. Wiem, że jesteś zajęty - dodał zgryźliwie. - Ale jakaś szybka modlitwa byłaby miła.

- Przecież byłem u ciebie z samego rana.

-1 jestem głodny.

- Wczoraj wieczorem dostałeś całą skórkę z melona.

- A kto zjadł melona, co?

- Nie, wcale nie on - zapewnił Brutha. - On żywi się tylko suchym chlebem i wodą.

- Dlaczego nie je świeżego chleba?

- Czekaj, aż się zeschnie.

- Tak, można się tego spodziewać - mruknął żółw.

- Om...

-Tak?

- Kapitan powiedział mi coś dziwnego: że świat jest płaski i ma krawędź.

- Tak? No i co?

- No bo przecież dobrze wiemy, że świat jest kulą, ponieważ... Żółw zamrugął niepewnie.

- Wcale nie jest - zaprotestował. - Kto powiedział, że świat jest kulą?

- Ty mówiłeś - odparł Brutha. I dodał: - W każdym razie według Pierwszej Księgi Septateuchu.

Nigdy nie myślałem w ten sposób, uświadomił sobie. Nigdy nie mówiłem „w każdym razie”.

- Dlaczego kapitan powiedział mi coś takiego? — zapytał. — To nie była zwykła rozmowa.

-Już ci mówiłem, że nie stwarzałem świata - odrzekł Om. - Po co miałbym to robić? On już tu był. I nawet gdybym go stworzył, to przecież nie w formie kuli. Ludzie by z niego spadali. Wszystkie morza ściekałyby na dół.

- Nie, gdybyś im kazał pozostać na miejscu.

- Też pomysł!
- Poza tym kula to forma doskonała - dodał Brutha. - Ponieważ w Księdze...
- Nie ma w niej nic szczególnego — mruknął Om. — Jeśli już o to chodzi, żółw jest formą doskonałą.
- Formą doskonałą dla czego?
- Formą doskonałą dla żółwia, chociażby. Takiego morskiego. Gdyby miał kształt kuli, to cały czas wypływałby na powierzchnię.
- Ale to herezja mówić, że świat jest piaski.
- Możliwe. Ale to prawda.
- I naprawdę leży na grzbiecie wielkiego żółwia?
- Zgadza się.
- W takim razie - zawołał tryumfalnie Brutha - na czym stoi żółw?!

Om spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Na niczym nie stoi — oświadczył. - Wielkie nieba, przecież to morski żółw. Taki z płetwami. On pływa. Po to są żółwie.
- Ja... tego... chyba lepiej pójdę i zamelduję się u Vorbisa. Jeśli musi za długo czekać, robi się bardzo spokojny. Po co ci byłem potrzebny? Po kolacji spróbuję ci przynieść coś do jedzenia.
- Jak się czujesz? - zapytał żółw.
- Całkiem dobrze, dziękuję.
- Odżywasz się jak należy i w ogóle?
- Tak.
- Miło to słyszeć. No, biegnij już. Przecież jestem tylko twoim Bogiem. - Brutha odchodził już, gdy Om krzyknął za nim: - Ale mógłbyś odwiedzać mnie częściej! I módl się głośniej! Mam dosyć tego nasłuchiwania.

Vorbis wciąż siedział w swojej kajucie, kiedy zasapany Brutha przybiegł korytarzem i zastukał. Nikt mu nie odpowiedział. Po chwili oczekiwania pchnął drzwi. Vorbis nigdy chyba nie czytał. Musiał pisać, oczywiście, ze względu na słynne Listy, ale nikt nie widział, jak to robi. Kiedy był sam, spędzał mnóstwo czasu wpatrzony w ścianę albo rozciągnięty w modlitwie na podłodze. Vorbis potrafił przyjąć w modlitwie pozę tak pokorną, że wobec niej postawy obłąkanych władzą imperatorów sprawiały wrażenie uniżonych.

- Ehm... - powiedział Brutha i spróbował zamknąć drzwi. Vorbis niecierpliwie machnął ręką. Potem wstał. Nie próbował nawet strzepnąć kurzu z szaty.

- Wiesz, Brutho - powiedział - nie sądzę, żeby w całej Cytadeli znalazła się choć jedna osoba, która ośmieliłaby się przeszkodzić mi w modlitwie. Baliby się Kwizycji. Wszyscy się boją Kwizycji. Oprócz ciebie, jak się okazuje. Czy lękasz się Kwizycji?

Brutha spojrzał w czarne oczy. Vorbis spoglądał na jego okrągłą różową twarz. Podczas rozmowy z ekskwizytorem ludzie prezentowali szczególny typ twarzy: płaską, bez wyrazu, lekko błyszczącą. Nawet słabo przeszkolony ekskwizytor mógł jak w księdze czytać ledwie przesłonięte winy. Brutha wydawał się tylko trochę zdyszany, ale w końcu zawsze tak wyglądał. To było fascynujące.

- Nie, panie.
- Dlaczego nie?
- Kwizycja nas ochrania, panie. Tak napisano u Ossory'ego, rozdział VII, wers...

Vorbis przechylił głowę.

- Oczywiście, że tak napisano. Ale nie myślałeś kiedyś, że Kwizycja może się pomylić?

- Nie, panie.

- Ale dlaczego nie?

- Nie wiem dlaczego, panie. Po prostu nigdy nie pomyślałem. Vorbis usiadł przy małym stoliczku, zwykłym blacie umocowanym na zawiasach do kadłuba.

- Masz rację, Brutho - rzekł. - Ponieważ Kwizycja nie może się mylić. Wszystko dzieje się tak, jak Bóg zaplanował. Niemożliwa jest myśl, by świat toczył się w inny sposób, prawda?

Obraz jednookiego żółwia przemknął chłopcu przez głowę.

Brutha nie potrafił kłamać. Sama prawda wydawała się tak niepojęta, że dalsze jej komplikowanie przekraczało jego możliwości.

- Tak nas naucza Septateuch - odparł.

- Gdzie jest kara, tam zawsze musi być zbrodnia - ciągnął dalej Vorbis. — Czasami zbrodnia następuje po karze, co tylko dowodzi zdolności przewidywania Wielkiego Boga.

- Tak zawsze mówiła moja babcia - wtrącił odruchowo Brutha.

- Doprawdy? Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej wspaniałej kobiecie.

- Zwykle spuszczała mi łanie każdego ranka, ponieważ była pewna, że w ciągu dnia zrobię coś zasługującego na karę.

- Najpełniejsze zrozumienie ludzkiej natury... — Vorbis oparł brodę na dłoni. — Gdyby nie przeszkoda, jaką stanowiła jej pleć, z pewnością byłaby znakomitym inkwizytorem.

Brutha pokiwał głową. O tak. Tak, na pewno.

- A teraz... -Vorbis nie zmienił tonu - opowiedz mi, co widziałeś na pustyni.

- Uhm... Najpierw było sześć błysków. Potem przerwa na jakieś pięć uderzeń serca. Potem osiem błysków. I znowu przerwa, i dwa błyski.

Vorbis w zadumie pokiwał głową.

- Trzy czwarte - mruknął. - Wszyscy sławią Wielkiego Boga. On jest moją łaską i przeprowadzi mnie przez wszelkie przeszkody. Możesz odejść.

Brutha nie spodziewał się, że Vorbis mu wytłumaczy, co oznaczały te błyski, i nie miał zamiaru o to pytać. To Kwizycja zadawała pytania. Była z tego znana.

Następnego dnia statek opłynął cypel i otworzyła się przed nim zatoka Efebu. Miasto było białą smugą na horyzoncie, ale czas i odległość z wolna zmieniały je w zbiorowisko oślepiająco białych domów wyrastających na zboczu.

Budziło wyraźne zainteresowanie sierżanta Symonii. Brutha nie zamienił z nim nawet jednego słowa. Fraternizacja między klerem i żołnierzami nie była dobrze widziana; żołnierze roztaczali wokół siebie pewną aurę bezbożności...

Załoga przygotowywała się do lądowania, a Brutha, znowu pozostawiony sam sobie, pilnie obserwował sierżanta. Większość żołnierzy jest trochę niechłujna i ogólnie niegrzeczna wobec niższego kleru. Symonia różnił się od nich. Pomijając wszystko inne, wręcz lśnił. Jego półpancerz aż raził w oczy; skóra sprawiała wrażenie wyszorowanej.

Sierżant stał na dziobie i patrzył, jak miasto zbliża się coraz bardziej. To niezwykle, że opuścił Vorbisa. Na ogół gdzie znalazł się Vorbis, tam stał i sierżant, z dłonią wspartą na mieczu i wzrokiem badającym otoczenie w poszukiwaniu... czego?

I zawsze milczał, chyba że ktoś go o coś zapytał.

Brutha próbował nawiązać rozmowę.

- Wydaje się bardzo... białe, prawda? - zagaił. - Miasto. Bardzo białe. Sierzancie...

Sierzant odwrócił się powoli i spojrzał na chłopca.

Wzrok Vorbisa był straszny. Vorbis patrzył poprzez głowę na ukryte we wnętrzu przewiny; praktycznie nie interesował się człowiekiem, w którym widział tylko naczynie grzechów. Ale wzrok Symonii wyrażał prostą i czystą nienawiść.

Brutha cofnął się.

- Oj... przepraszam - wymamrotał.

Ponury, przeszedł na zaokrąglony koniec statku i starał się schodzić żołnierzowi z drogi.

Zresztą już niedługo pojawią się inni żołnierze...

Efebianie oczekiwali przybyszów. Żołnierze stali szeregiem na nabrzeżu, trzymając broń w taki sposób, że tylko krok dzielił to od obelgi. I było ich wielu.

Brutha włókł się za wszystkimi. Głos żółwia rozbrzmiewał mu w myślach.

- Efebianie chcą pokoju, tak? - mówił Om. - Nie wygląda na to. Nie wygląda, jakbyśmy mieli stawiać warunki pokonanemu wrogowi. Wygląda, jakbyśmy dostali łanie i nie chcieli więcej obrywać. Wygląda, jakbyśmy to my prosili o pokój. Tak to moim zdaniem wygląda.

- W Cytadeli wszyscy mówili, że to było świetne zwycięstwo - odpowiedział Brutha. Odkrył, że może mówić, prawie wcale nie ruszając wargami. Om wyraźnie potrafił wychwycić słowa, gdy tylko dotarły do strun głosowych.

Przed nim Symonia osłaniał Vorbisa i zerkął podejrzliwie na każdego efebiańskiego gwardzistę.

- A wiesz, to zabawne - stwierdził Om. - Zwycięzcy nigdy nie opowiadają o świetnym zwycięstwie. Dlatego że oni właśnie widzą, jak potem wygląda pole bitwy. Tylko przegrani odnoszą świetne zwycięstwa.

Brutha nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie brzmi to jak mowa Boga - zauważył.

- To przez ten żółwi mózg.

- Co takiego?

- Czy ty niczego nie rozumiesz? Ciała to nie tylko poręczne pojemniki, w których można przechować umysł. Forma wpływa na sposób myślenia. To przez tę całą morfologię.

- Co takiego? Om westchnął.

- Jeśli się nie koncentruję, zaczynam myśleć jak żółw.

- Co? To znaczy powoli?

- Nie. Żółwie to cynicy. Zawsze oczekują najgorszego.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Pewnie dlatego że często im się przytrafia.

Brutha rozglądał się z ciekawością. Gwardziści w hełmach z pióropuszcami, które wyglądały jak końskie ogony, maszerowali po obu stronach kolumny. Kilku obywateli Efebu obserwowało ich leniwie z poboczy. Wydawali się zaskakująco podobni do ludzi, a wcale nie do dwunogich demonów.

- To ludzie — zauważył.

- Celujący z antropologii porównawczej.

- Brat Nhumrod mówił, że jedzą ludzkie mięso — przypomniał Brutha. - Na pewno by nie kłamał.

Mały chłopczyk patrzył z zaciekawieniem na Bruthę, pracowicie dłubiąc w nosie. Jeśli był to demon w ludzkiej postaci, był także znakomitym aktorem.

Wzdłuż drogi stały białe kamienne posągi. Brutha nigdy jeszcze nie widział posągów — z wyjątkiem posągów SeptArchów, oczywiście, ale to nie to samo.

- Kim oni są?

- Zaraz... Ten gruby w todze to Tuvelpit, bóg wina. W Tsorcie nazywają go Smimto. A ta baba z fryzurą to Astoria, bogini miłości.

Ma całkiem pusto w głowie. Ten paskudny to Offler, bóg krokodyl. Nie należy do miejscowej ekipy. Pochodzi z Klatchu, ale Efebja-nie usłyszeli o nim i uznali, że to niezły pomysł. Zwróć uwagę na jego zęby. Solidne zęby. Dobre zęby. Potem masz tę z węzowym uczesaniem...

- Mówisz, jakby byli prawdziwi - zwrócił uwagę Brutha.

- Bo są.

- Nie ma innego boga prócz ciebie. Powiedziałeś to Ossory'emu.

- Jak by tu... No wiesz. Trochę przesadzałem. Ale oni wcale nie są tacy porządni. Jest taki, na przykład, który prawie cały czas siedzi i gra na flecie albo goni za pasterkami. Nie nazwałbym tego boskim zachowaniem. Według ciebie to boskie? Ja tak nie uważam.

Droga wiała się powoli zboczem kamienistego wzniesienia. Większą część miasta zbudowano na skale albo wryto w niej, tak że taras jednego domu stanowił dach sąsiedniego. Ulice były właściwie ciągiem niskich stopni, łatwo dostępnych dla ludzi czy osłów, ale zabójczych dla powozów. Efeb był miastem pieszych.

Mieszkańcy obserwowali przybyszów w milczeniu. Podobnie zachowywały się posągi bogów. Efebianie mieli bogów w taki sam sposób, w jaki inne miasta miały szczury.

Brutha spostrzegł wyraz twarzy Vorbisa. Ekskwizytor wpatrywał się nieruchomo przed siebie. Brutha zastanawiał się, co właściwie widzi.

Wszystko było takie niezwykle!

I diabelskie, ma się rozumieć. Co prawda bogowie na postumentach nie przypominali demonów, ale słyszał w myślach głos brata Nhumroda, podkreślający, że to właśnie czyni ich tym bardziej demonicznymi. Grzech skradał się do człowieka niczym wilk w owczej skórze.

Jedna z bogiń miała chyba bardzo poważne problemy z suknią. Gdyby brat Nhumrod tu był, musiałby zaraz odbiec i solidnie poleżeć na posadzce.

- To Petulia, bogini negocjowalnego afektu - wyjaśnił Om. -Czczą ją królowe nocy i każdej innej pory także, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Brutha rozdziawił usta ze zdumienia.

- Mają boginię umalowanych jezebel?

- Dlaczego nie? To bardzo religijne osoby, jak rozumiem. Są przyzwyczajone do... Tyle czasu spędzają patrząc na... Posłuchaj, wiara jest tam, gdzie ją znajdziesz. Specjalizacja. To najbezpieczniejsze, rozumiesz. Niskie ryzyko, pewny przychód. Gdzieś istnieje nawet bóg sałaty. Wiesz, to nie jest tak, że ktoś chciałby koniecznie zostać bogiem sałaty. Po prostu znajdujesz społeczność hodującą sałatę i się jej trzymasz. Bogowie gromu przychodzą i odchodzą, ale to do ciebie ludzie zwracają się za każdym razem, kiedy nastąpi ostry atak muszek sałatowych. Trzeba to, no... przyznać Petulii: zauważyła lukę na rynku, więc ją zajęła.

- Naprawdę istnieje bóg sałaty?

- Dlaczego nie? Jeśli dostatecznie wielu uwierzy, możesz być bogiem czegokolwiek...

Om urwał i niespokojnie czekał, czy Brutha coś zauważy. Ale chłopiec miał myśli zaprzątnięte czym innym.

- To nie w porządku. Nie wolno tak traktować ludzi. Aj!

Wpadł subdiakonowi na plecy. Grupa zatrzymała się, po części dlatego, że zatrzymała się też eskorta, jednak głównie z powodu człowieka biegnącego ulicą.

Był to dość stary mężczyzna, który pod wieloma względami przypominał suszoną przez dłuższy czas żabę. Coś w jego zachowaniu przywołało na myśl słowo „dziarski”, choć w tej chwili przychodziły do głowy raczej słowa „całkiem goły”, a możliwe, że również „ociekający wodą”. Te określenia także byłyby w stu procentach ściste. Co prawda człowiek miał jeszcze brodę - brodę, w której można by rozbić obóz.

Przebiegł ulicą, wyraźnie nie czując żadnego skrępowania. Zatrzymał się przy warsztacie garncarza. Garncarz wcale się nie przejął, że zwraca się do niego nagi, mokry mężczyzna; zresztą większość przechodniów także nie zwracała na niego uwagi.

- Poproszę garnek numer dziewięć i kawałek sznurka - zażądał starszy mężczyzna.

- Oczywiście, panie Legibusie. - Garncarz sięgnął pod ladę i wyjął ręcznik.

Nagi mężczyzna wziął go odruchowo. Brutha miał wrażenie, że takie rzeczy zdarzały się już im obu.

- I jeszcze dźwignię nieskończonej długości oraz, hm, nieruchomy punkt podparcia - dokończył Legibus, wycierając się ręcznikiem.

- Mam tylko to, co pan widzi, panie Legibusie. Garnki i artykuły gospodarstwa domowego. Nie handluję mechanizmami aksjo-matycznymi.

- A masz chociaż kawałek kredy?

- Został mi z poprzedniego razu.

Nagi Legibus chwycił kredę i zaczął na najbliższym murze rysować trójkąty. Nagle spojrzał w dół.

- Dlaczego nie mam ubrania? - zapytał.

- Pewnie znowu się kąpaliśmy, co?

- I zostawiłem ubranie w wannie?

- Myślę, że pewnie w kąpieli wpadł pan na jakiś pomysł - odpowiedział garncarz.

- Zgadza się! Zgadza! - ucieszył się Legibus. - Miałem doskonały pomysł, jak przesunąć świat! Prosta zasada dźwigni. Powinno doskonale działać. Trzeba tylko dopracować drobne szczegóły techniczne.

- To miło. Moglibyśmy zimą przenieść świat w jakieś cieplejsze miejsce.

- Mogę pożyczyć ręcznik?

- Przecież jest pański, panie Legibusie.

- Naprawdę?

- Mówiłem już, został z poprzedniego razu. Pamięta pan? Wymyślił pan wtedy coś z latarnią morską.

- Świetnie. Świetnie. - Legibus owinał się ręcznikiem. Potem dorysował jeszcze kilka linii na murze. - Później przyślę kogoś, żeby zabrał mur.

Odwrócił się i chyba dopiero teraz zauważył Omnian. Wytrzeszczył oczy, a po chwili wzruszył ramionami.

- Hm... - mruknął i odszedł.

Brutha pociągnął za tunikę jednego z efebiańskich żołnierzy.

- Przepraszam, ale dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Filozofowie mają prawo pierwszeństwa - odparł żołnierz.

- A kto to jest filozof? - zdziwił się Brutha.

- Ktoś dostatecznie mądry, żeby znaleźć sobie pracę nie wymagającą dźwigania ciężarów - wyjaśnił głos w jego głowie.

- To niewierny, szukający sprawiedliwej kary, która go z pewnością nie minie - rzekł Vorbis. - Wynalazca oszukańczych idei. To przekłete miasto przyciąga ich niczym gnój muchy.

- Tak naprawdę chodzi o klimat — odezwał się głos żółwia. -Zastanów się. Jeśli masz skłonność, żeby wyskakiwać z wanny i biegać goły po ulicy za każdym razem, kiedy wpadniesz na jakiś pomysł, nie chciałbyś tego robić tam, gdzie jest zimno. A gdybyś próbował tam, gdzie jest zimno, to byś wyginął. Tak działa dobór naturalny. Efeb znany jest ze swoich filozofów. Są lepsi niż uliczne teatry.

-Jak to? Gromada staruszków biegających po ulicach bez ubrania? — wymruczał pod nosem Brutha, kiedy poprowadzono ich dalej.

- Mniej więcej. Jeśli przez cały czas myślisz o wszechświecie, to często zapominasz o jego mniej ważnych kawałkach. Na przykład o spodniach. A dziewięćdziesiąt dziewięć z każdych stu pomysłów, jakie im przychodzą do głowy, jest zupełnie bezużyteczne.

- To dlaczego nie zamknie ich się w bezpiecznym miejscu? Nie wiem, do czego mogą się przydać.

- Ponieważ ten setny pomysł jest zwykle powalający.

-Co?

- Popatrz na tę wieżę na szczycie.

Brutha spojrzał w górę. Na czubku wieży, zamocowany metalowymi pasami, stał wielki dysk błyszczący w promieniach słońca.

- Co to jest? - szepnął.

- Przyczyna, dla której Omnia nie ma już właściwie floty - wyjaśnił Om. - Właśnie dlatego zawsze warto mieć pod ręką paru filozofów. W jednej chwili kłóć się, czy Prawda to Piękno i czy Piękno jest Prawdą albo czy drzewo padające w lesie robi hałas, kiedy nie ma tam nikogo, kto by je słyszał, i kiedy myślisz, że zaraz zaczną się ślinić, któryś powiada: „A tak nawiasem mówiąc, gdyby postawić gdzieś wysoko trzydziestostopowe zwierciadło paraboliczne, żeby odbijało światło słoneczne na okręty nieprzyjaciela, uzyskalibyśmy ładną demonstrację zasad optyki”. Filozofowie zawsze mają nowe pomysły. Poprzednio było jakieś skomplikowane urządzenie, które wyjaśniało zasady działania dźwigni, a przy okazji ciskało na dwie mile kule płonącej siarki. A jeszcze wcześniej zdaje się coś podwodnego, co wystrzeliwało zaostrome belki w dna okrętów.

Brutha raz jeszcze spojrzał na lśniący dysk. Zrozumiał najwyżej trzecią część słów ostatniej wypowiedzi.

- I co? - zapytał. - Robi?

- Co robi?

- Czy robi hałas? Jeśli pada w miejscu, gdzie nikogo nie ma?

- A kogo to obchodzi?

Cała grupa dotarła do bramy w murze otaczającym cały szczyt wzgórza w taki sam sposób, jak opaska otacza głowę. Kapitan efebiańskiej gwardii obejrzał się.

- Nasi... goście... muszą zasłonić oczy - oznajmił.

- To skandal! - zaprotestował Vorbis. - Przybywamy w misji dyplomatycznej.

- Nie moja sprawa — odparł gwardzista. — Moją sprawą jest powiedzieć: Jeśli chcecie przejść przez tę bramę, to przejdziecie z opaskami na oczach. Nie musicie zakładać opasek. Możecie zostać na zewnątrz. Ale jeżeli chcecie przejść, musicie nosić opaski. To jeden z tych życiowych wyborów.

Któryś z subdiakonów szepnął coś Vorbisowi do ucha. Ekskwizytor zamienił kilka słów *sotto voce* z dowódcą omniańskiej eskorty.

- Dobrze - zgodził się wreszcie. - Ale zgłaszamy protest.

Opaska na oczy była miękka i całkiem nieprzejrzysta. Ale kiedy prowadzono Bruthę...

...dziesięć kroków korytarzem, pięć kroków w lewo, potem po przekątnej do przodu i w lewo trzy i pół kroku, w prawo sto trzy kroki, trzy schodki w dół, siedemnaście i ćwierć obrotu, naprzód dziewięć kroków, jeden krok w lewo, naprzód dziewiętnaście kroków, przerwa trzy sekundy, dwa kroki w prawo, dwa kroki w tył, dwa kroki w lewo, trzy i pół obrotu, przerwa jedną sekundę, trzy schodki do góry, w prawo dwadzieścia kroków, pięć i ćwierć obrotu, w lewo piętnaście kroków, naprzód siedem kroków, w prawo osiemnaście kroków, siedem schodków w górę, po przekątnej naprzód, przerwa dwie sekundy, w prawo cztery kroki i trzydzieści kroków w dół po pochylni obniżającej się o krok na każdym dziesięciu krokach, potem siedem i pół obrotu i sześć kroków naprzód...

...zastanawiał się, czemu właściwie ma to służyć.

Opaskę zdjęto mu na otwartym dziedzińcu wybrukowanym jakimiś białymi kamieniami, które w słońcu błyszczały oślepiająco.

Brutha zamrugał. Wokół dziedzińca stali łucznicy. Strzały na cięciwach skierowane były w dół, ale coś w postawie żołnierzy sugerowało, że skierowanie ich poziomo może nastąpić w każdej chwili.

Czekał na nich kolejny łysy człowieczek. Efeb dysponował chyba niewyczerpanymi zapasami chudych, łysych staruszków ubranych w prześcieradła. Ten uśmiechnął się na powitanie - samymi wargami.

Nikt nas tutaj nie lubi, pomyślał Brutha.

- Mam nadzieję, że wybaczyście nam tę drobną niewygodę - odezwał się chudy człowieczek. - Nazywam się Arystokrates. Jestem sekretarzem tyrana. Poproście waszych ludzi, żeby złożyli broń.

Vorbis wyprostował się. Był o głowę wyższy od Efebiana, i choć normalnie blade, teraz pobrał jeszcze bardziej.

- Mamy prawo zatrzymać broń! - oświadczył. - Jesteśmy emisariuszami w obcym kraju!

- Ale nie barbarzyńskim - odparł spokojnie Arystokrates. - Broń nie będzie wam potrzebna.

- Nie barbarzyńskim? Spaliliście nasze okręty. Arystokrates uniósł dłonie.

- To temat do późniejszej dyskusji - rzekł. - Moim miłym zadaniem jest teraz odprowadzić was na kwatery. Z pewnością chcielibyście odpocząć trochę po długiej podróży. Oczywiście, macie prawo spacerować po pałacu, gdzie tylko zechcecie. Jeśli traficie w miejsce, gdzie wolelibyśmy, żebyście nie spacerowali, strażnicy powiadomią was o tym szybko i taktownie.

- Czy możemy opuszczać pałac? - zapytał lodowatym tonem Vorbis.

Arystokrates wzruszył ramionami.

- Nie pilnujemy bram, chyba że podczas wojny. Jeśli zapamiętaliście drogę, możecie z niej korzystać. Muszę jednak was ostrzec, że bezcelowe wędrówki po labiryncie nie są rozsądne. Nasi przodkowie, co stwierdzam ze smutkiem, byli wyjątkowo podejrzliwi i umieścili tam liczne pułapki. Dbamy, by były sprawne, napięte i nasmarowane, wyłącznie z szacunku dla tradycji, ma się rozumieć. A teraz, jeśli zechcecie pójść za mną...

Omnianie trzymali się razem, podążając za Arystokratesem przez korytarze pałacu. Były tu fontanny. Były ogrody. Tu i tam siedziały grupki ludzi nie zajęte niczym szczególnym prócz rozmowy. Efebianie chyba niezbyt jasno pojmowali różnicę między wnętrzem i zewnątrz - z wyjątkiem otaczającego pałac labiryntu, który określał ją niezwykle wyraźnie.

— Niebezpieczeństwo czyha na nas w każdym zakątku - oznajmił spokojnie Vorbis. - Każdy, kto opuści szyk czy spróbuje nawiązać jakiekolwiek kontakty, wytłumaczy się ze swego zachowania przed inkwizytorami. Szczegółowo.

Brutha spojrział na kobietę napełniającą dzban ze studni. Nie wyglądało to na działanie militarne.

Znowu ogarnęło go dziwne uczucie rozdwojenia. Na powierzchni umysłu krążyły myśli dokładnie takie, jakie aprobowałyby Cytadela: znalazł się w gnieździe niewiernych i grzeszników, sama jego zwyczajność jest tylko zasłoną dla pułapek nieprawomyślności i herezji. Owszem, wydaje się zalane słońcem, ale w rzeczywistości panuje tu mrok.

Poniżej jednak przebiegały myśli Bruthy, obserwującego Bruthę od wewnątrz...

Vorbis tu nie pasował - surowy i ostry. A każde miasto, gdzie garncarze nie przejmowali się, kiedy nadzy, mokrzy staruszkowie przybiegali rysować trójkąty na ścianie warsztatu, było miejscem, które Brutha chciałby poznać lepiej. Czuł się jak wielki pusty dzban. A rozsądek nakazuje puste obiekty napełniać.

- Czy ty mi to robisz? - szepnął.

Om w koszu spojrział na kształt umysłu Bruthy. Potem zastanowił się szybko.

- Nie - odpowiedział i to przynajmniej była prawda.

Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło? Czy tak to wyglądało za pierwszych dni? Chyba tak. Wszystko teraz przesłaniała mgła. Nie pamiętał swoich myśli z tamtych czasów, jedynie kształty myśli. Wszystko było bardzo kolorowe, codziennie rosło... On sam rósł każdego dnia. Myśli i umysł, w którym powstawały, rozwijały się z tą samą szybkością. Łatwo zapomnieć te dni. To tak jakby ogień starał się zapamiętać kształt swych płomieni. Ale uczucie... tak, uczucia pamiętał.

Niczego chłopcu nie zrobił. Brutha sam to sobie uczynił. Brutha zaczął myśleć na sposób boski. Brutha powoli stawał się prorokiem.

Om chciałby spotkać kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Kogoś, kto rozumie.

Ale przecież znalazł się w Efebie. Tutaj ludzie żyją z tego, że starają się zrozumieć...

Omnian zakwaterowano w niewielkich pokojach wokół głównego dziedzińca. Pośrodku, w maleńkim zagajniku słodko pachnących sosenek tryskała fontanna. Żołnierze poszturchiwali się porozumiewawczo. Ludzie sądzą, że żołnierze często myślą o walce, ale prawdziwi zawodowi żołnierze o wiele częściej myślą o jedzeniu i ciepłym miejscu do spania, ponieważ te dwie rzeczy na ogół trudne są do zdobycia, podczas gdy walka pojawia się zwykle sama i aż za często.

W celi Bruthy na stole stała misa z owocami i taca zimnego mięsa. Chłopak najpierw jednak zadbał o to, co najważniejsze - wyjął Boga z koszyka.

- Mamy owoce - oznajmił. - Co to są te jagody?

- Winogrona - poinformował Om. - Surowiec na wino.

- Wymieniłeś już raz to słowo. Co ono oznacza? Z zewnątrz dobiegło wołanie.

- Brutha!

- To Vorbis. Muszę iść. Vorbis stał pośrodku swej celi.

- Jadłeś coś? - zapytał.

- Nie, panie.

- Owoce i mięso, Brutho. A przecież mamy dzień postu. Chcą nas znieważyć!

- Uhm... Może nie wiedzą, że to dzień postu? - zasugerował Brutha.

- Ignorancja sama w sobie jest grzechem - rzekł Vorbis.

- Ossory VII, wers 4 - dodał odruchowo Brutha. Vorbis uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- Jesteś chodzącą księgą, Brutho. *Septateuch perambulatus*.

Brutha spuścił głowę i wbił wzrok w swoje sandały. Ma rację, pomyślał. A przecież zapomniałem. A przynajmniej nie chciałem pamiętać.

I zaraz usłyszał echo własnych myśli: to tylko owoce, mięso i chleb, nic więcej. Dni postu i dni świąteczne, Dni Proroków i dni chlebowe... Kogo to obchodzi? Boga, który w kwestii jedzenia martwi się tylko o to, żeby było dostatecznie nisko i mógł go dosięgnąć?

Wolałbym, żeby ekswizytor przestał mnie poklepywać po ramieniu.

Vorbis odwrócił się.

- Czy mam przypomnieć pozostałym? — spytał Brutha.

- Nie. Wyświęceni bracia nie potrzebują przypomnienia, a co do żołnierzy... Tak daleko od domu dopuszczalna jest może pewna swoboda.

Brutha wrócił do swojej celi.

Om wciąż stał na stole i wpatrywał się w melon.

- Niewiele brakowało, a popełniłbym straszny grzech - wyznał chłopiec. - Chciałem zjeść owoc w dniu bezowocowym.

- To straszny, straszny występki - zgodził się z roztargnieniem Om. - A teraz pokrój melon.

- Ale to zakazane!

- Wcale nie. Pokrój.

- Przecież spożycie owocu wywołało namiętność do podboju świata.

- Wywołało najwyżej wzdęcie. Pokrój melon.

- Kusisz mnie! - zawołał chłopiec.

- Ależ skąd. Daję ci zezwolenie. Specjalną dispensę. Pokrój ten przekłety melon!

- Jedynie biskup lub ktoś wyższy od niego ma prawo udzielić... - zaczął Brutha i urwał.

Om spojrzał na niego z irytacją.

- Otóż to. Właśnie - powiedział. - A teraz pokrój melon. - Złagodniał nieco. - Jeśli poczujesz się od tego lepiej, oznajmię, że to chleb. Tak się składa, że jestem Bogiem. Mogę go nazwać, jak mi się spodoba. To jest chleb. W porządku? A teraz wreszcie pokrój ten melon.

- Bochenek - poprawił go Brutha.

- Rzeczywiście. I daj mi kawałek bez pestek. Brutha ostrożnie spełnił polecenie.

- Sam też jedz, byle szybko - nakazał Om.

- Zanim Vorbis nas znajdzie?

- Nie. Bo musisz poszukać jakiegoś filozofa. - Fakt, że Om gryzł owoc, nie wpływał na brzmienie jego głosu w głowie Bruthy. - Wiesz, na pustkowiu nie rosną melony. W każdym razie nie takie duże jak te, tylko małe i zielone. Z łupiną jak podeszwa. Nie mogłem się przez nią przegryźć. Przez całe lata jadłem wyplute przez kozy liście, tuż obok rosnących melonów. Melony powinny mieć cieńszą skórę. Pamiętaj o tym.

- Szukać filozofa?

- Tak. Kogoś, kto potrafi myśleć. Kto mi pomoże przestać być żółwiem.

- Ale... Vorbis może mnie szukać.

- Idziesz na przechadzkę. Żaden problem. I spiesz się. W Efebie są inni bogowie. Nie chcę się teraz z nimi spotykać. Nie kiedy tak wyglądam.

Brutha rozejrzał się nerwowo.

- Ale jak znaleźć filozofa? - zapytał.

- W tym mieście? Moim zdaniem wystarczy rzucić kamieniem.

Labirynt w Efebie jest starożytny i pełen stu jeden sztuczek, jakie można wykonać z ukrytymi sprężynami, ostrymi jak brzytwy nożami i spadającymi głazami. I nie ma jednego przewodnika, ale sześciu, a każdy zna drogę przez jedną szóstą część labiryntu. Co roku odbywa się specjalny turniej, w którym dokonują niewielkiej przebudowy. Konkurują ze sobą, który potrafi uczynić swoją część groźniejszą od pozostałych dla przypadkowego wędrowca. Panel sędziowski przyznaje skromną nagrodę.

Największa odległość, jaką ktokolwiek pokonał w labiryncie bez przewodnika, wynosi dziewiętnaście kroków. Mniej więcej -jego głowa potoczyła się na dalsze siedem kroków, ale to się chyba nie liczy.

W każdym punkcie zmiany znajduje się niewielka komnata bez żadnych pułapek. Jest w niej tylko mały spiżowy dzwonek. To poczekalnia, gdzie goście są przekazywani następnemu przewodnikowi. Tu i tam, wysoko w sklepieniu, nad co bardziej pomysłowymi pułapkami umieszczono otwory obserwacyjne, ponieważ strażnicy -jak każdy - lubią się pośmiać.

Cały ten wysiłek marnował się w przypadku Bruthy, który maszerował spokojnie przez tunele i korytarze, właściwie wcale się nie zastanawiając. W końcu pchnął wrota i znalazł się pod gołym niebem.

W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Ćmy fruwały w półmroku.

- Jak wyglądają filozofowie? - zapytał Brutha. - To znaczy kiedy nie biorą kąpieli?

- Oni dużo myślą - odparł Om. - Szukaj kogoś ze skupionym wyrazem twarzy.

- Może mieć kłopoty z żołądkiem.

- Jeśli tylko podchodzi do tego filozoficznie...

Otoczyło ich miasto Efeb. Szczekały psy. Gdzieś wrzasnął kot. Wokół rozbrzmiewały ciche, spokojne odgłosy świadczące, że dookoła wielu ludzi przeżywa swoje życie.

Nagle otworzyły się jakieś drzwi i rozległ się trzask sporej amfory rozbijanej na czyjejs głowie.

Chudy staruszek w todzie podniósł się z chodnika, gdzie wyładował, i gniewnie spojrzał na drzwi.

- Mówię wam, i lepiej słuchajcie, że skończony intelekt, jasne, nie może drogą porównania osiągnąć absolutnej prawdy rzeczy, ponieważ, będąc z natury swej niepodzielna, prawda wyklucza koncepcje „mniej” i „więcej”, tak że nic prócz samej prawdy nie może być ścisłą miarą prawdy. Wy dranie! - dokończył.

- Tak? To ty tak uważasz - odpowiedział mu ktoś z wnętrza.

Staruszek nie zwracał uwagi na Bruthę. Z wysiłkiem wyrwał z bruku kamień i zważył go w dłoni, po czym skoczył z powrotem przez drzwi. Rozległ się zduszony krzyk wściekłości.

- Aha. Filozofia - stwierdził Om.

Brutha ostrożnie zajrzał do środka.

Wewnątrz dwie prawie identyczne grupy mężczyzn w togach próbowały powstrzymać dwójkę swoich kolegów. Ta scena powtarza się miliony razy dziennie w barach całego multiwersum - obaj niedoszli walczący wykrzywiają się i warczą na siebie oraz usiłują wyrwać się przyjaciółom. Tyle że oczywiście próbują nie za

mocno. Nie ma bowiem nic gorszego niż udane wyrwanie się z uścisku i znalezienie pośrodku kręgu, naprzeciwno szaleńca, który zamierza wałnąć człowieka kamieniem między oczy.

- Tak jest - stwierdził Om. - To filozofia. Zgadza się.

- Przecież oni się biją!

- Burzliwa i swobodna wymiana poglądów.

Teraz, kiedy Brutha zdążył się przyrzeć, zauważył kilka różnic między dwójką awanturników. Jeden z nich miał krótszą brodę, był czerwony na twarzy i oskarżycielsko groził palcem.

- Przecież, do licha, on mnie oskarżył o kłamstwo!

- Wcale nie! - krzyknął jego przeciwnik.

- Tak! Oskarżyłeś! Powtórz im, co powiedziałeś!

- Sugerowałem tylko, by wykazać naturę paradoksu, rozumiecie, że gdyby Xenon z Efebu powiedział „Wszyscy Efebianie są kłamcami”...

- Słyszycie? Słyszycie? Znowu zaczyna!

- Nie, nie! Słuchajcie! Wtedy, ponieważ Xenon sam jest Efebianinem, wynikałoby z tego, że sam jest kłamcą, a zatem...

Xenon podjął rozpaczliwą próbę uwolnienia się. Pociągnął za sobą po podłodze czterech innych filozofów.

- Tego już za wiele, kolego!

- Przepraszam bardzo - odezwał się Brutha. Filozofowie znieruchomieli.

Potem wszyscy spojrzeli na chłopca. Zabrzniał chór zakłopotanych chrząknięć.

- Czy jesteście filozofami?

Ten, którego nazywali Xenonem, wystąpił naprzód i poprawił fałdy togi.

- Istotnie - zapewnił. - Jesteśmy filozofami. Myślimy, więc jestem.

- Jesteśmy - poprawił odruchowo twórca paradoksów. Xenon obejrzał się gwałtownie.

- Mam cię już potąd, lbidzie! - huknął. Po czym zwrócił się znowu do Bruthy. - Jesteśmy, więc jestem - stwierdził pewnym głosem. - Tak, teraz dobrze.

Kilku filozofów spojrzało na niego, wyraźnie zaintrygowanych.

- To rzeczywiście całkiem interesujące - rzekł jeden z nich. - Dowodem naszego istnienia jest sam fakt naszego istnienia. To chciałeś powiedzieć?

- Zamknij się - rzucił Xenon, nie odwracając głowy.

- Czy wyście się bili? - spytał Brutha.

Zgromadzeni filozofowie przybrali na twarze rozmaite wyrazy zdumienia i grozy.

- Biliśmy się? My? Jesteśmy filozofami - oświadczył wstrząśnięty lbid.

- Z ust mi to wyjąłeś - poparł go Xenon.

- Ale przecież... - zaczął Brutha. Xenon machnął ręką.

- Zwykła walka na argumenty, jak to w dyskusji.

- Teza plus antyteza równa się histereza — stwierdził lbid. — Surowe testowanie wszechświata. Miot intelektu na kowadle fundamentalnych prawd...

- Zamknij się — przerwał mu Xenon. - Co możemy dla ciebie zrobić, młody człowieku?

- Zapytaj ich o bogów — odpowiedział Om.

- Tego... Chciałbym dowiedzieć się czegoś o bogach — powiedział Brutha.

Filozofowie spojrzeli po sobie.

- O bogach? - powtórzył Xenon. - Nie zajmujemy się bogami. Relikty przestarzałego systemu wierzeń, ot co. Grom przetoczył się po wieczornym niebie.

- Z wyjątkiem Ślepego Io, boga gromu - ciągnął Xenon, prawie nie zmieniając

tonu.

Błyskawica przecięła niebo za oknem.

- I Cubala, boga ognia - dodał Xenon. Podmuch wiatru zastukał okiennicą.

- Flatulus, bóg wiatru, też jest w porządku - dodał Xenon. Strzała zmaterializowała się w powietrzu i wbiła w stół obok dłoni Xenona.

- No i Fedecks, posłaniec bogów, jeden z najlepszych w swojej klasie - dodał Xenon.

Ptaka stanął w progu. A w każdym razie przypominał ptaka. Miał około stopy wysokości, był czarno-biały, z zakrzywionym dziobem i wzrokiem sugerującym, że czegokolwiek bał się najbardziej, już mu się przytrafiło.

- Co to jest? - zdziwił się Brutha.

- Pingwin - wyjaśnił głos Oma w jego głowie.

- Patina, bogini mądrości? Jedna z najznakomitszych - dodał Xenon.

Pingwin kraknął na niego i poczłapał w mrok. Filozofowie wydawali się bardzo zakłopotani.

- Foorgol, bóg lawin? - zaproponował Ibid. - Jak daleko jest do linii wiecznego śniegu?

- Dwieście mil - odpowiedział ktoś. Czekali. Nic się nie stało.

- Relikty przestarzałego systemu wierzeń - stwierdził Xenon. Nad Efebem nie wyrosła ściana lodowatej białej śmierci.

- Zwykle bezmyślne personifikacje sił naturalnych - oświadczył któryś z filozofów nieco głośniejszym głosem.

Wszyscy wyraźnie poczuli się lepiej.

- Prymitywny kult natury.

- Niewart nawet miedziaka.

- Ha! Sprytny wymysł, bajki dla straszenia słabych i głupich. Słowa same wezbrały w gardle Bruthy. Nie zdołał ich powstrzymać.

- Czy tu zawsze jest tak zimno? - zapytał. - Bardzo się chyba ochłodziło, kiedy tu szedłem.

Filozofowie zgodnie odsunęli się od Xenona.

- Chociaż jedno trzeba Foorgolowi przyznać - rzekł Xenon. - Jest bardzo tolerancyjny. I lubi żarty jak wszyscy... ludzie.

Rozejrzał się nerwowo. Po chwili filozofowie uspokoili się i chyba całkiem o chłopcu zapomnieli.

Dopiero teraz miał czas, żeby przyjrzeć się pomieszczeniu. Nigdy jeszcze nie widział tawerny, a do niej właśnie trafił. Wzdłuż ściany biegła lada, za nią typowe wyposażenie efebiańskiego baru: dzbanki wina na półkach, stojaki z amforami oraz kolorowe obrazki dziewcząt ze świątyni na pudełkach solonych orzeszków i pasków suszonego mięsa, przypięte do ściany w nadziei, że istnieją na świecie ludzie, którzy będą łakomie kupować wciąż więcej i więcej orzeszków, choć nie mają na nie ochoty, żeby tylko popatrzeć na kartonowe sutki.

- Co to jest? - szepnął Brutha.

- Skąd mogę wiedzieć? - burknął Om. - Wyjmij mnie, to zobaczę. Brutha odpiął klapę koszyka i podniósł żółwia. Zaropiałe oko zbadało otoczenie.

- Aha. Typowa tawerna. Dobrze. Dla mnie spodeczek tego, co oni piją.

- Tawerna? Miejsce, gdzie spożywa się alkohol?

- Owszem. Mam głęboką nadzieję, że tak właśnie jest.

- Ale... Ale... Septateuch nie mniej niż siedemnaście razy nakazuje nam bardzo wyraźnie, by powstrzymać się od...

- Nie mam bladego pojęcia dlaczego — zapewnił Om. — Widzisz tego

człowieka, który wyciera kubki? Powiesz mu: Podaj mi...

- Ale to otumania ludzki umysł, jako rzecz prorok Ossory. I...

- Powtórzę to jeszcze raz: niczego takiego nie mówiłem! A teraz zagadaj do niego!

W rzeczywistości to ów człowiek zagadał do Bruthy. Pojawił się magicznie po drugiej stronie blatu, wciąż wycierając kubek.

- Dobry wieczór panu — powiedział. - Co podać?

- Chciałbym napić się wody — oświadczył z naciskiem Brutha.

- Może coś dla żółwia?

- Wina! - zawołał głos Oma.

- Nie wiem... A co normalnie piją żółwie?

- Te, które tu mieszkam, na ogół piją trochę mleka z wrzuconym kawałkiem chleba - odparł barman.

- Ma pan dużo żółwi? - zapytał Brutha głośno, by zagłuszyć pełne oburzenia krzyki Oma.

- Och, taki przeciętny żółw to bardzo użyteczne zwierzę filozoficzne. Wyprzedza metaforyczne strzały, pokonuje w biegu zające... Przydaje się.

- Tylko... ja nie mam pieniędzy - wyznał chłopiec. Barman pochylił się.

- Coś ci powiem - szepnął. - Declivities właśnie stawiał kolejkę. Nie będzie miał pretensji.

- Chleb i mleko?!

- Ojej... Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Różni się tu trafiają. — Barman znów się wyprostował. - Stoicy. Cynicy. O, cynicy to lubią wypić. Epikurejczycy. Stochastycy. Anamaksandryci. Epistemologisci. Perypatetycy. Synoptycy. Różni. Zawsze to powtarzam. Zawsze powtarzam, że... - Sięgnął po następny kubek i zaczął go wycierać. — Różnych potrzeba, żeby stworzyć świat.

- Chleb i mleko! - krzyczał Om. - Poczujesz na sobie mój gniew, jasne? A teraz spytaj go o bogów!

- Niech mi pan powie — poprosił Brutha, sącząc z kubka wodę - którzy z nich wiedzą coś o bogach.

- Do takich spraw potrzebujesz kapłana.

- Nie, chodzi mi o... o to, czym są bogowie... w jaki sposób powstał... takie sprawy - wyjaśnił Brutha, usiłując opanować styl konwersacji barmana.

- Bogowie nie lubią takich spraw. Zdarzają się tutaj, kiedy ktoś wypił o parę za dużo: kosmiczne spekulacje o tym, czy bogowie naprawdę istnieją. A zaraz przez dach uderza błyskawica z przyczepioną karteczką „Tak, istniejemy” i para dymiących sandałów. Zostaje. Takie sprawy odbierają cały urok rozważaniom metafizycznym.

- I jeszcze chleb nieświeży - wymamrotał Om z nosem zanurzonym w mleku.

- Nie, ja wiem, że bogowie istnieją. To oczywiste - zapewnił pośpiesznie Brutha. - Chciałem się tylko więcej o... o nich dowiedzieć. Barman wzruszył ramionami.

- W takim razie będę zobowiązany, jeśli staniesz z daleka od cennych rzeczy. Zresztą - dodał po namyśle - za sto lat i tak będzie wszystko jedno.

- Czy pan też jest filozofem?

- Po jakimś czasie człowiek uczy się tego i owego.

- To mleko jest do niczego - stwierdził Om. - Podobno w Efebii panuje demokracja. W takim razie to mleko powinno mieć prawo głosu.

- Nie wydaje mi się, żebym znalazł tu to, czego szukam. - Brutha westchnął. - Ale... panie sprzedawco napojów...

- Słucham?

- Co to był za ptak, który tu wszedł, kiedy wymieniono boginię... - Brutha smakował obce słowo - ...boginię mądrości?

- To pewien kłopot - wyznał barman. - Wstydliva sprawa.

- Nie rozumiem.

- To był pingwin.

- Rozumiem, że to mądry ptak.

- Nie, nie za bardzo. Nie słynie z mądrości. To drugi najbardziej ogłupiały ptak na świecie. Podobno umie latać tylko pod wodą.

- Więc dlaczego...

- Nie lubimy o tym mówić - oświadczył barman. - To irytuje mieszkańców.

Przekłęty rzeźbiarz - dodał pod nosem.

Na drugim końcu baru filozofowie znowu zaczęli bójkę. Barman pochylił się znowu.

- Jeżeli nie masz pieniędzy - szepnął - nie sądzę, żebyś znalazł tu kogoś, kto ci pomoże. Rozmowa w tych stronach nie jest tania.

- Przecież oni tylko... - zaprotestował Brutha.

- Przede wszystkim mają spore wydatki na mydło i wodę. Ręczniki. Myjki. Gąbki. Pumeks. Sole kąpielowe. Kiedy to wszystko dodasz...

Ze spodeczka rozległ się cichy bulgot. Biała od mleka głowa Oma zwróciła się w stronę Bruthy.

- W ogóle nie masz pieniędzy? - zapytał Bóg.

-Nie.

- Tak czy tak, musimy *znaleźć* filozofa - oznajmił twardo żółw. -Ja nie mogę myśleć, a ty nie wiesz jak. Musimy poszukać kogoś, kto robi to bez przerwy.

- Oczywiście, mógłbyś spróbować u starego Didactylosa - powiedział barman.

- Jest chyba najtańszy w okolicy.

- Nie używa drogiego mydła? - domyślił się Brutha.

- Można chyba stwierdzić, nie obawiając się sprzeczności, że nie używa mydła w ogóle i w żaden sposób.

- Aha. No tak. Dziękuję.

- Zapytaj, gdzie on mieszka - rozkazał Om.

- Gdzie mogę spotkać pana Didactylosa? - spytał Brutha.

- Na pałacowym dziedzińcu. Obok wejścia do biblioteki. Nie można go nie zauważyć. Nos ci wskaże drogę.

- Właśnie przychodzimy... - zaczął Brutha, ale wewnętrzny głos doradził, żeby nie kończył tego zdania. - Chyba już pójdziemy.

- Nie zapomnij swojego żółwia. Nieźle można sobie takim podjeść - poradził barman.

- Niech całe twoje wino zmieni się w wodę! - wrzasnął Om.

- Zmieni się? - spytał Brutha, kiedy wyszli już w mrok nocy.

-Nie.

- Mógłbyś mi jeszcze raz wytłumaczyć, po co nam filozof?

- Chcę odzyskać swoją moc - odparł krótko Om.

- Przecież wszyscy w ciebie wierzą!

- Gdyby we mnie wierzyli, mogliby do mnie mówić. Ja mógłbym do nich mówić. Nie wiem, co się popsło. Przecież nikt w Omni nie wyznaje innych bóstw, prawda?

- Nikt by mu nie pozwolił - zapewnił Brutha. - Kwizycja by tego dopilnowała.

- No tak. Trudno jest klęczeć, jeśli nie masz kolan. Brutha przystanął na pustej

ulicy.

- Nie rozumiem cię!

- I nie powinienes. Drogi bogów niepojęte są dla ludzi śmiertelnych.

- Kwizycja chroni nas przed zboczeniem ze ścieżki prawdy! Kwizycja pracuje na większą chwałę Kościoła!

- A ty w to wierzysz? - mruknął żółw.

Brutha zastanowił się i odkrył, że dotychczasowa pewność gdzieś zniknęła. Otworzył usta i zamknął je, ponieważ nie znalazł słów, które mógłby wypowiedzieć.

- Chodźmy - odezwał się Om tonem tak łagodnym, jak tylko potrafił. - Wracajmy.

Om zbudził się w środku nocy. Z łóżka Bruthy dobiegały jakieś ciche dźwięki. Chłopak znowu się modlił.

Om nasłuchiwał z ciekawością. Pamiętał modlitwy. Kiedyś było ich mnóstwo, tak wiele, że nie potrafił odróżnić żadnej z nich, choćby nawet przyszła mu ochota. To zresztą nie miało znaczenia; liczył się tylko potężny, kosmiczny szelest tysięcy rozmodlonych, wierzących umysłów. Słów i tak nie warto było słuchać.

Ludzie! Żyją w świecie, gdzie trawa wciąż jest zielona, gdzie codziennie wschodzi słońce, a kwiaty regularnie zmieniają się w owoce. A co im imponuje? Płaczące posągi. Zamiana wody w wino. Zwykły kwantowy efekt tunelowy, który i tak by się zdarzył, gdyby tylko ktoś zechciał poczekać parę zylionów lat. Jak gdyby zamiana słonecznego światła w wino, dokonywana przez winorośle, ich grona, czas i enzymy nie była tysiąc razy bardziej cudowna i nie zdarzała się stale...

Zresztą teraz nie stać go było nawet na najprostsze boskie sztuczki. Gromy dające efekt mniej więcej taki, jak iskra strzelająca z kociej sierści... Trudno kogoś takimi porazić. Swego czasu porażał solidnie. Teraz mógłby najwyżej przejść przez wodę i nakarmić Jedyne.

Modlitwa Bruthy była niczym melodia piszczałki w świecie ciszy.

Om czekał, aż chłopiec zaśnie. Potem wyprostował łapki i wyszedł. Kołysząc się z boku na bok, ruszył w stronę świtu.

Efebianie maszerowali przez dziedzińce, otaczając Omnian prawie, ale nie do końca jak eskorta więźniów. Brutha widział, że Vorbis aż gotuje się z wściekłości. Cienka żyłka na skroni ekskwizytora pulsowała wyraźnie.

Vorbis obejrzał się, jakby poczuł na sobie wzrok nowicjusza.

- Wydajesz się dzisiaj niespokojny, Brutho — zauważył.

- Przepraszam, panie.

- Wyglądasz, jakbyś próbował zajrzeć do każdego kąta. Co spodziewasz się tam zobaczyć?

- Hm... Jestem po prostu ciekawy, panie. Wszystko tutaj jest nowe.

- Cała tak zwana mądrość Efebu nie jest warta jednej linijki z najkrótszego akapitu Septateuchu.

- Czy nie powinniśmy studiować dzieł niewiernych, by wzbudzić w sobie większą czujność na podstępny herezji? - zapytał Brutha, zaskoczony własną odwagą.

- Ach... Przekonujący argument, Brutho, a inkwizytorzy słyszeli go już wiele razy, choć często dosyć niewyraźnie. -Vorbis zerknął gniewnie na kark Arystokratesa, który prowadził grupę. -Jednak tylko mały krok prowadzi od słuchania herezji do kwestionowania ustalonych prawd. Herezja, Brutho, często

wyduje się fascynująca. Na tym polega niebezpieczeństwo.

- Tak, panie.

- Ha! I nie tylko rzeźbią zakazane posągi, ale nawet nie potrafią tego zrobić jak należy!

Brutha nie był ekspertem, ale i on musiał przyznać, że to prawda. Teraz, kiedy nie wydawały się już taką nowością, posągi zdobiące każdą niszę w murach pałacu istotnie wyglądały na niezbyt dobrze wykonane. Był pewien, że niedawno mijali statwę z dwoma lewymi rękami. Inna miała jedno ucho większe od drugiego. Nie chodzi o to, że ktoś postanowił wyrzeźbić brzydkie bóstwa. W zamierzeniach wyrażnie miały być całkiem atrakcyjne, jednak artysta nie sprostął zadaniu.

- Tamta kobieta trzyma chyba pingwina — zauważył Vorbis.

- To Patina, bogini mądrości — wyjaśnił odruchowo Brutha i uświadomił sobie, co powiedział. — Ja, tego... Słyszałem, jak ktoś o tym wspominał - dodał szybko.

- Oczywiście. Z pewnością masz znakomity słuch. Arystokrates zatrzymał się przed imponującymi wrotami i skinął na Omnian.

- Panowie - rzekł. - Tyran was przyjmie.

- Zapamiętasz wszystko, co zostanie powiedziane - szepnął Vorbis.

Brutha kiwnął głową.

Wrota się otworzyły.

Na całym świecie żyją władcy, noszący takie tytuły jak Oświecony, Najwyższy, Wielki Lord Tego czy Owego. Tylko w jednym niewielkim kraiku władca był wybierany przez obywateli, którzy mogli pozbawić go urzędu, kiedy tylko zechcieli - i nazywali go tyranem.

Efebianie uważali, że każdy człowiek powinien mieć prawo głosu⁶. Co pięć lat ktoś był wybierany na tyrana; musiał wcześniej wykazać, że jest uczciwy, inteligentny, rozsądny i godny zaufania. Natychmiast po wyborze, oczywiście, dla każdego stawało się jasne, że to zbrodniczy szaleniec, nie mający pojęcia o poglądach przeciętnego szukającego ręcznika filozofa z ulicy. A po pięciu latach Efebianie wybierali na tron innego, całkiem podobnego. To naprawdę niezwykle, że inteligentni ludzie mogą wciąż popełniać te same błędy.

Kandydatów na stanowisko tyrana wybierano, wrzucając czarne i białe kule do różnych urn, co stało się źródłem wielu popularnych komentarzy o tępotcie polityków.

Obecny tyran był niskim, tęgim człowieczkiem o chudych nogach, przez co sprawiał wrażenie jajka, z którego coś się właśnie wykluwa. Siedział samotny pośrodku marmurowej posadzki, w fotelu otoczonym zwojami i kartkami papieru. Stopami nie sięgał podłogi, a twarz miał różową.

Arystokrates szepnął mu coś do ucha. Tyran podniósł głowę znad papieru.

- Aha. Delegacja z Omni - powiedział i uśmiech przemknął mu po twarzy jak coś małego biegnącego po kamieniu. - Usiądźcie, proszę.

Znowu spuścił wzrok.

- Jestem diakon Vorbis z Kwizycji Cytadeli - oznajmił zimno Vorbis.

Tyran znów podniósł głowę i rzucił mu kolejny jaszczurczy uśmiech.

- Tak, wiem - rzeki. - Żyjesz z torturowania ludzi. Usiądź, proszę, diakonie Vorbisie. A także twój pulchny młody przyjaciel, który wygląda, jakby czegoś szukał. Oraz pozostali. Jakieś młode kobiety zjawiają się za chwilę z kiściami winogron i różnymi rzeczami. Tak się zwykle dzieje. Bardzo trudno coś takiego powstrzymać.

Przed fotelem tyrana ustawiono lawy. Omnianie zajęli miejsca. Vorbis stał nieruchomo.

⁶ Pod warunkiem że nie jest nędzarzem, cudzoziemcem ani wykluczonym z wyborów z powodu bycia obłąkanym, frywolnym albo kobietą.

Tyran skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

- To niedopuszczalne! - wybuchnął Vorbis. - Potraktowano nas...

- O wiele lepiej, niż wy byście nas potraktowali - przerwał mu łagodnie tyran. - Siedzisz czy stoisz, mój panie, wszystko jedno, ponieważ to Efeb i jeśli o mnie chodzi, możesz nawet stanąć na głowie. Ale nie spodziewaj się, że uwierzę, iż gdybym to ja prosił o pokój w waszej Cytadeli, pozwolono by mi na cokolwiek innego prócz człoganienia się w prochu na tym, co pozostało z mojego brzucha. Usiądź albo stój, diakonie, ale bądź cicho. Już prawie skończyłem.

- Skończyłeś co? - spytał Vorbis.

- Traktat pokojowy.

- Przecież przybyliśmy tu, by go przedyskutować.

- Nie - odparł tyran. Jaszczurka przemknęła znowu. - Przybyliście, żeby go podpisać.

Om odetchnął głęboko i ruszył dalej. Schody były dość strome. Czuł każdy kolejny stopień, kiedy się z niego zsuwał, lecz przynajmniej na dole wciąż stał na łapkach.

Zgubił się, ale wolał zgubić się w Efebie niż w Cytadeli. Przynajmniej nie miał tu okazji zajrzenia do lochów. Biblioteka, biblioteka, biblioteka...

W Cytadeli też była biblioteka. Tak przynajmniej twierdził Brutha. Opisał mu ją, więc Om wiedział mniej więcej, czego szuka. Będzie w niej książka.

Negocjacje pokojowe nie szły najlepiej.

- Zaatakowaliście nas - oświadczył Vorbis.

- Nazwałbym to obroną uprzedzającą - odparł tyran. - Widzieliśmy, co przydarzyło się Istanii, Betrekowi i Ushistanowi.

- Zobaczyli prawdę Oma!

- Tak - zgodził się tyran. - Wierzymy, że zobaczyli. W końcu.

- A teraz są nowymi, dumnymi obywatelami Imperium.

- Rzeczywiście, zapewne są nimi. Ale wolimy ich pamiętać takich, jacy byli przedtem. Zanim wysłałeś im swoje listy, które zakuwają ludzki umysł w łańcuchy.

- Prowadzą stopy człowieka po ścieżce prawdy - oświadczył Vorbis.

- Te listy to łańcuszki szczęścia — oświadczył tyran. — A raczej łańcuchy nieszczęścia. List do Efebian. Zapomnijcie o swoich bogach. Podporządkujcie się. Nauczcie się strachu. Nie przerywajcie łańcucha; poprzedni, którzy to zrobili, obudzili się pewnego ranka i zobaczyli przed domem pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych.

Vorbis wyprostował się.

- Dlaczego się lękacie? - zapytał. - Otoczeni swoją pustynią, ze swoimi... bogami? Czy dlatego że w głębi duszy wiecie, iż wasi bogowie są zmienni jak piasek?

- O tak - przyznał tyran. - Wiemy o tym. To zawsze przemawiało na ich korzyść. Znamy piasek. A wasz Bóg jest jak kamień... i kamień znamy także.

Om człapał po bruku alei. W miarę możliwości trzymał się cienia.

Miał wrażenie, że jest tu mnóstwo dziedziców. Przystanął w miejscu, gdzie aleja otwierała się na kolejny.

Słyszał głosy. Głównie jeden głos, nadający i piskliwy. Był to głos filozofa Didactylosa.

Choć jest jednym z najczęściej cytowanych i popularnych filozofów wszystkich czasów, Didactylos z Efebu nigdy nie zdobył szacunku innych współczesnych sobie filozofów. Uważali, że nie nadaje się do filozofii. Nie kąpał się dostatecznie często, czy też - ujmując to inaczej - wcale. I filozofował na niewłaściwe tematy. Wręcz interesowały go

niewłaściwe tematy. Niebezpieczne tematy. Inni filozofowie zadawali pytania typu: Czy Prawda to Piękno, a Piękno to Prawda? Albo: Czy Rzeczywistość kreowana jest przez Obserwatora? Didactylos natomiast postawił słynny problem filozoficzny: Tak, ale o co w tym wszystkim naprawdę chodzi? Ale tak naprawdę, skoro już o tym mowa.

Jego filozofia była połączeniem trzech słynnych szkół: cyników, stoików i epikurejczyków - podsumował je wszystkie w swoim słynnym twierdzeniu: „Nie wolno w zaufaniu do żadnego drania posuwać się dalej, niż można nim cisnąć, i nie ma na to rady, więc lepiej się napijmy. Dla mnie podwójny, jeśli ty stawiasz. Dziękuję bardzo! I paczkę orzeszków. Jej lewa pierś jest prawie odsłonięta, nie? No to jeszcze dwie paczki”.

Wielu uczonych cytuje jego słynne *Medytacje*. „Świat jest ostro pokręcony, nie ma co. Ale trzeba się śmiać, no nie? *Nilllegitimo Carborundum*, zawsze powtarzam. Eksperci nie wiedzą wszystkiego. Ale dokąd byśmy doszli, gdybyśmy wszyscy byli do siebie podobni?”.

Om popełził bliżej tego głosu. Skręcił za róg budynku i widział teraz przed sobą nieduży dziedziniec.

Pod murem stała bardzo duża beczka. Wokół leżały różne śmieci: rozbita amfora, ogryzione kości, jakieś daszki z nieheblowanych desek. Wszystko to sugerowało, że ktoś tam mieszkał. Sugestia zyskiwała na wadze dzięki szyldowi, wypisanemu kredą na desce przybitej nad beczką.

Napis głosił:

DIDACTYLOS i Siostrzeniec filozofia praktyczna

Żadne twierdzenie nie jest zbyt wielkie Załatwimy Myślenie za Ciebie!

Specjalne zniżki po 18.00 Codziennie świeże aksjomaty

Przed beczką niski *mężczyzna* w todze, która kiedyś musiała być biała - w taki sam sposób, w jaki wszystkie kontynenty musiały być kiedyś złączone w jeden - kopał drugiego, leżącego na bruku.

- Ty leniwy łobuzie! Młodszy mężczyzna usiadł.
- Słowo daję, wujku...
- Wystarczy odwrócić się na pół godzinki, a ty zasypiasz w pracy!
- Jakiej pracy? Nie mieliśmy niczego od czasu pana Ploxi, farmera z zeszłego tygodnia...

- A skąd wiesz? Skąd wiesz? Kiedy chrapałeś, mogły tędy przechodzić dziesiątki ludzi, a każdy potrzebujący osobistej filozofii!

- ...A on płacił tylko oliwkami.
- Na pewno dostanę dobrą cenę za te oliwki!
- Są zgniłe, wujku.
- Bzdura. Powiedziłeś, że są zielone!
- Tak, ale powinny być czarne.

Głowa ukrytego w cieniu żółwia obracała się tam i z powrotem, jakby oglądał

mecz tenisowy. Młody człowiek wstał.

- Rano przyszła pani Bylaxis - powiedział. - Skarżyła się, że przysłowie, które wymyśliłeś dla niej w zeszłym tygodniu, przestało działać. Didactylos podrapał się po głowie.

- Które to? - zapytał.

- Dałeś jej „Przed świtem zawsze jest najciemniej”.

- Co chce od tego przysłowia? Wściekle dobra filozofia.

- Mówiła, że wcale nie czuje się lepiej. A poza tym, powiedziała, nie spała całą noc z powodu chorej nogi i tuż przed świtem było całkiem widno, więc przysłowie nie jest prawdziwe. A noga dalej jej drętwieje. Więc dałem jej zniżkę na „Mimo wszystko zdrowo jest się pośmiać”.

Didactylos trochę się pocieszył.

- Wzięła to, tak?

- Powiedziała, że wypróbuje. Dała mi za nie całego suszonego kalmara. Mówiła, że wyglądam, jakbym się źle odżywił.

- Tak? Widzę, że się uczysz. To w każdym razie rozwiązuje sprawę obiadu. Widzisz, Um? Mówiłem ci, że się uda. Tylko nie wolno się załamywać.

- Nie nazwałbym suszonego kalmara i skrzynki oślizłych oliwek znaczącym zarobkiem, mistrzu. Nie za dwa tygodnie myślenia.

- Zarobiliśmy trzy obole na przysłowiu dla starego Grillosa, tego szewca.

- Nie zarobiliśmy. Przyniósł je z powrotem. Jego żonie nie spodobała się barwa.

- I oddałeś mu pieniądze?

- Tak.

- Jak to? Wszystkie?

- Tak.

- Nie możesz tak postępować. Przecież wycierał i zużywał słowa. Które to było?

- „Mądry to kruk, który wie, w którą stronę wskazuje wielbłąd”.

- Napracowałem się nad nim.

- Powiedział, że go nie rozumie.

- Ja też nie rozumiem szewstwa, ale umiem poznać, kiedy mam na nogach dobrą parę sandałów.

Om zamrugął jedynym okiem. Potem spojrzał jeszcze na kształt umysłów obu mężczyzn.

Ten nazywany Urnem był prawdopodobnie siostrzeńcem i miał umysł wyglądający dość normalnie, chociaż zawierał zbyt wiele kół i kątów. Ale umysł Didactylosa wrzał i błyskał jak kociołek elektrycznych węgorzy ustawiony na ostrym ogniu. Om jeszcze nigdy niczego podobnego nie widział. Myśli Bruthy potrzebowały całych epok, żeby wsunąć się na miejsca; oglądanie ich przypominało obserwację zderzających się gór. Myśli Didactylosa ze świstem pędziły jedna za drugą. Nic dziwnego, że był łysy; gdyby nie to, włosy wypaliłyby mu się od środka.

Om znalazł myśliciela.

W dodatku taniego, sądząc po tym, co usłyszał.

Spojrzał na mur za beczką. Kawalek dalej zauważył imponujące marmurowe schody, prowadzące do sporych spiżowych drzwi. A nad drzwiami, złożone z osadzonych w kamieniu metalowych liter, widniało słowo LIBRYM.

Za długo się przyglądał. Dłoń Urna zamknęła się na skorupie i Om usłyszał głos Didactylosa:

- Brawo. Nieźle można sobie takim podjąć.

Brutha skulił się na ławie.

- Ukamienowaliście naszego posła! - zawołał Vorbis. - Człowieka nieuzbrojonego! - Sam to na siebie ściągnął - odparł tyran. - Arystokrates był na miejscu. Niech opowie.

Jeden z obecnych, pewnie doradca tyrana, kiwnął głową i wstał.

- Zgodnie z tradycją każdy może przemawiać na placu targowym - zaczął.

- I być ukamienowanym? — wtrącił Vorbis. Arystokrates uniósł dłoń.

- Chwileczkę - rzekł. - Na placu targowym każdemu wolno mówić, co tylko zechce. Mamy jednak także inną tradycję, zwaną wolnością słuchania. Niestety, kiedy ludziom nie podoba się to, co słyszą, bywają nieco... drażliwi.

-Ja też tam byłem - wtrącił inny z doradców. - Wasz kapłan zaczął przemawiać i z początku wszystko układało się dobrze, bo ludzie się śmiali. A potem powiedział, że Om jest jedynym prawdziwym Bogiem i wszyscy ucichli. Potem przewrócił posąg Tuvelpita, boga wina. Wtedy zaczęły się kłopoty.

- Czy próbujesz mi wmówić, że poraził go grom? - spytał Vorbis.

Nie krzyczał już. Głos miał spokojny, obojętny. Brutha pomyślał, że tak właśnie mówią ekskwyzytorzy. Kiedy inkwyzytorzy już skończą, ekskwyzytorzy zabierają głos...

- Nie. Amfora. Rozumiecie, Tuvelpit był na placu...

- I rzucanie w uczciwych ludzi uważane jest za odpowiednie boskie zachowanie, tak?

- Wasz misjonarz oświadczył, że ludzie, którzy nie wierzą w Oma, będą cierpieli wieczne męki. Muszę przyznać, że tłum uznał to za niegrzeczne.

- I zaczęli rzucać w niego kamieniami...

- Tylko trochę. Zranili jedynie jego dumę. A i to dopiero wtedy, kiedy skończyły im się warzywa.

- Rzucali warzywami?

- Kiedy już nie mogli znaleźć jajek.

- A gdy przybyliśmy, żeby zaprotestować...

-Jestem przekonany, że sześćdziesiąt okrętów miało w planach coś więcej niż tylko protest - zauważył tyran. - Ostrzegaliśmy przecież, ekskwyzytorze. Ludzie znajdują w Efebie to, czego szukają. Będą kolejne rajdy na wasze wybrzeże. Będziemy nękać wasze statki. Dopóki nie podpiszecie.

- A prawo przejścia przez Efeb? - zapytał Vorbis.

Tyran uśmiechnął się lekko.

- Przez pustynię? Drogi diakonie, jeśli zdołacie pokonać pustynię, jestem pewien, że możecie dotrzeć wszędzie. — Spojrzał w stronę nieba widocznego między kolumnami. - Widzę, że zbliża się już południe. Dzień robi się gorący. Bez wątpienia zechcesz omówić nasze... hm... propozycje ze swymi kolegami. Może spotkamy się znowu o zachodzie słońca?

Vorbis sprawiał wrażenie, jakby rozważał ten pomysł.

- Obawiam się - rzekł w końcu - że nasze rozmowy potrwają dłużej. Powiedzmy... do jutrzejszego ranka? Tyran skinął głową.

-Jak chcecie. A tymczasem pałac jest do waszej dyspozycji. Jest tu wiele świątyń i dzieł sztuki, gdybyście mieli ochotę je obejrzeć. Jeśli zapragniecie posiłku, wspomnijcie tylko o tym najbliższemu niewolnikowi.

- Niewolnik to słowo efebiańskie. W Omni nie mamy słowa oznaczającego niewolnictwo - oznajmił ekskwyzytor.

- Domyślam się - odparł tyran. - Przypuszczam, że ryby także nie mają słowa

oznaczającego wodę. - Po jego twarzy znowu przemknął uśmiešek. - Są także łaźnie i oczywiście biblioteka. Wiele pięknych widoków. Jesteście naszymi gośćmi.

Vorbis pochylił głowę.

- Modlę się - rzekł - abyś pewnego dnia i ty, panie, był moim gościem.

- Jakież widoki bym wtedy zobaczył! - mruknął tyran.

Wstając, Brutha przewrócił ławę i zaczerwienił się ze wstydu.

Myślał: Skłamlali o bracie Murducku. Pobili go prawie na śmierć, twierdził Vorbis, a potem zachłostali do reszty. A brat Nhumrod widział ciało i to była prawda. Tylko za przemawianie. Ludzie, którzy tak postępują, zasługują na... na karę. I jeszcze trzymają niewolników. Innych ludzi, traktowanych jak zwierzęta. Nawet swojego władcę nazywają tyranem.

Ale dlaczego nic tutaj nie jest takie, jakim się wydaje?

Dlaczego w to wszystko nie wierzę?

Skąd wiem, że to nieprawda?

I co on miał na myśli, kiedy mówił, że ryby nie mają słowa na określenie wody?

Omnian na wpół odprowadzono, a na wpół odeskortowano do ich kwater. W celi Bruthy na stole czekała następna misa owoców, ryba i bochenek chleba. Był też mężczyzna zamiatający posadzkę.

- Hm... - chrząknął Brutha. - Czy jesteś niewolnikiem?

- Tak, panie.

- To musi być straszne. Mężczyzna oparł się na miotle.

- Masz rację, panie. To straszne, naprawdę straszne. Czy wiesz, panie, że mam tylko jeden dzień wolny w tygodniu?

Brutha, który nigdy w życiu nie słyszał określenia „dzień wolny”, a zresztą sama idea takiego dnia była mu całkiem obca, niepewnie pokiwał głową.

- Dlaczego nie uciekniesz? - zapytał.

- Och, zrobiłem to już - zapewnił go niewolnik. - Uciekłem kiedyś do Tsortu. Ale nie podobało mi się. Wróciłem. Za to co roku uciekam na dwa tygodnie do Djelibeybi.

- Sprowadzają cię z powrotem? - domyślił się chłopiec.

- Gdzie tam. - Niewolnik machnął ręką. - Wcale nie sprowadzają. Arystokrates to nędzny kutwa. Muszę wracać sam. Podwożą mnie czasem statkiem albo co.

- Wracasz?

- Tak. Zagranica jest dobra, żeby wyjechać na krótko, ale nikt nie chciałby tam mieszkać. Zresztą zostały mi już tylko cztery lata niewoli, a potem będę wolnym człowiekiem. Kiedy ktoś jest wolny, ma prawo głosować. I sam może trzymać niewolników. - Oczy zaszklily mu się od wysiłku pamięci. - Niewolnicy dostają trzy posiłki dziennie, z czego przynajmniej jeden z mięsem. I jeden dzień wolny w tygodniu. I prawo do dwutygodniowej ucieczki raz w roku. Nie czyszczą palenisk i nie dźwigają ciężarów. Nie wolno też wymagać od nich inteligentnej konwersacji, to wymaga specjalnej umowy.

- Owszem, ale nie jesteś wolny... - przypomniał Brutha, mimo woli zaintrygowany.

- A jaka to różnica?

- No... Nie masz żadnych dni wolnych. — Chłopiec podrapał się po głowie. - I jeden posiłek mniej.

- Naprawdę? To chyba sobie daruję tę wolność.

- Zaczekaj. Nie widziałeś tu gdzieś żółwia?
- Nie. I sprzątałem pod łóżkiem.
- A w ogóle widziałeś dzisiaj jakiegoś?
- Masz ochotę na żółwia, panie? Nieźle można...
- Nie, nie. Dziękuję ci.
- Brutha!

To był głos Vorbisa. Brutha wybiegł na dziedziniec i pospieszył do celi ekskwizytora.

- O, jesteś, Brutho.
- Tak, panie?

Vorbis siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i wpatrywał się w ścianę.

- Jesteś młodym człowiekiem składającym wizytę w nieznanym mieście - powiedział. - Z pewnością wiele chciałbyś zobaczyć.

- Wiele?

Vorbis znowu mówił swym głosem ekskwizytora - równym, monotonnym, podobnym do pasa zmełnionej stali.

- Możesz iść, dokąd zechcesz. Oglądaj nowe rzeczy, Brutho. Dowiaduj się wszystkiego, co zdołasz. Jesteś moimi oczami i uszami. I moją pamięcią. Dowiedz się o tym mieście wszystkiego.

- Hm... Naprawdę, panie?

- Czyżbym sprawił na tobie wrażenie człowieka nierozważnie używającego słów, Brutho?

- Nie, panie.
- Idź teraz. Wypełnij swój umysł. I wróć o zachodzie słońca.
- To znaczy... Nawet to biblioteki? - upewnił się Brutha.

- Co? A tak, biblioteka... Biblioteka, którą tu mają. Oczywiście. Pełna bezużytecznej, niebezpiecznej, złej wiedzy. Widzę ją przed oczyma duszy, Brutho. Potrafisz ją sobie wyobrazić?

- Nie, panie.
- Niewinność jest twoją tarczą, Brutho. Nie... Oczywiście, koniecznie zajrzyj do biblioteki. Nie obawiam się jej wpływu na ciebie.

- Panie...

- Tak?

- Tyran mówił, że właściwie nic nie zrobili bratu Murduckowi... Cisza rozwinęła się niespokojnie.

- Kłamał - rzucił Vorbis.

- Tak.

Brutha czekał. Vorbis wciąż wpatrywał się w ścianę. Chłopiec zastanawiał się, co ekskwizytor tam widzi.

- Dziękuję - powiedział, kiedy zrozumiał, że nic więcej już nie usłyszy. Zanim wyszedł, cofnął się trochę, żeby zajrzeć pod łóżko diakona.

Na pewno ma kłopoty, myślał Brutha, idąc szybko. Wszyscy chcą zjadać żółwie.

Starał się zaglądać wszędzie, a jednocześnie unikać patrzenia na fryzy nie ubranych nimf.

Teoretycznie zdawał sobie sprawę z faktu, że kobiety są inaczej zbudowane niż mężczyźni. Opuścił swoją wioskę jako dwunastolatek, a w tym wieku niektórzy z

jego rówieśników byli już żonaci. Omnianizm zachęcał do wczesnych małżeństw jako zapobiegających Grzechowi, chociaż każda działalność angażująca dowolne części ludzkiego ciała pomiędzy szyją a kolanami i tak była mniej lub bardziej Grzeszna.

Brutha żałował, że nie jest lepszym uczniem. Mógłby wtedy zapytać swego Boga, dlaczego tak jest.

A potem zaczął żałować, że jego Bóg nie jest Bogiem bardziej inteligentnym, żeby potrafił odpowiedzieć.

Nie krzyczał, pomyślał. Na pewno bym go usłyszał. Więc może nikt go na razie nie gotuje.

Niewolnik polerujący któryś z posągów skierował Bruthę do biblioteki. Chłopiec poczłapał między dwoma rzędami kolumn.

Gdy dotarł do dziedzińca przed biblioteką, tłoczyli się tam filozofowie. Wszyscy wyciągali szyje, żeby na coś popatrzeć. Brutha słyszał zwykłe, poirytowane głosy, oznaczające, że toczy się filozoficzny dyskurs.

W tym przypadku brzmiał tak:

- Mam tu dziesięć oboli, które twierdzą, że tego nie powtórzy!
- Gadające pieniądze? Nieczęsto się takie słyszy, Xenonie.
- Owszem. I zaraz powiedzą: do widzenia.
- Chwileczkę, nie bądź durniem. To przecież żółw. Po prostu wykonuje taniec

godowy...

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza. A potem zabrzmiało zbiorowe westchnienie.

- 1 proszę!
- Przecież to nie jest kąt prosty!
- Daj spokój! Ciekawe, czy ty byś narysował lepiej w tych okolicznościach.
- Co on teraz robi?
- Chyba przeciwprostokątną.
- To nazywasz przeciwprostokątną? Jest krzywa.
- Wcale nie jest krzywa! On ją rysuje prosto, tylko ty krzywo patrzysz!
- Założę się o trzydzieści oboli, że nie narysuje kwadratu!
- A ja stawiam czterdzieści, że narysuje. Znowu cisza, a potem oklaski.
- Tak!
- To raczej równoległobok, jeśli mnie by kto pytał - odezwał się nadąsany głos.
- Słuchaj, umiem chyba rozpoznać kwadrat. I to jest kwadrat.
- No dobrze. Podwajam stawkę. Na to, że nie narysuje dwunastokątą!
- Co? Przed chwilą stawiałeś, że nie poradzi sobie z siedmio-bokiem.
- Podwójna stawka albo nic. Dwunastokąt. Co, boisz się? *Avis domestica*, co?

Ko, ko, ko?

- Aż wstyd tak ci odbierać pieniądze... Znowu chwila ciszy.
- Dziesięć boków? Dziesięć? Ha!
- Mówiłem przecież, że nic z tego nie będzie. Kto słyszał o żółwiu, który zna się na geometrii?

- Kolejny zwariowany pomysł, Didactylosie?
- Cały czas to powtarzam. To zwykły żółw.
- Nieźle można sobie takim podejść...

Grupa filozofów odeszła. Mijali Bruthę, nie zwracając na niego uwagi. Chłopiec zauważył na ziemi krąg wilgotnego piasku pokryty figurami geometrycznymi. On siedział pośrodku, a obok niego dwóch bardzo brudnych filozofów przeliczało stosik monet.

- Jak nam poszło, Urn? - zapytał Didactylos.

- Mamy pięćdziesiąt dwa obole, mistrzu.
- Widzisz? Codziennie jest lepiej. Szkoda tylko, że zwierzak nie znał różnicy między dziesięć a dwanaście. Utnij mu jedną nogę, będziemy mieli potrawkę.

- Odciać nogę?

- Takiego żółwia nie zjada się naraz.

Didactylos zwrócił się do tęgiego chłopaka z płaskimi stopami i rumianą twarzą, który stał nieruchomo i patrzył na żółwia.

- Słucham?

- Ten żółw zna różnicę między dziesięć a dwanaście - oświadczył gruby chłopak.

- Przed chwilą straciłem przez niego osiemdziesiąt oboli!

- Owszem. Ale jutro... - zaczął chłopiec. Oczy mu się zaszklily, jakby wyteżał umysł, by dokładnie powtórzyć coś, co usłyszał. - Jutro... powinieneś zbierać zakłady... przynajmniej trzy do jednego.

Didactylos rozdziawił usta.

- Podaj mi żółwia, Urn - polecił, kiedy się opanował. Uczeń filozofa schylił się i bardzo ostrożnie podniósł Oma z ziemi.

- A wiesz, od razu pomyślałem, że jest w nim coś dziwnego - powiedział Didactylos. - Mówię Urnowi: patrz, to nasz jutrzejszy obiad, a on mi na to: nie, on wlecze ogonem po piasku i kreśli geometrię. Geometria nie przychodzi żółwiom w sposób naturalny.

Om skierował oko w stronę Bruthy.

- Musiałem - wyjaśnił. - To był jedyny sposób, żeby zwrócić jego uwagę. Zaciekawilem go. A kiedy masz już ich ciekawość, serca i umysły szybko za nią podążają.

- On jest Bogiem - oznajmił Brutha.

- Naprawdę? - zdziwił się filozof. - A jak się nazywa?

- Nie mów mu! Nie mów! Jeszcze usłyszą miejscowi bogowie!

- Nie wiem - rzekł Brutha. Didactylos odwrócił żółwia.

- Żółw Się Rusza - mruknął zamyślony Urn.

- Co? — nie zrozumiał Brutha.

- Mistrz napisał taką książkę.

- Właściwie nie książkę - wtrącił skromnie Didactylos. - Raczej zwój. Taki drobiazg w wolnej chwili.

- Gdzie napisałeś, że świat jest płaski i płynie w przestrzeni na grzbiecie ogromnego żółwia?

- Czytałeś? - Filozof spoglądał na chłopca z uwagą. - Jesteś niewolnikiem?

- Nie - zapewnił Brutha. - Jestem...

- Nie wspominaj mojego imienia! Przedstaw się jako skryba albo coś takiego!

- ...skrybą - dokończył niepewnie chłopiec.

- No tak - rzekł Urn. - Od razu widać. To charakterystyczne stwardnienie na kciuku, gdzie trzymasz pióro. Plamy z atramentu na rękawach...

Brutha spojrział na lewy kciuk.

- Nie mam...

- Właśnie - uśmiechnął się Urn. - Używasz lewej ręki, tak?

- Tego... Używam obu. Ale wszyscy mówią, że marnie.

- Aha - stwierdził Didactylos. - Zeroręczny.

- Co?

- To znaczy, że jesteś oburęcznie nieudolny - wyjaśnił Om.

- A tak. Rzeczywiście. To ja. - Brutha odchrząknął grzecznie. - Szukam filozofa

- poinformował. - Takiego, który zna się na bogach. Odczekał chwilę.

- Nie powie pan, że są reliktem przestarzałego systemu wierzeń? - zapytał. Didactylos, wciąż gładząc palcami skorupę Oma, pokręcił głową.

- Nie. Wolę, żeby pioruny uderzały daleko ode mnie.

- Aha. Czy mógłby pan przestać tak go obracać? Właśnie powiedział, że wcale mu się to nie podoba.

- Żeby poznać, ile mają lat, trzeba przeciąć takiego na pół i policzyć słoje - oświadczył Didactylos.

- Hm... Poczucia humoru też nie ma.

- Sądząc po akcencie, jesteś Omnianinem.

- Tak.

- Przyjechałeś na rokowania w sprawie traktatu?

- Ja tylko słucham.

- A czego chcesz się dowiedzieć o bogach? Wydawało się, że chłopiec nasłuchuje.

- Skąd się biorą - powiedział w końcu. — Jak rosną. I co się z nimi dzieje potem.

Didactylos włożył mu żółwia do rąk.

- Takie myślenie sporo kosztuje - stwierdził.

- Niech pan powie, kiedy przekroczymy pięćdziesiąt dwa obole. Filozof uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że też potrafisz myśleć - pochwalił. - Masz dobrą pamięć?

- Nie... Trudno powiedzieć, że dobrą.

- Aha. No tak. Chodźmy do biblioteki. Ma uziemiony dach z miedzi. Bogowie naprawdę nie znoszą takich rozmów.

Didactylos schylił się i podniósł zardzewiałą żelazną latarnię. Brutha obejrzał się na biały budynek.

- To jest biblioteka? - spytał.

- Tak. Właśnie dlatego ma nad drzwiami wyrzeźbione takie wielkie litery LIBRYM. Ale taki skryba jak ty wie o tym, oczywiście.

Biblioteka w Efebie - zanim została spalona - była drugą co do wielkości na Dysku. Nie tak dużą jak biblioteka Niewidocznego Uniwersytetu, naturalnie, choć ta ostatnia miała pewną przewagę, wynikającą z jej magicznej natury. Na przykład w żadnej innej nie było całego działu książek nie napisanych - takich, które by powstały, gdyby autor nie został pożarty przez aligatora w okolicach rozdziału pierwszego, i tym podobnych. Atlasów miejsc wymaganych. Słowników słów iluzorycznych. Przewodników poszukiwacza rzeczy niewidzialnych. Zdziczałych tezaurusów w Zagubionej Czytelni. To biblioteka tak wielka, że zakrzywia rzeczywistość i otwiera przejścia do wszystkich innych bibliotek, wszędzie i zawsze...

I jest całkiem niepodobna do biblioteki w Efebie, posiadającej tylko czterysta czy pięćset tomów. Wiele z nich spisano na zwojach, by oszczędzić czytelnikom kłopotu wzywania niewolnika za każdym razem, kiedy chcą przewrócić stronę. Jednak każdy zwój tkwił bezpiecznie we własnej przegródce. Książki nie powinny się stykać, gdyż oddziałują na siebie nawzajem w sposób niezwykle i nieprzewidywalny.

Promienie słońca przecinały półmrok, wyraźne w zakurzonej powietrzu jak marmurowe kolumny.

Choć był to najmniejszy z cudów biblioteki, Brutha nie mógł nie zwrócić uwagi na dziwną konstrukcję przejść. Drewniane wsporniki łączyły rzędy kamiennych półek

na wysokości mniej więcej pięciu łokci od podłogi, podtrzymując szeroką deskę, z pozoru całkiem tu niepotrzebną. Od dołu ozdobiono ją prymitywnymi drewnianymi wizerunkami.

- Biblioteka - oznajmił Didactylos.

Podniósł rękę i delikatnie musnął palcami deskę nad głową.

Brutha zrozumiał.

- Jest pan ślepy, prawda? - upewnił się.

- Zgadza się.

- Ale nosi pan latarnię?

- To nie przeszkadza. Nie nalewam do niej oleju.

- Latarnia, która nie świeci, dla człowieka, który nie widzi?

- Otóż to. Działa doskonale. I w dodatku jest bardzo filozoficzna.

- I mieszka pan w beczce?

- Beczki są bardzo modne - wyjaśnił Didactylos. Szedł raźnie przed siebie, z rzadka tylko dotykając czubkami palców wypukłych kształtów na drewnianym stropie.

- Większość filozofów tak mieszka. To dowodzi wzdrywania i lekceważenia dla spraw przyziemnych. Chociaż taki na przykład Legibus ma w swojej beczce saunę. Mówi, że to zdumiewające, co człowiekowi przychodzi tam do głowy.

Brutha rozejrzał się. Zwoje sterczały z przegródek niczym rzędy kukulek odmierzających czas.

- Wszystko jest takie... Dopóki tu nie przyplłynęliśmy, nigdy jeszcze nie widziałem filozofa — powiedział. - A wczoraj oni byli tacy...

- Musisz pamiętać, że istnieją w tych stronach trzy podstawowe szkoły filozofii - przerwał Didactylos. - Opowiedz mu, Urn.

- Są xenoniści - poinformował Urn. - Twierdzą, że świat jest zasadniczo złożony i przypadkowy. Oraz ibidianie, którzy uważają, że świat jest zasadniczo prosty i działa według pewnych fundamentalnych reguł.

- I jestem ja — dokończył Didactylos, zdejmując zwój z półki.

- Mistrz uważa, że zasadniczo jest to świat zabawny - wyjaśnił Urn.

- I nie zawiera dostatecznej ilości rzeczy do picia - uzupełnił filozof.

- I nie zawiera dostatecznej ilości rzeczy do picia.

- Bogowie - mruknął pod nosem Didactylos. Wyjął kolejny zwój. - Chcesz dowiedzieć się czegoś o bogach? Tu masz *Refleksje Xenona*, *Frazesy* starego Arystokratesa, te głupie *Dyskursy* Ibida, *Geometrie* Legibusa, *Teologie* Hierarcha...

Palce Didactylosa sunęły wzdłuż półki. Kłęby kurzu wzbijały się w powietrze.

- To wszystko książki? - zdziwił się Brutha.

- O tak. Wszyscy je tu piszą. Nie można drani powstrzymać.

- I ludzie mogą je czytać?

Omnianizm opierał się na jednej tylko książce. A tutaj widział ich setki...

- No... Mogą, jeśli zechcą - przyznał Urn. — Ale mało kto tu przychodzi. To nie są książki do czytania. Raczej do pisania.

- To wszystko mądrość wieków — wyjaśnił Didactylos. - Musisz napisać książkę, żeby udowodnić, że jesteś filozofem. Wtedy dostajesz swój zwój i darmową oficjalną filozoficzną gąbkę.

Światło słońca rozlewało się na wielkim kamiennym blacie pośrodku sali. Urn rozwinął część zwoju. Jaskrawe kwiaty zapłonęły w złocistym blasku.

- *O naturze roślin* Oranjecratesa - oświadczył Didactylos. - Sześćset różnych roślin i ich zastosowania...

- Są piękne - szepnął Brutha.

- Owszem, to jedno z zastosowań roślin. W dodatku Oranjecrates jakoś o nim

zapomniał. Dobra robota, nie ma co. Pokaż mu *Bestiarium* Filona, Urn.

Kolejny zwój rozwinął się na kamiennej powierzchni. Były na nim dziesiątki rysunków zwierząt i tysiące nieczytelnych słów.

- Ale... wizerunki zwierząt... to zło... Złem jest...

- Tu są wizerunki właściwie wszystkiego - stwierdził Didactylos. Sztuka była w Omni zakazana.

- A to jest książka, którą napisał Didactylos - poinformował Urn.

Brutha spojrzał na rysunek żółwia. Były tam... słonie. To są słonie, podsunęła mu pamięć ze świeżego wspomnienia bestiarium zapadającego nieodwołalnie w głęb umysłu. Słonie stojące na skorupie, a na nich coś z górami i wodospadem oceanu wokół krawędzi...

- Jak to możliwe? - spytał Brutha. - Świat na grzbiecie żółwia? Dlaczego wszyscy próbują mnie o tym przekonać? To nie może być prawda!

- Powiedz to marynarzom - odparł Didactylos. - Każdy, kto żeglował po Oceanie Krawędziowym, wie to dobrze. Po co zaprzeczać rzeczom oczywistym?

- Przecież świat z całą pewnością jest doskonałą kulą, obiegającą kulę słońca, jak nam mówi Septateuch. To przecież... logiczne. A taki właśnie powinien być świat.

- Powinien? Nic nie wiem o powinności. To słowo nie należy do filozofii.

- A to... Co to jest? - Brutha wskazał krąg poniżej rysunku żółwia.

- Widok z góry - wyjaśnił Urn.

- Mapa świata - dodał Didactylos.

- Mapa? Co to jest mapa?

- To coś w rodzaju obrazka, który ci pokazuje, gdzie jesteś - wyjaśnił filozof.

Brutha wpatrywał się w oszołomieniu.

- A skąd on wie?

- Ha!

- Bogowie! - przypomniał Om. - Przyszliśmy tu, żeby zapytać o bogów.

- Ale czy to wszystko prawda? - spytał Brutha. Didactylos wzruszył ramionami.

- Możliwe, możliwe. Jesteśmy tutaj i jest teraz. Wszystko poza tym, moim zdaniem, to już tylko domysły.

- To znaczy, że pan nie wie, czy to prawda?

- Myślę, że to może być prawda. Mogę też się mylić. Nie być pewnym: na tym właśnie polega praca filozofa.

- Zagadaj o bogach - wtrącił Om.

- Bogowie... - powiedział słabym głosem Brutha. Czuł pożar myśli. Ci ludzie pisali takie mnóstwo książek o różnych rzeczach - i nie byli pewni. A on był pewien, i brat Nhumrod był pewien, a na pewno diakona Vorbisa można by wykuwać podkowy. Pewność to skała.

Teraz już wiedział dlaczego Vorbis, gdy mówił o Efebie, miał twarz szarą z nienawiści, a głos napięty jak struna. Jeśli nie istnieje prawda, to co pozostaje? A ci wszyscy gadatliwi staruszkowie spędzają czas na podkopywaniu filarów świata, oferując w zamian tylko niepewność. I jeszcze są z tego dumni?

Urn stał na niewielkiej drabinie i szukał czegoś między zwojami. Didactylos usiadł naprzeciw Bruthy, wpatrując się w niego swymi niewidzącymi oczami.

- Nie podoba ci się to, prawda? - spytał. Brutha nie odpowiedział.

- Wiesz - rzekł swobodnym tonem filozof- ludzie często powtarzają, że my, ślepcy, świetnie sobie radzimy, jeśli chodzi o inne zmysły. To nieprawda, oczywiście. Te łobuzy mówią tak, ponieważ wtedy lepiej się czują. Zdejmuje to z nich obowiązek litowania się nad nami. Ale kiedy nie widzisz, rzeczywiście uczysz się więcej słyszeć. W jaki sposób ludzie oddychają, jaki odgłos wydaje ich ubranie...

Urn pojawił się z kolejnym zwojem.

- Nie powinniście tego robić - szepnął załamany Brutha. - Te wszystkie... Umilkł.

- Znam pewność - rzekł Didactylos. Lekki, kpiący ton zniknął nagle z jego głosu. - Pamiętam, zanim oślepiłem, odwiedziłem kiedyś Omnię. To było jeszcze przed zamknięciem granic. Kiedy pozwalaliście ludziom podróżować. I w waszej Cytadeli widziałem tłum kamienujący na śmierć człowieka w wykopie. Oglądałeś coś takiego?

- Tak musiało się stać - wymamrotał Brutha. - By dusza mogła odpokutować i...

- Nie znam się na duszach. Nigdy nie należałem do tej szkoły filozofii. Wiem tylko, że to straszny widok.

- Stan ciała nie...

- Och, nie mówię o tym biedaku w dole. Mówię o ludziach rzucających kamieniami. Oni byli pewni, całkowicie. Byli pewni, że to nie ich wrzucono do jamy. Każdy mógł to łatwo poznać po ich twarzach. Byli tacy szczęśliwi, że to nie oni, że rzucali z całej siły.

Urn stanął obok z niepewną miną.

- Mam *O religii* Abraxasa - powiedział.

- Stary Abraxas „Węgielek” - stwierdził Didactylos, nagle znowu wesoły. - Piętnaście razy trafiła go błyskawica, a jednak nie zrezygnował. Jeśli chcesz, możesz pożyczyć ten zwój do rana. Ale żadnego dopisywania komentarzy na marginesach, chyba że będą interesujące.

- To jest to! - zawołał Om. - Chodźmy, zostaw tego idiotę.

Brutha rozwinął zwój. Nie znalazł żadnych obrazków, tylko niewyraźne pismo, linijka po linijce.

- Całe lata poświęcił na badania - opowiadał Didactylos. - Wyruszył na pustynię, rozmawiał z pomniejszych bóstwami. Rozmawiał też z kilkoma naszymi bogami. Odważny człowiek. Twierdził, że lubią mieć pod ręką jakiegoś ateistę. Daje im to obiekt, w który mogą celować.

Brutha odwinął jeszcze kawałek zwoju. Pięć minut temu bez oporu przyznałby się, że nie umie czytać. Teraz nawet wysiłki inkwizytorów nie wydobyłyby z niego tej informacji. Podniósł zwój do góry w sposób świadczący - miał nadzieję - że to dla niego żadna nowość.

- Gdzie jest teraz? - zapytał.

- Ktoś opowiadał, że widział przed jego domem parę dymiących sandałów. Rok czy dwa lata temu - odparł Didactylos. - Może, no wiesz, może trochę przeholował.

- Powinienem już iść - rzekł Brutha. - Przepraszam, że zająłem wam tyle czasu.

- Odnies zwój, kiedy już skończysz - przypomniał filozof.

- Czy tak czytają ludzie w Omni? - zainteresował się Urn.

- Jak?

- Do góry nogami.

Brutha chwycił zółwia, spojrzał wyniośle na Urna i wyszedł tak dumnie, jak tylko potrafił.

- Hm... - mruknął Didactylos. Zabębnił palcami po blacie.

- To jego widziałem wczoraj w tawernie - oświadczył Urn. - Jestem pewien, mistrzu.

- Przecież Omnianie kwaterują w pałacu.

- To prawda, mistrzu.
- A tawerna jest na zewnątrz.
- Tak.
- W takim razie musiał przefrunąć nad murem. Tak sądzisz?
- To na pewno był on, mistrzu.
- W takim razie... przybył później. Nie dotarł tu jeszcze, kiedy go widziałeś.
- To jedyna możliwość, mistrzu. Strażnicy labiryntu są nieprzekupni.

Didactylos trzepnął Urną latarnią w tył głowy.

- Głupcze! Co ci mówiłem o takich twierdzeniach?
- Chciałem powiedzieć, że nie dadzą się łatwo przekupić. Nie całym złotem Omni, na przykład.
- To już lepiej.
- Czy myślisz, mistrzu, że ten żółw był bogiem?
- Jeśli tak, to w Omni czekają go poważne kłopoty. Mają tam strasznie wrednego boga. Czytałeś kiedy starego Abraxasa?
- Nie, mistrzu.
- Znał się na bogach. Świetny fachowiec od bogów. Zawsze pachniał spalonymi włosami. Naturalny opornik.

Om pęłzył wolno wzdłuż linijki.

- Przestań tak chodzić tam i z powrotem - rzucił. - Nie mogę się skupić.
- Jak ludzie mogą mówić takie rzeczy? - powiedział Brutha w pustkę. — Zachowują się, jakby byli zadowoleni, że czegoś nie wiedzą! Znajdują tego coraz więcej i więcej! Jak dzieci, które przychodzą do rodziców i z dumą pokazują swój pełny nocnik!

Om zaznaczył pazurem miejsce w tekście.

- Ale coś jednak odkrywają - zauważył. - Abraxas był myślicielem, nie ma wątpliwości. Nawet ja nie wiedziałem o pewnych sprawach. Siadaj!

Brutha usiadł.

- Dobrze - rzekł Om. - A teraz... słuchaj. Czy wiesz, skąd się bierze moc bogów?
- Z wiary ludzi. W ciebie wierzą miliony. Om zawahał się.
- No dobrze, dobrze. Jesteśmy tutaj i jest teraz. Prędzej czy później sam się domyśli...
- Oni nie wierzą - oświadczył.
- Ale...
- Takie rzeczy już się zdarzały. Dziesiątki razy. Czy wiesz, że Abraxas odnalazł zaginione miasto Ee? Bardzo dziwne płaskorzeźby, pisze tutaj. Wiara, powiada. Wiara się przesuwą. Ludzie zaczynają od wiary w boga, a kończą na wierze w strukturę.
- Nie rozumiem - odparł Brutha.
- Spróbuję wyrazić to inaczej. Jestem twoim Bogiem, tak?
- Tak.
- I będziesz mi posłuszny?
- Tak.
- Dobrze. Weź jakiś kamień, idź i zabij Vorbisa. Brutha nawet nie drgnął.
- Na pewno mnie usłyszałeś...
- Przecież on... - jąkał się chłopiec. - On jest... Kwizycja...

- Teraz rozumiesz, o co mi chodziło - wyjaśnił żółw. - Bardziej boisz się jego niż mnie, w tej chwili. Abraxas pisze tutaj: „Skorupa modlitw i ceremonii Wokoło Boga powstaje, budowli, kapłaństwa i władzy, aż wreszcie resztką Boga umiera. A to, bywa, uchodzi nie-postrzeżone”.

- To nie może być prawda!

- Myślę, że jest. Abraxas twierdzi, że jest taki gatunek skorupiaka, który zachowuje się podobnie. Buduje coraz większą i większą skorupę, aż wreszcie nie może się już poruszać i umiera.

- Ale... Ale... To znaczy... że Kościół...

-Tak.

Brutha starał się objąć umysłem tę ideę, lecz jej ogrom sprawiał, że wrywała się z myślowego uchwytu.

- Ale przecież nie jesteś martwy — wykrztusił wreszcie.

- Tyle dobrego. I wiesz co jeszcze? Żadne pomniejsze bóstwo nie próbuje zająć mojego miejsca. Opowiadałem ci kiedyś o starym Ur-Gilashu? Nie? Był bogiem w okolicy, która teraz jest Omnią. Przede mną. Typowy bóg pogody. Albo bóg wąż. Coś w tym rodzaju, w każdym razie. Cała lata trwało, zanim w końcu się go pozbyłem. Wojny i cała reszta. Dlatego myślałem...

Brutha milczał.

- Om wciąż istnieje - tłumaczył żółw. - To znaczy skorupa. Wszystko, co trzeba by zrobić, to sprawić, by ludzie zrozumieli. Brutha wciąż milczał.

- Mógłbyś być następnym prorokiem - dodał Om.

- Nie mogę. Wszyscy wiedzą, że Vorbis będzie ósmym prorokiem.

- Ale ty byłbyś oficjalnym.

-Nie!

- Nie? Jestem twoim Bogiem!

- A ja jestem moim sobą. Nie nadaję się na proroka. Nie umiem nawet pisać. Nikt nie zechce mnie słuchać.

Om obejrzał go od stóp do głów.

- Muszę przyznać - powiedział - że nie jesteś wybrańcem, którego bym wybrał.

- Wielcy prorocy mieli wizję - oświadczył Brutha. - Nawet jeśli oni... Nawet jeśli ty do nich nie przemawiałeś, to jednak mieli coś do powiedzenia. A co ja mógłbym powiedzieć? Nikomu nie mam nic do powiedzenia. Co miałbym mówić?

- Wierzcie w Wielkiego Boga Oma.

- A co potem?

-Jak to: co potem?

Brutha spoglądał ponuro na ciemniejący dziedziniec.

- Wierzcie w Wielkiego Boga Oma, bo inaczej porazi was piorun? - mruknął.

- Według mnie brzmi to całkiem nieźle.

- Czy zawsze musi tak być?

Ostatnie promienie słońca rozjaśniły posąg na środku dziedzińca. Postać była mniej więcej kobieca. Na ramieniu miała pingwina.

- Patina, bogini mądrości — powiedział Brutha. - Ta z pingwinem. Dlaczego z pingwinem?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział szybko Om.

- Przecież pingwiny wcale nie są mądre.

- Też tak myślę. Ale jeśli uwzględnisz fakt, że nie spotyka się ich w Omni... To bardzo mądre z ich strony.

- Brutha!

- To Vorbis - stwierdził chłopiec. - Mogę cię tu zostawić?

- Tak. Jest jeszcze kawałek melona... to znaczy chleba.

Brutha wyszedł w mrok.

Vorbis siedział na ławce pod drzewem, nieruchomy w cieniu niczym posąg.

Pewność, myślał Brutha. Kiedyś byłem pewny. A teraz już nie tak bardzo.

- Jesteś, Brutho. Wybierzesz się ze mną na krótki spacer. Zaczepniemy wieczornego powietrza.

- Tak, panie.

- Podobala ci się wizyta w Efebie.

Vorbis rzadko zadawał pytanie, jeśli wystarczyło stwierdzenie.

- Była... interesująca.

Vorbis oparł dłoń na ramieniu chłopca, drugą wsparł się na lasce i wstał.

- I co o nich myślisz? - zapytał.

- Mają wielu bogów, ale nie zwracają na nich uwagi. Poszukują ignorancji.

- I znajdują ją w obfitości, możesz być pewien. Vorbis wskazał laską w mrok.

- Przejdźmy się - powiedział.

Z ciemności zabrzmiał czyjś śmiech i brzęk garnków. W powietrzu unosił się ciężki zapach kwiatów. Zgromadzone za dnia ciepło promieniowało teraz z kamieni, aż noc wydawała się gęstą, pachnącą zupą.

- Efeb spogląda na morze - odezwał się po chwili Vorbis. - Zauważyłeś, jak zbudowano miasto? Całe na górkim zboczu skierowanym ku morzu. Ale morze jest zmienne; z morza nie powstaje nic trwałego. Nasza ukochana Cytadela spogląda na pustynię. A co widzimy na pustyni?

Brutha obejrzał się odruchowo i ponad dachami domów spojrzał na czarną plamę pustyni na tle nieba.

- Widziałem błysk światła - oświadczył. - I jeszcze jeden. Na zboczu.

- Aha. To światło prawdy. Wyjdźmy mu naprzeciw. Zaprowadź mnie do wejścia do labiryntu, Brutho. Znasz drogę.

- Panie... - odezwał się chłopiec.

- Słucham cię, Brutho.

- Chciałbym ci zadać pytanie.

- Uczyń to.

- Co się stało z bratem Murduckiem?

Zdawało się, że najlżejsza sugestia wahania pojawiła się w rytmie uderzeń laski Vorbisa o bruk.

- Prawda, mój pocziwy Brutho, jest niby światło - rzekł po chwili ekskwizytor. - Co wiesz o świetle?

- Ono... ono pochodzi ze słońca. I księżyca, i gwiazd. I jeszcze świec. I lamp...

- I tak dalej - przerwał Vorbis. - Oczywiście. Ale jest też inny rodzaj światła. To światło, które wypełnia nawet najciemniejsze miejsca. Musi tam być. Gdyby bowiem nie istniało metaświatło, jak moglibyśmy widzieć ciemność?

Brutha nie odpowiedział. Pytanie za bardzo przypominało mu filozofię.

- Tak samo jest z prawdą — podjął Vorbis. — Są pewne rzeczy, które wydają się prawdziwe, które posiadają wszystkie znamiona prawdy, ale nie są prawdziwą prawdą. Prawdziwą prawdę musi czasem chronić labirynt kłamstw.

Zwrócił się do Bruthy.

- Rozumiesz mnie?

- Nie, panie.

- Chcę przez to powiedzieć, że to, co dociera do naszych zmysłów, nie jest prawdą fundamentalną. Rzeczy widziane, słyszane i doświadczane przez ciało to tylko cienie głębszej rzeczywistości. I to musisz zrozumieć, gdy chcesz awansować w

Kościele.

- Ale w tej chwili, panie, znam tylko prawdę trywialną, prawdę dostępną na zewnątrz... — Brutha miał uczucie, że stanął na krawędzi otchłani.

- Wszyscy od tego zaczynamy - zapewnił go łagodnie Vorbis.

- Czy zatem Efebianie zabili brata Murducka? - nalegał Brutha. Teraz macał ręką pustkę w ciemności.

- Tłumaczę ci właśnie, że w najgłębszym sensie prawdy uczynili to. Zabili go, nie przyjmując do serc jego słów. Zabili go swoim nieprzejednaniem.

- Ale w trywialnym sensie prawdy... - Brutha dobierał słowa z ostrożnością, z jaką inkwizytor traktuje swego pacjenta w lochach Cytadeli. - W trywialnym sensie brat Murduck zginął, dobrze zrozumiałem, w Omni, ponieważ nie zginął w Efebie. Tu został tylko wydrwiony. Istniała jednak obawa, że inni w hierarchii Kościoła mogą nie pojąć tej... tej głębszej prawdy. Dlatego ogłoszono, że Efebianie zabili go w trywialnym sensie, co dało tobie, panie, i innym, którzy dostrzegli prawdę o grzechu panującym w Efebie, powód do ataku... będącego jedynie odwetem.

Przeszli obok fontanny. Okuta laska diakona stuknęła o bruk.

- Przewiduję dla ciebie wspaniałą przyszłość w Kościele - rzekł w końcu Vorbis. - Zbliża się przyjście ósmego proroka. Czas ekspansji i wielkich możliwości dla tych, którzy wiernie służą Omowi.

Brutha zajrzał w otchłań.

Jeśli Vorbis miał rację i rzeczywiście istniało światło, przy którym widoczna jest ciemność, to w otchłani zobaczył jego przeciwieństwo: ciemność, przez którą żadne światło nie mogło sięgnąć. Ciemność, która gasiła światło. Przypomniawszy sobie ślepego Didactylosa i jego pustą latarnię. Usłyszał własny głos:

- A z takimi ludźmi jak Efebianie nie ma żadnych układów. Żaden traktat nie wiąże, jeśli zawarty jest między takimi jak Efebianie a ludźmi podążającymi ścieżką głębszej prawdy?

Vorbis skinął głową.

- Jeśli Wielki Bóg jest z nami, kto zdoła się nam oprzeć? Podobasz mi się, Brutho.

W mroku znów rozległy się śmiechy i brzęk strun.

- Bankiet - prychnął pogardliwie Vorbis. - Tyran zaprosił nas na bankiet! Posłałem tam, oczywiście, część delegacji. Zjawili się nawet ich generałowie! Uważają, że są bezpieczni wewnątrz labiryntu, tak jak żółw sądzi, że jest bezpieczny we wnętrzu swej skorupy, nie pojmując, że to w istocie więzienie. Naprzód!

W ciemności wyrósł wewnętrzny mur labiryntu. Brutha oparł się o niego. Z góry dobiegał szczepek metalu o metal - to strażnik wykonywał obchód.

Brama labiryntu stała otworem. Efebianie nie uważali, że należy utrudniać komukolwiek wejście. Na końcu krótkiego bocznego tunelu, na ławeczce obok migoczącej świecy drzemał przewodnik pierwszego z sześciu odcinków. Nad nim wisiał spiżowy dzwonek, by idący przez labirynt mogli wezwać kogoś, kto ich przeprowadzi. Brutha przemknął się obok starca.

- Brutho...

- Tak, panie?

- Przeprowadź mnie przez labirynt. Wiem, że potrafisz.

- Ależ panie...

- To rozkaz, Brutho - powiedział spokojnie Vorbis. Nie ma nadziei, pomyślał chłopiec; to rozkaz.

- Stąpaj tam, gdzie ja stąkam, panie - uprzedził. - Nie dalej niż o krok za mną.

- Tak, Brutho.

-Jeśli bez żadnego powodu obejdę dookoła jakieś miejsce na ziemi, ty także je omiń.

Może mógłbym źle poprowadzić, pomyślał Brutha. Ale nie. Złożyłem śluby i takie różne. Nie mogę odmówić posłuszeństwa.

Cały świat się kończy, kiedy człowiek zaczyna myśleć o takich rzeczach...

Pozwolił, by władzę przejęła drzemiąca część jego umysłu. Droga przez labirynt rozwijała się w głowie niczym rozżarzony drut.

...po przekątnej do przodu i w prawo trzy i pół kroku, w lewo sześćdziesiąt trzy kroki, zaczekać dwie sekundy...

Coś świsnęło metalicznie w ciemności, sugerując, że któryś ze strażników wymyślił pułapkę, dzięki której zdobył nagrodę.

...trzy kroki przed siebie...

Mógłbym uciec, myślał. Mógłbym się schować, a on wszedłby na jakąś zapadnię albo zmiażdżyłby go kamień. Potem przekradłbym się do swojej celi i nikt by o niczym nie wiedział.

Ja bym wiedział.

...dziewięć kroków do przodu, jeden w prawo, dziewiętnaście naprzód i dwa w lewo...

Przed nimi zamigotało światło. Nie słaby blask księżyca przez szczeliny w sklepieniu, ale żółte światło świecy. Przygasało i rozjaśniało się na przemian, kiedy niosący je podchodził coraz bliżej.

- Ktoś idzie - szepnął chłopiec. - To pewnie jeden z przewodników.

Vorbis zniknął.

Brutha czekał niespokojnie w korytarzu. Światło zbliżało się szybko.

- Czy to ty, Numerze Czwarty? - zapytał starczy głos. Źródło światła wynurzyło się zza zakrętu. Ukazało starszego mężczyznę, który podszedł do Bruthy i uniósł świecę do jego twarzy.

- Gdzie jest Numer Czwarty? - spytał, spoglądając za chłopca.

Z bocznego korytarzyka za przewodnikiem wynurzyła się ciemna postać. Brutha przez moment widział dziwnie spokojną twarz Vorbisa, gdy ten chwycił główkę swej laski, przekręcił i szarpnął. W świetle latarni błysnęło stalowe ostrze.

Potem światło zgasło.

- Prowadź - zabrzmiał w ciemności głos Vorbisa.

Brutha, drżąc, wykonał polecenie. Przy pierwszym kroku wyczuł pod sandałem coś miękkiego. Rękę.

Otchłań, pomyślał. Wystarczy spojrzeć w oczy Vorbisa, aby zobaczyć otchłań. A ja w niej jestem, razem z nim.

Muszę pamiętać o fundamentalnych prawdach.

Nie spotkali już przewodników patrolujących labirynt. Po zaledwie milionie lat chłopiec poczuł na twarzy chłodny podmuch i stanął poci *rozgwieżdżonym niebem*.

- Dobra robota. Pamiętasz drogę do bramy?

- Tak, panie.

Diakon naciągnął kaptur na oczy.

- Prowadź.

Kilka pochodni płonęło na ulicy, ale Efeb nie był miastem, gdzie życie trwa po zmroku. Nieliczni przechodnie nie zwracali na nich uwagi.

- Pilnują zatoki - oświadczył swobodnym tonem Vorbis. - Ale drogi na pustynię... Wszyscy wiedzą, że nikt nie zdoła pokonać pustyni. Jestem pewien, że i ty to wiesz, Brutho.

- Ale teraz podejrzewam, że to, co wiem, nie jest prawdą.

- Istotnie. Oho, jest brama. Wczoraj stało tu chyba dwóch żołnierzy.
- Widziałem dwóch.
- Ale teraz jest noc, a brama zamknięta. Z pewnością jednak ktoś trzyma straż. Zaczekaj tutaj.

Vorbis zniknął w mroku. Po chwili Brutha usłyszał stłumioną rozmowę. Wpatrywał się prosto przed siebie.

Po rozmowie zapadła zduszona cisza. Po chwili Brutha zaczął liczyć bezgłośnie.

Po dziesięciu wracam.

Może jeszcze dziesięć.

No dobrze. Do trzydziestu. Później...

- Brutho! Chodźmy.

Brutha z trudem opanował drżenie i odwrócił się wolno.

- Nie słyszałem cię, panie - wykrztusił.

- Mam lekki krok.

- Czy jest tam strażnik?

- Już nie. Chodź, pomożesz mi przy sztabach.

W skrzydło głównej bramy wbudowano małą furtkę. Odepnęła od nienawiści Brutha odsunął grzbietem dłoni zasuwę. Furtka otworzyła się niemal bez zgrzytu.

Na zewnątrz zobaczył rzadkie światełka dalekich farm i stłoczoną ciemność.

A potem ciemność wlała się do środka.

Hierarchia, tłumaczył później Vorbis. Efebianie nie myśleli w terminach hierarchii.

Żadna armia nie mogła pokonać pustyni. Ale mniejszy oddział mógł dotrzeć do jednej czwartej drogi i pozostawić zapas wody. I pokonać tę drogę kilka razy. Potem kolejny oddział, wykorzystując część zapasu, mógł dotrzeć do połowy drogi i pozostawić zapasy. I następny oddział...

Trwało to całe miesiące. Trzecia część ludzi zginęła z upału i odwodnienia, od zębów dzikich zwierząt i jeszcze gorszych rzeczy. Gorszych niż kryła w sobie pustynia...

Aby zaplanować coś takiego, trzeba mieć umysł jak Vorbis.

I trzeba planować wcześniej. Żołnierze umierali już na pustyni, zanim jeszcze brat Murduck wyruszył z misją. Ubity gościniec prowadził przez piaski, kiedy omniańska flota płonęła w zatoce pod Efebem.

Trzeba mieć umysł jak Vorbis, by zaplanować działania odwetowe, zanim nastąpi atak.

W niecałą godzinę wszystko było skończone. Fundamentalna prawda okazała się taka, że garstka efebiańskich gwardzystów w pałacu nie miała żadnych szans.

Vorbis siedział wyprostowany w fotelu tyrana. Zbliżała się północ.

Doprowadzono do niego gromadkę obywateli Efebu, wśród nich samego tyrana.

Vorbis przeglądał jakieś papiery. Po chwili z lekkim zdziwieniem uniósł głowę, jakby nie zdawał sobie sprawy, że stoi przed nim pięćdziesięciu ludzi w otoczeniu żołnierzy z kuszami.

- Ach... - Uśmiechnął się przelotnie. - No cóż, z przyjemnością stwierdzam, że możemy zapomnieć o traktacie pokojowym. Nie jest konieczny. Po co radzić o pokoju, skoro nie ma wojny? Efeb jest teraz diecezją omniańska. Nie przewiduję dyskusji. Rzucił papiery na podłogę.

- Za kilka dni przyplynie tu flota. Nie będzie oporu, dopóki panujemy nad pałacem. Żołnierze właśnie rozbijają wasze piekielne zwierciadło.

Zetknął dłonie czubkami palców i spojrzał na Efebiana.

- Kto je zbudował?

Tyran wyprostował się dumnie.

- To efebianańska konstrukcja - oświadczył.

- No tak - mruknął Vorbis. - Demokracja. Zapomniałem. W takim razie... - Skinął na jednego ze strażników, który podał mu worek. - Kto to napisał?

Na marmurową posadzkę wypadł egzemplarz *De Chelonian Mobile*.

Brutha stał obok tronu. Tam właśnie polecono mu stanąć.

Zajrzał w otchłań i teraz ta otchłań wypełniła go całkowicie. Wszystko wokół działa się w odległym kręgu światła otoczonym czernią. Myśli ścigały się w głowie.

Czy cenobiarcha o tym wiedział? Czy ktokolwiek wiedział o dwóch rodzajach prawdy? Kto jeszcze był świadom, że Vorbis stoi w tej wojnie po obu stronach, niczym dziecko bawiące się żołnierzami? Czy to naprawę źle, skoro służy większej chwale...

...większej chwale boga, który jest żółwiem? Boga, w którego wierzy tylko Brutha?

Z kim rozmawia Vorbis, kiedy się modli?

Poprzez chaos myśli Brutha słyszał głos Vorbisa.

- Jeśli filozof, który to napisał, nie przyzna się, wszyscy zginą na stosie. Nie liczcie na to, że tylko straszę.

W grupie wybuchła szamotanina. Rozległo się wołanie Didactylosa:

- Puśćcie mnie! Przecież słyszeliście, co powiedział! Zresztą zawsze chciałem to zrobić...

Ktoś rozepchnął na boki kilku służących. Filozof wystąpił przed grupę, dumnie unosząc nad głową latarnię.

Brutha przyglądał się uważnie. Filozof przystanął na moment, po czym odwrócił się bardzo powoli, aż stanął twarzą do Vorbisa. Zbliżył się o kilka kroków i wyciągnął przed siebie latarnię. Zdawało się, że krytycznie przygląda się ekskwizytorowi.

- Hm - mruknął.

- Ty to... popełniłeś? - upewnił się Vorbis.

- W samej rzeczy. Nazywam się Didactylos.

- Jesteś ślepy?

- Tylko jeśli chodzi o wzrok, panie.

- A jednak nosisz latarnię - zauważył Vorbis. - Pewnie tłumaczysz to jakimś sloganem. Prawdopodobnie zaraz mi powiesz, że szukasz uczciwego człowieka.

- Nie wiem, panie. Może ty mógłbyś mi wytłumaczyć, jak on wygląda.

- Straszliwa kara powinna spaść na ciebie...

- Och, z całą pewnością. Vorbis wskazał książkę.

- Te kłamstwa! Skandal! Ta... pokusa, która sprowadza umysły ludzkie ze ścieżki prawdziwej wiedzy. Ośmielasz się stać przede mną i twierdzić... - pchnął książkę czubkiem sandała— ...że świat jest płaski i sunie przez pustkę na grzbiecie ogromnego żółwia?

Brutha wstrzymał oddech.

Historia również.

Potwierdź swoje poglądy, myślał chłopiec. Niech chociaż raz ktoś rzuci wyzwanie Vorbisowi. Ja nie potrafię. Ale ktoś...

Mimowolnie zerknął na Symonię, który stał po drugiej stronie Vorbisa. Sierżant wydawał się skamieniały, zafascynowany.,.

Didactylos wyprostował się na pełną wysokość. Odwrócił się lekko i przez moment spojrzenie jego niewidzących oczu przesunęło się po twarzy Bruthy. Latarnię trzymał w wyciągniętej ręce.

- Nie - powiedział,

- Gdy każdy uczciwy człowiek wie, że świat jest kulą, kształtem doskonałym, zmuszonym do obiegu wokół kulistego słońca, tak jak człowiek orbituje wokół światłej mądrości Oma - mówił Vorbis. - A gwiazdy...

Brutha pochylił się. Serce biło mu mocno.

- Panie - szepnął.

- Co? - burknął Vorbis.

- On powiedział „nie”.

- Zgadza się - przyznał Didactylos.

Przez chwilę Vorbis siedział w absolutnym bezruchu. Potem jego szczeka poruszyła się nieco, jak gdyby pod nosem powtarzał jakieś słowa.

- Zaprzeczasz temu? - zapytał.

- Niech będzie kulą - odparł Didactylos. - Żaden kłopot. Bez wątplenia wprowadzono specjalne warunki, aby wszystko trzymało się powierzchni. Słońce może być inną, większą kulą, oddaloną od pierwszej. Czy wolisz, żeby księżyc krążył wokół świata, czy wokół słońca? Sugeruję świat. To bardziej hierarchiczne i znakomity przykład dla nas wszystkich.

Brutha patrzył na coś, czego nigdy jeszcze nie widział: Vorbis wyglądał na oszołomionego.

- Przecież napisałeś... twierdziłeś, że świat spoczywa na wielkim żółwiu! Dałeś mu nawet imię!

- Ale teraz zrozumiałem. — Didactylos wzruszył ramionami. — Czy kto kiedy słyszał o żółwiu długości dziesięciu tysięcy mil? Płynącym przez pustkę przestrzeni? Ha! Co za głupota! Wstydzę się teraz, kiedy o tym pomyślę.

Vorbis zamknął usta. I zaraz znów je otworzył.

- Czy tak zachowuje się efebianski filozof? - zapytał. Didactylos raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Tak zachowuje się każdy prawdziwy filozof - rzekł. - Zawsze jest gotów, by przyjąć nowe idee, przemyśleć nowe dowody. Zgodzisz się chyba? A dostarczyliście mi wielu nowych argumentów... - Gestem ręki wskazał, jakby przypadkiem, omniańskich kuszników pod ścianami. - Muszę je rozważyć. Istotny argument zawsze potrafi mnie przekonać.

- Twoje kłamstwa popłynęły już w świat jak trucizna!

- W takim razie napiszę drugą książkę - stwierdził spokojnie filozof. - Pomyśl, panie, jakie to robi wrażenie: dumny Didactylos przekonany argumentacją Omnian. Całkowite odwołanie tez. Hm? Więcej nawet. Jeśli pozwolisz, panie... a wiem, że masz wiele pracy, rabowania, podpalania i tak dalej... natychmiast wrócę do swojej beczki i zacznę pracę nad tym dziełem. Wszechświat kuł... Kule wirujące w przestrzeni... hm... tak. Za twoją zgodą opiszę więcej kuł, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Stary filozof odwrócił się i bardzo powoli ruszył w stronę wyjścia.

Vorbis przyglądał się, jak odchodzi.

Brutha zauważył, że podnosi dłoń, by dać sygnał strażnikom, ale zaraz ją opuszcza.

Ekskwizytor zwrócił się do tyrana.

- Tyle zostało z waszej... - zaczął.

-Juhuu!

Latarnia przefrunęła przez salę i roztrzaskała się o czaszkę Vorbisa.

- Ale jednak... Żółw Się Rusza! Vorbis zerwał się na nogi.

- Ja... -wrzasnął, lecz natychmiast się opanował. Z irytacją skinął na kilku strażników. - Macie go schwytać. Natychmiast. A... Brutho!

Brutha ledwie go słyszał poprzez szum krwi w uszach. Didactylos okazał się lepszym myślicielem, niż sądził.

- Słucham, panie.

- Weźmiesz oddział żołnierzy i zaprowadzisz ich do biblioteki. A potem, Brutho, spalisz tę bibliotekę.

Didactylos był niewidomy, ale panowała noc. Ścigający go żołnierze widzieli, ale nie mieli niczego, przy czym mogliby cokolwiek zobaczyć. I nie spędzili całego życia na wędrowaniu po krętych, nierównych, a przede wszystkim obfitujących w schodki uliczkach Efebu.

- ...osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście... - mruczał filozof, pokonując w absolutnej ciemności kilka stopni i skręcając za róg.

- Auu, uch, to było moje kolano — pomrukiwała część żołnierzy zwalonych na stos mniej więcej w połowie drogi.

Jednemu udało się dotrzeć na szczyt schodów. Przy blasku gwiazd dojrzał chudą sylwetkę pędzącą po ulicy. Uniósł kuszę. Stary dureń nawet nie próbował zygzakować...

Doskonały cel.

Brzęknęła cięciwa.

Żołnierz zrobił zdumioną minę. Kusza wypadła mu z rąk i wystrzeliła, uderzając o bruk. Bełt odbił się rykoszetem od posągu. Żołnierz spojrzał na pierzastą strzałę sterczącą mu z piersi, a potem na postać wynurzającą się z mroku.

- Sierżant Symonia? - wyszeptał.

- Przykro mi - rzekł Symonia. - Bardzo mi przykro. Ale Prawda jest najważniejsza.

Żołnierz otworzył usta, by wyrazić swoją opinię na temat prawdy, po czym wolno osunął się na ziemię.

Otworzył oczy.

Symonia już odchodził. Wszystko wydawało się łżejsze. Było ciemno, ale teraz widział w ciemności. I wszystko miało barwę szarości, tyle że w różnych odcieniach. A kamienie bruku pod palcami zmieniły się jakoś w szorstki czarny piasek.

Podniósł głowę.

WSTAŃCIE, SZEREGOWY ICHLOS.

Podniósł się posłusznie. Był teraz kimś więcej niż zwykłym żołnierzem, anonimową postacią, którą ściga się i zabija, która jest zaledwie nieważnym pionkiem w życiu innych. Teraz stał się Derki Ichlosem, lat trzydzieści osiem, stosunkowo niewinnym w ogólnym porządku rzeczy. I martwym.

Niepewnie uniósł dłoń do ust.

- Czy jesteś sędzią? - zapytał.

NIE JA.

Ichlos zerknął na ciągnącą się po horyzont piaszczystą równinę. Instynktownie wiedział, co należy zrobić. Był człowiekiem mniej wyrafinowanym od generała Fri'ita, więc lepiej pamiętał piosenki z dzieciństwa. Poza tym miał też pewną przewagę: był jeszcze mniej religijny od generała.

SAD CZEKA CIĘ NA KRAŃCU PUSTYNI.

Ichlos spróbował się uśmiechnąć.

- Mama mi o tym opowiadała - przypomniał sobie. - Kiedy człowiek umiera, musi przejść przez pustynię. I mówiła, że wtedy widzi wszystko tak, jak należy. I wszystko dobrze pamięta.

Śmierć starannie nie robił niczego, co mogłoby wskazywać na jego opinię w tej sprawie.

- Mogę nawet spotkać po drodze kolegów, nie? - rzucił jeszcze żołnierz. MOŻLIWE. Ichlos ruszył przed siebie. Tak w ogóle, pomyślał, mogło być gorzej.

Urn wspinał się na półki jak małpa, wyciągał zwoje i rzucał je na podłogę.

- Uniosę może dwadzieścia - oznajmił. - Ale które dwadzieścia?

- Zawsze chciałem to zrobić — mruczał z zadowoleniem Didac-tylos. - Stanać w obronie prawdy wobec tyranii i w ogóle. Ha! Jeden człowiek, który nie złąkł się...

- Co mam zabrać? Co zabrać? - krzyknął Urn.

- Nie potrzebujemy *Mechaniki* Grido - odparł Didactylos. - Żałuję, że nie mogłem zobaczyć jego miny! Niezły rzut, trzeba przyznać. Mam tylko nadzieję, że ktoś zapisał to, co...

- Zasady przekładni! Teoria rozszerzania się wody! - wołał Urn. - Ale po co nam *Obywatele* Ibida albo *Ektopia* Gnomona? Przecież...

- Co? One należą do całej ludzkości!

- Więc niech ludzkość tu przyjdzie i pomoże nam je wynosić. Ale póki jest nas tylko dwóch, to wolę zabrać coś pożytecznego.

- Pożyteczne? Książki o mechanizmach?

- Tak! Pokazują ludziom, jak można żyć lepiej!

- A tamte pokazują ludziom, jak być ludźmi! — oznajmił Didactylos. - Co mi przypomina... Znajdź mi jakąś latarnię. Bez niej czuję się jak ślepy.

Drzwi biblioteki zadygotały od potężnego stukania. Nie było to stukanie ludzi, którzy czekają, aż ktoś otworzy im drzwi.

- Moglibyśmy dorzucić parę tamtych do...

Coś wyrwało zawiasy ze ścian. Drzwi runęły na posadzkę.

Przebiegli po nich żołnierze z obnażonymi mieczami.

- Och, panowie — odezwał się filozof. — Proszę, żebyście nie niszczyli moich kół.

Dowodzący oddziałem kapral spojrzał tępo najpierw na niego, potem na podłogę.

- Jakich kół? - zapytał.

- A może dalibyście mi parę cyrkli i wrócili, powiedzmy, za pół godziny? Co wy na to?

- Zostawcie go, kapralu - polecił Brutha. Przeszedł po drzwiach.

- Powiedziałem, zostawcie.

- Ale mam rozkaz, by...

- Głusi jesteście? Jeśli tak, Kwizycja może was wyleczyć - oświadczył Brutha, zdumiony spokojem własnego głosu.

- Nie należysz do Kwizycji - zauważył kapral.

- Nie - zgodził się chłopiec. -Ale znam człowieka, który należy. Macie przeszukać pałac i znaleźć wszystkie książki. Jego zostawcie ze mną. To starzec. Co może zrobić?

Kapral spoglądał z wahaniem to na nowicjusza, to na jeńców.

- W porządku, kapralu. Przejmuję dowództwo. Obejrzelisiście się wszyscy.

- Słyszeliście?

Sierżant Symonia przecisnął się do przodu.

- Ale diakon mówił...

- Kapralu!

- Tak jest, sierżancie.

- Diakon jest daleko stąd. A ja tutaj.

- Tak jest, sierżancie.

- Idźcie!

- Tak jest, sierżancie.

Symonia nadstawił ucha, sprawdzając, czy żołnierze rzeczywiście odmaszerowali.

Potem wbił miecz w wyważone drzwi i podszedł do Didactylosa. Zaciśnął w pięść lewą dłoń i przykrył ją od góry otwartą prawą.

- Żółw Sień Rusza - oświadczył.

- Wszystko zależy - odparł czujnie filozof.

- To znaczy, że... że jestem przyjacielem.

- Dlaczego mamy ci ufać? — spytał Urn.

- Bo nie macie innego wyjścia - wyjaśnił rozsądnie Symonia.

- Możesz nas stąd wydostać? - zapytał Brutha. Symonia spojrzał na niego z niechęcią.

- Ciebie? Dlaczego miałbym cię stąd wydostawać? Jesteś inkwizytorem!

Sięgnął po miecz. Chłopiec cofnął się.

- Wcale nie jestem!

- Na statku, kiedy kapitan próbował cię wybadać, nie odpowiedziałeś. Nie należysz do nas.

- Ale chyba do nich też nie należę. Należę do siebie. Spojrzał błagalnie na Didactylosa, ale był to zmarnowany wysiłek. Zwrócił się więc do Urna.

- Nic nie wiem o tym żołnierzu - powiedział. — Wiem tylko, że Vorbis chce was zabić, a na pewno spali bibliotekę. Ale mogę wam pomóc. Przemyślałem to sobie po drodze.

- Nie słuchajcie go - przerwał mu Symonia. Przyklęknął przed filozofem na jedno kolano, jakby o coś go błagał. - Mistrzu, są tacy... niektórzy z nas... którzy wiedzą, czym jest twoja książka... Spójrz, mam tu egzemplarz...

Sięgnął pod pancerz.

- Skopiowaliśmy ją! - zawołał. -Jeden egzemplarz! To wszystko, co mieliśmy. Ale krążył wśród ludzi. Ci, co potrafią czytać, czytali innym. To wszystko jest takie rozsądne!

- Ee... - zająknął się Didactylos. - Co? Symonia w podnieceniu zamachał rękami.

- Bo przecież wiemy... Bywałem w miejscach, skąd... To prawda! Istnieje Wielki Żółw! I rzeczywiście się rusza! Nie potrzebujemy bogów!

- Urn! Mam nadzieję, że nikt nie zdarł miedzi z dachu?

- Chyba nie.

- Przypomnij mi tylko, żebym nie rozmawiał z tym człowiekiem na zewnątrz.

- Nie rozumiesz? — mówił dalej sierżant. — Mogę cię ocalić. Masz przyjaciół

tam, gdzie byś się nie spodziewał. Chodź ze mną. Zabiję tylko tego kapłana...

Chwycił miecz. Brutha odskoczył.

- Nie! Ja też mogę pomóc! Po to przyszedłem! Kiedy zobaczyłem cię przed Vorbisem, zrozumiałem, co mogę zrobić!

- A co możesz zrobić? - spytał drwiąco Urn.

- Mogę uratować bibliotekę.

- Niby jak? - parsknął pogardliwie Symonia. - Zarzucisz ją sobie na plecy i uciekniesz?

- Nie. Nie w ten sposób. Ile macie tu zwojów?

- Około siedmiuset - odpowiedział Didactylos.

- A ile z nich jest ważnych?

- Wszystkie - stwierdził Urn.

- Może parę setek - ocenił Didactylos.

- Wuju!

- Cała reszta to tylko głupstwa, publikowane z próżności.

- Ale to książki!

- Zdołam może wziąć więcej - rzekł z namysłem Brutha. - Czy jest tu jakaś droga na zewnątrz?

- Droga... być może... - zawahał się filozof.

- Nie mów mu! - krzyknął Symonia.

- Wtedy wszystkie wasze księgi spłoną - przypomniał Brutha. Skinął na sierżanta. - On mówił, że nie macie wyboru. Czyli nie macie też nic do stracenia, prawda?

- Przecież on... - zaczął Symonia.

- Wszyscy cisza! - rzucił stanowczo Didactylos. Skierował wzrok tuż obok ucha Bruthy. - Może istnieje wyjście z pałacu - rzekł. - Co zamierzasz?

- Nie mogę uwierzyć! - jęknął Urn. - To są Omniane, a ty im mówisz, że jest inna droga?

- Tunele przecinają całą górę.

- Może i tak, ale nie opowiadamy o tym obcym!

- Mam uczucie, że możemy zaufać temu chłopcu — wyjaśnił Didactylos. — Ma uczciwą twarz. W sensie filozoficznym.

- Dlaczego mamy mu ufać?

- Ktokolwiek tak głupi, by liczyć, że mu zaufamy, musi być godny zaufania. Jest za głupi, żeby nas oszukać.

- Mogę zwyczajnie stąd wyjść - przypomniał Brutha. -1 co się wtedy stanie w waszą biblioteką?

- Widzicie? — burknął Symonia.

- Akurat kiedy sytuacja była całkiem beznadziejna, okazało się nagle, że wszędzie mamy przyjaciół - powiedział Didactylos. -Jaki masz plan, młody człowieku?

- Nie mam żadnego - odparł Brutha. - Nie planuję. Po prostu robię, co trzeba, jedną rzecz po drugiej.

- A ile czasu zajmie ci robienie rzeczy jedna po drugiej?

- Myślę, że jakieś dziesięć minut. Sierżant spojrzał na niego ponuro.

- Przynieście książki - polecił chłopiec. - Będę też potrzebował światła.

- Przecież nawet nie umiesz czytać! - zawołał Urn.

- Nie będę ich czytał. - Brutha popatrzył na pierwszy zwój, który przypadkiem okazał się *De Chelonian Mobile*.

- Oj... Mój Boże — szepnął.

- Coś się stało? - zaniepokoił się Didactylos.
- Czy ktoś mógłby przynieść mojego żółwia?

Symonia szedł przez pałac. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Większość efebiańskiej gwardii pozostała na zewnątrz labiryntu, a wszystkim, którzy mogliby planować wyprawę do wnętrza, Vorbis wyraźnie dał do zrozumienia, co czeka wtedy schwytanych mieszkańców pałacu. Grupy omniańskich żołnierzy rabowały dobra w sposób karny i zdyscyplinowany.

Poza tym wracał przecież na kwaterę.

W celi Bruthy rzeczywiście znalazł żółwia. Zwierzak siedział na stole pomiędzy rozwiniętym pergaminem a skórką melona i - o ile można to u żółwi rozpoznać - drzemał. Symonia złapał go bez ceremonii, wrzucił do plecaka i ruszył z powrotem do biblioteki.

Nienawidził siebie za te ustępstwa. Ten głupi kapłan wszystko zepsuł. Ale Didactylos kazał mu obiecać, a Didactylos był człowiekiem, który znał Prawdę.

Przez całą drogę powrotną męczyło go uczucie, że ktoś usiłuje zwrócić jego uwagę.

- Wystarczy ci popatrzeć, żeby je zapamiętać? - zdziwił się Urn.

-Tak.

- Cały zwój?

-Tak.

- Nie wierzę.

- W słowie LIBRYM przed wejściem do tego budynku pierwsza litera ma odłupany rożek u góry - powiedział Brutha. - Xenon napisał *Refleksje*, stary Aristokrates napisał *Frazesy*, a Didactylos uważa, że *Dyskursy* Ibida są głupie. Odległość od sali tronowej tyrana do biblioteki wynosi sześćset kroków. Jest...

- Ma dobrą pamięć, trzeba mu to przyznać - zauważył Didactylos. - Pokaż mu jeszcze kilka zwojów.

- Skąd mamy wiedzieć, że je zapamiętał? - odezwał się Urn głosem pełnym powątpienia, ale rozwinął pergamin z twierdzeniami geometrycznymi. - Nie umie czytać. A gdyby nawet umiał czytać, to nie umie pisać.

- Będziemy musieli go nauczyć.

Brutha spojrzał na zwój pełen wyrysowanych map. Zamknął oczy. Przez moment nierówne linie granic lśniły na wewnętrznej stronie powiek, aż wyczuł, że zapadają mu w umysł. Wciąż gdzieś tam były - w każdej chwili mógł je przywołać. Urn rozwinął następny zwój: obrazki zwierząt. Następny: rysunki roślin i dużo pisma. Następny: tylko pismo. Następny: trójkąty i różne inne. Utrwalały się w pamięci. Po jakimś czasie przestał sobie zdawać sprawę, że rozwijają się przed nim kolejne zwoje. Patrzył tylko.

Zastanawiał się, ile potrafi zapamiętać. Ale to przecież bez sensu. Pamiętał po prostu wszystko, co widział - blat stołu czy zwój pokryty pismem. W słojach i barwach drewna było tyle samo informacji co w *Refleksjach* Xenona.

Mimo to odczuwał pewną ociężałość myśli, wrażenie, że gdyby nagle odwrócił głowę, pamięć chlusnęłaby uszami.

Urn sięgnął po pierwszy z brzegu zwój i rozwinął go częściowo.

- Opisz, jak wygląda Wieloznaczna Puzuma - zażądał.

- Nie wiem - odparł Brutha. Zamrugął.

- No to pan Pamiętliwy jest załatwiony.
- On nie umie czytać, mój chłopcze. To nieuczciwe - upomniał siostrzeńca filozof.

- No dobrze. Chodzi mi o... o czwarty obrazek w trzecim zwoju, jaki ci pokazałem.

- Czteronogie zwierzę skierowane głową w lewą stronę - powiedział Brutha. - Duża głowa, podobna do kociej, szerokie barki i tułów zwężający się do tyłu. Ciało pokrywa deseń jaśniejszych i ciemniejszych kwadratów. Uszy bardzo małe, leżące płasko na głowie. Ma sześć wąsików. Ogon gruby. Tylko tylne łapy mają pazury, po trzy na każdej łapie. Przednie łapy tej samej długości co głowa i przyciśnięte do tułowia. Pas gęstej sierści...

- To było pięćdziesiąt zwojów temu — szepnął Urn. — Oglądał go przez sekundę czy dwie.

Spojrzeli na Bruthę. Chłopiec znów zamrugał.

- Wiesz wszystko? - spytał Urn.

- Nie mam pojęcia.

- Masz w głowie pół biblioteki!

- Czuję się... trochę...

Biblioteka w Efebie stała się wielkim paleniskiem. Płomienie gorzały błękitem w miejscach, gdzie roztopiona miedź z dachu kapła na półki.

Wszystkie biblioteki, wszędzie, połączone są tunelami przestrzennymi stworzonymi wskutek silnych zniekształceń czasoprzestrzennych, pojawiających się wokół dużych zbiorów książek.

Tylko nieliczni bibliotekarze o tym wiedzą. Obowiązują też nienaruszalne zasady dotyczące wykorzystywania tego faktu - ponieważ łączy się to z podróżami w czasie. A podróże w czasie prowadzą do dużych kłopotów.

Lecz jeśli biblioteka płonie, a książki historyczne odnotowały, że spłonęła...

Zabrzmiało ciche puknięcie, całkowicie niesłyszalne wśród trzasku płonących półek. Jakaś postać zeskoczyła znikąd na niewielki skrawek niespalonej podłogi pośrodku biblioteki.

Postać przypominała małpę, ale poruszała się w sposób celowy i zorganizowany. Długimi małpimi rękami tłumiła ogień, wyrwała zwoje z półek i upychała je do worka. Po chwili, z pełnym workiem, podpierając się rękami, wróciła na środek pomieszczenia... i zniknęła z cichym puknięciem.

Nie ma to nic wspólnego z całą historią.

Podobnie jak fakt, że jakiś czas później zwoje, które uważano za zniszczone podczas wielkiego pożaru biblioteki w Efebie, pojawiły się w zadziwiająco dobrym stanie w bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu w Ankh-Morpork.

Mimo to dobrze jest o tym wiedzieć.

Pachniało morzem.

W każdym razie był to zapach, który ludzie przypisują morzu, czyli smród starych ryb i gnijących wodorostów. Brutha obudził się. Leżał w jakiejś szopie. Światło, które zdołało się przebić przez jedno okno bez szyby, było czerwone i migotliwe. Szopa z jednego końca otwierała się na wodę. W krwawym blasku zebrali się tam wokół czegoś kilka postaci.

Chłopak delikatnie zbadał zawartość swej pamięci. Wszystko było chyba na

miejscu, zwoje z biblioteki ułożone po kolei. Słowa nic dla niego nie znaczyły, jak zresztą dowolne napisy, ale obrazki były ciekawe. W każdym razie ciekawsze niż wszystko inne, co pamiętał dotąd.

Usiadł ostrożnie.

- A więc się obudziłeś - zabrzmiał mu w głowie głos Oma. - Czujesz się trochę pełny, prawda? Czujesz się jak regał? Czujesz się, jakbyś wszędzie w głowie miał wielkie plansze z napisem „SILENCIOS!”? Po coś to zrobił?

- Ja... sam nie wiem. Wydawało się, że to... to kolejna rzecz do zrobienia. Gdzie jesteś?

- Ten twój wojskowy przyjaciel wepchnął mnie do plecaka. Nawiasem mówiąc, dzięki, że się tak dobrze mną opiekowałeś.

Brutha zdołał jakoś stanąć na nogach. Świat wirował wokół niego przez chwilę, dodając trzecią teorię astronomiczną do dwóch, jakie obecnie zajmowały miejscowych myślicieli.

Wyrzał przez okno. Czerwony blask pochodził z pożarów w całym Efebie, a nad biblioteką płonęła jasnoczerwona zorza.

- Działania partyzanckie - wyjaśnił Om. - Nawet niewolnicy walczą. Nie rozumiem dlaczego. Można by sądzić, że wykorzystają okazję i spróbują się zemścić na swoich panach.

- Niewolnik w Efebie ma szansę zdobycia wolności - mruknął Brutha.

Od strony otwartego końca szopy coś zasyczało i zabrzmiało mechaniczne tykanie.

- Przecież mówiłem - usłyszał Brutha głos Urna. - Zwyczajnie, rura się zapchała. Teraz trzeba więcej paliwa.

Brutha powlókł się w stronę łodzi.

Stali nad łodzią. Jak na łódź, miała kształt całkiem typowy: zaokrąglony koniec z przodu i płaski z tyłu. Ale brakowało jej masztu. Była za to duża kula barwy miedzi, zwisająca z drewnianego rusztowania w tylnej części. Pod nią stał żelazny kosz, w którym ktoś już rozpałił solidny ogień.

Kula wirowała na rusztowaniu, wśród kłębow pary.

- O, jest chodząca biblioteka - odezwał się Didactylos. - Tak. Masz rację. To ilustracja zasady reakcji. Nie prosiłem Urna, żeby zbudował taki duży aparat. Tak się to kończy, kiedy ktoś myśli rękami.

- W zeszłym tygodniu nocą popłynąłem nią do latarni morskiej i z powrotem - oświadczył Urm. - Bez żadnych kłopotów.

- Ankh-Morpork leży o wiele dalej - przypomniał Symonia.

- Tak. Leży pięć razy dalej niż odległość między Efebem a Omnią - poinformował uroczyście Brutha. - Był tam jeden zwój z mapami - dodał.

Para z wirującej kuli unosiła się gorącymi obłokami. Kiedy Brutha podszedł bliżej, zauważył pół tuzina bardzo krótkich wiosł. Były połączone razem w coś w rodzaju gwiazdy, umocowane za miedzianą kulą i wysunięte poza tylny koniec łodzi. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniały drewniane koła zębate i kilka pasów transmisyjnych. Kiedy kula wirowała, małe wiosła uderzały o powietrze.

- Jak to działa? - zapytał.

- Bardzo prosto - wyjaśnił Urm. - Ogień...

- Nie mamy na to czasu - przerwał mu Symonia.

- ...rozgrzewa wodę i ona się złości — mówił dalej uczeń filozofa. - Wylatuje więc z kuli przez te cztery małe rurki, żeby uciec od ognia. Kłęby pary rozkręcają kulę, a koła zębate i mechanizm śrubowy Legibusa przenoszą ruch na łopatki, które z kolei pchają łódź po wodzie.

- Bardzo filozoficzne - zauważył Didactylos.
- Brutha uznał, że powinien wystąpić w obronie dokonań Omni.
- Wielkie wrota w Cytadeli ważą tony, ale otwiera je tylko moc wiary - oświadczył. - Jedno pchnięcie i stają otworem.
- Chciałbym to zobaczyć - powiedział Urn. Brutha poczuł delikatne i grzeszne ukłucie dumy z faktu, że Omnia wciąż miała coś, czym mogła się pochwalić.
- Przypuszczam, że wystarczy dobre wyważenie i trochę hydrauliki.
- Och.
- Symonia w zadumie stuknął mechanizm mieczem.
- Pomyślałeś o wszystkich możliwościach? - zapytał. Urn zamachał rękami.
- Chodzi ci o wielkie okręty, sunące po ciemnym jak wino oceanie bez żadnych... - zaczął.
- Na ładzie. Myślałem o ładzie. Może... na jakimś wózku...
- To przecież bez sensu. Po co ładować łódź na wózek? Oczy sierżanta błyszczały —jak u człowieka, który zajrzał w przyszłość i odkrył, że jest osłonięta pancerzem.
- Hm...
- Wszystko to pięknie - wtrącił Didactylos - ale to żadna filozofia.
- Gdzie jest kapłan?
- Tutaj, ale nie jestem...
- Jak się czujesz? Zgasłeś tam jak świeczka.
- Ja... Już lepiej.
- W jednej chwili stoisz prosto, a w następnej mógłbyś służyć za wycieraczkę.
- Jest mi o wiele lepiej.
- Dużo się dzieje, co?
- Czasami.
- Pamiętasz wszystkie zwoje?
- Chyba tak. Kto podpalił bibliotekę? Urn uniósł głowę znad mechanizmu.
- On - powiedział.
- Brutha wytrzeszczył oczy na Didactylosa.
- Podłożył pan ogień pod własną bibliotekę?
- Jestem jedynym, który się kwalifikuje - odparł filozof. - Poza tym w taki sposób odebrałem ją Vorbisowi.
- Co?
- Wyobraź sobie, że przeczytałby te zwoje. I tak jest już okropny. A z całą tą wiedzą byłby o wiele gorszy.
- On by ich nie przeczytał - zapewnił Brutha.
- Przeczytałby. Znam takich. Publicznie czysta pobożność, a prywatnie winogrona bez skórki i wszelkie rozkosze.
- Nie Vorbis - rzekł chłopiec z absolutną pewnością w głosie. - Na pewno by nie czytał.
- Wszystko jedno - uciął Didactylos. - Ktoś musiał, więc ja to zrobiłem.
- Urn wyprostował się znad rufy łodzi, gdzie dorzucał drewna do kosza pod kulą.
- Możemy już wsiadać? - zapytał.
- Brutha usadowił się na twardej ławeczce w śródokręciu, czy jak ta część się nazywała. W powietrzu pachniało gorącą wodą.
- W porządku - stwierdził Urn.
- Pociągnął za dźwignię i zanurzył w wodzie obracające się łopatki. Łódź szarpnęła i popłynęła, pozostawiając za sobą kłęby pary.

-Jak się nazywa ten statek? - zapytał Didactylos.

Urn zdziwił się wyraźnie.

- Nazywa? - powtórzył. - To tylko łódka. Zwykła rzecz, zgodna z naturą rzeczy. Nie potrzebuje imienia.

- Imiona są bardziej filozoficzne - stwierdził Didactylos odrobinę nadąsany. -1
powinieneś rozbić nad nią amforę z winem.

- Po co marnować wino?

Łódź wypłynęła z kanału do zatoki. Z boku widzieli płonące nabrzeże Efebu. Całe miasto było upstrzone plamami pożarów.

- Ale masz amforę na pokładzie? - upewnił się filozof.

-Tak.

- No to podaj.

Za łodzią ciągnął się pas spienionej wody. Łopatki obracały się w równym tempie.

- Bez wiatru! Bez wiosłarzy! — zachwycił się Symonia. — Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co zbudowałeś, Urn?

- Oczywiście. Zasada działania jest zadziwiająco prosta.

- Nie o to mi chodziło. Mówię o tym, co można zdziałać z taką energią.

Urn rzucił na palenisko kawałek drewna.

- To zwykłe przekształcenie ciepła w pracę - powiedział. - Sądzę... Na przykład pompowanie wody. Młyny, które miały nawet wtedy, kiedy nie ma wiatru. Takie rzeczy. Coś takiego miałeś na myśli?

Żołnierz Symonia zawahał się.

- Tak - mruknął. — Coś w tym rodzaju. Brutha pochylił się.

- Om... - szepnął.

- Słucham?

- Nic ci nie dolega?

- Cuchnie tu jak w żołnierskim chlebaku. Wyjmij mnie. Miedziana kula wirowała szaleńczo nad ogniem. Błyszczała niemal tak jasno, jak oczy Symonii. Brutha stuknął go w ramię.

- Czy mogę dostać mojego żółwia? Sierżant zaśmiał się z goryczą.

- Nieżle można sobie takim podjeść - powiedział, gdy wyjął Oma z chlebaka.

- Wszyscy mi to powtarzają.

Brutha zniżył głos do szeptu.

- Co to za miejsce, to Ankh?

- Miasto miliona dusz - odparł głos Oma. - Wiele z nich wciąż znajduje się w ciałach. I tysiąca religii. Jest tam nawet świątynia pomniejszych bóstw! Brzmi to jak miejsce, gdzie ludzie nie mają problemów z wiarą w różne rzeczy. Dobrze, żeby zacząć wszystko od nowa. Z moją inteligencją i twoją... z moją inteligencją wkrótce znowu rozwinie my interes.

- Nie chcesz wracać do Omni?

- Nie warto. Zawsze można obalić panujące bóstwo. Ludzie mają dosyć, pragną jakiejś zmiany. Ale siebie przecież nie mogę obalić, prawda?

- Z kim rozmawiasz, kapłanie? - zapytał Symonia.

-Ja, tego... modlę się.

- Ha! Do Oma? Równie dobrze mógłbyś się modlić do tego żółwia.

-Tak.

- Wstyd mi za Omnię — mówił dalej sierżant. - Popatrz tylko na nas. Tkwimy w przeszłości, w okowach represyjnego monoteizmu, otoczeni niechęcią sąsiadów. Co dobrego zrobił dla nas nasz Bóg? Bogowie? Ha...

- Spokojnie, spokojnie - powstrzymywał go Didactylos. - Płyniemy po morskiej wodzie, a ten twój pancerz, żołnierzu, jest świetnym przewodnikiem.

- Nie mówię o innych bogach — zapewnił pospiesznie Symonia. - Nie mam żadnych podstaw. Ale Om? Straszak Kwizycji. Jeśli istnieje, niech mnie porazi tu i teraz!

Dobyl miecza i wyciągnął go przed siebie.

Om siedział spokojnie na kolanach Bruthy.

- Podoba mi się ten chłopak - stwierdził. - Jest prawie równie dobry jak wyznawca. To jak miłość i nienawiść, rozumiesz? Symonia wsunął miecz do pochwy.

- Oto wyrzekam się Oma! - zawołał.

- Tak, ale jaki masz wybór?

- Filozofia! Praktyczna filozofia! Jak ten aparat Urna. Mógłby wciągnąć Omnię, choćby się zapierała, do Stulecia Nietoperza.

- Choćby się zapierała? - powtórzył chłopiec.

- Z użyciem wszelkich niezbędnych środków.

Sierżant uśmiechnął się szeroko.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Om. - My będziemy daleko. I bardzo dobrze. Nie sądzę, żeby Omnia stała się popularna, kiedy rozejdzie się wiadomość o wydarzeniach ostatniej nocy.

- Wszystko przez Vorbisa! - zawołał głośno Brutha. - On to zaczął. Wysłał nieszczęsnego brata Murducka, a potem kazał go zabić, żeby zrzucić winę na Efebiana. Nie zamierzał zawierać żadnego traktatu pokojowego. Chciał tylko dostać się do pałacu.

- Nie mam pojęcia, jak mu się udało - wtrącił Urn. - Nikt jeszcze nie przeszedł labiryntu bez przewodnika. Jak to zrobił? Ślepe oczy Didactylosa odszukały Bruthę.

- Nie wyobrażam sobie nawet - powiedział filozof. Chłopiec zwiesił głowę.

- Naprawdę wszystko zaplanował? - spytał Symonia.

- Tak.

- Ty idioto! Masz piasek zamiast mózgu! - wrzasnął Om.

- I powiesz to ludziom? - nie ustępował sierżant.

- Chyba tak.

- Wystąpiłbyś przeciwko Kwizycji?

Brutha żałośnie popatrzył w ciemność. Z tyłu pożary w Efebie zlały się w małą pomarańczową iskierkę.

- Mogę powiedzieć tylko to, co pamiętam — rzekł.

- Już po nas - stwierdził Om. - Może od razu wyrzucić mnie za burtę, co? Ten zakuty łeb chce nas zabrać z powrotem do Omni. Symonia w zadumie potarł dłonią podbródek.

- Vorbis ma wielu nieprzyjaciół - stwierdził. - W pewnych okolicznościach... Lepiej byłoby go zabić, ale niektórzy nazwą to mordem. A nawet męczeństwem. Ale proces... gdyby były dowody... gdyby choć pomyśleli, że mogą istnieć dowody...

- Widzę, jak działa jego umysł! - krzyczał Om. - Bylibyśmy bezpieczni, gdybyś się zamknął!

- Vorbis przed sądem... - zastanawiał się Symonia.

Brutha drgnął na samą myśl o tym. Taka myśl była prawie niemożliwa do utrzymania w głowie. Taka myśl nie miała sensu. Vorbis przed sądem? Procesy to coś, co przytrafia się innym.

Przypomniał sobie brata Murducka. I żołnierzy, którzy zginęli na pustyni. I wszystkie te rzeczy, które spotykały ludzi, nawet samego Bruthę.

- Powiedz mu, że nie pamiętasz! - wrzeszczał Om. - Powiedz, że nie możesz

sobie przypomnieć!

- A gdyby stanął przed sądem - mówił Symonia - uznaliby go za winnego. Nikt nie ośmieliłby się wyrokować inaczej.

Myśli zawsze sunęły przez głowę Bruthy powoli, jak góry lodowe. Pojawiały się wolno i odpływały wolno, a póki tam tkwiły, zajmowały dużo miejsca - w większości pod powierzchnią.

Brutha myślał: Najgorsze w Vorbisie nie jest to, że jest zły, ale to, że skłania innych do czynienia zła. Zmienia ludzi w podobnych do siebie. Nie ma na to rady. Człowiek zaraża się od niego.

Jedynym dźwiękiem był chłupot wody o kadłub „Nienazwanej” i terkot maszyny filozoficznej.

- Złapią nas, jeśli wrócimy do Omni - ostrzegł chłopiec.

- Możemy wylądować z dala od portu - odparł z zapalem Symonia.

- Ankh-Morpork! - krzyknął Om.

- Najpierw powinniśmy dostarczyć pana Didactylosa do Ankh--Morpork - stwierdził Brutha. - Potem... Potem wrócę do Omni.

- I możesz mnie też zostawić! - wtrącił Om. - Szybko znajdę sobie w Ankh-Morpork nowych wiernych, nie ma obawy. Oni tam wierzą we wszystko.

- Nigdy nie widziałem Ankh-Morpork — odezwał się Didactylos. - No cóż, uczymy się przez całe życie. - Zwrócił twarz w stronę sierżanta. — Choćbyśmy się zapierali.

- W Ankh żyje grupa uchodźców - uspokoił go żołnierz. - Nie ma się o co martwić. Będziesz tam bezpieczny.

- Zdziwiałe - mruknął Didactylos. - Pomyśleć, jeszcze dziś rano nie przyszło mi nawet do głowy, że jestem w niebezpieczeństwie. Usiadł wygodniej na ławeczce.

- Życie na tym świecie — rzekł — jest niby pobyt w jaskini. Co możemy wiedzieć o rzeczywistości? Wszystko, co dostrzegamy z prawdziwej natury egzystencji, to, powiedzmy, zaledwie dziwaczne i zabawne cienie, rzucane na wewnętrzną ścianę przez niewidzialne, oślepiające światło prawdy absolutnej, z której możemy, ale niekoniecznie, wydedukować jakiś odbłysek prawdziwości. I jak poszukujący prawdy troglodyci, możemy tylko wzniesć głosy do tego niewidzialnego i prosić w pokorze: „Dalej, zrób Kalekiego Królika... to mój ulubiony”.

Vorbis roztrącił nogą popioły. - Nie ma kości - stwierdził.

Żołnierze stali w milczeniu. Lekkie szare płatki rozsypały się i odpłynęły kawałek na wietrze.

- I nieodpowiedni rodzaj popiołu - dodał Vorbis. Sierżant otworzył usta, by coś powiedzieć.

- Możecie być pewni, że znam ten, o którym mówię — przerwał mu Vorbis.

Podszedł do zwęglonej kłapy i trącił ją sandałem.

- Przeszliśmy tunelem - poinformował sierżant tonem człowieka, który wbrew doświadczeniu ma nadzieję, że pomocne uwagi mogą odwrócić czyjś gniew. - Prowadzi w okolice portu.

- Ale jeśli wejdiesz od strony portu, nie prowadzi tutaj... - Vorbis zamyślił się. Dymiące popioły zdawały się go fascynować. Sierżant zmarszczył brwi.

- Rozumiecie? - spytał Vorbis. — Efebianie nie zbudowali by drogi wyjścia, która byłaby też drogą wejścia. Umysły, które zaprojektowały labirynt, nie działają w taki sposób. Muszą tam być... zawory. Może sekwencje kamieni, które kolejno

nadepnięte uruchamiają pułapkę. Zapadnie, które działają tylko w jedną stronę. Wirujące ostrza, wysuwające się niespodziewanie ze ścian...

- Aha.

- Niezwykle chytre i pomysłowe, bez wątpienia.

Sierżant przejechał wyschniętym językiem po wargach. Nie potrafił czytać w Vorbisie jak w otwartej księdze, ponieważ nigdy nie powstała taka księga jak Vorbis. Ale Vorbis miał pewien styl myślenia, który można było poznać — po pewnym czasie.

- Życzysz sobie, panie, żebym zebrał oddział i przeszedł tunelem od strony portu? - rzekł głuchym głosem.

- Właśnie miałem to zaproponować.

- Tak, panie.

Vorbis poklepał sierżanta po ramieniu.

- Ale nie martw się - rzucił pocieszająco. — Om ochroni silnych w wierze.

- Tak, panie.

- Ostatni z ludzi może przynieść mi raport. Ale najpierw... Nie ma ich w mieście?

- Przeszukaliśmy je dokładnie, panie.

- I nikt nie wyszedł przez bramę? Zatem odpłynęli.

- Wszystkie efebiańskie okręty wojenne stoją w porcie, panie.

- Ta zatoka roi się od małych łódek.

- Które nie mają gdzie płynąć, chyba że na otwarte morze.

Vorbis spojrzał w stronę Morza Okrągłego. Wypełniało widnokrąg od horyzontu po horyzont. Poza nim leżała smuga równin Sto i zębaty grzebień Ramtopów, sięgający aż do niebotycznych szczytów, które heretycy nazywali Osią, ale które były - o czym wiedział - Biegunem, widocznym ponad krzywizną świata tylko dlatego, że światło zakrzywiało się w atmosferze tak samo jak w wodzie... Zobaczył smugę bieli wygiętą ponad dalekim oceanem.

Vorbis miał doskonały wzrok.

Zgarnął garść popiołu, który był kiedyś *Zasadami nawigacji* Dykeriego, i pozwolił, by przesypał mu się przez palce.

- Om zesłał nam sprzyjający wiatr - powiedział. - Zejdźmy do portu.

Nadzieja zamachała optymistycznie z głębin rozpaczki sierżanta.

- Nie zaczekasz, aż zbadamy tunel, panie?

- Och, nie. Możecie to zrobić po powrocie.

Urn szturchnął miedzianą kulę metalowym prętem. „Nienazwana” kołysała się na falach. - Nie możesz jej przyłożyć? - zaproponował Symonia, który nie do końca zdążył pojąć różnicę między maszynami a ludźmi.

- To maszyna filozoficzna — odparł Urn. — Bicie nie pomoże.

- Przecież mówiłeś, że maszyny będą naszymi niewolnikami.

- Ale nie takimi do bicia. Dysze są zaczopowane solą. Kiedy woda wypływa, zostawia sól za sobą.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może woli podróżować bez bagażu.

- Jesteśmy unieruchomieni. Nie możesz czegoś na to poradzić?

- Owszem. Mogę poczekać, aż wystygnie, potem oczyścić i znowu nalać wody.

Symonia rozejrzał się nerwowo.

- Ale wciąż jesteśmy widoczni z brzegu!

- Ty może jesteś - wtrącił Didactylos. Siedział w środku łodzi z rękami złożonymi na łasce i wyglądał jak staruszek, którego rzadko zabierają na spacer, więc jest zadowolony z rozrywki.

- Nie martw się. Nikt nas tutaj nie zauważy. - Urn szturchnął mechanizm. - Co prawda martwi mnie trochę ta śruba. Wymyślono ją, żeby przemieszczała wodę, a nie przemieszczała się w wodzie.

- Chcesz powiedzieć, że się pogubiła? - domyślił się Symonia.

- Pokręciło się jej - oświadczył wesoło Didactylos.

Brutha leżał na zwężonym końcu łodzi i spoglądał na wodę. Mała mątwa przepłynęła tuż pod powierzchnią. Zastanowił się, co to za stworzenie...

...i wiedział, że to zwykła mątwa pospolita, z gromady głowonogów, typu mięczaków, że ma wewnętrzną konstrukcję chrzęstną zastępującą szkielet, dobrze rozwinięty system nerwowy i duże oczy rozróżniające obrazy, całkiem podobne do oczu kręgowców.

Wiedza zawisła na chwilę na pierwszym planie umysłu i rozwiała się.

- Om... - szepnął Brutha.

- Co?

- Co robisz?

- Próbuję się zdrzemnąć. Żółwie potrzebują sporo snu, wiesz?

Symonia i Urn pochylali się nad maszyną filozoficzną. Brutha spojrzał na kulę...

...kulę o promieniu r , a zatem mającą objętość $V = \frac{4}{3} \pi r^3$ oraz pole powierzchni $A = 4\pi r^2$...

- O mój Boże!

- Co znowu? - spytał głos żółwia.

Didactylos zwrócił twarz w stronę Bruthy, który ścisnął głowę rękami.

- Co to jest π ?

Filozof wyciągnął rękę i przytrzymał chłopca.

- Co się stało? - dopytywał się Om.

- Nie wiem! To tylko słowa! Nie wiem, co było w księgach! Nie umiem czytać!

- Najważniejsze, to porządnie się wysypiać - oświadczył Om. - To dobrze wpływa na skorupę.

Brutha osunął się na kolana. Czuł się jak gospodarz domu, który wraca nagle i znajduje swe mieszkanie pełne obcych. Byli we

wszystkich pomieszczeniach - nie groźni, ale po prostu wypełniający wszystko swoją obecnością.

- Książki przeciekają!

- Nie wiem, jak to możliwe - zdziwił się Didactylos. - Mówiłeś, że tylko na nie patrzysz. Nie czytałeś przecież. Nie wiesz, co w nich było napisane.

- One wiedzą, co w nich było napisane!

- Posłuchaj. To przecież książki i mają naturę książek. Nie są magiczne. Gdyby dało się od samego popatrzenia wiedzieć, co książka zawiera, ten oto Urn byłby geniuszem.

- Co się z nim dzieje? - zapytał Symonia.

- Uważa, że wie za dużo.

- Nie! Nic nie wiem! - zaprotestował Brutha. - Nie wiem naprawdę. Przypomniałem sobie tylko, że mątwy mają wewnętrzną konstrukcję chrzęstną¹.

- Nie rozumiem, czemu cię to martwi - przyznał Symonia. - Hm... kapłani... zwariowali, co do jednego.

- Nie! Przecież nie wiem, co to znaczy chrzestny!
- To kostna tkanka łączna - wyjaśnił Didactylos. - Wyobraź sobie coś równocześnie kostnego i skórzastego. Sierżant parsknął drwiąco.
- No, no - mruknął. - Człowiek uczy się przez całe życie, tak jak mówiłeś.
- A niektórzy nawet odwrotnie - odparł Didactylos.
- Co to niby ma znaczyć?
- To filozofia. A teraz usiądź, mój chłopcze. Kołyszysz łodzią. I tak jest przeciążona.
- Unosi ją siła wyporu, równa ciężarowi wypartej cieczy - mamrotał Brutha.
- Hm?
- Tyle że nie wiem, co znaczy siła wyporu. Urn odwrócił się znad miedzianej kuli.
- Możemy ruszać dalej - obwieścił. - Nabierzcie tylko hełmem trochę wody, sierżancie.
- A potem znowu popłyniemy?
- W każdym razie możemy zacząć robić parę. - Urn wytarł ręce o togę.
- A wiecie - odezwał się Didactylos. — Różne są drogi do wiedzy.

Przypomina mi to czasy, kiedy stary książę Lasgere z Tsortu zapytał, jak może stać się uczonym, zwłaszcza że nie ma czasu na te głupoty z czytaniem. Powiedziałem mu: „Nie istnieje królewski trakt do wiedzy, wasza wysokość”. A on na to: „Więc mi go zbuduj, bo każę ci odrąbać nogi. Możesz wziąć tylu niewolników, ilu trzeba”. Rozkosznie bezpośrednie podejście, pomyślałem. To człowiek, który nie miełe słów na próżno. Ludzi, owszem. Ale nie słowa.

- Dlaczego nie odrąbał ci nóg? - zdziwił się Urn.
- Zbudowałem mu ten trakt. Mniej więcej.
- Jak? Myślałem, że to tylko metafora.
- Uczysz się, Urn. Znalazłem tuzin niewolników, którzy umieli czytać. Siedzieli nocą w jego sypialni i szeptali mu wybrane fragmenty, kiedy spał.
- To działało?
- Nie wiem. Trzeci niewolnik wbił mu w ucho sześciocalowy sztylet. Po rewolucji nowy władca wypuścił mnie z więzienia i powiedział, że mogę wyjechać z kraju, pod warunkiem że nie będę o niczym myślał przez całą drogę do granicy. Ale nie wierzę, żeby mój pomysł miał jakieś zasadnicze wady.

Urn dmuchnął w palenisko.

- Chwilę trwa, nim woda się zagrzeje — wyjaśnił.

Brutha znowu ułożył się na rufie. Kiedy się skupił, mógł powstrzymać potok wiedzy. Najważniejsze, żeby na nic nie patrzeć. Nawet chmura...

...stworzona przez filozofię naturalną jako obiekt rzucający cień na powierzchnię Dysku, przez co zapobiega przegrzewaniu...

...powodowała niechciane myśli. Om spał mocno.

Wiedza bez uczenia się, myślał Brutha. Nie, odwrotnie. Uczenie się bez wiedzy.

Dziewięć dziesiątych Oma drzemało pod osłoną skorupy. Pozostała część dryfowała niby mgła w realnym świecie bóstw, który jest o wiele mniej ciekawy od trójwymiarowego świata zamieszkiwanego przez większą część ludzkości.

Om myślał: Jesteśmy tylko małą łódką. Pewnie nawet nas nie zauważy. Ma przecież cały ocean. Nie może być wszędzie.

Oczywiście, ma wielu wyznawców. Ale jesteśmy tylko małą łódką... Wyczuł

umysły ryb badających koniec śruby. To dziwne, bo ryby nie słyszą przecież z...

- Witaj - powiedziała Królowa Morza.

- Och...

- Widzę, że wciąż udaje ci się istnieć, mały żółwiku.

-Jakoś się trzymam - odparł Om. - Nie ma sprawy.

Zapadło milczenie, które - gdyby rozmowę prowadziły dwie istoty ludzkie w ludzkim świecie - byłoby wypełnione chrząkaniem i zakłopotanymi minami. Ale bogowie nie bywają zakłopotani.

- Przypuszczam - zaczął ostrożnie Om - że przyszedł po swoją zapłatę.

- Ta łódź i wszyscy jej pasażerowie — oświadczyła Królowa Morza. - Ale twój wyznawca może być ocalony, jak każe obyczaj.

- Co ci z nich przyjdzie? Jeden jest ateistą.

- Nieważne. Wszyscy w końcu wierzą.

- To nie jest... uczciwe. Królowa Mórz zdziwiła się.

- Co to znaczy uczciwe?

- To jakby... zasadniczo sprawiedliwe? — zaproponował Om. Sam nie wiedział, dlaczego to mówi.

- Dla mnie brzmi to jak ludzki wymysł.

- Bo oni są pomysłowi, trzeba przyznać. Ale chodziło mi o to... no... Oni nic nie zrobili, żeby zasłużyć na coś takiego.

- Zasłużyć? Są ludźmi. Co zasługi mają tu do rzeczy? Om musiał przyznać jej rację. Nie myślał jak bóg. Zaczynało go to martwić.

- No bo wiesz...

- Za długo polegasz tylko na jednym człowieku, mały bogu.

- Wiem, wiem. - Om westchnął. Umysły przenikają się nawzajem. Na zbyt wiele rzeczy spoglądał z ludzkiego punktu widzenia. -Weź tę łódź. Jeśli musisz. Wolałbym tylko, żeby to było...

- Uczciwe? — dokończyła Królowa Morza. Przesunęła się i Om czuł ją teraz wokół siebie. — Nie ma czegoś takiego — stwierdziła. — Życie jest jak plaża. A potem się umiera.

I zniknęła.

Om wycofał się pod osłonę swej skorupy.

- Brutha.

- Tak?

- Umiesz pływać?

Miedziana kula zaczęła się kręcić. Brutha usłyszał głos Urna:

- Wreszcie. Niedługo znów ruszymy.

- Najwyższy czas — stwierdził Symonia. — Za nami płynie okręt.

- Ta łódka pływa szybciej niż cokolwiek z żaglami i wiosłami.

Brutha obejrzał się na zatokę. Smukły omniański okręt mijał właśnie latarnię morską. Wciąż był daleko, ale Brutha wpatrywał się w niego z lękiem, który powiększa obraz bardziej niż najlepsza luneta.

- Szybko płynie - zauważył Symonia. - Nie rozumiem tego. Przecież nie ma wiatru.

Urn przyjrzał się absolutnie spokojnej wodzie.

- Nie może być tak, że tam jest wiatr, a tutaj nie ma - powiedział.

- Pytałem, czy umiesz pływać. - Głos żółwia brzmiał stanowczo w głowie chłopca.

- Nie wiem.

- Myślisz, że mógłbyś to szybko sprawdzić? Urn uniósł głowę.

- Oj — powiedział.

Chmury gromadziły się nad „Nienazwaną”. Wirowały wyraźnie.

- Przecież musisz wiedzieć! - krzyknął Om. - Myślałem, że masz doskonałą pamięć.

- W wiosce często chlapaliśmy się w wielkiej cysternie - szepnął Brutha. - Nie wiem, czy to się liczy.

Mgła roziała się nad powierzchnią morza. Brutha poczuł bolesne puknięcie w uszach. A omniański okręt wciąż się zbliżał, jakby frunął po falach.

- Jak to się nazywa, kiedy mamy martwą ciszę otoczoną przez wiatr? - spytał Urn.

- Cyklon - odparł Didactylos.

Błyskawica zajaśniała pomiędzy niebem a morzem. Oczy Urna płonęły niemal tak samo jasno. Szarpnął dźwignię i opuścił śrubę do wody.

- To dopiero jest moc - powiedział. - Okiełznać błyskawicę! Odwieczny sen ludzkości!

„Nienazwana” pomknęła przed siebie.

- Naprawdę? Ale nie mój - stwierdził filozof. - Mnie zawsze śni się gigantyczna marchewka ścigająca mnie przez pole homarów.

- Chodziło mi o sen metaforyczny, mistrzu.

- Co to znaczy metaforyczny? - zapytał Symonia.

- Co to znaczy śnić? — zapytał Brutha.

Kolumna jasności przebiła mgłę. Iskry strzeliły z miedzianej kuli.

- Można ją uzyskać z kotów - mówił Urn, błędzacy po filozoficznym świecie. „Nienazwana” pozostawiała za sobą ślad białej piany. - Kiedy je głaskać bursztynowym prętem, pojawiają się maleńkie błyskawice. Gdybym zdołał powiększyć je milion razy, żaden człowiek nie byłby więcej niewolnikiem. Łapalibyśmy je do słojów i moglibyśmy odpędzić noc...

Błyskawica uderzyła o kilka stóp od burty.

- Jesteśmy w łodzi z wielką miedzianą kulą, pośrodku dużego obszaru słonej wody - przypomniał Didactylos. - Dzięki, Urn.

- A świątynie bogów byłyby wspaniale oświetlone, ma się rozumieć — dodał szybko uczeń filozofa. Didactylos zastukał laską o burtę.

- Niezły pomysł, ale nie zbierzesz tylu kotów - stwierdził. Morze wezbrało nagle.

- Skacz do wody! - krzyknął Om.

- Dlaczego? - zdziwił się Brutha.

Fala niemal przewróciła łódź. Krople deszczu zasyczały na powierzchni kuli, rozpylając wokół gorącą mgiełkę.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! Skacz do wody! Tak będzie lepiej! Zaufaj mi!

Brutha wstał, przytrzymując się rusztowania, w którym wisiała kula.

- Usiądź - rzucił Urn.

- Wychodzę — powiedział Brutha. — To może chwilę potrwać.

Łódź zakotłowała się pod nim i na wpół skoczył, na wpół wypadł do wzburzonej wody.

Błyskawica uderzyła w kulę.

Gdy Brutha wypłynął na powierzchnię, widział przez moment rozżarzoną do białości kulę i „Nienazwaną” z wynurzoną niemal śrubą, pędzącą wśród mgły niczym kometa. Po chwili przez ryk sztormu przebiło się głucho „bum!”.

Brutha podniósł rękę. Om wynurzył się na powierzchnię, wydmuchując wodę z nozdrzy.

- Mówiłeś, że tak będzie lepiej! - wrzasnął chłopiec.
- No? Przecież ciągle żyjemy! I trzymaj mnie nad wodą. Takie żółwie jak ja nie umieją pływać.

- Ale oni mogą już nie żyć!
- Chcesz do nich dołączyć?

Fala załapał Bruthę. Przez chwilę świat stał się ciemną, zieloną kotarą, w dodatku dzwoniącą w uszach.

- Nie mogę pływać zjedną ręką! - krzyknął, kiedy znów wysunął głowę nad wodę.

- Damy radę! Nie ośmieli się!
- Kto taki?

Kolejna fala uderzyła Bruthę. Ubranie ściągało go w dół.

- Om...

- Tak?

- Chyba jednak nie umiem pływać...

Bogowie nie lubią rozmyślań. Nigdy nie było to dla nich cechą ułatwiającą przetrwanie. Umiejętność kuszenia, grożenia i przerażania zawsze wystarczały. Kiedy ktoś potrafi dla kaprysu burzyć całe miasta, skłonność do cichej refleksji i spojrzenie na sprawy z punktu widzenia kogoś innego rzadko kiedy wydaje się konieczne.

W całym multiwersum doprowadziło to do pojawienia się mężczyzn i kobiet o porażającej inteligencji i empatii, poświęcających całe swe życie służbie bóstwom, które nie potrafiłyby ich zwyciężyć w spokojnej partyjce domina. Na przykład siostra Sestina z Quirmu nie zlekka się gniewu miejscowego króla, przeszła po rozżarzonych węglach i propagowała rozsądną etykę w imieniu bogini, którą interesowały wyłącznie nowe fryzury. Brat Zefilit z Klatchu porzucił rodzinę i ogromne dobra, a resztę życia poświęcił służbie chorym i ubogim, ku chwale niewidzialnego boga F'ruma, o którym powszechnie sądzono, że gdyby nawet miał tyłek, nie potrafiłby go znaleźć obiema rękami, gdyby posiadał ręce. Bogowie nigdy nie muszą być rozumni, póki mają wokół ludzi, którzy to za nich załatwiają.

Królowa Morza nawet przez innych bogów uznawana była za dość tępą. Jednak nieobca jej była pewna logika. Ta logika kierowała jej myślami, gdy bogini sunęła poniżej wzburzonych sztormem

fal. Mała *lodź* to kuszący cel... ale niedaleko dostrzegła większy, pełen ludzi, żeglujący prosto w burzę.

To już było coś...

Królowa Morza miała maksymalny okres skupienia uwagi porównywalny z cebulową bahji.

Ogólnie rzecz biorąc, sama dbała o swoje ofiary. I wierzyła w duże liczby.

„Płetwa Boga” zsuwała się ze szczytu fali w podstawę kolejnej. Szkwał szarpał żagle. Kapitan brnął w wysokiej do piersi wodzie na dziób, gdzie stał Vorbis. Ekskwizytor ścisnął

reling i wyraźnie nie zwracał uwagi na fakt, że okręt płynie już na wpół zatopiony.

- Panie! Musimy zrefować żagle! Nie zdołamy umknąć przed tym sztormem! Zielone iskry zatrzeszczały na szczytach masztów. Vorbis odwrócił się.

Światło odbijało się w czarnych otchłaniach jego oczu.

- Wszystko dla większej chwały Oma - powiedział. - Ufność jest naszym żaglem, a łaska naszym przeznaczeniem.

Kapitan miał już dosyć. Nie czuł się najpewniej w tematach religijnych, ale był przekonany, że po trzydziestu latach wie to i owo o morzu.

- Dno jest naszym przeznaczeniem! - krzyknął. Vorbis wzruszył ramionami.

- Nie twierdziłem, że po drodze nie będzie żadnych przystanków.

Kapitan spojrzał na niego tylko, po czym ruszył z powrotem po rozkołysanym pokładzie. Wiedział o morzu dość, by rozumieć, że takie sztormy nie zdarzają się same z siebie. Okręt nie przepływa ze spokojnej wody w sam środek szalejącego huraganu. Tu nie chodziło o morze. Tu było coś osobistego.

Błyskawica uderzyła w główny maszt. Krzyki rozległy się w ciemności, kiedy na pokład runęła masa podartych żagli i takielunku.

Kapitan na wpół płynąc, na wpół wspinając się po szczeblach, dotarł do koła sterowego, gdzie sternik był tylko cieniem wśród ulewy i tego niesamowitego sztormowego lśnienia.

- Nie wyjdziemy z tego żywi! ZGADZA SIĘ.

- Musimy opuścić okręt!

NIE. ZABIERZEMY GO ZE SOBĄ. TO ŁADNY OKRĘT.

Kapitan wyteżył wzrok.

- To wy, bosmanie Coplei?

ZGADUJ DALEJ.

Dziób uderzył w podwodną skałę, która rozdarła kadłub. Błyskawica trafiła w pozostały jeszcze maszt i „Płetwa Boga” niczym stateczek z papieru, który zbyt długo pływał w wodzie, złożyła się wpół. Deski pokładu pękły, wleciały w wirujące niebo...

...i zapadła nagle, aksamitna cisza.

Kapitan uświadomił sobie, że w jego pamięci pojawiło się nowe wspomnienie. Było jakoś związane z wodą, dzwonieniem w uszach i wrażeniem lodowatego ognia w płucach. Jednak blakło powoli. Podszedł do relingu - kroki rozbrzmiewały głośno wśród ciszy -i wyrżał za burtę. Choć między niedawnymi wspomnieniami było też takie, które dotyczyło całkiem rozbitego okrętu, teraz wydawał się cały. W pewnym sensie.

- Tego... - powiedział kapitan. - Chyba skończyło się morze. TAK.

- I ląd też.

Kapitan postukał w reling — szary i półprzezroczysty.

- Zaraz... To jest drewno? PAMIĘĆ MORFICZNA.

- Słucham?

BYŁEŚ ŻEGLARZEM. CZĘSTO MÓWIŁEŚ O STATKU TAK, JAKBY BYŁ ŻYWĄ ISTOTĄ.

- Oczywiście. Wystarczy jedna noc na pokładzie, żeby wyczuć, że statek ma du...

WŁAŚNIE.

Wspomnienie „Płetwy Boga” płynęło wśród ciszy. Słyszeli delikatny szept wiatru, a raczej wspomnienia wiatru - wysuszonych zwłok martwych szkwałów.

- Chwileczkę - otrząsnął się duch kapitana. - Powiedziałeś „byłeś”? TAK.

- Tak mi się właśnie wydawało.

Kapitan spojrzał w dół. Przed mostkiem, na pokładzie, zebrała się załoga. Wszyscy wpatrywali się w niego z niepokojem.

Spojrzał uważniej. Przed marynarzami gromadziły się okrętowe szczury. Przed nimi dostrzegł maleńką postać w czarnej szacie.

PIP, powiedziała.

Nawet szczury mają Śmierć, pomyślał.

Śmierć odsunął się na bok i skinął na niego.

PROSZĘ PRZEJĄĆ STER.

- Ale... dokąd płyniemy?

KTO WIE?

Kapitan bezradnie chwycił koło sterowe.

- Ale... Nie poznaję żadnych gwiazd! Nie mam mapy! Jakie tu wieją wiatry?

Jakie są prądy?

Śmierć wzruszył ramionami.

Kapitan zakręcił kołem. Okręt sunął po duchu morza.

I nagle kapitan się rozpromienił. Przecież najgorsze już za nimi. Zdziwiające, jakie to radosne uczucie. A skoro najgorsze już się wydarzyło...

- Gdzie Vorbis? - warknął. PRZEŻYŁ.

- Przeżył? Nie ma sprawiedliwości.

JESTEM TYLKO JA.

Śmierć zniknął.

Kapitan pokręcił jeszcze kołem, dla zachowania pozorów. W końcu nadal tu dowodził, a to nadal był - w pewnym sensie - jego statek.

- Pierwszy oficer!

- Tak jest! - Oficer zasalutował.

- Hm... Dokąd popłyniemy? Oficer poskrobał się po głowie.

- Słyszałem, kapitanie, że ci poganie z Klatchu mają takie rajskie miejsce, gdzie się pije, śpiewa, gdzie są młode kobiety z dzwonkami i... no wie pan... niebaczne. - Spojrzał z nadzieją na dowódcę.

- Niebaczne, tak? - mruknął w zadumie kapitan.

- Tak słyszałem.

Kapitan uznał, że należy im się trochę niebaczności.

- Nie wie pan, jak tam dotrzeć?

- Mam wrażenie, że instrukcje dostaje się jeszcze za życia.

- Aha.

- W pobliżu Osi... - Pierwszy oficer wyraźnie rozkoszował się tym słowem. - W pobliżu Osi żyją tacy barbarzyńcy, którzy wierzą, że trafiają do wielkiej hali, gdzie jest mnóstwo jedzenia i picia.

- I kobiety?

- Z całą pewnością. Kapitan zmarszczył czoło.

- To zabawne - rzekł. - Dlaczego właściwie poganie i barbarzyńcy mają najlepsze miejsca, gdzie trafiają, kiedy już umrą?

- Faktyczne, ciekawe - zgodził się pierwszy oficer. - Może ma im to wynagrodzić, że... że za życia też mieli niezłą zabawę?

Skrzywił się niepewnie. Teraz, kiedy był martwy, cała ta sprawa wyglądała mu bardzo podejrzanie.

- I pewnie nie ma pan też pojęcia, gdzie leży ten drugi raj?

- Przykro mi, kapitanie.

- Ale nie zaszkodzi poszukać.

Kapitan wyrzwał za burtę. Jeśli płynie się dostatecznie długo, w końcu trzeba dotrzeć do brzegu. Nie zaszkodzi poszukać.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Uśmiechnął się. Dobrze. Szczęśliwy znak... Może jednak wszystko się jakoś ułoży...

W otoczeniu duchów delfinów duch statku płynął wciąż naprzód.

Mewy nigdy nie dolatywały tak daleko wzdłuż pustynnego brzegu. Ich niszę zajmowały scalbie, przedstawiciele rodziny wron, których wrony pierwsze by się chętnie wyrzekły i o których nigdy nie wspominały w towarzystwie. Scalbie rzadko fruwały, a ich chód przypominał chwiejne podskoki. Charakterystyczne krzyki kojarzyły się słuchaczom z kiepsko funkcjonującym systemem trawiennym. Wyglądały tak, jak wyglądają wszystkie inne ptaki po wylewie ropy. Nic nie zjadało scalbie oprócz innych scalbie. Scalbie zjadały rzeczy, od których nawet sępom robiło się niedobrze. Scalbie zjadłyby nawet skutki tego, że sępom było niedobrze. Scalbie jadły wszystko.

Jeden z nich podskakiwał tego pięknego ranka na piasku i odruchowo dziobał różne rzeczy - na wypadek gdyby kamyki i odłamki drewna nocą stały się jadalne. Doświadczenie podpowiadało mu, że praktycznie wszystko staje się jadalne, jeśli tylko poczeka się dostatecznie długo.

Po chwili scalbie dotarł do wzgóрка leżącego na linii wody i ostrożnie dźgnął go dziobem.

Wzgórek jęknął.

Scalbie wycofał się pospiesznie i zainteresował niewielkim zaokrąglonym kamieniem. Był prawie pewien, że jeszcze wczoraj tego kamienia tu nie było. Co sugerowało kolejne badawcze dziobnięcie.

Kamień wysunął głowę.

- Zjeżdżaj stąd, łobuzie - powiedział.

Ptak odsunął się szybko i wykonał coś w rodzaju podskoku z rozbiegu, co było czynnością najbliższą prawdziwego latania, do jakiej scalbie w ogóle były zdolne. Wylądował na stosie zbielełego od słońca drewna wyrzuconego przez fale. Sytuacja wydawała się obiecująca. Jeśli kamień jest żywy, to w końcu będzie martwy.

Wielki Bóg Om poczłapał do Bruthy i kilka razy uderzył skorupą o jego głowę. Chłopiec jęknął.

- Obudź się, mały. Pora wstawać! Hop, hop, hop! Wszyscy na brzeg, kto schodzi na brzeg! Brutha otworzył oko.

- Co się stało?

- Żyjesz. To właśnie się stało - odparł Om.

Życie jest jak plaża, przypomniał sobie. A potem się umiera.

Brutha uklęknął, podpierając się rękami.

Są plaże, które wręcz proszą o kolorowe parasolki.

Są inne, które świadczą o majestacie oceanu.

Ta do nich nie należała. Była zwykłym nagim skrawkiem piasku, gdzie łączy się z morzem. Wyglądzone wiatrem kawałki drewna leżały wzdłuż linii przyboju. W powietrzu brzęczały różne nie mile owady. Zapach w powietrzu sugerował, że coś zgniło tu dawno temu, w miejscu, którego scalbie nie potrafiły znaleźć.

Nie była to dobra plaża.

- Och! Boże!

- Lepšie to niż utonąć - pocieszył go Om.

- Tego nie wiem. - Brutha rozejrzał się wzdłuż brzegu. - Czy jest tu woda do picia?

- Chyba nie ma.

- Ossory, księga V, wers 3, mówi, że sprawiłeś, iż świeża woda trysnęła z martwej pustyni.

- To tylko taka poetycka przenośnia.

- Nawet tego nie potrafisz?

-Nie.

Brutha raz jeszcze spojrzał na pustynię. Poza linią przyboju, poza kilkoma kępami trawy, która już kiedy rośla, wydawała się usychać, ciągnęły się tylko wydmy.

- W którą stronę do Omni? - zapytał.

- Nie chcemy iść do Omni - przypomniał Om. Brutha przyjrzał się żółwiowi. Podniósł go z piasku.

- Myślę, że to tam.

Om gorączkowo wymachiwał łapkami.

- Po co chcesz iść do Omni? — zapytał.

- Nie chcę - odparł chłopiec. - Ale mimo to idę.

Słońce wisiało wysoko nad plażą. A może i nie.

Brutha wiedział teraz sporo o słońcu. Wiedza sączyła mu się do głowy.

Efebianie bardzo pilnie studiowali astronomię. Expletius udowodnił, że Dysk ma dziesięć tysięcy mil średnicy. Febrius, który o świetle wzdłuż całego kraju ustawił niewolników o szybkiej reakcji i donośnych głosach, wykazał, że światło przemieszcza się z prędkością mniej więcej taką jak dźwięk. A Didactylos rozumował, że w takim przypadku, aby przesunąć się pomiędzy słońcami, słońce musi pokonywać na swej orbicie trzydzieści pięć tysięcy mil dziennie, czyli - inaczej mówiąc - musi lecieć dwa razy szybciej niż jego własne światło. To znaczy, że na ogół widzi siebie tam, gdzie już było, z wyjątkiem dwóch razy dziennie, kiedy samo siebie dogania. To również oznacza, że całe słońce jest cząstką szybszą niż światło - tachjonem, czy też szybkim draniem, jak je nazwał Didactylos.

Wciąż było gorąco. Pozbawione życia morze zdawało się parować.

Brutha brnął przed siebie, krocząc wprost nad jedyną w promieniu wielu mil plamą cienia. Nawet Om przestał narzekać - panował zbyt wielki upał.

Tu i tam odłamki drewna przetaczały się w pianie na granicy morza.

Przed Bruthą powietrze falowało nad piaskiem. A na piasku leżała ciemna plama.

Zbliżał się do niej i patrzył obojętnie, niezdolny do żadnej sensownej myśli. W świetle pomarańczowego żaru plama była jedynie punktem odniesienia, rozszerzającym się i kurczącym na przemian w migotliwej mgiele.

Z bliska plama okazała się Vorbisem.

Długo trwało, nim świadomość tego przesączyła się do głowy chłopca.

Vorbis.

Bez szaty. Cała porwana. Tylko w kamizeli. Nabijanej ćwiekami. Cała noga. We krwi. Pokaleczona na. Kamieniach. Vorbis.

Bruthą osunął się na kolana. Scalbie na linii przyboju zakrakał.

- On jeszcze... żyje.

- Szkoda — mruknął Om.

- Powinniśmy coś... zrobić... dla niego.

- Tak? Poszukaj jakiegoś kamienia i rozwal mu głowę.

- Nie możemy go tak zostawić.

- Przekonamy się.

-Nie.

Bruthą wsunął rękę pod ramiona ekskwizytora i spróbował go podnieść. Ku jego tępemu zdumieniu, Vorbis prawie nic nie ważył. Szata skrywała ciało będące

zaledwie skórą obciągniętą na kościach. Bruthą mógłby przełamać je gołymi rękami.

- Co ze mną? -jęknął Om.

- Ty masz cztery nogi - odparł chłopiec.

- Jestem twoim Bogiem!

- Tak. Wiem.

Bruthą ruszył wolno po piasku.

- Ale co chcesz z nim zrobić?

- Zabrać go do Omni - wychrypiał Bruthą. - Ludzie muszą wiedzieć. Co zrobił.

- Oszalałeś! Myślisz, że dasz radę nieść go aż do Omni?

- Nie wiem. Spróbuję.

- Ty... Ty... - Om uderzył łapką o piasek. - Na świecie żyją miliony ludzi, a ja musiałem trafić na ciebie! Dureń! Dureń!

Brutha wolno stawał się rozmytym kształtem w falującym powietrzu.

- To koniec! - krzyczał Om. - Nie jesteś mi potrzebny! Myślisz, że cię potrzebuję? Wcale nie! Szybko znajdę sobie innego wyznawcę! Żaden problem!

Brutha zniknął.

- I wcale cię nie gonię! - wrzasnął Om.

Brutha patrzył na swoje stopy wlokące się jedna za drugą. Przekroczył już granicę, przed którą zdolny był do myślenia. W jego topniejącym z gorąca mózgu krążyły tylko oderwane obrazy i strzępy wspomnień.

Sny... To te obrazy w głowie. Coaxes napisał cały zwój na ich temat. Zabobonni mogą wierzyć, że Bóg przesyła im wiadomość, ale naprawdę tworzy je sam mózg i odtwarza, kiedy co noc sortuje i układa doświadczenia dnia. Brutha nigdy nie śnił. Więc czasami następowała... ciemność, kiedy umysł porządkował wiedzę. Uporządkował wszystkie książki. I teraz Brutha wiedział, choć się nie uczył.

To były sny.

Bóg. Bóg potrzebuje ludzi. Wiara jest pożywieniem bogów. Ale potrzebują także kształtu. Bóstwa stają się takie, w jakie ludzie wierzą, że być powinny. Dlatego bogini mądrości nosi pingwina. Coś takiego może się zdarzyć każdemu bóstwu. Powinna nosić sowę. Wszyscy o tym wiedzą. Ale pewien marny rzeźbiarz, który sowy znał tylko z opisów, spartolił posąg. Potem wkroczyła wiara i zanim kto zdążył się obejrzeć, bogini mądrości musiała dźwigać ptaka, który przez cały czas ma na sobie strój wieczorowy i śmierdzi rybami.

Człowiek nadaje bóstwu kształt, jakby wlewał galaretę do formy.

Bogowie często stają się postacią ojca, twierdził Abraxas Agnostyk. Bogowie wyglądają jak wielka broda na niebie, bo kiedy człowiek jest jeszcze mały, tak właśnie widzi ojca.

Oczywiście, Abraxas przeżył... Ta myśl pojawiła się ostra i zimna w tej części umysłu, którą Brutha wciąż jeszcze mógł nazwać swoją. Bogom nie przeszkadzają ateści, pod warunkiem że są to ateści gorący, głębcy, żarliwi -jak Symonia. Ateści, którzy całe życie nie wierzą, całe życie nienawidzą bogów za to, że ci nie istnieją. Taki ateizm jest niczym skała. To prawie wiara...

Piasek. To właśnie leży na pustyni. Kryształki skały ułożone w wydmy. Gordo z Tsortu uważał, że piasek to starta góra, ale Irexes odkrył, że piaskowiec to kamień zbudowany ze sprasowanego piasku, co sugeruje, że ziarnka piasku są przodkami gór...

Mnóstwo małych kryształków. A każdy z nich rósł i rósł...

Rósł coraz większy...

W milczeniu, nie zdając sobie z tego sprawy, Brutha przestał padać na twarz i legł nieruchomo.

- Spadaj stąd!

Scalbie nie zwracał na niego uwagi. To było ciekawe... Oglądał kawałki piasku, których nigdy wcześniej nie widział. I oczywiście istniała duża szansa, a nawet pewność, że na końcu tego wszystkiego czeka go niezły posiłek.

Przysiadł na skorupie Oma.

Om szedł po piasku. Od czasu do czasu przystawał, żeby krzyknąć na swego pasażera.

Brutha tędy przechodził.

Ale tam dalej jedna z wystających skał, sterczących z piasku niczym wyspy na morzu, sięgała aż do wody. Nigdy nie zdołałby się na nią wspiąć. Ślady stóp skręcały w głąb lądu - na pustynię.

- Idiota!

Om ruszył zboczem wydmy. Głęboko wbijał łapki, by nie zsuwać się do tyłu.

Za grzbietem ślady stóp zmieniły się w długi rowek. Brutha musiał upaść. Om schował łapki i zjechał w skorupie na sam dół.

Tutaj ślady skręcały. Brutha pewnie uznał, że obejdzie kolejną wydmy dookoła i po drugiej stronie odnajdzie tę skałę. Om znał się na pustyniach. Wiedział w szczególności, że tego typu logikę stosowały wcześniej tysiące białych, przysypanych piaskiem szkieletów.

Mimo to ruszył po śladach, wdzięczny losowi za cień rzucany przez wydmy teraz, gdy zachodziło słońce.

Wokół wydmy... Tak, a teraz ślady zygzakowały niepewnie i skręcały pod górę, pod kątem prostym do kierunku, gdzie powinny zmierzać. To oczywiste... Tak właśnie działają pustynie: mają własny system grawitacji. Ciągną wszystko do środka.

Brutha czołgał się przed siebie, wlokąc Vorbisa za bezwładną rękę. Bał się zatrzymać. Babcia znowu go zbije. W dodatku mistrz Nhumrod dryfował tuż poza granicą pola widzenia.

- Bardzo mnie rozczarowałeś, Brutho. Mmm?

- Chcę... wody...

- ...wody - powtórzył Nhumrod. - Ufaj Wielkiemu Bogu. Brutha skoncentrował się. Nhumrod zniknął.

- Wielki Boże - powiedział.

Gdzieś przecież musi być trochę cienia. Pustynia nie może się ciągnąć w nieskończoność.

Słońce zaszło szybko. Przez chwilę, Om wiedział o tym, piasek będzie wypromieniowywał ciepło i jego własna skorupa zdoła je zmagazynować. To jednak szybko minie i zacznie się ostry chłód nocy na pustyni.

Gwiazdy świeciły już na niebie, kiedy wreszcie znalazł Bruthę. Vorbis leżał porzucony kawałek wcześniej. Om podciągnął się do ucha chłopca.

-Hej!

Nie odpowiedział mu żaden dźwięk, żadne poruszenie. Om delikatnie stuknął

Bruthę w głowę, po czym obejrzał jego spękane wargi.

Usłyszał za sobą stukanie.

Scalbie badał dziobem palce nóg Bruthy. Jednak działalność ta została gwałtownie przerwana, gdy szczęki żółwia zacisnęły się na jego nodze.

- Ówiue ci, żefys sfadau!

Scalbie beknął przerażony i próbował odlecieć, ale przeszkadzał mu żółw, uparcie uczepiony do nogi.

Om kilka razy odbił się na piasku, nim wreszcie wypuścił ptaka. Próbował splunąć, lecz pyszczki żółwi się do tego nie nadają.

- Nie znoszę wszystkich ptaków - zwrócił się do wieczornego nieba.

Scalbie obserwował go z wyrzutem ze szczytu najbliższej wydmy. Nastroszył tłuste pióra gestem kogoś, kto gotów jest czekać całą noc. Tyle, ile będzie trzeba.

Om popełził z powrotem do Bruthy. Chłopak przynajmniej jeszcze oddychał.

Woda...

Bóg zastanowił się przez chwilę. Uderzyć o skałę... Tak, to jeden ze sposobów. Zmusić wodę, żeby popłynęła... Żaden kłopot. Woda ma naturalną tendencję do płynięcia. Trzeba tylko dopilnować, żeby płynęła tutaj, a nie gdzie indziej. Całkiem prosta sprawa dla bóstwa w szczytowej formie.

Jak to rozwiązać z perspektywy żółwia?

Przeczołgał się do stóp wydmy, po czym chodził tam i z powrotem przez kilka minut. W końcu wybrał odpowiednie miejsce i zaczął kopać.

Coś się nie zgadzało. Przed chwilą było potwornie gorąco. A teraz lodowato zimno.

Brutha otworzył oczy. Gwiazdy nad pustynią, jaskrawe i białe, spojrzały na niego z góry. Miał wrażenie, że język wypełnia mu całe usta. Zaraz, co to było...

Woda.

Przetoczył się na bok. Poprzednio słyszał głosy w swojej głowie, a teraz słyszał je na zewnątrz. Były słabe, ale wyraźnie obecne, odbijające się cichym echem od zalanego księżycowym blaskiem piasku.

Poczołgał się z trudem do stóp wydmy. Wyrastał tam kopczyk. A właściwie nawet kilka kopczyków. Jakies szmery dobiegały od strony jednego z nich. Chłopiec przysunął się bliżej.

W kopczyku był otwór. I ktoś przeklinał. Brutha miał niemal wrażenie, że słowa odbijają się echem w tunelu, jakby ten ktoś był pod ziemią. Nie rozróżniał ich, ale treść był oczywista.

Brutha osunął się na piasek i patrzył.

Po kilku minutach u wylotu otworu dostrzegł jakiś ruch. Wynurzył się Om, pokryty czymś, co - gdyby nie byli na pustyni - Brutha nazwałby błotem.

- A, to ty — powiedział żółw. — Oderwij kawałek swojej szaty i podaj mi tutaj.

Jak we śnie Brutha wykonał polecenie.

- Zejście tam na dół i powrót to nie jest miła wycieczka, nie ma co - narzekał Om.

Wziął szmatkę w pyszczek, cofnął się ostrożnie i zniknął w otworze. Po chwili wrócił, wciąż wlokąc za sobą skrawek materiału. '

Zmoczonego materiału... Brutha poczuł, że płyn ścieka mu do ust. Ciecz smakowała błotem, piaskiem, tanim brązowym barwnikiem i trochę żółwiem, ale mógłby jej wypić cały garniec. Mógłby pływać w wypełnionym nią stawie.

Oderwał od szaty następny pasek, a Om wciągnął go do otworu.

Kiedy Bóg wrócił, Brutha klęczał przy Vorbisie.

- Szesnaście stóp w dół! Szesnaście piekielnych stóp! - krzyknął żółw. — Nie marnuj wody na niego! Jeszcze nie umarł?

- Ma gorączkę.

- Zakończ jego cierpienia.

- Zabieramy go do Omni.

- Myślisz, że tam dotrzemy? Bez jedzenia? Bez wody?

- Przecież znalazłeś wodę. Wodę na pustyni.

- Nie ma w tym nic cudownego - zapewnił Om. - Na wybrzeżu trwa pora deszczowa. Zdarzają się ulewę tropikalne. Sezonowe rzeki. Wyschnięte koryta. Można znaleźć skały wodonośne - dodał.

- Dla mnie to cud - odparł chrapliwie Brutha. - Możesz to wytłumaczyć, ale i tak jest cudowne.

- W każdym razie tam w dole nie ma nic do jedzenia, wierz mi na słowo - stwierdził Om. - Żadnego pożywienia. Nic w morzu, jeśli w ogóle potrafimy znowu znaleźć morze. Znam pustynię. I te skalne grzbiety, które trzeba obchodzić. Wszystko spycha cię z drogi. Wydmy, które przesuwają się nocą... lwy... inne rzeczy...

...bóstwa.

- No to co chcesz zrobić? - zapytał Brutha. - Powiedziałeś, że lepiej być żywym niż umarłym. Chcesz wracać do Efebu? Myślisz, że powitają nas tam z otwartymi ramionami?

Om milczał.

Brutha skinął głową.

- W takim razie przynieś jeszcze wody.

Łatwiej maszerowało się nocą, z Vorbisem przerzuconym przez ramię i Omem pod pachą.

O tej porze roku... ...blask na niebie, o tam, to Aurora Corealis, Zorza Osiowa, gdzie pole magiczne Dysku stale rozładowuje się wśród szczytów Cori Celesti, Góry Centralnej. O tej porze roku słońce wschodzi ponad pustynią w Efebie i nad morzem w Omni, więc trzeba iść tak, żeby Zorza Osiowa była po lewej, z lśnienie zachodzącego słońca za plecami...

- Czy bywasz czasem na Cori Celesti? - zapytał Brutha. Om, który drzemał w chłodzie, ocknął się nagle.

-Co?

- To tam, gdzie żyją bogowie.

- Ha... Długo mógłbym opowiadać... - rzekł ponuro Om.

-Co?

- Wydaje im się, że są nie wiadomo jaką elitą!

- Więc nie mieszkałeś tam?

- Nie. Do tego trzeba być bogiem gromu albo czymś takim. Trzeba mieć cały tłum wiernych, żeby zamieszkać na Wzgórzu Zarozumiałców. Trzeba być antropomorficzną reprezentacją czy czymś w tym rodzaju.

- Czyli Wielki Bóg nie wystarczy?

Co tam, przecież są na pustyni. A Brutha i tak tu zginie.

- Właściwie mogę ci powiedzieć — mruknął Om. - Raczej nie wyjdziemy stąd żywi. Widzisz, każde bóstwo jest dla kogoś Wielkim Bogiem. Ja sam nigdy nie chciałem być aż tak wielki. Garstka plemion, jakieś miasto czy dwa. Czy to za wiele?

- Imperium ma dwa miliony mieszkańców - przypomniał Brutha.
- Tak. Niezły wynik, co? Zacząłem od ledwie jednego pasterza, który słyszał głosy, a doszedłem do dwóch milionów ludzi.
- Tylko że nigdy niczego z nimi nie robiłeś.
- Czego na przykład?
- No... Nie powiedziałeś, żeby się wzajemnie nie zabijali i w ogóle.
- Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po co miałbym im mówić coś takiego?

Brutha szukał jakiegoś powodu, który mógłby trafić do boskiej psychiki.

- Wiesz, gdyby ludzie się nawzajem nie zabijali, więcej by ich zostawało, żeby w ciebie wierzyć - zasugerował.

- Coś w tym jest - przyznał Om. - Ciekawy argument. Sprytne. Na wydmach połykiwał białą szron. Brutha szedł naprzód w milczeniu.

- Słyszałeś kiedy — odezwał się nagle — o Etyce?

- To gdzieś w Howondalandzie, tak?

- Efebianie bardzo się nią interesowali.

- Pewnie chcieli ją podbić.

- I często o niej myśleli.

- Możliwe, że to jakaś długoterminowa strategia.

- Nie wydaje mi się, żeby to było miejsce. Etyka ma jakiś związek z tym, jak ludzie żyją.

- Niby z tym leniuchowaniem po całych dniach, kiedy niewolnicy wykonują całą robotę? Uwierz mi, gdy widzisz bandę nierobów, gadających o prawdzie i pięknie, i najlepszej metodzie zaatakowania Etyki, możesz postawić swoje sandały, że tak sobie gadają, bo tuzin innych biedaków zajmuje się pracą, żeby ci mogli żyć jak...

- ...bogowie? - dokończył Brutha. Zapadła straszliwa cisza.

- Chciałem powiedzieć: królowie - poprawił go Om z wyrzutem.

- Brzmiało to trochę jak bogowie.

- Królowie - powtórzył z naciskiem Om.

- Po co ludziom potrzebni bogowie? - zapytał Brutha.

- Och, musicie przecież mieć bogów- odparł Om serdecznym, rzeczowym tonem.

- Ale to bogowie potrzebują ludzi - przypomniał mu chłopiec. — Żeby wierzyli. Sam mówiłeś. Om zawahał się.

- Rzeczywiście - przyznał w końcu. - Ale ludzie też muszą w coś wierzyć. Prawda? Inaczej dlaczego by grzmiało?

- Grom... — Oczy Bruthy zaszklily się lekko. - Nie bardzo... Powodowany jest przez zderzające się chmury; kiedy uderza błyskawica, pozostawia korytarz w powietrzu i chmury generują dźwięk, wypełniają go szybko i zderzają się ze sobą, zgodnie ze ścisłymi zasadami cumulodynamiki.

- Masz zabawny głos, kiedy cytujesz - zauważył Om. - Co to znaczy „generują”?

- Nie wiem. Nikt nie pokazał mi słownika.

- Zresztą to i tak tylko wyjaśnienie. Ale nie powód.

- Babcia mówiła mi, że grom powoduje Wielki Bóg Om, kiedy zdejmuje sandały - przypomniał sobie Brutha. — Tego dnia była w dobrym humorze. Prawie się uśmiechała.

- Wyjaśnienie poprawne w sensie metaforycznym - przyznał Om. - Aleja nigdy nie grzmiałem. Podział kompetencji, rozumiesz. Gromami zajmuje się ten przeklęty Ślepy Io, co to ma wielki młot i mieszka na Wzgórzu Zarozumiałców.

- Wspominałeś chyba, że są setki bogów gromu...

- Tak. I on jest nimi wszystkimi. To racjonalizacja. Parę plemion łączy się w jedno, a wszystkie miały boga gromu, tak? Więc ci bogowie tak jakby się zlewają. Wiesz, jak się dzielą ameby?

-Nie.

- No więc to wygląda podobnie, tylko że na odwrót.

- Wciąż nie rozumiem, jak jeden bóg może być setką bogów gromu. Oni nawet inaczej wyglądają.

- Sztuczne nosy.

-Co?

- I zmiana głosu. Przypadkiem wiem, że lo ma siedemdziesiąt różnych młotów. Nie jest to fakt powszechnie znany. Tę samą sytuację masz z boginiami matkami. Jest jedna, tylko ma mnóstwo peruk. No i sam byś się zdziwił, gdybyś zobaczył, co można zrobić z wypchanym stanikiem.

Na pustyni zaległa absolutna cisza. Gwiazdy, rozmazane lekko przez wilgoć w górnych warstwach atmosfery, przypominały maleńkie nieruchome rozetki.

Niebo migotało lekko od strony tego, co Kościół nazywał Biegunem Górnym, a o czym Brutha zaczynał myśleć jako Osi.

Odłożył Oma i opuścił Vorbisa na piasek.

Cisza absolutna.

Na całe mile wokół tylko pustka — tylko to, co sam przyniósł ze sobą. Tak musieli czuć się prorocy, kiedy wyruszali na pustynię, by znaleźć... to, co znajdowali, i rozmawiać z... z tym, z kim naprawdę rozmawiali.

Usłyszał trochę rozdrażniony głos Oma.

- Ludzie muszą w coś wierzyć. Więc równie dobrze mogą wierzyć w bogów. Co mają do wyboru? Brutha zaśmiał się z goryczą.

- Wiesz, mam wrażenie, że w nic już nie wierzę.

- Oprócz mnie!

- O tobie wiem, że istniejesz. - Chłopiec wyczuł, że Om trochę się uspokoił. - Jest w żółwiach coś takiego... Tak, w żółwie mogę wierzyć. Posiadają dużą ilość egzystencji skupionej w jednym miejscu. To raczej z bogami jako takimi mam kłopot...

- Posłuchaj. Jeśli ludzie przestaną wierzyć w bogów, mogą uwierzyć w cokolwiek. Uwierzą nawet w tę parującą kulę młodego Urna. Wszystko jedno w co.

- Hm...

Zielone lśnienie na niebie dowodziło, że blask świtu gorączkowo pędzi za słońcem. Vorbis stęknął.

- Nie wiem, czemu się nie budzi — wyznał Brutha. — Nie ma żadnych złamanych kości.

- Skąd wiesz?

-Jeden z tych efebiańskich zwojów był cały o kościach. Możesz coś dla niego zrobić?

- Czemu?

-Jesteś bogiem.

- Niby tak. Gdybym miał dość mocy, pewnie mógłbym porazić go piorunem.

- Myślałem, że to lo robi pioruny.

- Nie, tylko gromy. Błyskawice wolno ciskać, ile się tylko ma ochotę, ale do grzmienia trzeba zakontraktować lo. Horyzont stał się szeroką złocistą wstęgą.

- Może trochę deszczu? - zaproponował Brutha. - Cokolwiek użytecznego?

Pod pasmem złota pojawiła się srebrzysta linia. Światło słoneczne mknęło w

stronę Bruthy.

- To była bardzo bolesna uwaga - oświadczył żółw. — Uwaga, która miała mnie zranić.

Było coraz jaśniej. Brutha zauważył w pobliżu jedną ze sterczących z piasku skalnych wysp. Jej wygładzone ściany nie gwarantowały niczego prócz cienia. Ale cień, zawsze w dowolnych ilościach dostępny w głębinach Cytadeli, tutaj był towarem bardzo poszukiwanym.

- Jaskinie? - odezwał się Brutha.

- Węże.

- Ale jednak jaskinie?

- W połączeniu z węzami.

- Jadowitymi węzami?

- Zgadnij.

„Nienazwana” sunęła powoli naprzód. Wiatr wypełniał szatę Urna umocowaną do masztu zbudowanego z resztek rusztowania kuli, powiązanych rzemieniami z sandałów Symonii.

- Chyba wiem, w czym tkwił problem - stwierdził Urn. - Zwykła sprawa nadmiernej szybkości.

- Nadmiernej szybkości? Wylecieliśmy nad wodę! - przypomniał Symonia.

- Potrzebny jest jakiś aparat kierujący... - Urn zaczął kreślić schemat na burcie. - Coś, co by otworzyło zawór, kiedy zbierze się za dużo pary. Chyba mógłbym wykorzystać dwie wirujące kulki...

- Zabawne, że o tym wspomniałeś - wtrącił Didactylos. - Kiedy oderwaliśmy się od wody i kula wybuchła, wyraźnie poczułem własne...

- Ta piekielna machina prawie nas pozabijała! - zawołał sierżant.

- Więc następna będzie lepsza - zapewnił go Urn. Spojrzał na daleki brzeg. - Dlaczego gdzieś tam nie wylądujemy?

- Na brzegu pustyni? Po co? Nie ma nic do jedzenia, nic do picia, łatwo zgubić drogę. Przy tym wietrze Omnia jest jedynym możliwym celem. Możemy przybić do brzegu po tej stronie miasta. Znam tam ludzi. A oni znają innych. W całej Omni są ludzie, którzy znają ludzi. Ludzi, którzy wierzą w Żółwia.

- A wiesz - odezwał się smętnie Didactylos - nigdy nie chciałem, żeby ludzie wierzyli w Żółwia. To zwykły wielki żółw. Po prostu istnieje. Tak się ułożyło. Nie sądzę, żeby Żółw się tym przejmował. Myślałem tylko, że nieźle będzie opisać to wszystko i trochę wytłumaczyć.

- Ludzie całą noc siedzieli na straży, kiedy inni ludzie sporządzali kopie - mówił Symonia, nie zwracając uwagi na filozofa. -Przekazywali je sobie z rąk do rąk. Każdy z nich robił kopię i podawał dalej! Jak ogień tłący się pod ziemią!

- Dużo powstało tych kopii? - zapytał czujnie Didactylos.

- Setki! Tysiące!

- Chyba już za późno, żeby poprosić, powiedzmy, o pięć procent tantiem? - Didactylos spojrzał z nadzieją. - Nie. Na pewno nie wchodzi w grę. Zapomnijcie, że pytałem.

Kilka latających ryb, ściganych przez delfina, wyskoczyło nad wodę.

- Mimo wszystko trochę mi żal młodego Bruthy - oznajmił Didactylos.

- Nie warto żałować kapłanów - uznał Symonia. -Jest ich tak wielu...

- Miał wszystkie nasze księgi - przypomniał Urn.

- Pewnie unosi się na wodzie z całą tą wiedzą - mruknął Didactylos.

- Poza tym i tak był obłąkany - ocenił sierżant. - Widziałem, jak szeptał coś do tego żółwia.

- Szkoda, że go straciliśmy - westchnął filozof. - Można sobie takim nieźle podjąć.

Nie była to właściwie jaskinia, raczej głęboka jama o ścianach wygładzonych przez nieprzerwane pustynne wichry, a bardzo dawno temu nawet przez wodę. Ale wystarczała. Brutha przyklęknął na skalistym gruncie i podniósł nad głowę kamień.

W uszach mu dzwoniło i miał wrażenie, że gałki oczne ma osadzone w piasku. Nie pił wody od zachodu słońca, a nie jadł już od stu lat. Musiał to zrobić.

- Przykro mi - powiedział i opuścił kamień.

Waż obserwował go czujnie, ale w porannym letargu był zbyt powolny, by uniknąć ciosu. Zabrzmiał cichy trzask i Brutha wiedział, że odtąd sumienie będzie mu odtwarzać ten dźwięk raz za razem.

- Dobrze - odezwał się z boku Om. — A teraz zedrzyj z niego skórę i nie marnuj soków. Skórę też zachowaj.

- Nie chciałem tego - szepnął Brutha.

- Spójrz na to z innej strony. Gdybyś wszedł do tej jaskini beze mnie, żebym mógł cię ostrzec, leżałbyś teraz na ziemi ze stopą wielkości szafy. Rób drugiemu, zanim on zrobi tobie,

- To nawet nie był duży waż...

- I wtedy, wijąc się w nieopisanych cierpieniach, wyobrażałbyś sobie wszystko, co byś zrobił temu wężowi, gdybyś dorwał go pierwszy. No więc twoje życzenie zostało spełnione. I nie dziel się z Vor-bisem - dodał Om.

- Ma wysoką gorączkę. Cały czas bełkocze.

- Naprawdę sądzisz, że doprowadzisz go do Cytadeli, a oni ci uwierzą?

- Brat Nhumrod zawsze powtarzał, że jestem bardzo prawdomówny - oświadczył Brutha. Rozbił kamień o skałę, by uzyskać ostrą krawędź, i z ociąganiem wziął się za krojenie węża. - Zresztą jaki miałem wybór? Nie mogłem go przecież zostawić.

- Owszem, mogłeś - stwierdził Om.

- Żeby zginął na pustyni?

- Tak. To łatwe. O wiele łatwiejsze niż nie zostawiać go, żeby zginął na pustyni.

- Nie.

- Tak pewnie postępują w Etyce, co? - mruknął drwiąco Om.

- Nie wiem. Tak ja postępuję.

„Nienazwana” kołysała się w szczelinie między skałami. Za pasem plaży wyrastało niskie urwisko. Symonia zsunął się z niego w dół, do miejsca gdzie filozofowie kryli się przed wiatrem.

- Znam tę okolicę - oświadczył. - Jesteśmy o kilka mil od wioski, gdzie mieszka przyjaciel. Musimy tylko poczekać do nocy.

- Dlaczego to wszystko robisz? - zapytał Urn. - Znaczący, jaki to ma sens?

- Słyszałeś kiedy o kraju zwanym Istanżja? Nie był wielki. Nie miał nic, co ktoś chciałby odebrać. Zwykłe miejsce, gdzie mogli żyć ludzie.

- Omnia podbiła go piętnaście lat temu - przypomniał sobie Didactylos.

- Zgadza się - przyznał Symonia. - To mój kraj. Byłem wtedy dzieckiem, ale

nie zapomnę tego. Inni też nie. Wielu jest ludzi, którzy mają powody, by nienawidzić Kościoła.

- Widziałem, że stoisz obok Vorbisa - powiedział Urn. - Myślałem, że go ochraniasz.

- Ochraniałem, ochraniałem - zgodził się Symonia. - Nie chciałem, żeby ktokolwiek zabił go przede mną. Didactylos otulił się ciasno togą i zadrżał.

Słońce tkwiło jak przynitowane do miedzianej kopuły nieba. Brutha drzemał w jaskini. Vorbis w kącie rzucał się niespokojnie.

Om czekał przy wejściu.

Czekał niespokojnie.

Czekał wystraszony.

Aż wreszcie przybyły.

Wysuwały się spod odłamków kamieni, ze szczelin w skale. Tryskały z piasku, destylowały się z falującego nieba. Ich głosy wypełniły powietrze - ciche jak szepty komarów.

Om przygotował się.

Język, jakim przemówił, nie przypominał mowy wyższych bogów. Właściwie wcale nie był językiem, ledwie modulacją pragnień i głodów, bez rzeczowników i z kilkoma tylko czasownikami.

...Chcę...

Om odpowiedział: Mój.

Było ich tysiące. On był silniejszy, to prawda, miał wyznawcę, ale one przesłaniały niebo jak szarańcza. Tęsknota spływała na niego ciężarem płynnego ołowiu. Jediną szansą, jedyną przewagą był

fakt, że pomniejsze bóstwa nie opanowały koncepcji wspólnego działania. Ten luksus przychodził wraz z ewolucją.

...Chcę...

Mój!

Brzęczenie zmieniło się w jęk.

Ale możecie wziąć tego drugiego, powiedział Om.

...Mroczny, twardy, zamknięty, zaciśnięty...

Wiem, przyznał Om. Ale ten jest mój!

Psychiczny krzyk odbił się echem na pustyni. Pomniejsze bóstwa uciekły.

Oprócz jednego.

Om zauważył, że nie latało z innymi, ale szybowало delikatnie nad odłamkiem zbielelej kości. Milczało.

Teraz Om skierował się ku niemu.

Ty. Mój!

Wiem, odparło pomniejsze bóstwo. Znało mowę, prawdziwą mowę bogów, choć używało jej, jakby każde słowo wydobywane było z otchłani pamięci.

Kim jesteś? - spytał Om.

Pomniejsze bóstwo zadrżało.

Było kiedyś miasto, powiedziało. Więcej niż miasto. Imperium miast. Ja, ja, ja pamiętam, że były tam kanały, ogrody. I jezioro. Na jeziorze mieli pływające ogrody. Pamiętam. Ja, ja. I stały świątynie. Takie świątynie, o jakich można tylko marzyć. Wielkie piramidy świątyni, sięgające nieba. Tysiące składali w ofierze. Na większą chwałę.

Om poczuł mdłości. To nie zwykłe pomniejsze bóstwo. To pomniejsze bóstwo,

które nie zawsze było małe.

Kim byłeś?

Stały świątynie. Ja, ja, dla mnie. Takie świątynie, o jakich można tylko marzyć. Wielkie piramidy świątyni, sięgające nieba. Na chwałę. Tysiące składali w ofierze. Mnie. Na większą chwałę.

Stały świątynie. Moje, moje, moje. Większa chwała. Taka chwała świątyni, o jakiej można tylko marzyć. Wielkie piramidy wymarzonych świątyni, sięgające nieba. Mnie, mnie. W ofierze. Marzenie. Tysiące składali w ofierze. Dla mnie na większą chwałę nieba.

Byłeś ich Bogiem? - zapytał słabo Om.

Tysiące składali w ofierze. Na większą chwałę.

Słyszysz mnie?

Tysiące składali w ofierze. Mnie, mnie. Ku większej chwale. Mojej.

Jak miałeś na imię?! - krzyknął Om.

Imię?

Gorący wiatr powiał nad pustynią, poruszył ziarenkami piasku. Echo zapomnianego boga odpłynęło, wirując, aż zniknęło pomiędzy kamieniami.

Kim byłeś?

Om nie usłyszał odpowiedzi.

Tak to wygląda, pomyślał. Być pomniejszym bóstwem jest źle, ale nie wie się wtedy, jak to źle, bo w ogóle prawie niczego się nie wie. Przez cały czas trwa coś, co może jest ziarnem nadziei, wiedzy i wiary, że pewnego dnia można się stać czymś większym niż teraz.

Ale o wiele gorzej jest, kiedy było się już bogiem, a teraz pozostało tylko mgliste zawiniątko wspomnień, przewiewane tam i z powrotem nad piaskiem, który powstał z rozkruszonych kamieni własnych świątyni...

Om zawrócił i stanowczym krokiem poczłapał na krótkich nóżkach do jaskini. Dotarł do głowy Bruthy i uderzył o nią skorupą.

- Wst?

- Sprawdzalem tylko, czy jeszcze żyjesz.

- Fgfl.

- To dobrze.

Powrócił na stanowisko przy wejściu do jaskini.

Podobno na pustyni istniały oazy, ale nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Pustynia nie miała swoich map. Pożerała kartografów.

Lwy także. Om przypominał je sobie. Chude zwierzęta, niepodobne do swych pobratymców z płaskowyżów Howondalandu. Raczej wilki niż lwy, bardziej hieny niż jedne i drugie. Nie odważne, ale obdarzone rodzajem złośliwego, uniwersalnego tchórzostwa, które jest o wiele groźniejsze...

Lwy.

Oj...

Musi znaleźć lwy.

Lwy piją.

Brutha obudził się, kiedy nad pustynią snuło się światło popołudniowego słońca. W ustach czuł smak węża. Om uderzał skorupą o jego stopę.

- No chodź, wstawaj, tracisz najlepsze godziny dnia.

- Czy jest gdzieś woda? - wymamrotał chrapliwie chłopiec.

- Będzie. Niecałe pięć mil stąd. Zdziwiający zbieg okoliczności. Brutha

podniósł się. Bolały go wszystkie mięśnie.

- Skąd wiesz?

- Wyczuwam ją. W końcu jestem bogiem, prawda?

- Mówiłeś, że wyczuwasz tylko umysły.

Om zaklął bezgłośnie. Brutha niczego nie zapominał.

- To dość skomplikowana historia — skłamał. — Zaufaj mi. Chodźmy, dopóki coś jeszcze widać. I nie zapomnij pana Vorbisa.

Vorbis zwinął się w kłębek. Spojrzał na Bruthę niewidzącymi oczami i kiedy chłopiec mu pomógł, wstał, jakby wcale się nie obudził.

- Myślę, że czymś się zatrul - stwierdził Brutha. - Są różne takie morskie stworzenia z kolcami. I jadowite korale. Cały czas porusza wargami, ale nie rozumiem, co próbuje powiedzieć.

- Zabierz go - rzekł Om. - Zabierz go koniecznie.

- Zeszłej nocy chciałeś, żebym go porzucił.

- Naprawdę? - Skorupa żółwia promieniała wręcz niewinnością. - No cóż, może byłem w Etyce. Otworzyło się moje serce. Teraz widzę, że jego obecność przy nas służy jakiemuś celowi. Dobry stary Vorbis. Weźmiemy go ze sobą.

Sierżant Symonia i dwaj filozofowie stali na szczycie urwiska i spoglądali ponad spieczonymi słońcem polami Omni ku dalekiej skale Cytadeli. A przynajmniej dwóch z nich spoglądało.

- Dajcie mi dźwignię i miejsce, żeby stanąć, a rozbiję ją jak skorupkę jaja - rzekł Symonia, prowadząc Didactylosa wąską ścieżką.

- Wygląda na wielką - zauważył Urn.

- Widzisz błyski? To wrota.

- Wyglądają na masywne.

- Zastanawiałem się - powiedział Symonia - nad łodzią. Nad tym, jak się porusza. Coś takiego mogłoby rozbić wrota, prawda?

- Musielibyśmy zalać wodą całą dolinę.

- Chodziło mi o coś takiego na kołach.

- To co innego - mruknął ironicznie Urn. Miał za sobą ciężki dzień. - Owszem, gdybym miał kuźnię, pół tuzina kowali i masę pomocników. Koła? Żaden kłopot, ale...

- Zobaczymy, co da się zrobić.

Słońce sięgnęło horyzontu, kiedy Brutha, z Vorbisem w ramionach, dotarł do kolejnej skalnej wyspy. Była większa od tamtej z wężem. Wiatr wyrzeźbił kamienie w wysokie, niezwykle kształty - jakby palce. W szczelinach rosły nawet jakieś rośliny.

- Gdzieś tu jest woda - stwierdził Brutha.

- Zawsze jest woda, nawet na najgorszej pustyni - odparł Om. - Cał, może nawet dwa cale deszczu rocznie.

- Coś czuję - zauważył chłopiec. Jego stopy przestały zapadać się w pasku i zachrząściły na wapiennych rumowiskach wokół głazów. - Coś cuchnącego.

- Podnieś mnie do góry. Om rozejrzał się.

- Dobrze. Teraz mnie opuść. I idź do tej skały, która wygląda jak... właściwie wygląda dość niezwykle. Brutha wytrzeszczył oczy.

- Rzeczywiście - wychrypiał po chwili. - Zdziwiające, że wiatr tak ją uformował.

- Bóg wiatru ma poczucie humoru — wyjaśnił Om. — Chociaż dość

prymitywne.

Przed laty u stóp skały runęły w nierówny stos potężne bloki. Tu i tam widzieli ciemne otwory.

- Ten smród...

- Pewnie zwierzęta przychodzą pić wodę.

Brutha zaczepił nogą o coś żółtobiałego, co potoczyło się po kamieniach z odgłosem worka orzechów kokosowych. W głuchej ciszy pustyni dźwięk zabrzmiał głośno.

- Co to było?

- Na pewno nie czaszka - skłamał Om. - Nie przejmuj się...

- Tu wszędzie leżą kości!

- No a czego się spodziewałeś? To przecież pustynia. Ludzie tu umierają. To bardzo popularne zajęcie w tej okolicy.

Brutha podniósł kość. Owszem, był - i dobrze o tym wiedział - głupi. Ale ludzie nie ogryzają po śmierci własnych kości.

- Om...

- Tam jest woda! - zawołał Bóg. - Potrzebujemy jej! Ale... są też jeden czy dwa problemy.

- Jakie problemy?

- Na przykład groźne zjawiska naturalne.

- Czyli?

- No... Wiesz coś o lwach? - spytał zrozpaczony Om.

- Tutaj są lwy?

- No... tak jakby.

- Tak jakby lwy?

- Tylko jeden lew.

- Tylko jeden... Lwy na ogół żyją samotnie. Najgroźniejsze są stare samce, których młodszy rywal odpędzają na najbardziej niegościnne tereny. Są rozdrażnione, chytne, a w ciężkim położeniu zatraciły wszelki lęk przed człowiekiem... - Wspomnienie przybladło, uwalniając struny głosowe chłopca. - Taki lew?

- Nawet nie zwróci na nas uwagi, kiedy się naje - odparł Om.

- Naprawdę?

- One zasypiają.

- Po jedzeniu?

Brutha obejrzał się na Vorbisa, który siedział oparty o skałę.

- Jedzenie? - powtórzył.

- Okażesz mu miłosierdzie - powiedział Om.

- Lwu, tak! Chcesz go użyć jako przynęty?

- I tak nie przetrwa na pustyni. A zresztą sam postąpił o wiele gorzej z tysiącami ludzi. Umrze w dobrej sprawie.

- W dobrej sprawie?

- Mnie się to spodoba.

Spomiędzy skał rozległ się ryk. Niezbyt głośny, ale pełen napięcia. Brutha cofnął się.

- Nie rzucamy ludzi lwom na pożarcie.

- On rzucał.

- Tak. Aleja nie.

- No dobrze. Możesz wejść na szczyt głazu, a kiedy lew się za niego zabierze, rozwalisz mu czaszkę kamieniem. Vorbis wyjdzie z tego bez ręki czy nogi. Nawet nie zauważy.

- Nie! Nie możesz tak postępować z ludźmi tylko dlatego, że są bezbronni.
- A wiesz, nie wyobrażam sobie bardziej dogodnej chwili.

Zza stosu kamieni rozległ się kolejny ryk. Wydawał się bliższy.

Zdesperowany Brutha rozejrzał się wśród rozrzuconych kości. Między nimi, na wpół przysypany odłamkami, leżał miecz. Był stary, niezbyt starannie wykonany i wygładzony piaskiem. Chłopiec podniósł go ostrożnie.

- Z drugiego końca - poradził Om.
- Wiem.
- Potrafisz tego używać?
- Nie mam pojęcia.
- Ufam, że szybko się uczysz.

Lew wyłonił się powoli.

Pustynne lwy, jak już wspomniano, nie przypominają lwów z sawanny. Kiedyś przypominały - kiedy pustynia była jeszcze zieloną równiną⁷. Wtedy miały czas, by leżeć leniwie przez całe dnie i wyglądać majestatycznie między regularnymi posiłkami złożonymi z kóz⁸. Ale sawanna zmieniła się w step, potem w suchy step, a kozy, ludzie i wreszcie nawet miasta zniknęły.

Lwy pozostały. Jeśli jest się dostatecznie głodnym, zawsze znajdzie się coś do jedzenia. Ludzie wciąż przecież musieli przemierzać pustynię. Żyły tu jaszczurki. Żyły węże. Nie była to luksusowa nisza ekologiczna, ale lwy trzymały się jej jak śmierć, czyli to, co czekało większość ludzi po spotkaniu z pustynnym lwem.

Z tym ktoś już się spotkał.

Lew miał splątaną grzywę. Na jego skórze krzyżowały się stare blizny. Zbliżał się, ciągnąc za sobą bezwładne tylne łapy.

- Jest ranny - zauważył Brutha.
- To świetnie. Nieźle można sobie takim podjeść. Trochę łykowaty, ale...

Lew upadł; sterczące żebra poruszały się ciężko. Z lewego boku zwierzęcia sterczała włócznia. Muchy, które na każdej pustyni potrafią znaleźć coś do jedzenia, poderwały się gęstym rojem.

Brutha odłożył miecz. Om schował głowę w skorupie.

- No nie — wymamrotał. - Na świecie żyje dwadzieścia milionów ludzi, a jedyny, który we mnie wierzy, to wariat i samobójca...

- Nie możemy go tak zostawić - oświadczył Brutha.
- Ależ możemy. Możemy. To przecież lew. Lwy należy zostawiać w spokoju.

Brutha przyklęknął. Lew otworzył żółte, zaropiałe oko. Był za słaby, żeby próbować gryźć.

- Umrzesz. Zginiesz marnie. I nie znajdę tu nikogo innego, kto by we mnie uwierzył...

Wiedza Bruthy o anatomii zwierząt była raczej szczątkowa. Co prawda niektórzy inkwizytorzy dysponowali godną zazdrości znajomością wnętrza ludzkiego ciała - niedostępną wszystkim innym, którzy nie mogą otworzyć go i obejrzeć, gdy wciąż jeszcze funkcjonuje - jednak medycyna nie cieszyła się w Omni szacunkiem. Mimo to w każdej wiosce mieszkał ktoś, kto oficjalnie nie nastawiał kości, kto nie wiedział tego i owego o ziołach, i kto - dzięki niepewnej wdzięczności pacjentów - pozostawał poza zasięgiem Kwizycji. Poza tym każdy rolnik posiadał odrobinę wiedzy. Ostry ból zęba może wypalić każdą wiarę z wyjątkiem najmocniejszej.

Brutha chwycił drzewce włóczni. Zwierzę ryknęło, kiedy nią poruszył.

- Możesz do niego przemówić? - zapytał chłopiec.

⁷ Tzn. zanim mieszkańcy pozwolili kozom paść się wszędzie. Nic tak sprawnie nie tworzy pustyni jak kozy.

⁸ Zbyt skromnymi.

- Przecież on jest zwierzęciem.
- Ty też. Mógłbyś go spróbować jakoś uspokoić. Bo jeśli się rozzłości...
Om skoncentrował się.

Umysł Iwa zawierał jedynie ból, rozszerzające się jądro bólu, tłumiące nawet zwykłe tło głodu. Om starał się objąć ten ból, sprawić, by odpłynął... i nie myśleć, co się stanie, jeśli ból zniknie. Sądząc po uczuciach, lew nie jadł od wielu dni.

Lew stęknął, kiedy Brutha wyrwał ostrze włóczni.

- Omniańska - stwierdził. - Tkwi w nim od niedawna. Musiał spotkać żołnierzy w drodze do Efebu. Pewnie przejeżdżali niedaleko. Oderwał od szaty pasek materiału i spróbował oczyścić ranę.

- Chcemy go jeść, a nie leczyć! - wrzasnął Om. - O czym ty myślisz? Liczysz na jego wdzięczność?

- Chciał, żeby mu pomóc.

- A za chwilę zechce, żeby go nakarmić. Pomyślałeś o tym?

- Patrzy na mnie żałośnie.

- Pewnie nigdy jeszcze nie widział tygodniowej porcji jedzenia chodzącej dookoła na jednej parze nóg.

To nie była prawda, uświadomił sobie Om. Na pustyni Brutha tracił na wadze jak kostka lodu. To właśnie trzymało go przy życiu! Chłopiec był niczym dwunogi wielbłąd.

Brutha przesunął się w stronę stosu skalnych bloków. Odłamki i kości chrzęściły mu pod nogami. Głazy tworzyły labirynt na wpół otwartych tuneli i jaskiń. Sądząc po zapachu, lew mieszkał tu już od dawna i często chorował na żołądek.

Chłopiec stanął przed jedną z jaskiń.

- Co widzisz ciekawego w lwiej jamie? - zdziwił się Om.

- Chyba to, że prowadzą do niej stopnie.

Didactylos wyczuwał tłum. Ludzie wypełnili stodołę.

- Ilu ich tu jest? - zapytał.

- Setki - odparł Urn. - Siedzą nawet na krokwiach. I... mistrzu...

- Tak?

- Jest nawet jeden czy dwóch kapłanów. I kilkunastu żołnierzy!

- Nie obawiajcie się - uspokoił ich Symonia, stając obok na zaimprovizowanej platformie z beczek na figi. - To wyznawcy Żółwia, tak jak wy. Mamy przyjaciół w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

- Aleja nie... - zaczął bezradnie Didactylos.

- Nie ma tu nikogo, kto by z całej duszy nie nienawidził Kościoła.

- Ale to przecież...

- Czekają tylko, żeby ktoś ich poprowadził.

- Aleja nigdy...

- Wiem, że nas nie zawiedziesz. Jesteś człowiekiem rozumnym. Urn, podejdź na chwilę. Chciałbym, żebyś poznał pewnego kowala...

Didactylos odwrócił się do tłumu. Czuł na twarzy gorącą, stłumioną ciszę ich spojrzeń.

Pojedyncza kropla potrzebowała minut. Były niemal hipnotyczne. Brutha wpatrywał się w każdą rosnącą kroplę. Nie potrafił dostrzec, jak wzbiera, ale wzbierały i kapały tutaj od tysięcy lat.

- Jak? - spytał Om.

- Po deszczach woda się przesącza - wyjaśnił chłopiec. - Zbiera się w skałach. Czy bogowie nie wiedzą takich rzeczy?

- Nie musimy. - Om rozejrzał się. - Chodźmy stąd. Nienawidzę tego miejsca.

- To przecież tylko dawna świątynia. Niczego tu nie ma.

- O to mi właśnie chodzi.

Piasek i gruz wypełniały grootę do połowy. Promienie światła przebijały się przez pęknięcia stropu, padając na zbocze, którym się tu wspięli. Brutha zastanawiał się, ile z rzeźbionych wiatrem skał na pustyni było niegdyś budynkami. Ten musiał być ogromny - może wysoka wieża. A potem nadeszła pustynia...

Tutaj nie szeptały żadne głosy. Nawet pomniejsze bóstwa trzymały się z dala od opuszczonych świątyń, z tych samych powodów, z jakich ludzie wolą omijać cmentarze. Jednym dźwiękiem były rzadkie pluśnięcia wody.

Krople skapywały do płytkiego zagłębienia przed czymś, co wyglądało jak ołtarz. Stamtąd woda wyrzeźbiła sobie bruzdę przez kamienne płyty podłogi aż do okrągłego otworu, który wydawał się bezdenne. Wokół stało kiedyś kilka posągów, teraz przewróconych. Miały prymitywne proporcje, jak dziecięce modele z gliny, tyle że wykute w granicie. Dalekie ściany pokrywały kiedyś płaskorzeźby, ale rozsypały się - wszędzie z wyjątkiem kilku miejsc, gdzie wciąż dało się dostrzec dziwne obrazy przedstawiające głównie macki.

- Kim byli ludzie, którzy tu żyli? - spytał Brutha.

- Nie wiem.

- Jakiemu bogu oddawali cześć?

- Nie wiem.

- Posągi zrobione są z granitu, ale w okolicy nie ma granitu.

- W takim razie byli bardzo pobożni. Ściągnęli go aż tutaj.

- A głaz na ołtarzu jest cały pokryty rowkami.

- Aha. Wyjątkowo pobożni. To żeby krew miała czym spływać.

- Naprawdę sądzisz, że składali ofiary z ludzi?

- Nie wiem! Chcę stąd odejść!

- Dlaczego? Mamy wodę i jest chłodno...

- Ponieważ... kiedyś mieszkał tu bóg. Potężny bóg. Tysiące oddawały mu cześć. Czuję to. Rozumiesz? To dochodzi ze ścian. Wielki Bóg. Potężna była jego dziedzina i wspaniałe jego słowo. Armie wyruszały w jego imię, podbijały i mordowały. Takie rzeczy. A teraz nikt, ani ja, ani ty, ani nikt nie wie, kim był, jakie było jego imię ani nawet jak wyglądał. Lwy przychodzą do wodopoju w jego świętym przybytku, a te małe miękkie stworzonka z nogami, jedno z nich masz właśnie obok stopy, jak one się nazywają, te z czułkami, spacerują pod ołtarzem. Teraz rozumiesz?

- Nie - stwierdził Brutha.

- Nie boisz się śmierci? Przecież jesteś człowiekiem! Brutha zamyślił się. O kilka stóp od niego Vorbis wpatrywał się tępo w widoczny skrawek nieba.

- Jest przytomny. Po prostu się nie odzywa.

- Kogo to obchodzi? Nie o niego pytałem.

- No więc... Czasami... kiedy mam służbę w katakumbach... to takie miejsce, gdzie trudno nie myśleć... No wiesz, wszystkie te czaszki i inne takie... A Księga mówi...

- Sam widzisz — mruknął Om. Nuta gorzkiego tryumfu zabrzmiała w jego głosie. — Nie wiesz. Tylko to chroni wszystkich przed obłędem: niepewność. Nadzieja, że jednak może wszystko jakoś się ułożyć. Ale z bogami jest inaczej. My

wiemy. Znasz tę historię o jaskółce przelatującej przez pokój?

- Nie.

- Wszyscy ją słyszeli.

- Ja nie.

- O tym, że życie jest niczym jaskółka przelatująca przez pokój? A na zewnątrz tylko ciemność. Ona przefruwa i doznaje jednej chwili ciepła i światła.

- Okna są otwarte? - zapytał Brutha.

- Czy możesz sobie wyobrazić, jak to jest być jaskółką i wiedzieć o ciemności? Wiedzieć, że potem nie będzie już nic, tylko wspomnienie jednej chwili światła?

-Nie.

- Nie. Oczywiście, że nie możesz. Ale tak właśnie się czujesz, kiedy jesteś bogiem. A to miejsce... to kostnica.

Brutha rozejrzał się po mrocznej starożytnej świątyni.

- No... A ty wiesz, co to znaczy być człowiekiem?

Głowa Oma na moment skryła się wewnątrz skorupy, co było najlepszym możliwym dla żółwia odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- W porównaniu z bogiem? Prosta sprawa. Rodzisz się. Stosujesz kilka prostych zasad. Robisz, co ci każą. Umierasz. Zapominasz. Brutha patrzył na niego.

- Coś się nie zgadza? - spytał Om.

Brutha pokręcił głową. Potem wstał i podszedł do Vorbisa.

Diakon pił wodę ze złożonych dłoni chłopca. Ale poza tym sprawiał wrażenie wyłączanego. Chodził, pił, oddychał. A raczej coś z niego wykonywało te czynności: ciało. Ciemne oczy otwierały się, ale zdawało się, że nie patrzą na nic, co mógłby dostrzec Brutha. Całkiem jakby nie istniał nikt, kto przez nie spoglądał. Chłopiec był pewien, że gdyby odszedł, Vorbis siedziałby na popękanych kamiennych płytach, dopóki by się powoli nie przewrócił. Ciało Vorbisa było obecne, lecz miejsca pobytu umysłu prawdopodobnie nie dałoby się ustalić z pomocą żadnego znanego ludziom atlasu.

Nagle Brutha poczuł się tak samotny, że nawet Vorbisa uznał za dobre towarzystwo.

- Po co się nim przejmujesz? Tysiące ludzi posłał na śmierć.

- Owszem. Ale może sądził, że ty tego chciałeś? - Nigdy nie mówiłem, że chcę czegoś takiego.

- Nie obchodziło cię to.

- Przecież ja...

- Zamknij się! - rzucił Brutha. Om w zdumieniu otworzył pyszczek.

- Mogłeś pomagać ludziom - mówił chłopiec. - Ale ty tylko tupaleś, ryczałeś i budziłeś przerażenie. Jak... jak człowiek, który bije osła kijem. A tacy jak Vorbis stworzyli kij tak skuteczny, że w końcu wszystkie osły uwierzyły.

- Ta metafora wymagałaby udoskonalenia - zauważył Om kwaśno.

- Mówię o prawdziwym życiu!

- To nie moja wina, że ludzie źle rozumieją...

- Twoja! Na pewno! Jeśli grzebiez ludziom w umysłach tylko po to, żeby w ciebie wierzyli, wszystko, co robią, robią z twojej winy!

Brutha przez chwilę mierzył żółwia gniewnym wzrokiem. Potem odwrócił się i podszedł do stosu gruzu, który zajmował jeden róg zrujnowanej świątyni. Zaczął w nim grzebać.

- Czego szukasz?

- Musimy w czymś nieść wodę.

- Niczego nie znajdziesz - stwierdził Om. - Ludzie zwyczajnie odeszli. Piasek wypchnął stąd ziemię, a za nią ludzi, którzy wszystko ze sobą zabrali. Po co się męczyć szukaniem?

Brutha nie zwracał na niego uwagi. Pod kamieniami i piaskiem coś leżało.

- Po co się przejmować Vorbisem? - jęczał Om. - Za sto lat i tak będzie martwy. Jak my wszyscy.

Brutha szarpnął kawałek naczynia. Uwolnione, okazało się dwoma trzecimi wielkiej, pękniętej misy. Była prawie tak szeroka jak wyciągnięte ręce chłopca, lecz zbyt zniszczona, żeby ktoś ją zrabował.

Nie mogła się na nic przydać. Ale kiedyś była do czegoś używana. Wokół krawędzi wyrzeźbiono jakieś postacie. Brutha przyjrzał się im, szukając czegoś, co pozwoli mu oderwać myśli od brzęczącego w głowie głosu Oma.

Postacie wydawały się w przybliżeniu ludzkie i zajęte religią. Poznał to po nożach, jakie trzymały w rękach (nie jest morderstwem, jeśli człowiek zabija dla boga). Pośrodku misy była większa postać, wyraźnie ważna, pewnie jakiś bóg, dla którego to wszystko robili...

- Co? - spytał głośno.

- Mówiłem, że za sto lat wszyscy będziemy martwi.

Brutha patrzył na postacie wokół krawędzi misy. Nikt nie wiedział, kim był bóg tych ludzi, a oni także odeszli. Lwy spały w świętym przybytku, a...

...*Chilopodia ańdius*, pospolita stonoga pustynna, podpowiedziała mu rezydująca w pamięci biblioteka...

...biegały pod ołtarzem.

- Tak - rzekł Brutha. - Będziemy. Uniósł misę nad głowę i odwrócił się. Om schował się do skorupy.

- Ale tutaj... - Brutha zacisnął zęby i zachwiał się pod ciężarem. - I teraz...

Cisnął misę. Uderzyła w ołtarz. Odpryski starożytnego naczynia wleciały w górę i opadły. Echa zahuczały w świątyni.

- ...żyjemy!

Podniósł Oma, który całkowicie skrył się w skorupie.

- I dotrzemy do domu. Wszyscy - oznajmił Brutha. - Wiem.

- Tak napisano, co? - odezwał się stłumiony głos Oma.

- Tak powiedziano. A gdybyś zamierzał się kłócić... Skorupa żółwia to całkiem niezły pojemnik na wodę.

- Nie odważyłbyś się.

- Kto wie? Może i tak. Za sto lat i tak wszyscy będziemy martwi. Sam mówiłeś.

- Tak! Tak! - przyznał zdesperowany Om. - Ale tutaj i teraz...

- Właśnie.

Didactylos uśmiechnął się. Nie przychodziło mu to łatwo. Nie chodzi o to, że był człowiekiem ponurym, ale nie mógł zobaczyć uśmiechów innych. Uśmiech wymaga ruchów kilkunastu mięśni i ta inwestycja mu się nie zwracała.

Wiele razy przemawiał do zebranych w Efebie, ale wtedy jego słuchaczami byli nieodmiennie inni filozofowie; ich okrzyki: „To głupie!”, „Wymyślasz to sobie!” i inne cenne opinie zawsze go uspokajały. Bo nikt naprawdę nie zwracał na uwagi na jego słowa. Wszyscy zastanawiali się tylko, co sami za chwilę powiedzą.

Ale ci tutaj przypominali mu Bruthę. Ich słuchanie było niczym otchłań czekająca na słowa, które ją wypełnią. Kłopot polegał na tym, że on mówił w języku filozofii, a oni słuchali w bełkocie.

- Nie możecie wierzyć w Wielkiego A'Tuina - powiedział. -Wielki A'Tuin istnieje. Nie ma sensu wiara w rzeczy, które istnieją.

- Ktoś podniósł rękę - szepnął Urn.

- Słucham.

- Mistrzu, przecież tylko rzeczy, które istnieją, warte są tego, by w nie wierzyć - rzekł słuchacz ubrany w mundur sierżanta Świętej Gwardii.

- Skoro istnieją, nie trzeba w nie wierzyć — odparł Didactylos. - One po prostu są. - Westchnął. - Co mogę wam powiedzieć? Co chcecie usłyszeć? Spisałem tylko to, co ludzie wiedzą. Góry wyrastają i rozsypują się, a pod nimi A'Tuin płynie wciąż przed siebie. Ludzie żyją i umierają, a Żółw Się Rusza. Imperia rodzą się i rozpadają, a Żółw Się Rusza. Bogowie przychodzą i odchodzą, a Żółw wciąż Się Rusza. Żółw Się Rusza!

- I to jest prawdziwa prawda? - dobiegł czyjś głos z mroku. Didactylos wzruszył ramionami.

- Żółw istnieje. Świat jest płaskim dyskiem. Słońce okrąża go raz dziennie i ciągnie za sobą światło. I tak będzie się działo niezależnie od tego, czy w to wierzycie, czy nie. To jest rzeczywistość. Nie wiem nic o prawdzie. Prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Właściwie nie przypuszczam, żeby Żółw choć trochę się przejmował, czy jest prawdziwy, czy nie.

Filozof mówił dalej, gdy Symonia odciągnął Urna na bok.

- Oni nie to chcą usłyszeć. Nie po to przyszli. Zrób coś.

- Nie rozumiem.

- Oni nie chcą filozofii. Chcą powodu, by ruszyć przeciw Kościołowi! Teraz, kiedy Vorbis nie żyje, a cenobiarcha całkiem zdzieciniał, cała hierarchia zajęta jest wbijaniem sobie nawzajem sztyletów w plecy. Cytadela przypomina wielką, przegniłą śliwkę.

- Tylko że wciąż siedzi na niej kilka os - przypomniał Urn. -Mówiłeś, że popiera was tylko dziesiąta część żołnierzy.

- Ale są wolnymi ludźmi - odparł Symonia. - Wolnymi w swoich umysłach. Będą walczyć o coś więcej niż pięćdziesiąt centów dziennie.

Urn spojrział na swoje dłonie. Robił to często w chwilach niepewności, jakby były jedynymi obiektami we wszechświecie, których był całkowicie pewien.

- Przewaga spadnie do trzech do jednego, zanim reszta się zorientuje, co się dzieje — zapewnił posępnie Symonia. - Rozmawiałeś z kowalem?

-Tak.

- Potrafisz to zrobić?

-Ja... chyba tak. Ale nie to chciałem...

- Torturowali jego ojca. Tylko za to, że nad bramą kuźni przybił podkowę, a przecież każdy wie, że kowale muszą mieć swoje drobne rytuały. I wzięli do wojska jego syna. Ale ma wielu pomocników. Będą pracować przez całą noc. Ty musisz im jedynie powiedzieć, czego potrzebujesz.

- Zrobiłem kilka rysunków...

- To dobrze. Posłuchaj mnie, Urn. Kościołem rządzą tacy ludzie jak Vorbis. Tak to działa. Miliony umarły dla... dla kłamstw. Możemy to przerwać...

Didactylos zakończył przemowę.

- Zawalił sprawę - stwierdził Symonia. - Mógł z nimi zrobić wszystko. A on tylko przedstawił masę faktów. Nie da się porwać ludzi faktami. Potrzebna jest sprawa. Potrzebny jest symbol.

Opuścili świątynię tuż przed zachodem słońca. Lew wczuł się w cień skał, ale wstał chwiejnie i patrzył, jak odchodzą.

- Będzie nas tropił -jęknął Om. - One tak robią. Przez całe mile.
- Przeżyjemy.
- Chciałbym mieć tyle pewności co ty.
- Aleja mam Boga, w którym pokładam wiarę.
- Nie spotkamy już zrujnowanych świątyń.
- Znajdziemy coś innego.
- Ani nawet węża do jedzenia.
- Ale mój Bóg będzie przy mnie.
- Tyle że niejako przekąska. W dodatku ruszyłeś w złą stronę.
- Nie. Ciągłe oddalam się od wybrzeża.
- O to mi właśnie chodziło.
- Jak daleko może dotrzeć lew z taką raną od włóchni?
- A co to ma do rzeczy?
- Wszystko.

A pół godziny później zobaczyli czarną, mglistą linię na zalanej księżycowym blaskiem pustyni. To był szlak.

- Tędy przeszli żołnierze. Wrócimy po ich śladach. Jeśli pójdziemy tam, skąd oni nadeszli, dotrzemy tam, gdzie zmierzamy.

- Nigdy się nam nie uda!
- Nie nosimy ciężarów.
- Rzeczywiście. Oni musieli dźwigać całą żywność i wodę -mruknął z goryczą Om. - Jakie to szczęście, że my nic takiego nie mamy.

Brutha obejrzał się na Vorbisa. Ekskwizytor szedł teraz bez pomocy, trzeba było tylko odwracać go delikatnie przy każdej zmianie kierunku.

Nawet Om musiał przyznać, że szlak dawał otuchę. W pewnym sensie był żywy - podobnie jak echo jest żywe. Nie tak dawno temu szli tędy ludzie. Istnieli na świecie inni. Ktoś gdzieś zdołał przeżyć.

Albo nie. Mniej więcej po godzinie natrafili na kopczyk obok szlaku. Na jego szczycie leżał hełm, a w piasek wbity miecz.

- Wielu żołnierzy zginęło, żeby szybko się tutaj dostać - zauważył Brutha.

Ktoś, kto zadał sobie trud pochowania zmarłego, wykreślił też symbol na zboczu kopca. Brutha spodziewał się niemal, że zobaczy żółwia, ale pustynny wiatr nie zataił do końca prostego rysunku rogów.

- Nie rozumiem - stwierdził Om. - Oni tak naprawdę przecież nie wierzą, że istnieją. A jednak kreślą coś takiego na grobie.

- Trudno wytłumaczyć. To chyba dlatego że wierzą, że sami istnieją. Dlatego że są ludźmi i on też był człowiekiem. Brutha wyjął miecz z piasku.

- Po co ci to?
- Może się przydać.
- Przeciw komu?
- Może się przydać.

Godzinę później lew, który kulejąc podążał za Brutha, także dotarł do grobu. Żył na pustyni od szesnastu lat, a powodem tak długiego życia było to, że nie zdechł. A nie zdechł dlatego, że nigdy nie marnował protein. Zaczął kopać.

Ludzie zawsze marnowali łatwo dostępne proteiny - od czasu kiedy zaczęli się zastanawiać, kto w nich żył.

Jednak trzeba przyznać, że są gorsze od wnętrza lwa miejsca, gdzie można spocząć po śmierci.

Na skalnych wysepkach żyły jaszczurki i węże. Były zapewne bardzo krzepiące, a każde z nich stanowiło na swój sposób prawdziwą eksplozję smaku. Nie znaleźli więcej wody.

Spotykali za to rośliny - mniej więcej. Przypominały raczej grupy głazów, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie wypuszczały ze środka różowy lub fioletowy kwiat, lśniący jaskrawo w blasku świtu.

- Skąd biorą wodę?
- Ze skamieniałych mórz.
- To woda, która zmieniła się w kamień?
- Nie. Woda, która tysiące lat temu wsiąkła w skałę macierzystą.
- Możesz się do niej dokopać?
- Nie bądź głupi.

Brutha spojrział spod kwiatu ku najbliższej skalnej wyspie.

- Miód - powiedział.
- Co?

Pszczoły miały gniazdo wysoko na ścianie skalnej iglicy. Ich brzęczenie dochodziło aż do ziemi. Nie było żadnego sposobu, by się do nich wspiąć.

- Zawsze była jakaś szansa - stwierdził Om.
- Słońce stało wysoko. Skały zrobiły się już ciepłe w dotyku.
- Odpocznij trochę - zaproponował Om. -Ja popilnuję.
 - Popilnujesz przed czym?
 - Popilnuję, to się przekonamy.

Brutha przeprowadził Vorbisa w cień wielkiego głazu i delikatnie usadził na ziemi. Sam położył się obok.

Pragnienie jeszcze nie dokuczało mu zbytnio. Opił się wody z sadzawki w świątyni, aż chlupotał przy każdym kroku. Później uda się może znaleźć węża... Kiedy pomyśleć, co mają inni ludzie na tym świecie, życie nie wydawało się takie złe.

Vorbis przewrócił się na bok. Jego czarne oczy wpatrywały się w nicość.

Brutha próbował zasnąć.

Nigdy nie śnił. Didaktylosa bardzo to dziwiło. Ktoś, kto pamięta wszystko i nie śni, twierdził, musi myśleć bardzo powoli. Wyobraź-

my sobie serce⁹, mówił, które prawie całkiem wypełnia pamięć i nie pozostaje ani uderzenie na zwykłe myśli. To by wyjaśniało, dlaczego Brutha, myśląc, porusza wargami.

Dlatego to nie mógł być sen. To pewnie słońce...

Usłyszał w głowie głos Oma. Brzmiało to tak, jakby żółw prowadził rozmowę z kimś, kogo Brutha nie słyszał.

Mój!

Odejdźcie!

Nie.

Mój!

Obaj!

Mój!!!

Brutha odwrócił głowę.

⁹ Jak wielu dawnych filozofów, Efebianie wierzyli, że myśli rodzą się w sercu, a mózg jest tylko organem chłodzącym krew.

Żółw stał w szczelinie między kamieniami. Wyciągał szyję i przesuwiał nią z boku na bok. Dobiegał też inny dźwięk, rodzaj komarze-go brzęczenia, które pojawiało się i cichło... a wraz z nim obietnice w myślach.

Migotały szybko... Twarze mówiące coś do niego, kształty, wizje potęgi, wspaniałe możliwości porywające go, unoszące wysoko ponad światem... Wszystko to należało do niego, mógł zrobić cokolwiek, musiał tylko uwierzyć... We mnie, we mnie, we mnie...

Tuż przed nim uformował się obraz: na kamieniu leżało pieczone prosię obłożone owocami i kufel piwa tak zimnego, że para osiadała na ściankach.

Mój!

Brutha zamrugął. Głosy odeszły. A wraz z nimi jedzenie.

Zamrugął znowu.

Dreńczyły go dziwne powidoki, nie tyle oglądane, ile wyczuwane. Choć miał doskonałą pamięć, nie mógł sobie przypomnieć, co mówiły głosy ani jakie widział inne obrazy. Pozostało jedynie wspomnienie pieczonego prosięcia i piwa.

- To dlatego że nie wiedzą, co ci zaproponować - wyjaśnił cichy głos Oma. - Więc próbują obiecywać wszystko. Zwykle zaczynają od wizji pożywienia i rozkoszy cielesnych.

- Doszli tylko do pożywienia - poinformował Brutha.

- No to świetnie, że udało mi się ich pokonać. Trudno przewidzieć, co mogliby osiągnąć z tak młodym człowiekiem. Brutha uniósł się na łokciach. Vorbis leżał nieruchomo.

- Do niego też próbowali dotrzeć?

- Chyba tak. Ale to na nic. Nic nie wchodzi, nic nie wychodzi. Nigdy jeszcze nie widziałem umysłu tak skupionego na sobie.

- Oni wrócą?

- O tak. W końcu nie mają nic innego do roboty.

- Kiedy się zjawią - powiedział Brutha, czując zawroty głowy - czy nie mógłbyś zaczekać, aż pokażą mi wizje rozkoszy cielesnych?

- Mogłyby źle na ciebie wpłynąć.

- Brat Nhumrod zawsze przed nimi ostrzegał. Ale myślę, że chyba powinniśmy poznać naszych wrogów, prawda? - Ostatnie słowo były tylko gardłowym zgrzytem. - Nie skarżyłbym się też na wizję czegoś do picia - dodał ze znużeniem.

Cienie się wydłużyły. Chłopiec przyjrzał im się ze zdumieniem.

- Jak długo próbowali?

- Cały dzień. Uparte paskudy. A roją się jak muchy. O zachodzie słońca Brutha przekonał się dlaczego. Spotkał bowiem św. Ungulanta, pustelnika, przyjaciela wszystkich pomniejszych bóstw. Wszędzie.

- No, no... - odezwał się św. Ungulant. - Niewielu miewamy tu gości. Prawda, Angus? Zwracał się do powietrza obok siebie. Brutha starał się utrzymać równowagę, ponieważ koło wozu kołysało się niebezpiecznie przy każdym ruchu. Vorbisa zostawili na piasku dwadzieścia stóp niżej; obejmował rękami kolana i wpatrywał się w pustkę.

Koło zostało przybite do wierzchołka wąskiego słupa. Było akurat tak duże, by jedna osoba mogła się na nim niewygodnie ułożyć. Ale św. Ungulant wydawał się wręcz stworzony do niewygodnego leżenia. Był tak chudy, że nawet szkielety mówiłyby: „Ależ on jest chudy”. Miał na sobie coś w rodzaju minimalistycznej opaski biodrowej, o ile można było to stwierdzić pod brodą i włosami.

Trudno byłoby nie zwrócić uwagi na św. Ungulanta, który podskakiwał na czubku swojego słupa i krzyczał „Hej, hej!” i „Tutaj!”. O kilka stóp dalej stał drugi, niższy słup ze staromodną wygodką z półksiężycem wyciętym w drzwiach. To, że jest się pustelnikiem, wyjaśnił św. Ungulant, nie znaczy jeszcze, że trzeba rezygnować ze wszystkiego.

Brutha słyszał o pustelnikach, którzy byli kimś w rodzaju jednostronnych proroków - wyruszyli na pustynię, ale już nie wracali. Wybierali samotne życie w brudzie, trudach, brudzie, świątobliwych kontemplacjach i brudzie. Niektórzy, starając się uczynić je jeszcze bardziej niewygodnym, kazali zamurowywać się w celach albo mieszkali, całkiem rozsądnie, na szczytach słupów. Kościół omniański popierał ich - zgodnie z zasadą, że najlepiej usunąć wszystkich szaleńców możliwie daleko, by nie sprawiali kłopotów, w miejsca gdzie znajdują się pod opieką miejscowych społeczności. Społeczności owe składały się zwykle z lwów, myszołowów i brudu.

- Zastanawiałem się, czy nie dołożyć jeszcze jednego koła - powiedział św. Ungulant. - O tam. Żeby chwytać poranne promienie słońca.

Brutha rozejrzał się. Wokół rozciągały się tylko płaskie skały i piasek.

- Czy nie ma pan dość słońca wszędzie i przez cały czas? - zdziwił się.

- Ale rankiem to o wiele ważniejsze - wyjaśnił św. Ungulant. - Poza tym Angus uważa, że powinniśmy mieć patio.

- Mógłby sobie na nim urządzać grilla - mruknął Om w głowie Bruthy.

- Hm... - chrząknął chłopiec. - A właściwie jakiej... religii... jest pan świętym?

Wyraz zakłopotania przemknął po niewielkim skrawku twarzy pomiędzy brwiami św. Ungulanta a jego wąsami.

- Eee... Tak naprawdę to żadnej. Zaszła pomyłka - tłumaczył. — Moi rodzice nazwali mnie Sevrianem Wectoriusem Ungulantem, a pewnego dnia, oczywiście, ktoś zwrócił uwagę na inicjały. Zabawne... Potem wszystko wydawało się raczej nieuniknione.

Koło huštało się lekko. Skóra św. Ungulanta niemal poczerniała od słońca.

- Po drodze musiałem opanować pustelnicтво, ma się rozumieć. Sam się nauczyłem. Jestem całkowitym samoukiem. Trudno

znaleźć pustelnika, który nauczyłby człowieka pustelnicтва, ponieważ oczywiście wszystko by w ten sposób zepsuło.

- Tego... Ale jest przecież... Angus? — zapytał Brutha, patrząc w miejsce, gdzie sądził, że znajduje się Angus. A przynajmniej tam, gdzie sądził, że św. Ungulant sądzi, że znajduje się Angus.

- Jest teraz tutaj — rzucił surowo pustelnik, wskazując inną część koła. — Ale on nie zajmuje się pustelnictwem. Nie jest, rozumiesz, przeszkolony. Dotrzymuje mi tylko towarzystwa. Słowo daję, chyba całkiem bym tu oszalał, gdyby mnie nie zabawiał Angus.

- No tak... Myślę, że pan by oszalał - zgodził się Brutha. Aby okazać dobrą wolę, uśmiechnął się do powietrza.

- Powiem szczerze, że to całkiem przyjemne życie. Owszem, dzień roboczy trwa długo, ale wyżywienie i napoje są naprawdę warte trudu.

Brutha doznał niejasnego przecucia, że wie, co nastąpi za chwilę.

- Piwo dostatecznie zimne? — upewnił się.

- Wręcz oszronione - zapewnił rozpromieniony św. Ungulant.

- A pieczone prosię?

Uśmiech św. Ungulanta stał się maniakałnie błogi.

- Przyrumienione i chrupiące na brzegach, tak.

- Ale domyślam się, że... że czasem zjada pan także jakiegoś węża czy

jaszczurkę?

- Zabawne, że na to wpadłeś. Rzeczywiście. Co jakiś czas. Tak dla odmiany.

- I grzyby też? - rzucił Om.

- Rosną jakieś grzyby w tej okolicy? - zapytał niewinnie Brutha. Św. Ungulant radośnie pokiwał głową.

- Tak, w porze deszczowej. Takie czerwone w żółte plamki. Po sezonie grzybowym pustynia robi się naprawdę ciekawa.

- Pełna ogromnych, fioletowych, śpiewających ślimaków? Gadających ognistych kolumn? Wybuchających żyraf? Takich rzeczy? - upewnił się Brutha.

- Wielkie nieba, tak właśnie! - potwierdził święty. - Nie mam pojęcia dlaczego. Myślę, że grzyby je przyciągają. Brutha skinął głową.

- Zaczynasz łapać, mały - pochwalił go Om.

- Przypuszczam też, że niekiedy pija pan... wodę?

- Wiesz, to rzeczywiście dziwne, prawda? Tyle jest wspaniałych napojów, ale czasami ogarnia mnie to... można je chyba nazwać pożądaniem, by wypić kilka łyków wody. Umiesz to wytłumaczyć?

- Pewnie, no... pewnie trochę ciężko ją znaleźć - domyślił się Brutha.

Wciąż mówił bardzo ostrożnie, jak ktoś, kto trzyma pięćdziesięciofuntową rybę na końcu żyłki o wytrzymałości trzydziestu funtów.

- Naprawdę zadziwiające - mruzczał św. Ungulant. - W dodatku kiedy lodowato zimne piwo jest tak łatwo dostępne.

- Skąd pan ją bierze? Tę wodę?

- Widziałeś kamienne rośliny?

- Te z wielkimi kwiatami?

- Jeśli rozetniesz te mięsiste liście, znajdziesz tam półkwaterek wody. Co prawda smakuje jak siki...

- Myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy - zapewnił Brutha przez wyschnięte wargi. Cofnął się do sznurowej drabinki pozwalającej pustelnikowi na kontakt z ziemią.

- Na pewno nie zostaniesz? - zmartwił się św. Ungulant. - Dziś środa. W środę jemy młodego prosiaczka z rożną i warzywa specjalnie dobrane przez szefa kuchni, dojrzałe na słońcu i wilgotne od rosy.

- Mamy... tego, mamy dużo pracy - usprawiedliwił się Brutha w połowie rozkołysanej drabinki.

- Kosz słodczy?

- Chyba jednak...

Św. Ungulant ze smutkiem popatrzył w dół na Bruthę prowadzącego Vorbisa po piasku.

- A na deser zwykle miętowe czekoladki! - krzyknął przez zwinięte dłonie. — Nie?

Po chwili obie postacie były już tylko ciemnymi punkcikami na tle piasku.

- Mogą się też trafić wizje rozkoszy cię... Nie, skłamałem, to w piątki - mruzczał św. Ungulant.

Teraz, kiedy goście odeszli, powietrze znów wypełniło się brzęczeniem i mamrotaniem pomniejszych bóstw. Były ich tu miliardy.

Św. Ungulant uśmiechnął się.

Był oczywiście szalony. Czasami nawet się tego domyślał. Uznawał jednak, że szaleństwo nie powinno się marnować. Codziennie

spożywał pokarm bogów, pił najlepsze wina, jadł owoce, które trafiały do niego nie tylko poza sezonem, ale spoza rzeczywistości. To, że czasem z powodów

medycznych musiał wypić kilka łyków słonawej wody i przeżuć nogę jakiejś jaszczurki, było doprawdy niską ceną.

Wrócił do zastawionego stołu, który migotał w powietrzu. Tyle dobra... a pomniejsze bóstwa pragnęły w zamian jedynie kogoś, kto o nich wiedział, kto zwyczajnie wierzył w ich istnienie.

Dzisiaj były także lody i galaretka.

- Więcej zostanie dla nas. Prawda, Angus?

Jasne, zgodził się Angus.

Starcia w Efebii dobiegły końca. Nie trwały długo, zwłaszcza kiedy do walki włączyli się niewolnicy. Było zbyt wiele wąskich uliczek, zbyt wiele zasadzek, a przede wszystkim zbyt wiele rozpaczliwej determinacji. Uważa się powszechnie, że ludzie wolni zawsze pokonają niewolników, ale chyba zależy to od punktu widzenia.

Poza tym dowódca efebiińskiego garnizonu ogłosił - odrobinę nerwowo - że od tej chwili niewolnictwo będzie zakazane, czym doprowadził niewolników do wściekłości. Jaki jest sens oszczędzania na czas wolności, jeśli nie wolno będzie mieć niewolników? I co by wtedy jedli?

Omnianie nie mogli tego zrozumieć, a ludzie zakłopotani źle walczyli. W dodatku zniknął Vorbis. Rzeczy pewne wydawały się mniej pewne, kiedy te straszne oczy spoglądały gdzie indziej.

Uwolniono tyrana z więzienia. Pierwszy dzień na wolności spędził na starannym układaniu listów do innych niewielkich państw z wybrzeża.

Nadszedł czas, żeby zrobić coś w sprawie Omni.

Brutha śpiewał.

Głos odbijał się echem od skał. Stadka skalbie zapominały o swym leniwym, pieszym trybie życia i gorączkowo zrywały się do lotu. Startując w pośpiechu, pozostawiały za sobą zgubione pióra. Węże kryły się w szczelinach.

Można żyć na pustyni. A przynajmniej przetrwać...

Powrót do Omni to przecież tylko kwestia czasu. Jeszcze jeden dzień...

Vorbis włókł się z tyłu. Nie odzywał się, a kiedy Brutha coś do niego mówił, nie dawał żadnego znaku, że cokolwiek rozumie.

Om, objając się w worku Bruthy, zaczynał odczuwać głęboką depresję, jaką opanowuje każdego realistę w obecności optymisty.

Pełne wysiłku wersy *Żelaznych szponów rozdzierających bezbożników* przycichły wreszcie. Gdzieś niedaleko posypała się lawina kamieni.

- Żyjemy - oświadczył Brutha.

- Chwilowo.

- I jesteśmy blisko domu.

- Tak?

- Widziałem dziką kozę na skałach za nami.

- Wciąż jest ich tu sporo.

- Kóz?

- Bóstw. A te, które dotąd spotykaliśmy, były słabe. Nie zapominaj o tym.

- O co ci chodzi? Om westchnął ciężko.

- To przecież rozsądne, prawda? Zastanów się. Te najsilniejsze trzymają się obrzeży, gdzie łatwiej o łup... to znaczy o ludzi. Najsłabsze są spychane w piaszczyste pustkowia, gdzie ludzie rzadko się pojawiają...

- Silne bóstwa - mruknął w zadumie Brutha. - Bóstwa, które wiedzą, co to znaczy moc.

- Zgadza się.

- Nie bóstwa, które wiedzą, co to znaczy słabość.

- Co? Nie przetrwałyby nawet pięciu minut. W tym świecie bóg pożera boga.

- To wiele wyjaśnia w kwestii bożej natury. Moc jest dziedziczna. Jak grzech.

Sposępniał.

- Tyle że... wcale nie jest. Grzech, znaczy. Może kiedy już wrócimy, będę musiał porozmawiać z kilkoma osobami.

- Och... A one będą cię słuchać, tak?

- Mądrość przychodzi z pustyni, jak mówią.

- Tylko ta mądrość, której oczekują. I grzyby.

Gdy słońce zaczęło się wspinać, Brutha wydoił kozę. Stała cierpliwie, gdy Om uspokajał jej umysł. Chłopiec zauważył też, że Om nie proponował, by ją zabić.

Potem znowu znaleźli cień. Były to krzaki, niskie i kolczaste - każdy maleńki liść tkwił za barykadą swej cierniowej korony.

Om czekał przez chwilę, ale pomniejsze bóstwa na granicy pustkowia były chytresze, a mniej niecierpliwe. Pojawia się zapewne koło południa, kiedy słońce zamieni okolicę w piekielne palenisko. Usłyszy je. A tymczasem może coś zjeść.

Popelźł przez krzaki; ich ciernie nieszkodliwie drapały jego skorupę. Minął innego żółwia, który nie był zamieszany przez boga. Rzucił Omowi to niepewne spojrzenie, typowe dla żółwi próbujących zdecydować, czy coś pojawiło się, by zostać zjedzone, czy raczej by uprawiać z tym seks, gdyż normalny żółw myśli tylko o tych dwóch rzeczach. Om wyminął go i znalazł kilka liści, które tamten przeoczył.

Od czasu do czasu dreptał po twardej ziemi z powrotem i obserwował śpiących.

Aż zobaczył, jak Vorbis siada, rozgląda się powoli i metodycznie, podnosi kamień, przygląda mu się z uwagą, po czym uderza nim mocno w głowę Bruthy.

Brutha nawet nie jęknął.

Vorbis wstał i ruszył prosto do krzaków, gdzie ukrywał się Om. Nie dbając o ciernie, rozsunał gałęzie na boki i chwycił żółwia, którego Om przed chwilą spotkał. Przez chwilę go trzymał - nogi zwierza poruszały się wolno - po czym z rozmachem rzucił nim między skały.

Następnie podniósł Bruthę, z pewnym wysiłkiem zarzucił go sobie na ramię i pomaszerował w kierunku Omni.

Wszystko trwało zaledwie sekundy.

Om walczył, by powstrzymać łapki i głowę przed cofnięciem się do wnętrza skorupy, co jest instynktowną reakcją żółwia na atak paniki.

Vorbis zniknął już za skalami.

Znikł...

Om ruszył za nim, ale natychmiast ukrył się w skorupie, gdyż po ziemi przemknął jakiś cień. Był to znajomy cień - cień, który napełniał żółwia trwogą.

Orzeł opadał w dół do miejsca, gdzie leżał żółw ciśnięty przez Vorbisa. Niemal nie hamując lotu, pochwycił gada i długimi, leniwymi machnięciami skrzydeł wzbił się w powietrze.

Om spoglądał za nim, aż ptak stał się tylko punktem na niebie, i zaraz odwrócił wzrok, gdy mniejszy punkt oddzielił się od większego i wirując runął na skały w dół.

Orzeł zniżał się wolno, gotów do uczt.

Wiatr zaszeleścił ciernistymi krzewami i poruszył ziarenka piasku. Om miał wrażenie, że słyszy drwiące, złośliwe głosy pomniejszych bóstw.

Św. Ungulant, klęcząc na chudych kolanach, rozciął skorupę grubego, mięsistego liścia kamiennej rośliny. Miły chłopak, myślał. Co prawda stale mówił do siebie, ale w końcu można się czegoś takiego spodziewać. Pustynia wpływa w ten sposób na niektórych. Prawda, Angus?

Zgadza się, przyznał Angus.

Angus nie chciał nawet łyka słonawej wody. Twierdził, że ma po niej wzdęcia.

- Jak chcesz - rzekł św. Ungulant. - O, tutaj mamy smakołyk.

Nieczęsto znajduje się *Chilopoda aridius* na otwartej pustyni, a tutaj znalazł aż trzy, pod jednym kamieniem!

Zabawne, że człowiek ma jeszcze chęć coś przekąsić, nawet po solidnej porcji *petit porc rôté avec pommes de terre nouvelles et legumes du jour et biere glacee avec figment de l'imagination*.

Wydlubował właśnie spomiędzy zębów nóżki drugiego ze smakołyków, kiedy lew wszedł cicho na szczyt wydmy za plecami pustelnika.

Lew odczuwał niezwykle wrażenie wdzięczności. Czuł, że powinien dogonić to apetyczne mięso, które się nim zaopiekowało, i tego... no... w jakiś symboliczny sposób powstrzymać się przed jego zjedzeniem. A teraz znalazł inne mięso, które wcale nie zwracało na niego uwagi. No cóż, temu nic nie był winien...

Zbliżył się o kilka kroków, po czym ruszył biegiem.

Nieświadom swego losu św. Ungulant zabrał się do trzeciej stonogi.

Lew skoczył...

Fatalnie by się to skończyło dla św. Ungulanta, gdyby Angus nie walnął lwa kamieniem tuż za uchem.

Brutha stał na pustyni, tyle że piasek tutaj był równie czarny jak niebo, na którym nie widział słońca, chociaż wszystko było jaskrawo oświetlone. Aha, pomyślał. Więc tak wyglądają sny.

Tysiące ludzi przemierzały pustynię. Nie zwracali na niego uwagi. Szli, jakby zupełnie nie byli świadomi, że otacza ich tłum.

Próbował do nich pomachać, ale nie mógł się ruszyć. Próbował zawołać, ale słowa ulatniały się z ust. A potem się obudził.

Najpierw zobaczył światło wpadające ukośnie przez okno.

Na de światła ujrzał dłonie złożone w znaku świętych rogów.

Nie bez wysiłku, gdyż ból przewiercał mu głowę, Brutha podążył wzrokiem od tych dłoni przez parę rąk do miejsca, gdzie łączyły się kawałek poniżej głowy...

- Brat Nhumrod?

Przewodnik nowicjuszy uniósł głowę.

- Brutha?

- Tak!

- Dzięki Omowi!

Brutha wyciągnął szyję i rozejrzał się dookoła.

- Czy on tu jest?

- Jest? Jak się czujesz?

- Ja...

Głowa go bolała, grzbiet zdawał się stać w ogniu, a kolana przeszywał tępy

ból.

- Słońce mocno cię spaliło - wyjaśnił Nhumrod. - I jeszcze brzydko rozbiłeś sobie głowę przy upadku.

- Jakim upadku?

- Upadku? Ze skały. Na pustyni. Byłeś z Prorokiem. - Nhumrod westchnął. — Wędrowałeś z Prorokiem. Jeden z moich nowicjuszy.

- Pamiętam... pustynię... - Brutha ostrożnie dotknął głowy. - Ale... żeby... prorok...?

- Prorok? Ludzie mówią, że możesz zostać biskupem, a nawet i amem. Sam wiesz, że były precedensy. Świętobliwy św. Bobby został biskupem, gdyż przebywał na pustyni z prorokiem Ossorym, a przecież był oślem.

- Ale... ja nie pamiętam... żadnego proroka. Byłem tylko ja i... Chłopak urwał. Nhumrod uśmiechnął się promiennie.

- Vorbis? - domyślił się Brutha.

- W swej łaskawości opowiedział mi o wszystkim — oświadczył z dumą Nhumrod. - Miałem zaszczyt przebywać na Placu Żalów, kiedy tam przybył. Było to tuż po modłach sestyńskich. Cenobiarcha właśnie odchodził... zresztą znasz przecież ceremoniał. I nagle pojawił się Vorbis, cały pokryty kurzem i prowadzący osła. Obawiam się, że ty byłeś przewieszony przez grzbiet tego osła.

- Osła nie pamiętam - stwierdził Brutha.

- ...pamiętam. Zabrał go z jakiejś farmy po drodze. Szedł za nim spory tłumek.

- Nhumrod aż się zaczerwienił z podniecenia. - Ogłosił miesiąc Jhaddra i podwojenie pokuty. Rada wręczyła mu Laskę i Uzdę, a sam cenobiarcha udał się do pustelni do Skantu!

- Vorbis jest ósmym Prorokiem — szepnął Brutha.

- ...Prorokiem. Oczywiście.

- A... był tam żółw? Czy wspominał coś o żółwiu?

- ...żółwiu? A co żółwie mają z tym wspólnego? - Nhumrod złagodniał nagle. - Ale naturalnie, Prorok uprzedzał, że słońce mogło na ciebie wpłynąć. Mówił, że bredziłeś... przepraszam... o najdziwniejszych szalonych zjawiskach.

- Tak mówił?

- Przez trzy dni siedział przy tobie. To było... wspaniałe.

- Ile czasu... jak dawno wróciliśmy?

- ...wróciliśmy? Prawie tydzień temu.

- Tydzień!

- Powiedział, że droga bardzo cię wyczerpała. Brutha wpatrywał się nieruchomo w ścianę.

- I rozkazał, żebyś stanął przed nim, gdy tylko odzyskasz przytomność - dodał Nhumrod. - Był bardzo stanowczy w tej kwestii.

Ton głosu sugerował, że brat Nhumrod nawet teraz nie ma pewności, czy Brutha jest całkiem przytomny.

- Jak sądzisz, zdołasz już chodzić? Jeśli wolisz, przyślę kilku nowicjuszy, żeby cię przenieśli.

- Mam iść się z nim spotkać już teraz?

- ...teraz? Natychmiast. Sądzę, że zechcesz mu podziękować.

Te części Cytadeli Brutha znał tylko ze słyszenia. Brat Nhumrod także nigdy ich nie oglądał. Co prawda nie był bezpośrednio wymieniony w wezwaniu, ale poszedł i tak. Z ważną miną krzątał się wokół Bruthy, którego dwóch nowicjuszy

niosło w czymś zbliżonym do lektury i wykorzystywanym zwykle przez wiekowych wyższych kapłanów.

W samym środku Cytadeli, za Świątynią, znajdował się otoczony murem ogród. Brutha ocenił go okiem fachowca. Na nagiej skale nie było nawet cała naturalnej gleby. Każda łopata ziemi, w której rosły te cieniste drzewa, musiała być dostarczona.

Vorbis czekał tu w otoczeniu biskupów i iamów. Obejrzał się, kiedy wniesiono Bruthę.

- Oto mój towarzysz z pustyni - powiedział. - I brat Nhumrod, jak sądzę. Bracia moi, pragnę wam oznajmić, iż mam zamiar wynieść naszego Bruthę do godności arcybiskupa.

Rozległ się cichy pomruk zdumienia zebranych kapłanów, a potem chóralne chrząknięcia. Vorbis spojrzał na biskupa Treema, który był archiwistą Cytadeli.

- Cóż, formalnie rzecz biorąc, nie jest nawet wyświęcony - stwierdził z wahaniem Treem. - Ale oczywiście wszyscy wiemy, że był już precedens.

- Osioł Ossory'ego - dodał natychmiast brat Nhumrod. Podniósł rękę do ust i zaczerwienił się ze wstydu i zakłopotania. Vorbis uśmiechnął się tylko.

- Dobry brat Nhumrod ma rację - rzekł. - A on także nie był wyświęcony, chyba że wymagania w owych czasach były nieco skromniejsze.

Zabrział chór nerwowych śmiechów, jak zwykle wśród ludzi, którzy swoje stanowiska, a może i życie, zawdzięczają kaprysowi osoby, która właśnie rzuciła niezbyt zabawny żarcik.

- Co prawda osioł został tylko biskupem - przypomniał biskup „Samobójca” Treem.

- Rola, do której posiadał znakomite kwalifikacje - rzekł ostrym tonem Vorbis. - A teraz odejdźcie wszyscy. Włączając sub-diakona Nhumroda - dodał. Nhumrod poczerwieniał i zbladł natychmiast, słysząc o swym niespodziewanym wyróżnieniu. - Ale arcybiskup Brutha zostanie. Chcemy porozmawiać.

Kapłani wycofali się posłusznie.

Vorbis zasiadł na kamiennym fotelu pod rozłożystym drzewem. Było ogromne i starożytne, niepodobne do swych krótko żyjących krewniaków poza ogrodem. Jego owoce dojrzewały.

Prorok siedział, opierając łokcie o kamienne poręcze. Splótł palce. Długo i uważnie przyglądał się chłopcu.

- Odzyskałeś siły? - zapytał w końcu.

- Tak, panie - potwierdził Brutha. - Ale, panie, nie mogę zostać biskupem. Nie mogę nawet...

- Zapewniam cię, że ta praca nie wymaga inteligencji. Gdyby było inaczej, biskupi nie mogliby jej wykonywać.

Znowu zapanowało milczenie.

Gdy Vorbis znów się odezwał, brzmiało to tak, jakby coś wyrwało każde słowo z wielkiej głębi.

- Mówiłeś kiedyś, nieprawdaż, o naturze rzeczywistości.

-Tak.

- I o tym, jak często to, co postrzegamy, nie jest fundamentalnie prawdziwe.

-Tak.

Znów chwila ciszy. Wysoko nad ich głowami krążył orzeł i wypatrywał żółwi.

- Jestem pewien, że twoje wspomnienia naszej wędrówki przez pustkowia są nieco... chaotyczne.

-Nie.

- Nic w tym dziwnego. Słońce, pragnienie, głód...
- Nie, panie. Moja pamięć niełatwo ulega chaosowi.
- A tak, przypominam sobie.
- Ja również, panie.

Vorbis lekko odwrócił głowę i spoglądał na Brutę z ukosa, jakby próbował się ukryć za własną twarzą.

- Na pustyni Wielki Bóg Om przemówił do mnie.
- Tak, panie. Przemawiał. Codziennie.
- Twoja wiara jest potężna i prosta, Brutho. Kiedy chodzi o ludzi, jestem dobrym sędzią.
- Tak, panie. Panie?
- Słucham cię, Brutho.
- Nhumrod powiedział mi, że to ty prowadziłeś przez pustynię mnie.
- Pamiętasz, co ci mówiłem o fundamentalnej prawdzie, Brutho? Oczywiście, że pamiętasz. Otóż była tam fizyczna pustynia, naturalnie, ale także pustynia duchowa. Mój Bóg prowadził mnie, a ja ciebie.
- Aha. No tak. Rozumiem.

Krążący w górze punkt, który był orłem, przez moment zdawał się wisieć nieruchomo w powietrzu. Potem złożył skrzydła i runął w dół...

- Wiele otrzymałem na pustyni, Brutho. Wiele się dowiedziałem. Teraz muszę ogłosić to światu. Tak nakazuje prorokowi obowiązek: iść tam, dokąd nie dotarli inni, i nieść prawdę.

...szybciej niż wiatr. Całe jego ciało i mózg istniały tylko niczym mgła wokół czystego, skoncentrowanego jądra celu...

- Nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. Ale Om kierował moimi krokami. Teraz, kiedy mamy cenobiarchię, musimy... musimy ją wykorzystać.

Daleko nad zboczami wzgórz orzeł wyrównał lot, chwycił coś z ziemi i wzięcia! w górę...

- Jestem tylko nowicjuszem, panie. Nie biskupem, choćby nawet wszyscy mnie tak nazywali.

- Przyzwyczaisz się.

Czasami długo trwało, zanim jakaś myśl uformowała się w mózgu Bruthy, ale teraz właśnie jakaś się formowała. Chodziło o coś nieuchwytnego, coś w pozie Vorbisa, o ton jego głosu.

Vorbis się go bał.

Dlaczego mnie? Ze względu na pustynię? Kogo to obchodzi? Z tego, co wiem, tak było zawsze: prawdopodobnie to osioł Ossory'ego nosił go przez pustkowia, znalazł wodę i śmiertelnie kopnął lwa.

Z powodu Efebu? Kto zechce słuchać? Kto będzie się przejmował? On jest prorokiem i cenobiarchą. Mógłby mnie zwyczajnie kazać zabić. Cokolwiek zrobi, jest słuszne. Cokolwiek powie, jest prawdą.

Prawdą fundamentalną.

- Chciałbym pokazać ci coś, co może cię zabawić. - Vorbis wstał. - Możesz chodź?

- O tak. Nhumrod był tylko troskliwy. To głównie oparzenia od słońca.

Kiedy wychodzili, Brutha zauważył coś, czego do tej pory nie dostrzegł: wokół ogrodu stali uzbrojeni w łuki członkowie Świętej Gwardii — w cieniu drzew czy wśród krzewów. Niezbyt rzucający się w oczy, ale też nie ukryci.

Stopnie prowadziły z ogrodu w labirynt podziemnych korytarzy i sal rozciągających się pod Świątynią, a nawet pod całą Cytadelą. Dwóch gwardzistów

natychmiast ruszyło za nimi, zachowując wymagany szacunkiem dystans.

Brutha szedł za Vorbisem przez korytarze aż do kwater rzemieślników, gdzie wokół szerokiego, głębokiego szybu, zapewniającego oświetlenie, umieszczono kuźnie i warsztaty. Dym i cuchnące opary unosiły się wśród wykutych w skale ścian.

Vorbis skierował się wprost do obszernej wnęki płonącej czerwienią kowalskich palenisk. Kilku robotników stało przy czymś szerokim i wypukłym.

- Patrz - rzekł. - Co o tym myślisz?

Był to żółw morski.

Odlewnicy dobrze wykonali swoją pracę, odwzorowując deseń skorupy i łuski na płetwach. Żółw miał jakieś osiem stóp długości.

Chłopcu zaszumiło w uszach, gdy Vorbis znów się odezwał.

- Powtarzają trujące kłamstwa, tak? Sądzą, że żyją na grzbiecie Wielkiego Żółwia. No to niech na nim umierają.

Teraz dopiero Brutha zauważył kajdany umocowane do każdej z czterech płetw. Mężczyzna czy kobieta mógł - z wielką niewygodą - leżeć rozciągnięty na skorupie żółwia, przykuty za przeguby rąk i kostki nóg.

Schylił się. Tak, pod spodem było palenisko. Niektóre aspekty myślenia Kwizycji nigdy się nie zmieniają.

Taka ilość żelaza potrzebuje długiego czasu, żeby rozgrzać się do granicy bólu. Wiele więc jest czasu, by rozmyślać o naturze wszechrzeczy...

- Co o tym myślisz? - powtórzył Vorbis.

Wizja przyszłości przemknęła przez myśli Bruthy.

- Pomysłowe - stwierdził.

- Będzie to cenna lekcja dla pozostałych, którzy chcieliby zejść ze ścieżki prawdziwej wiedzy.

- Kiedy, panie, zamierzasz to... hm... zademonstrować?

- Jestem pewien, że nadarzy się okazja.

Gdy Brutha się wyprostował, Vorbis wpatrywał się w niego z takim skupieniem, jak gdyby próbował czytać myśli z głębi umysłu chłopca.

- A teraz odejdz, proszę - powiedział. - Odpoczywaj, ile tylko zdołasz... mój synu.

Brutha szedł wolno przez plac, pogrążony w niezwyklej u siebie zadumie.

- Witam waszą eminencję.

-Już pan wie?

Rękę Sobie Odrąbuję Dhblah uśmiechnął się szeroko zza swojego przenośnego straganu z letnim mrożonym sorbetem.

- Słyszałem pogłoski. Proszę, oto kawałek klatchiańskiego rachatlukum. Za darmo. Na patyku.

Plac Żalów wydawał się bardziej zatłoczony niż zwykle. Nawet gorące bułeczki Dhblaha sprzedawały się jak gorące bułeczki.

- Spory ruch dzisiaj - zauważył Brutha bez zastanowienia.

- Czas Proroka, rozumiesz - wyjaśnił Dhblah. - Czas, kiedy Wielki Bóg Om objawia się na świecie. A jeśli sądzisz, że teraz jest ruch, to przekonasz się, że za parę dni nie da się tędy nawet kozy przepędzić.

- A co się wtedy stanie?

- Dobrze się czujesz? Jesteś trochę blady.

- Co się wtedy stanie?

- Prawa. No wiesz... Księga Vorbisa. Przypuszczam... - Dhblah przysunął się bliżej. - Nie możesz nic powiedzieć, co? Pewnie Wielki Bóg nie wspomniał przypadkiem o jakichś przywilejach dla handlu przekąskami?

- Nie wiem. Chciałby chyba, żeby ludzie hodowali więcej sałaty.

- Naprawdę?

- To tylko domysły.

Dhblah uśmiechnął się chytrze.

- No tak, ale to przecież twoje domysły. Skinienie głową jest jak dźgnięcie głuchego wielbłąda ostrym kijem, jak to mówią. Dziwnym zbiegiem okoliczności wiem, gdzie mogę przejąć parę akrów dobrze nawodnionej ziemi. Może powinienem kupić już teraz, zanim skoczy popyt?

- Nie sądzę, żeby mogło to w czymś zaszkodzić, panie Dhblah. Dhblah podsunął się jeszcze bliżej. Nie było to trudne. Dhblah zawsze się przesunął. Nawet kraby uważałyby, że chodzi bokiem.

- Zabawna historia - powiedział. - Znaczy... Vorbis?

- Zabawna? - zdziwił się Brutha.

- Człowiek się zastanawia. Nawet Ossory musiał być człowiekiem, który chodził po ziemi jak ty i ja. Miał woskwinę w uszach, jak zwykli ludzie. Zabawne.

- Ale co?

- Cała ta historia.

Dhblah raz jeszcze uśmiechnął się konspiracyjnie, po czym sprzedał pielgrzymowi o obolałych stopach miseczkę hummusu, czego tamten miał później pożłować.

Brutha powlókł się do swojej sypialni. O tej porze dnia była pusta — nowicjuszy zniechęcano do pozostawiania w sypialniach, by obecność twardych jak kamień materacy nie wzbudziła w nich myśli o grzechu. Skromny dobytek osobisty Bruthy zniknął z półki nad jego pościelą. Pewnie nowy arcybiskup miał już gdzieś własny pokój, chociaż nikt mu tego nie powiedział.

Czuł się zupełnie zagubiony.

Położył się na pościeli, tak na wszelki wypadek, i pomodlił się do Oma. Nie usłyszał odpowiedzi. Nie słyszał odpowiedzi przez prawie całe życie, co zresztą nie było takie złe, ponieważ żadnej nie oczekiwał. Przedtem pociechę niosła myśl, że może Om jednak go słucha, tylko nie zniża się, by do niego przemówić.

Teraz nie miał już na co czekać.

Równie dobrze mógłby mówić do siebie i sam siebie słuchać.

Jak Vorbis.

Ta myśl nie chciała go opuścić. Umysł jak stalowa kula, mówił Om. Nic nie przedostaje się do środka, nic nie wychodzi na zewnątrz. Zatem wszystko, co mógł usłyszeć Vorbis, to dalekie echa własnej duszy. I te dalekie echa przekuje na Księgę Vorbisa. Brutha podejrzewał, że wie, jakie będą przykazania. Będzie mowa o świętych wojnach i krwi, o krucjatach i krwi, o pobożności i krwi.

Wstał, czując się jak głupiec. Ale myśli wciąż go dręczyły.

Był biskupem, ale nie miał pojęcia, czym się zajmują biskupi. Widywał ich dotąd tylko z daleka, dryfujących niczym przykute do ziemi obłoki. Tak naprawdę znał tylko jedną czynność, którą wiedział, jak wykonywać.

Jakiś piegowaty chłopak okopywał grządki warzyw. Patrzył zdumiony, kiedy Brutha odbierał mu motykę; był na tyle głupi, że przez chwilę próbował ją zatrzymać.

- Jestem biskupem, wiesz? - powiedział Brutha. - A poza tym źle to robisz. Idź zajmij się czymś innym.

Po chwili już gwałtownie atakował chwasty wyrastające wokół młodych pędów.

Wystarczyło parę tygodni, a zielone odrosty pokryły glebę.

Zostałeś biskupem. Za to, że jesteś grzeczny. A oto żelazny żółw. Gdybyś był niegrzeczny. Ponieważ...

...dwóch ludzi szło przez pustynię. I Om przemówił do jednego z nich.

Nigdy dotąd Brutha nie myślał o tym w ten sposób.

Om przemówił do niego. Co prawda nie mówił tych rzeczy, o których wspominali Wielcy Prorocy. Może w ogóle nigdy tego nie mówił...

Doszedł do końca zagonu. Potem uporządkował łodygi fasoli.

Lu-Tze obserwował Bruthę uważnie ze swojej maleńkiej szopy przy pryzmach nawozu.

Byli w kolejnej szopie. Urn ostatnio oglądał ich wiele. Zaczęli od wozu i poświęcili sporo czasu, żeby jak najbardziej zredukować jego ciężar. Problem stanowiło przeniesienie napędu. Często się zastanawiał nad przekładniami. Kula próbowała się kręcić o wiele prędszej, niż chciały się obracać koła. Co zapewne stanowiło metaforę tego czy owego.

- I nie umiem go zmusić, żeby jechał do tyłu — skarżył się.

- Tym się nie przejmuj - pocieszał go Symonia. - Nie będzie musiał jeździć do tyłu. Co z pancerzem?

Zniechęcony Urn szerokim gestem wskazał wnętrze szopy.

- To wiejska kuźnia! - powiedział. - Aparat ma dwadzieścia stóp długości! Zacharos nie umie odlać płyt większych niż na parę stóp. Próbowałem przybijać je do rusztowania, ale załamuje się pod ciężarem.

Symonia zerknął na szkielet wozu parowego i ułożony obok stos płyt.

- Byłeś kiedy w bitwie, Urn? - zapytał.

- Nie. Mam płaskostopie. I nie jestem zbyt silny.

- A wiesz, co to jest żółw? Urn podrapał się w głowę.

- No dobrze. Odpowiedź nie brzmi: nieduży gad w skorupie, prawda? Bo przecież wiesz, że to wiem.

- Chodziło mi o żółwia z tarcz. Kiedy atakujesz fortecę albo mury, a przeciwnik ciska na ciebie z góry wszystkim, co mu w rękę wpadnie, każdy żołnierz trzyma nad głową tarczę tak, że... ona tak jakby... wsuwa się w tarcze dookoła. Może utrzymać spory ciężar.

- Nachodzą na siebie — mruknął Urn.

- Jak łuski - uzupełnił Symonia. Urn w zadumie przyjrzał się wozowi.

- Żółw - mruknął.

- A taran? - spytał Symonia.

- To żaden kłopot - odparł z roztargnieniem Urn. - Pień drzewa umocowany do rusztowania. Duża żelazna głowica. Te wrota są ze spiżu, mówiłeś?

- Tak. Ale bardzo wielkie.

- W takim razie są prawdopodobnie puste w środku. Albo z lanych spiżowych płyt na drewnie. Tak ja bym to zrobił.

- Nie z litego spiżu? Wszyscy mówią, że to lity spiż.

- Ja też bym tak mówił.

- Przepraszam...

Staął przed nimi krępy mężczyzna w mundurze straży.

- To sierżant Fergmen - przedstawił go Symonia. - Słucham, sierżancie.

- Wrota są ze wzmacnianej klatchiańskiej stali. To przez te wszystkie walki w czasach fałszywego proroka Zoga. I otwierają się tylko na zewnątrz. Jak wrota służy

w kanale. Kiedy sieje popycha, zamykają się tylko mocniej.

- Więc jak są otwierane? - zdziwił się Urn.

- Cenobiarcha unosi rękę i tchnienie Boga je rozsuwa - wyjaśnił sierżant Fergmen.

- W sensie logicznym, *znaczy*.

- Aha. No więc któryś z diakonów wchodzi za kotarę i przesuwą dźwignię.

Ale... kiedy miałem służbę w kryptach, czasami... była tam taka komnata... słyszałem zgrzyty i różne... jakby się woda lała...

- Hydraulika - odgadł Urn. - Podejrzewałem, że to hydraulika.

- Możesz się tam przedostać? - spytał Symonia.

- Do tej komnaty? - upewnił się sierżant Fergmen. - Czemu nie. Nikt jej nie pilnuje.

- Czy on da radę otworzyć wrota?

- Hm? - wymruczał Urn.

- Pytałem, czy Fergmen zdoła uruchomić tę hydrę Ulikę.

- Hm? A... Nie sądzę - odparł niezbyt zrozumiale Urn.

- A ty?

- Co?

- Otworzysz wrota?

- Och... chyba tak. To przecież tylko rury i ciśnienia. Hm.

Urn z namysłem wpatrywał się w wóz parowy. Symonia skinął na sierżanta, nakazując mu odejść. Sam spróbował wykonać tę umysłową podróż międzyplanetarną, która by go doprowadziła do świata, na którym przebywał Urn.

Też przyjrzał się pojazdowi.

- Kiedy dasz radę go skończyć?

- Hm?

- Pytałem...

- Jutro, późno w nocy. Jeśli będziemy pracować przez całą dzisiejszą noc.

- Ale jest nam potrzebny na pojutrze rano! Nie będzie czasu, żeby sprawdzić, czy działa!

- Będzie działał za pierwszym razem — zapewnił Urn.

- Naprawdę?

- Ja go zbudowałem. Wiem o nim wszystko. Ty znasz się na mieczach, włóczykach i różnych takich. Ja znam się na rzeczach, które kręcą się wkoło i wkoło. Będzie działał od pierwszego razu.

- To dobrze. Mam jeszcze sporo innych spraw, więc...

- Oczywiście.

Urn został w szopie sam. Spojrzał w zadumie na swój młotek, a potem na pojazd.

Nie wiedzieli tutaj, jak porządnie odlewać spiż. Ich żelazo było żalosne, po prostu żalosne. Miedź? Straszna. Udało im się chyba wyprodukować stal, która pękała od uderzenia. Przez lata Kwizycja pozbyła się wszystkich dobrych kowali.

Zrobił, co mógł, ale...

- Nie pytaj mnie tylko o drugi albo trzeci raz - mruknął cicho do siebie.

Vorbis siedział na kamiennym fotelu w swym ogrodzie. Dookoła leżały rozrzucone papiery. - Tak?

Kłęczący człowiek nie podniósł głowy. Za nim stali dwaj strażnicy z nagimi mieczami w rękach.

- Ludzie Żółwia... oni coś knują - powiedział głosem drżącym ze zgrozy.
- Oczywiście, że knują. Oczywiście - odparł Vorbis. - A co konkretnie?
- Mają jakąś... Kiedy zostaniesz, panie, ogłoszony cenobiarchą... jakieś urządzenie, maszynę, która sama jeździ... i ona rozbije wrota Świątyni...

Głos ucichł.

- A gdzie znajduje się ta maszyna? - spytał Vorbis.

- Nie mam pojęcia, panie. Kupili ode mnie żelazo. To wszystko, co wiem.

- Żelazna maszyna...

- Tak. - Człowiek nabrał tchu, co brzmiało w połowie jak oddech, a w połowie jak nerwowe przełknięcie śliny. - Ludzie mówili...

li... strażnicy mówili... że trzymasz, panie, w lochu mojego ojca i mógłbyś...

Błagam...

Vorbis spojrzął na niego z góry.

- Ale się boisz - stwierdził. - Boisz się, że mogę ciebie także kazać wrzucić do lochu. Boisz się, że pomyślę: ten człowiek utrzymywał kontakty z heretykami i bluźniercami w znanych okolicznościach...

Człowiek wpatrywał się nieruchomo w ziemię. Vorbis ujął go lekko pod brodę i podniósł mu głowę, aż patrzyli sobie prosto w oczy.

- Postąpiłeś słusznie — rzekł. — Czy ojciec tego człowieka jeszcze żyje? - zapytał jednego z inkwizytorów.

- Tak, panie.

- Wciąż może chodzić? Inkwizytor wzruszył ramionami.

- Tak, panie.

- Uwolnijcie go zatem natychmiast, przekazcie pod opiekę kochającego syna i odeślijcie obu do domu.

Armie nadziei i strachu walczyły ze sobą we wzroku informatora.

- Dzięki ci, panie - szepnął.

- Odejdź w pokoju.

Vorbis przyglądał się, jak strażnik wyprowadza człowieka z ogrodu. Potem skinął ręką na jednego ze starszych inkwizytorów.

- Wiemy, gdzie mieszka?

- Tak, panie.

- Dobrze.

Inkwizytor zawahał się.

- A ta... maszyna, panie?

- Om do mnie przemówił. Maszyna, która sama jeździ? Coś takiego przeczy wszelkiemu rozsądkowi. Gdzie są jej mięśnie? Gdzie jej umysł? '

- Tak, panie.

Inkwizytor, który nazywał się Cusp i był diakonem, osiągnął swoją obecną pozycję - choć w tej chwili nie był całkiem pewien, czyjej właśnie pragnął - dlatego, że lubił zadawać ludziom ból. Było to proste pragnienie, podczas służby w Kwłzycji spełniane w nadmiarze. Należał też do ludzi, w których Vorbis budził bardzo szczególny lęk. Dręczyć ludzi, ponieważ sprawia to przyjemność - to było zrozumiałe. Jednak Vorbis dręczył ludzi, ponieważ uznawał, że powinni cierpieć - bez pasji, a nawet z jakąś surową miłością.

Doświadczenie mówiło Cuspowi, że ludzie nie zmyślają, nie do końca, nie przed ekskwizytorem. Oczywiście, nie istniały takie rzeczy jak maszyny, które się same poruszają, ale zanotował w pamięci, żeby podwoić strażę...

- Jednakże - powiedział Vorbis - podczas jutrzejszej uroczystości nastąpi zamieszanie.

- Słucham, panie?
- Dysponuję... szczególną wiedzą.
- Oczywiście, panie.
- Znasz naprężenia niszczące ścięgna i mięśni, diakonie.

Cusp wyznawał pogląd, że Vorbis znalazł się gdzieś po drugiej stronie szaleństwa. Ze zwykłym obłędem potrafił sobie radzić. Przekonał się, że na świecie żyje sporo osób szalonych, a wiele z nich staje się jeszcze bardziej szalone w lochach Kwizycji. Ale Vorbis przekroczył tę czerwoną granicę i stworzył rodzaj logicznej struktury po przeciwnej stronie. Racjonalne myśli zbudowane z obłąkanych składników...

- Tak, panie - potwierdził.
- A ja znam naprężenia niszczące ludzi.

Była noc, dość chłodna jak na tę porę roku. Lu-Tze sunął przez mrok szopy i zamiatał pracownice. Od czasu do czasu z zakamarków swej szaty wyjmował szmatę i polerował różne rzeczy.

Wypolerował zewnętrzną powierzchnię Ruchomego Żółwia, który wyrastał groźnie w ciemności. Zamiatając dotarł aż do paleniska, gdzie patrzył przez chwilę. Odlanie dobrej stali wymaga nadzwyczajnego skupienia. Nic dziwnego, że bóstwa zawsze gromadzą się wokół samotnych kuźni. Wiele spraw może pójść nie tak, jak trzeba. Odrobinę niewłaściwie dobrane proporcje składników, moment nieuwagi...

Urn, który prawie zasypiał na stojąco, wymruczał coś, kiedy poczuł szturchnięcie. Ocknął się. Ktoś wcisnął mu w rękę jakiś przedmiot.

Była to filiżanka herbaty. Podniósł głowę i spojrzał na drobną, okrągłą twarz Lu-Tze.

- Oj - powiedział. - Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Skinienie głowy, uśmiech.
- Prawie skończone — oznajmił Urn, na wpół do siebie. - Teraz musi tylko ostygnąć. Musi stygnąć bardzo powoli. Inaczej się skryształizuje, rozumiesz.

Skinienie, uśmiech, skinienie.

To była dobra herbata.

- To nie... st... żniejszy odlew. - Urn zachwiał się. - Zwła zignia sterania...

Lu-Tze podtrzymał go i usadowił na stosie węgla drzewnego. Potem znowu przyglądał się palenisku. Stałowy pręt żarzył się w formie.

Lu-Tze wylał na niego wiadro zimnej wody, popatrzył, jak wznosi się i rozwiewa wielka chmura pary, po czym zarzucił sobie miotłę na ramię i odbiegł pospiesznie.

Ludzie, dla których Lu-Tze był tylko niewyraźną sylwetką tuż za poruszającą się wolno miotłą, byliby zdumieni jego szybkością. Zwłaszcza gdyby wiedzieli, że ma sześć tysięcy lat, żywi się tylko brunatnym ryżem i pija wyłącznie zieloną herbatę z grudką zjełczanego masła.

Przed główną bramą Cytadeli przestał biec i zaczął zamiatać. Zamiatając dotarł do wrót, przezamiatął bramę, skinął głową i uśmiechnął się do żołnierza, który spojrzał na niego groźnie, po czym uświadomił sobie, że to przecież tylko ten stary, głupawy zamiatacz. Lu-Tze przetańczał jeden z uchwytów na wrotach i zamiatał dalej, przez korytarze i podcienie, aż do ogródka warzywnego.

Zauważył Bruthę skulonego między melonami.

Lu-Tze znalazł koc i podreptał z powrotem do ogrodu, gdzie z motyką na kolanach siedział zgarbiony chłopiec.

Wiele twarzy pełnych cierpienia widywał już Lu-Tze swego czasu, który był

czasem dłuższym, niż obserwuje większość cywilizacji. Twarz Bruthy była najgorsza.

Lu-Tze otulił kocem ramiona biskupa.

- Nie słyszę go - wykrztusił chrapliwie Brutha. - To może znaczyć, że jest za daleko. Ciągłe o tym myślę. Może być gdzieś na pustyni. O całe mile stąd!

Lu-Tze uśmiechnął się i skinął głową.

- To wszystko zdarzy się znowu. On przecież nigdy nikomu nie kazał niczego robić. W ogóle go to nie obchodziło!

Lu-Tze skinął głową i znowu się uśmiechnął. Miał żółty ząb. Prawdę mówiąc, pochodził z jego dwusetnego zestawu.

- Powinien się przejąć.

Lu-Tze zniknął w swoim kąciku i po chwili wrócił z czarką jakiejś herbaty. Skinął głową, uśmiechnął się i wyciągnął ręce. Brutha przyjął czarkę i wypił łyk. Herbata smakowała jak gorąca woda z zanurzonym woreczkiem lawendy.

- Nic nie rozumiesz z tego, co mówię, prawda? - zapytał.

- Niedużo - przyznał Lu-Tze.

- Umiesz mówić?

Lu-Tze przytknął do warg pomarszczony palec.

- Wielki sekret.

Brutha spojrzał na niskiego człowieczka. Ile właściwie o nim wiedział? Ile ktokolwiek o nim wiedział?

- Ty rozmawiać z Bogiem - powiedział Lu-Tze.

- Skąd o tym wiesz?

- Znaki. Człowiek, którzy rozmawiać z Bogiem, mieć trudne życie.

- Masz rację! - Brutha patrzył na Lu-Tze ponad krawędzią czarki. - Dlaczego tu jesteś? - zapytał. - Nie pochodzisz z Omni. Ani z Efebu.

- Wychować się niedaleko Osi. Dawno temu. Teraz Lu-Tze obcy wszędzie, dokąd trafić. Tak najlepiej. Uczyć się religii w świątyni w domu. Teraz chodzić tam, gdzie być praca.

- Przewożenie nawozu i przycinanie krzewów?

- Tak. Nigdy nie być biskup ani wysoki panjandrum. Niebezpieczne życie. Zawsze być człowiek, co czyścić ławki albo zamiatać za ołtarz. Nikt nie dręczyć użyteczny człowiek. Nikt nie dręczyć mały człowiek. Nikt nie pamiętać imię.

- To właśnie chciałem robić. Ale jakoś mi się nie udało.

-Więc szukać innej drogi. Ja uczyć się w świątyni. U wielki mistrz. Kiedy kłopot, zawsze pamiętać słowa stary i szacowny mistrz.

- Jakie to słowa?

- Stary mistrz mówić: „Ten tam chłopiec! Co ty jeść? Ty chyba przynieść dosyć dla wszyscy!”. Stary mistrz mówić: „Ty niegrzeczny chłopiec! Dlaczego ty nie odrobić praca domowa?”. Stary mistrz mówić: „Z czego chłopiec się śmiać? Nie powiedzieć, z czego chłopiec się śmiać, całe dojo zostać po lekcje!”. Kiedy pamiętać te mądre słowa, nic więcej nie wyglądać źle.

- Co mam zrobić? Nie słyszę go!

- Ty robić, co ty musieć! Ja nauczyć się cokolwiek, to że ty musieć przejść droga całkiem sam.

Brutha objął ramionami kolana.

- Ale on niczego mi nie powiedział! Gdzie jest cała ta mądrość? Wszyscy prorocy wracali z przykazaniami!

- Gdzie oni je brać?

- Ja... Myślę, że sami je wymyślali.

- Ty brać je z to samo miejsce.

- To nazywasz filozofią?! - wrzasnął Didactylos, wymachując laską. Urn czyścił dźwignię z resztek piaskowej formy.

- No... filozofią naturalną - odparł.

Laska brzęknęła, uderzając o boki Ruchomego Żółwia.

- Nigdy cię nie uczyłem takich rzeczy! - krzyczał filozof. - Filozofia powinna czynić życie lepszym!

- To poprawi życie bardzo wielu ludzi - odparł spokojnie Urn. - Pomoże obalić ciemność.

- A potem? - spytał Didactylos.

- A potem co?

- Potem rozłożysz to na części, tak? Rozbijesz? Zdejmiesz koła? Pozbędziesz się tych ostrzy? Spalisz plany? Tak? Kiedy spełni już swoje zadanie, tak?

- No... - zaczął Urn.

- Aha!

- Co aha? A jeśli to zachowamy? Posłuży jako... jako przestroga dla innych ciemieńców!

- Myślisz, że inni ciemieńcy nie zbudują czegoś podobnego?

- Ale ja... Ja mogę zbudować jeszcze większe! - zawołał Urn. Didactylos jakby nagle opadł z sił.

- No tak - rzekł. - Na pewno możesz. No to wszystko w porząd-

ku. Słowo daję... I pomyśleć, że się martwiłem... A teraz muszę chyba iść gdzieś odpocząć.

Wydawał się przygarbiony i nagle bardzo stary.

- Mistrzu... - odezwał się niepewnie Urn.

- Przestań z tym mistrzem - odparł Didactylos, wymacując drogę wzdłuż ścian do wyjścia z szopy. - Widzę przecież, że wiesz już wszystko, co tylko można wiedzieć o ludzkiej naturze. Ha!

Wielki Bóg Om zjechał po zboczach rowu nawadniającego i wylądował na grzbiecie wśród zielska na dnie. Przewrócił się, chwytając pyszczkiem korzeń. Kształt myśli Bruthy przemykał tam i z powrotem w jego umyśle. Nie rozróżniał słów, ale nie musiał - jak człowiek nie musi widzieć zmarszczek na wodzie, by wiedzieć, w którą stronę płynie rzeka.

Od czasu do czasu, kiedy dostrzegał Cytadelę jako błyszczący punkt wśród zmierzchu, próbował wykrzyczeć własne myśli tak głośno, jak tylko potrafił:

- Stój! Zaczekaj! Wcale tego nie chcesz! Możemy popłynąć do Ankh-Morpork! Do krainy wielkich możliwości! Z moim mózgiem i twoją... i z tobą, świat otworzy się jak ostryga! Porzucimy to wszystko...

A potem zjeżdżał do następnego rowu. Raz czy dwa zauważył wiecznie krążącego w górze orła.

- Po co pakować rękę między kamienie młyńskie? To miejsce zasługuje na Vorbisa! Owce zasługują na to, żeby je pędzić!

Tak się czuł, kiedy został ukamienowany jego pierwszy wyznawca. Oczywiście, wtedy miał już tuzin innych, ale przeżył wstrząs. To było trudne. Nigdy nie zapomina się pierwszego wyznawcy. On nadaje kształt.

Żółwie nie są przez naturę wyposażone do marszów przełajowych na orientację. Potrzebują dłuższych nóg i płytszych wykopów.

Om oceniał, że pokonuje niecałą piątą część mili na godzinę, a Cytadela leżała w odległości co najmniej dwudziestu mil. Czasami udawało mu się rozwinąć niezłą szybkość między drzewami w gaju oliwnym, jednak zaraz znowu hamowały go skaliste tereny i nasypy wokół pól.

I przez cały czas, kiedy przebierał łapkami, myśli Bruthy brzęczały mu w głowie niczym daleka pszczoła. Znowu spróbował krzyknąć w umyśle.

- Co masz? On ma armię! No a czy ty masz armię? Ile masz dywizji?

Jednak takie myśli wymagają energii, a istnieje granica energii dostępnej w jednym małym żółciu. Znalazł opadłą kiść winogron i pożerał je, aż sok zmoczył mu głowę, lecz niewiele to pomogło.

Wreszcie zapadła noc. Noce tu nie były tak zimne jak na pustyni, ale też nie tak ciepłe jak dni. Nocą, kiedy krew mu wystygnie, będzie musiał zwolnić. Nie potrafi już tak szybko myśleć. Ani tak szybko chodzić.

Już teraz tracił ciepło. A ciepło oznaczało prędkość.

Wpełzał na szczyt mrowiska...

- Zginiesz! Zginiesz!

...i zsunął się po drugiej stronie.

Przygotowania do inauguracji cenobiarchy proroka zaczęły się wiele godzin przed świtem. Najpierw, nie całkiem zgodnie ze starożytną tradycją, diakon Cusp i kilku jego kolegów bardzo dokładnie zbadało wnętrze Świątyni. Szukali linek potykaczy, sprawdzali, czy w jakichś zakamarkach nie kryją się łucznicy. Co prawda zwykle nie podejmowano takich działań, ale diakon Cusp nosił głowę nie od parady. Wysłał też do miasta kilka oddziałów, by aresztować zwykłych podejrzanych. Kwizycja zawsze uważała za celowe, by kilku podejrzanych zostawiać na swobodzie. Wtedy wiadomo było, gdzie ich szukać, gdy byli potrzebni.

Potem przybyło kilkunastu niższych kapłanów, by egzorcyzmować pomieszczenie i wygnać wszelkie ifryty, dżiny i demony. Diakon Cusp przyglądał się im bez słowa. Osobiście nie miał nigdy kontaktów z siłami nadprzyrodzonymi, wiedział za to, co dobrze wymierzona strzała może uczynić z niczego nie podejrzewającym żołądkiem.

Ktoś stuknął go pod żebro. Diakon syknął, gdy prawdziwe życie podłączyło się nagle do ciągu jego myśli, i odruchowo sięgnął po sztylet.

- Co? - powiedział.

Lu-Tze skinął głową, uśmiechnął się i wskazał miotłą, że diakon stoi na tym fragmencie podłogi, który on, Lu-Tze, pragnie zamieść.

- Dzień dobry, ty paskudny żółty głupku - rzucił diakon. Skinienie, uśmiech.

- Nigdy nie powiesz ani słowa, co? Uśmiech, uśmiech.

- Idiota.

Uśmiech. Uśmiech. Obserwacja.

Urn cofnął się.

- Już - powiedział. - Na pewno wszystko zapamiętałeś?

- Spokojnie - odparł Symonia, który zajmował miejsce na siodełku Żółcia.

- Powtórz jeszcze raz.

- Rozpalić-na-palenisku. Kiedy-czerwona-igła-wskaże-XXIV, przekreść-mosiężny-zawór; kiedy-zadźwicz-mosiężny-gwizdek, po-ciągnąć-wielką-dźwignię. I kierować, pociągając za liny.

- Dobrze - pochwalił Urn. Wciąż jednak miał niepewną minę. - To precyzyjne urządzenie - przypomniał.

- Jestem zawodowym żołnierzem - oświadczył Symonia. - Nie zabobonnym chłopem.

- Świetnie, świetnie... No cóż, jeśli jesteś pewien...

Mieli dość czasu, żeby dodać do Ruchomego Żółwia kilka dodatkowych elementów. Pojawiły się zębate wstęgi na pancerzu i ostrza na kołach. I oczywiście rura odprowadzająca parę. Nie był zbyt przekonany do tej rury...

- To tylko maszyna - powiedział Symonia. - Nie sprawi kłopotów.

- W takim razie daj nam godzinę. Powinieneś dotrzeć do Świątyni akurat kiedy otworzymy wrota.

- Tak jest. Zrozumiano. Ruszajcie. Sierżant Fergmen zna drogę. Urn zerknął na rurę parową i przygryzł wargę. Nie wiem, jak to podziała na przeciwnika, pomyślał, ale mnie przeraża już teraz.

Brutha obudził się, a przynajmniej przestał próbować zasnąć. Lu-Tze zniknął. Pewnie gdzieś zamiata. Wędrował opuszczonymi korytarzami sektora nowicjuszy. Miną jeszcze godziny, zanim dobiegnie końca koronacja nowego cenobiarchy. Najpierw trzeba dopełnić kilkunastu ceremoniałów. Każdy, kto był kimś, stał teraz na placu i otaczających go skwerach. Podobnie jak jeszcze większa liczba ludzi, którzy byli właściwie nikim. Sestyny stały puste, nieskończone modlitwy pozostawiono niewypowiedziane. Cytadela sprawiałaby wrażenie martwej, gdyby nie potężny, nieokreślony, rozbrzmiewający w tle grom dziesiątków tysięcy ludzi zachowujących milczenie. Promienie słońca wpadały do wnętrza przez szyby oświetleniowe.

Brutha nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny. W porównaniu z dzisiejszym dniem pustynia wydawała się pasmem zabaw. Zeszłej nocy... Zeszłej nocy, kiedy rozmawiał z Lu-Tze, wszystko było tak oczywiste. Zeszłej nocy miał ochotę zmierzyć się z Vorbisem natychmiast. Zeszłej nocy sądził, że istnieje szansa. Wszystko było możliwe zeszłej nocy. Na tym właśnie polega kłopot z zeszłymi nocami: zawsze po nich następują dzisiejsze ranki.

Dotarł na poziom kuchni, a potem do zewnętrznego świata. Spotkał paru kucharzy szykujących ceremonialny posiłek z mięsa, chleba i soli, jednak żaden nie zwrócił na niego uwagi. Usiadł przed jedną z rzeźni. Gdzieś tutaj, jak wiedział, znajdowała się boczna furta Cytadeli. Dzisiaj pewnie nikt by go nie zatrzymał, gdyby zwyczajnie wyszedł. Dzisiaj uważają tylko na niepożądane osoby, próbujące wejść.

Mógłby stąd odejść. Pustynia wydawała mu się całkiem przyjemnym miejscem, jeśli nie liczyć głodu i pragnienia. Św. Ungulant ze swoim obłędem i swoimi grzybami miał chyba najrozsądniejsze podejście do życia. Nieważne, czy człowiek sam siebie oszukuje -nie może tylko sobie pozwolić, by to zrozumieć. No i musi to robić jak należy. Życie na pustkowiu jest o wiele prostsze.

Przy furcie stało jednak kilkunastu strażników, wyglądających bardzo nieprzyjaźnie. Wrócił więc na ławeczkę ustawioną w osłoniętym kącie i zapatrzył się smętnie w ziemię.

Jeśli Om żyje, to przecież może chyba przesłać mu znak?

Kratka obok sandałów Bruthy uniosła się na kilka cali i zsunęła w bok.

W otworze pojawiła się zakapturzona głowa - i znowu zniknęła. Zabrzmiały podziemne szepty. Głowa powróciła, a za nią całe ciało. Podciągnęło się na bruk. Kaptur został zrzuty. Przybysz uśmiechnął się do Bruthy porozumiewawczo, przytknął palec do warg, po czym bez żadnego ostrzeżenia rzucił się na niego z

wyraźnie wrogimi zamiarami.

Brutha potoczył się po kamieniach, gorączkowo wznosząc ręce. Dostrzegł błysk metalu. Brudna dłoń zatkała mu usta. Ostrze było dramatycznym i bardzo ostatecznym cieniem na tle nieba.

- Nie!

- Dlaczego nie? Mówiliśmy przecież, że najpierw zabijemy wszystkich kapłanów.

- Ale nie tego!

Brutha odważył się zerknąć w bok. Wprawdzie drugi przybysz, wynurzający się z otworu, także miał na sobie brudną opończę, jednak chłopak od razu rozpoznał tę fryzurę jak pędzel.

- Urn? - spróbował zapytać.

- Cicho bądź - rzucił pierwszy przybysz, przyciskając mu nóż do gardła.

- Brutha! - szepnął Urn. - Ty żyjesz?

Brutha spoglądał to na napastnika, to na Urna w sposób, który - miał nadzieję - zasugeruje, że w tej sytuacji za wcześniej jeszcze na jednoznaczną odpowiedź.

- On jest w porządku - oświadczył Urn.

- W porządku? Przecież to kapłan!

- Ale stoi po naszej stronie. Prawda, Brutha?

Brutha spróbował przytaknąć i pomyślał: Jestem po stronie każdego. Byłoby miło, gdyby dla odmiany choć raz ktoś stanął po mojej.

Dłoń cofnęła się z jego ust, jednak ostrze pozostało na szyi. Zwykle ostrożne procesy myślowe chłopca teraz płynęły niczym rtec.

- Żółw Się Rusza? - spróbował.

Sztylet cofnął się, choć z wyczuwalną niechęcią.

- Nie ufam mu - oświadczył mężczyzna. — Powinniśmy przynajmniej wepchnąć go do dziury.

- Brutha jest jednym z nas - zapewnił Urn.

- Oczywiście. To prawda - zapewnił Brutha. — A kim wy jesteście? Urn przysunął się bliżej.

- Jak tam twoja pamięć?

- Niestety, doskonale.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Hm... Słuchaj, lepiej chyba, żebyś się trzymał z daleka... gdyby coś się wydarzyło. Pamiętaj o Żółwiu. No ale pamiętasz, naturalnie.

- Co by się wydarzyło?

Urn poklepał go po ramieniu, co przywiodło chłopcu na myśl Vorbisa. Vorbisa, który nigdy nikogo nie dotknął myślą, ale często dotykał rękami.

- Lepiej, żebyś nie wiedział, co się dzieje - powiedział Urn.

- Przecież ja nie wiem, co się dzieje!

- I tak jest dobrze.

Krępy mężczyzna wskazał sztyłem tunele prowadzące w głąb skały.

- Idziemy czy jak? - zapytał.

Urn pobiegł za nim. Zatrzymał się jeszcze na chwilę i obejrzał.

- Bądź ostrożny - poradził. - Potrzebujemy tego, co masz w głowie.

Brutha spoglądał za nimi.

Potem znowu został sam.

Zaraz, pomyślał. Przecież nie muszę tu siedzieć. Jestem biskupem. Mogę przynajmniej patrzeć. Om zniknął, a wkrótce skończy się świat, więc mogę się chociaż przyglądać, jak to następuje.

Stukając sandałami, ruszył biegiem w stronę placu.

Są w szachach figury, które poruszają się na ukos. Dlatego często zjawiają się w miejscach, gdzie królowie się ich nie spodziewają.

- Ty nieszczęsny idioto! Nie idź tam! Słońce stało już wysoko. Właściwie to pewnie już zachodziło, jeśli teorie Didactylosa co do prędkości światła były słuszne. Jednak w kwestiach względności punkt widzenia obserwatora bywa niezwykle istotny. A z punktu widzenia Oma słońce było złocistą kulą na płomiennym niebie.

Wczołgał się na kolejny wzgórek i spojrzał posępnie na odległą Cytadelę. W duchu słyszał drwiące głosy pomniejszych bóstw.

Nie lubiły bogów, którym się nie udało. W ogóle ich nie lubiły. Przypominało im to o śmiertelności. Dlatego wpełzną go

w głąb pustyni, gdzie nikt nigdy nie przechodzi. Nigdy. Aż do końca świata.

Zadrżał wewnątrz skorupy.

Urn i Fergmen szli przez tunele Cytadeli z tą szczególną nonszalancją, która - gdyby był tam ktoś, kto by się im przyjrzał - w ciągu paru sekund ściągnęłaby na nich czujną i baczność uwagi. Ale jedynymi ludźmi w okolicy byli ci, którzy mieli do wykonania ważne zadania. Poza tym rozsądek sugerował, że lepiej nie przyglądać się strażnikom zbyt uważnie - mogą przecież także się przyjrzeć.

Symonia tłumaczył Urnowi, że sam się zgodził. Jakoś nie mógł sobie tego przypomnieć. Sierżant znał drogę do wnętrza Cytadeli, to rozsądne. Urn znał się na hydraulice. Świetnie. I teraz maszerował tymi suchymi tunelami, a narzędzia pobrzękiwały mu u pasa. Był w tym jakiś logiczny związek, ale wnioski wyciągnął ktoś inny.

Fergmen skręcił i zatrzymał się przed kratą sięgającą od podłogi po sklepienie. Była zardzewiała. Kiedyś mogła się otwierać — w kamieniach pozostała sugestia przeżartych rdzą zawiasów. Urn zajrzał między pręty. Z tyłu, w mroku, biegły jakieś rury.

- Eureka - powiedział.

- Znaczy, chcesz się wykapać? - spytał Fergmen.

- Pilnuj tutaj.

Urn odczepił od pasa krótki łom i wsunął go między kratę a mur. Dajcie mi kawał dobrej stali i ścianę, żeby oprzeć... o nią... stopę... - kratka pochyliła się ze zgrzytem, a potem wyskoczyła z głuchym brzękiem - a zdołam zmienić świat.

Wszedł do długiego, ciemnego pomieszczenia i gwizdnął z podziwem.

Nikt tego nie konserwował od... od tak dawna, ile trzeba, żeby zawiasy zmieniły się w bryły pokruszonej rdzy... a to wciąż działa?

Obejrzał ołowiane i żelazne wiadra, większe niż on sam, i rury, w których mógłby się zmieścić człowiek.

To był oddech Boga.

Prawdopodobnie ostatni człowiek, który wiedział, jak to działa, już wiele lat temu został zamęczony na śmierć. Albo nawet zaraz po zbudowaniu tego systemu. Zabicie twórcy było tradycyjną metodą ochrony patentowej.

Tu tkwiły dźwignie, a tam, zawieszone nad otworami w skalnym podłożu, wisiały dwa zestawy obciążników. Prawdopodobnie wystarczy kilkaset garnców wody, żeby wytrącić system ze stanu równowagi - w tę lub w tamtą stronę. Oczywiście, wodę trzeba jakoś wpompować na górę...

- Sierżancie?

Fergmen zajrzał przez drzwi. Wyglądał na zdenerwowanego, niczym ateista podczas burzy z piorunami.

-Co?

Urn wskazał ręką.

- Tam jest taki wał przebijający ścianę. Widzicie? Pod przekładnią.

- Pod czym?

- Tymi wielkimi zębatymi kołami.

- A tak. Widzę.

- Dokąd prowadzi?

- Nie wiem. Ale za ścianą są Kieraty Poprawy.

Aha...

Oddech Boga okazał się w końcu potem ludzi. Didactylos doceniłby żart, pomyślał Urn.

Uświadomił sobie, że przez cały czas rozbrzmiewa tu jakiś dźwięk, który dopiero teraz zdołał się przebić przez jego koncentrację. Słabe, metaliczne, niewyraźne - ale z pewnością były to głosy. Z rur.

Sierżant, sądząc po wyrazie jego twarzy, także je usłyszał.

Urn przyłożył ucho do metalu. W żaden sposób nie mógł rozróżnić słów, ale rozpoznał ogólny religijny rytm.

- To tylko w Świątyni odprawia się nabożeństwo - oświadczył. - Głosy powodują rezonans wrót i dźwięk dociera tu rurami. Fergmen nie wydawał się uspokojony.

- Żadni bogowie nie mają z tym nic wspólnego - przetłumaczył Urn.

Raz jeszcze przyjrzał się rurom.

- Prosta zasada - mruknął, bardziej do siebie niż do Fergmena. - Woda przelewa się do zbiorników w ciężarach i narusza równowagę. Jeden zestaw obciążników zsuwa się w dół, drugi idzie w górę w tym szybie w murze. Ciężar wrót jest nieistotny. A kiedy najniższy ciężar opada, te zbiorniki tutaj przechylają się i wylewają wodę. Prawdopodobnie działa to bardzo płynnie. Doskonała równowaga w obu położeniach. Nieźle pomyślane, trzeba przyznać. Dostrzegł minę sierżanta.

- Woda wlewa się i wylewa, a wrota się otwierają - przetłumaczył. — Czyli musimy tylko poczekać na... mówili, że jaki będzie sygnał?

- Zagrają na trąbce, kiedy tylko znajdą się za główną bramą - odparł Fergmen, zadowolony, że może się na coś przydać.

- Właśnie. - Urn zmierzył wzrokiem ciężary i zbiorniki. Mosiężne rury łuszczyły się od korozji. - Ale może lepiej sprawdzić, czy na pewno wiemy, co robimy - dodał. - Trzeba chyba paru minut, zanim wrota się ruszą.

Sięgnął pod tunikę i wyjął coś, co Fergmenowi wydało się bardzo podobne do narzędzia tortur. Jakoś pewnie odbiło się to na jego twarzy, gdyż Urn wyjaśnił bardzo powoli i łagodnie:

- To klucz na-staw-ny.

- Tak?

- Do odkręcania śrub. Fergmen żałośnie kiwnął głową.

- Tak? - powtórzył.

- A to butelka oleju penetrującego.

- To dobrze.

- Podsadź mnie, co? Trzeba chwilę popracować, zanim odczepimy złącze z zaworem, więc możemy zacząć już teraz.

Urn sięgnął do starożytnego mechanizmu. Na górze trwała ceremonia.

Rękę Sobie Odrąbuję Dhblah całym sercem popierał nowych proroków. Popierałby nawet koniec świata, gdyby mógł uzyskać koncesję na sprzedaż religijnych statuetek, przecenionych ikon, zjełczałych słodczy, fermentujących daktyli i gnijących oliwek na patyku.

Później stało się to treścią jego przymierza. Nigdy nie powstała Księga Proroka Bruthy, ale przedsiębiorczy skryba w okresie, nazywanym w przyszłości Renowacją, zebrał sporo notatek. Oto co miał do powiedzenia Dhblah:

I. Stałem zaraz obok posągu Ossory'ego, znaczy, kiedy zauważyłem Bruthę. Wszyscy trzymali się od niego z daleka, bo przecież został biskupem, a różne rzeczy robią z człowiekiem, jeśli potraci biskupa.

II. Powiedziałem: Witam, wasza wysokość, i zaproponowałem mu jogurt prawie darmo.

III. Odpowiedział: nie.

IV. Powiedziałem, że jest zdrowy, że to żywy jogurt.

V. On na to, że owszem, widzi.

VI. Patrzył na wrota. Była mniej więcej pora trzeciego gongu, więc wszyscyśmy wiedzieli, że mamy jeszcze parę godzin czekania. On wydawał się trochę nieswój, a przecież nawet nie jadł tego jogurtu, który, przyznaję, był trochę pobudzony, jak to w upale. Znaczą, musiałem tłuc go łyżką, żeby nie wyłaził z... No dobrze. Tłumaczyłem tylko, jak to było z jogurtem. Dobrze! Przecież warto chyba dodać trochę koloru do opowieści, prawda? Ludzie lubią kolory. Ten był zielony.

VII. Stał tak i patrzył. Więc mówię: Jakiś problem, wasza wielebność? Na co on odrzekł: Nie słyszę go. Pytam: Co to za on, o którym mowa? A on: Gdyby był tutaj, zesłałby mi znak.

VIII. Nie ma słowa prawdy w plotkach, że uciekłem w owej chwili. Po prostu tłum nas rozdzielił. Nigdy nie byłem przyjacielem Kwizycji. Owszem, sprzedawałem im jedzenie, ale zawsze brałem wyższe ceny.

IX. W każdym razie wtedy, znaczą, przecisnął się przez szereg strażników, co to pilnowali tłumy, i stanął przed wrotami. Nie byli pewni, co mają zrobić z biskupem. Usłyszałem, jak mówi coś w rodzaju: Niosłem cię przez pustynię, wierzyłem całe życie, daj mi tylko to jedno.

X. Czy coś w tym rodzaju. A może trochę jogurtu? Cena specjalna. Na patyku.

Om podciągnął się na porośnięty bluszczem murek, chwytając łodygi w pyszczek i bardzo mocno pracując mięśniami szyi. Potem spadł po drugiej stronie. Cytadela była równie daleka jak zawsze.

Umysł Bruthy płonął dla zmysłów Oma niczym latarnia morska. U ludzi, którzy spędzili trudne chwile w towarzystwie bogów, pojawia się w duszy domieszka szaleństwa. Ona pchała teraz Bruthę.

- Jeszcze za wcześnie! - krzyczał Om. - Potrzebni ci są zwolennicy! Sam nie wystarczysz! Nie dokonasz tego samotnie! Musisz najpierw zebrać uczniów!

Symonia odwrócił się i spojrzał na Żółwia. Trzydziestu mężczyzn czaiło się pod skorupą i wyglądali na bardzo niespokojnych. Kapral zaszutował.

- Igła doszła na miejsce, sierżancie.

Świsnął mosiężny gwizdek.

Symonia chwycił liny sterujące. Tak powinna wyglądać wojna, pomyślał.

Żadnych wątpliwości. Jeszcze kilka takich Żółwi, a nikt już nigdy nie będzie walczył.

- Przygotować się! - polecił. I szarpnął mocno wielką dźwignię. Kruchy metal złamał mu się w rękę.

Wystarczy dać komuś odpowiednio długą dźwignię, a zdoła zmienić świat. Problemem są jedynie zawodne dźwignie.

W trzewiach ukrytej pod Świątynią hydrauliki Urn chwycił mosiężną rurę i ostrożnie pociągnął klucz. Śruba opierała się. Zmienił pozycję, stęknął i naparł mocniej. Ze smętnym metalicznym zgrzytem rura skręciła się... i pękła. Woda trysnęła Urnowi w twarz. Rzucił narzędzie i usiłował zatamować wyciek palcami. Jednak woda lała się wokół dłoni i ściekała kanałem ku jednemu z ciężarów.

- Zatrzymaj ją! Zatrzymaj!

- Co? - zdziwił się Fergmen kilka stóp niżej.

- Zatrzymaj wodę!

-Jak?

- Rura pękła!

- Myślałem, że tego właśnie chcemy.

-Jeszcze nie!

- Przestań krzyczeć! Dookoła są strażnicy!

Urn na chwilę pozwolił wodzie spływać bez przeszkód, a sam ściągnął tunikę. Spróbował wcisnąć przemoczony materiał do wylotu rury. Jednak tunika wystrzeliła ze sporą siłą i pacnęła w ołowiany lejek. Potem zsunęła się w dół i zatkała odpływ prowadzący do ciężarów. Woda wezbrała i zaczęła wylewać się na podłogę.

Urn spojrzał na ciężar. Na razie jeszcze się nie ruszył.

Uspokoił się trochę. Jeśli tylko pozostało dość wody, żeby wprowadzić mechanizm w ruch...

- Wy dwaj! Nie ruszać się!

Przy wyważonych drzwiach stał mocno zbudowany mężczyzna w czarnej szacie. Strażnik obok w sposób bardzo znaczący trzymał miecz.

- Kim jesteś? Co tu robisz?

Urn wahał się tylko przez chwilę.

Wskazał kluczem za siebie.

- Chodzi o gniazdo wału, nie? - powiedział. - Macie paskudny wyciek wokół gniazda. Aż dziwne, że wszystko się jeszcze trzyma.

Mężczyzna w czerni wszedł do pomieszczenia. Spojrzał niepewnie na Urna, potem zauważył tryskającą z rury wodę. Potem znowu skierował wzrok na Urna.

- Ale ty nie... - zaczął.

Obejrzał się, kiedy Fergmen walnął strażnika kawałkiem ułamanej rury. I prawie natychmiast klucz Urna trafił go w żołądek. Urn nie był silny, ale klucz miał długi, a reszty dokonała dobrze znana zasada dźwigni. Mężczyzna w czarnej szacie zgiał się wpół, zatoczył do tyłu i oparł o jeden z ciężarów.

To, co zaszło potem, działo się jakby w zwolnionym tempie. Diakon Cusp chwycił ciężar, żeby się przytrzymać. Ciężar opadł wolno, gdy waga człowieka dodała się do wagi wody. Cusp sięgnął wyżej. Ciężar opadł dalej, poniżej wylotu szybu. Cusp raz jeszcze spróbował odzyskać równowagę, ale teraz oparł się o powietrze i runął w dół, na zjeżdżający ciężar.

Urn widział jego wpatrzoną w siebie twarz, gdy ciężar zsuwał się coraz niżej.

Mając dźwignię, mógłby zmienić świat. Z całą pewnością zmienił go dla diakona Cuspa. Sprawił, że świat przestał istnieć. Fergmen ze wzniesioną rurą stał

nad strażnikiem.

- Znam go — oświadczył. - Zaraz...

- Nie mamy czasu!

- Ale...

Nad nimi zastukała przekładnia. Rozległ się daleki zgrzyt spiżu o spiż.

- Wynośmy się stąd - powiedział Urn. - Tylko bogowie wiedzą, co się tam dzieje na górze.

Ciosy spadły na skorupę nieruchomego Żółwia. - Przeklęty! Bądź przeklęty! - krzyczał Symonia, bijąc pancerz pięściami. - Rusz się! Rozkazuję ci, żebyś ruszył! Nie rozumiesz po ludzku? Ruszaj się!

Nieruchoma maszyna wypuszczała parę i stała w miejscu.

Om wpelził po zboczu na niewielki wzgórek. A zatem doszło już do tego... Istniał tylko jeden sposób, by szybko dostać się do Cytadeli. Przy odrobinie szczęścia miał jedną szansę na milion.

Brutha stał przed ogromnymi wrotami. Nie zwracał uwagi na tłum ani na szepty strażników. Kwizycja mogła aresztować każdego, jednak gwardziści nie byli pewni, co się z nimi stanie, jeśli zatrzymają arcybiskupa. Zwłaszcza tak niedawno wyróżnionego przez proroka.

Jakiś znak, myślał Brutha w samotności swego umysłu. Wrota zadrżały i z wolna otworzyły się na zewnątrz. Brutha zrobił krok naprzód. Nie był teraz w pełni przytomny, w każdym razie nie w sposób spójny, zrozumiały dla zwykłych ludzi. Tylko niewielka jego część wciąż potrafiła ocenić stan własnego umysłu i pomyśleć: Może wielcy prorocy czuli się tak przez cały czas.

Tysiące w świątyni rozglądały się ze zdziwieniem. Chóry niższych iamów urwały pieśń. Brutha szedł środkiem -jedyńy mający cel wśród oszołomionego nagle tłumy.

Vorbis stał pośrodku hali, pod sklepieniem kopuły. Straże ruszyły w stronę Bruthy, jednak Vorbis uniósł dłoń delikatnym, ale bardzo znaczącym gestem.

Dopiero teraz Brutha zrozumiał, co widzi przed sobą. Obok Vorbisa leżała laska Ossory'ego, płaszcz Abbysa i sandały Ceny. Kopułę podpierały masywne figury czterech pierwszych proroków. Nigdy ich jeszcze nie widział. Słuchał o nich każdego dnia swego dzieciństwa.

Czym teraz byli? Nie mieli żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, jeśli Vorbis będzie prorokiem. Nic nie miało znaczenia, jeśli cenobiarchą będzie człowiek, który w przestrzeni swej głowy słyszy jedynie własne myśli.

Był świadom, że gest Vorbisa nie tylko powstrzymał strażników, choć nadal otaczali go niby żywopłot. Gest Vorbisa wypełnił także świątynię ciszą. I w tej ciszy Vorbis przemówił.

- Ach... Mój Brutha. Szukaliśmy cię, ale na próżno. A teraz nawet ty jesteś tutaj...

Brutha zatrzymał się o kilka stóp od niego. Moment tego... cokolwiek to było, co pchnęło go przez wrota, teraz przeminął.

Teraz pozostał tylko Vorbis.

Uśmiechnięty.

Ten fragment Bruthy, który wciąż zdolny był do myślenia, powtarzał: Nic już nie możesz zrobić. Nikt nie zechce cię słuchać. Nikt się nie przejmie. Nieważne, co powiesz o Efebie i bracie Murducku, i pustyni. Nie będzie to fundamentalnie prawdziwe.

Fundamentalnie prawdziwy. Taki właśnie jest świat, po którym chodzi Vorbis.

- Czy coś się stało? - zapytał Vorbis. - Chciałbyś coś powiedzieć?

Ciemne, czarne oczy przesłoniły cały świat jak dwie przepaście.

Umysł Bruthy zrezygnował, a kontrolę przejęło ciało. Podniosło rękę i zamachnęło się, nie zważając na nagły ruch podrywających się do biegu gwardzistów.

Brutha zobaczył, jak Vorbis nadstawia policzek i uśmiecha się lekko.

Zatrzymał się i opuścił rękę.

- Nie - powiedział. - Nie zrobię tego.

Wtedy, po raz pierwszy w życiu, zobaczył naprawdę wściekłego Vorbisa. Wcześniej zdarzało się, że diakon był zagniewany, ale gniewem tym kierował mózg, włączając i wyłączając go zależnie od potrzeby. Teraz to było coś innego, coś wymykającego się spod kontroli. I pojawiło się na jego twarzy tylko przez chwilę.

Kiedy strażnicy pochwycili Bruthę, Vorbis podszedł i poklepał go po ramieniu. Przez chwilę patrzył chłopcu prosto w oczy.

- Wychłostajcie go, aż będzie ledwie żywy - powiedział cicho. -A potem spalcie.

Któryś z iamów otworzył usta, ale zamilkł, gdy zobaczył twarz Vorbisa.

- Zróbcie to natychmiast.

Świat ciszy... Tu, w górze, nie słysząc niczego prócz szumu wiatru między piórami.

Tu, w górze, świat jest okrągły, otoczony wstęgą morza. Pole widzenia sięga od horyzontu po horyzont. Słońce jest bliższe.

A mimo to spojrzenie sięga w dół, poszukuje znajomych kształtów...

...w dole, na polu, na skraju pustyni...

...na niskim pagórku...

...malutka ruchoma kopuła, bezsensownie odsłonięta...

Żadnych dźwięków prócz szumu wiatru między piórami... Orzeł składa skrzydła i pikuje w dół jak strzała; świat obraca się wokół maleńkiego ruchomego kształtu będącego w centrum orlej uwagi...

Bliżej i...

...wysunąć szpony...

...chwyt...

...i wzlot...

Brutha otworzył oczy.

Plecy tylko mu dokuczały. Już dawno nauczył się wyłączać ból.

Ale teraz leżał rozciągnięty na jakiejś powierzchni. Ręce i nogi miał przykute do czegoś, czego nie widział. W górze niebo. Z boku wyniosły front Świątyni.

Przekrzywając nieco głowę, mógł zobaczyć milczący tłum. I brązowy metal żelaznego żółwia. Czuł dym.

Ktoś właśnie dociskał kajdany na jego przegubie. Brutha przekręcił głowę i

spojrzał na inkwizytora. Zaraz, co to miał powiedzieć? Aha...

- Żółw Się Rusza? - wymamrotał. Mężczyzna westchnął.

- Nie ten, przyjacielu.

Świat wirował pod Omem, gdy orzeł wznosił się na wysokość odpowiednią do strzaskania skorupy. Egzystencjalna twoga przed opuszczaniem ziemi obiegała jego umysł. Myśli Bruthy, jasne i czyste tak blisko śmierci...

Leżę na grzbiecie, jest coraz goręcej i niedługo umrę... Ostrożnie, ostrożnie. Skup się. Skup! Lada chwila on puści... Om wysunął swą chudą szyję, spojrzął na ptasie ciało nad sobą i wybrał miejsce - miał tylko nadzieję, że właściwe. Wsunął pyszczek w brązowe pióra między szponami i ścisnął...

Orzeł zamrugął. Nigdy jeszcze w historii żaden żółw nie zrobił czegoś takiego orłowi.

Myśli Oma pojawiły się w małym, srebrzystym świecie ptasiego umysłu:

- Nie chcemy przecież skrzywdzić siebie nawzajem, prawda?

Orzeł zamrugął znowu.

Ewolucja nie dała orłom wielkiej wyobraźni ani zdolności przewidywania - tyle, ile jest konieczne, by wiedzieć, że żółw pęka, kiedy go zrzucić na skały. W tej chwili jednak ptak tworzył sobie myślowy obraz tego, co się stanie, kiedy wypuści ciężkiego żółwia, wciąż mocno ściskającego pewną istotną część jego ciała.

Oczy zaszyły mu łzami.

Kolejna myśl zabrzmiała w głowie:

- Do rzeczy. Ty sobie ze mnie jaja robisz, to ja z tobą zagram

w to samo. Zrozumiano? Teraz będzie najważniejsze. Powiem ci, co masz robić...

Orzeł zatoczył krąg w prądzie termicznym nad gorącymi skałami i pomknął w stronę odległego błysku Cytadeli.

Żaden żółw nigdy się tak nie zachowywał. Żaden żółw w całym wszechświecie. Ale też żaden żółw nie był bogiem i żaden nie znał niepisanej dewizy Kwizycji: *Cuius testiculos habes, habeas cardia et cere-bellum*.

Kiedy masz już ich uwagę, serca i umysły szybko za nią podążą.

Urn przeciskał się między ludźmi na placu. Fergmen podążał tuż za nim.

To jest najlepsze i najgorsze w wojnie domowej, przynajmniej na początku - wszyscy noszą takie same mundury. Wygodniej byłoby dobierać przeciwników, którzy są innego koloru albo przynajmniej mówią z zabawnym akcentem. Można ich wtedy nazywać dzikusami albo jakoś podobnie. To ułatwia sprawę.

Chwileczkę, pomyślał Urn. To już prawie filozofia. Szkoda, że pewnie nie dożyję chwili, kiedy będę mógł komuś o tym opowiedzieć.

Wielkie wrota stały otworem. Tłum milczał w skupieniu. Urn wyciągnął szyję, żeby popatrzeć, i wtedy zauważył stojącego obok żołnierza.

Był nim Symonia.

- Myślałem...

- Nie działało — stwierdził z goryczą Symonia.

- Czy na pewno...

- Zrobiliśmy wszystko, jak należy. Coś musiało się zepsuć.

- To pewnie ta stal, którą tu robią - domyślił się Urn. - Ośki przekładni...

- Nie ma to już znaczenia.

Smętny ton głosu sprawił, że Urn podążył wzrokiem za spojrzeniami gapiów.

Przed świątynią stał inny żelazny żółw - prawdziwy model żółwia, ustawiony na czymś w rodzaju otwartej kratownicy z metalowych prętów. Dwóch inkwizytorów rozpałało na niej ogień. A do skorupy żółwia leżał przykuty...

- Kto to?

- Brutha.

-Co?

- Nie wiem, jak do tego doszło. Uderzył Vorbisa albo go nie uderzył. Albo coś. W każdym razie go rozwścieczył. Vorbis natychmiast przerwał ceremonię.

Urn przyjrzał się Vorbisowi z daleka. Diakon nie został jeszcze cenobiarchą, więc nie był ukoronowany. Między iamami i biskupami, stojącymi niepewnie na otwartej przestrzeni, błyszczała w świetle poranka jego łysa głowa.

- No to ruszajmy - powiedział Urn.

- Ruszajmy gdzie?

- Możemy wbiec na schody i go uratować.

- Ich jest więcej niż nas - zauważył Symonia.

- A czy nie zawsze tak było? Przecież to nie jest tak, że magicznie zrobiło się ich więcej niż nas, ponieważ złapali Bruthę. Prawda? Symonia chwycił go za ramię.

- Pomyśl logicznie, dobrze? - rzekł z naciskiem. - Jesteś przecież filozofem. Spójrz na ten tłum! Urn spojrzał na tłum.

- I co?

- No, to im się nie podoba. - Symonia odwrócił się. — Posłuchaj. Brutha i tak umrze. Ale w ten sposób coś przez to osiągnie. Ludzie nie rozumieją tak naprawdę, o co chodzi z kształtem świata i całą resztą. Ale zapamiętają, co Vorbis zrobił człowiekowi. Zgadza się? Możemy ze śmierci Bruthy uczynić symbol dla ludu. Nie rozumiesz?

Urn patrzył na daleką postać rozciągniętą na żółwiu. Brutha był nagi, tylko w przepasce biodrowej.

- Symbol? - powtórzył Urn. W gardle mu zaschło.

- Musi nim być.

Urn przypomniał sobie, jak Didactylos twierdził, że świat jest zabawny. I rzeczywiście, pomyślał odruchowo. Naprawdę jest zabawny. Tu ludzie zamierzają usmażyć kogoś żywcem, ale pozostawiają mu opaskę biodrową - dla przyzwoitości. Trzeba się śmiać. Inaczej człowiek by zwariował.

- Wiesz co? - powiedział, odwracając się do Symonii. - Teraz nabrałem pewności, że Vorbis jest zły. Spalił moje miasto. No cóż,

Tsortianie też to robią od czasu do czasu, a my palimy ich miasta. To po prostu wojna. Element historii. Vorbis kłamie, oszukuje i zgarnia władzę dla siebie, lecz wielu ludzi także to robi. Ale wiesz, co w nim jest wyjątkowego? Wiesz, co takiego?

- Oczywiście - odparł Symonia. - To, co robi z...

- To, co zrobił z tobą.

- Co takiego?

- Zmienia innych ludzi na swój obraz. Uścisk Symonii był jak imadło.

- Sugerujesz, że jestem taki jak on?

- Kiedyś mówiłeś, że chętnie byś go zabił - powiedział Urn. -A teraz myślisz jak on.

- Więc mamy zaatakować? - spytał Symonia. -Jestem pewien... no, może czterystu ludzi jest po naszej stronie. Daję sygnał i kilka setek naszych rusza do

ataku na ich tysiące? On ginie i tak, a my też giniemy? Jaka to różnica?

Twarz Urna aż poszarzała z grozy.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? - wyszeptał.

Kilka osób z tłumu obejrzało się na nich z zaciekawieniem.

- Nie wiesz? — powtórzył Urn.

Niebo było niebieskie. Słońce nie weszło jeszcze dostatecznie wysoko, by zmienić się w typową dla Omni miedzianą misę.

Brutha znowu odwrócił głowę w stronę słońca. Wyszło o swoją szerokość ponad horyzont, chociaż - jeśli teorie Didactylosa o prędkości światła były poprawne - słońce naprawdę zachodziło tysiące lat w przyszłości.

Przesłoniła je głowa Vorbisa.

- Gorąco ci już, Brutho? - zapytał diakon.

- Ciepło.

- Będzie cieplej.

W tłumie nastąpiło jakieś zamieszanie. Ktoś krzychał. Vorbis nie zwrócił na to uwagi.

- Nic nie masz do powiedzenia? - zapytał. - Nie stać cię nawet na klątwę? Choćby jedno przekleństwo?

- Nigdy nie słyszałeś Oma - powiedział Brutha. - Nigdy nie wierzyłeś. Nigdy, ale to nigdy nie usłyszałeś jego głosu. Docierały do ciebie tylko echa we wnętrzu twojego umysłu.

- Doprawdy? Ale jestem cenobiarchą, a ty usmażysz się za zdradę i herezję. To może tyle na temat Oma?

- Stanie się sprawiedliwość - oświadczył Brutha. - Jeśli nie ma sprawiedliwości, nie ma niczego.

Zdał sobie sprawę z cichego głosu w swojej głowie, zbyt dalekiego jeszcze, by rozróżnić słowa.

- Sprawiedliwość? - powtórzył Vorbis. Zdawało się, że sama myśl ó niej doprowadza go do wściekłości. Odwrócił się do grupy biskupów. - Słyszeliście go? Stanie się sprawiedliwość? Om już osądził! Poprzez mnie! To jest sprawiedliwość!

Na tle słońca pojawiła się ciemna plamka pędząca w stronę Cytadeli. A cichy głos mówił: W lewo, lewo, lewo, góra, góra, lewo, prawo, trochę w lewo... Masa metalu pod Brutha stawała się nieprzyjemnie gorąca.

- On nadchodzi.

Vorbis skinął ręką ku wielkiej fasadzie Świątyni.

- Ludzie to zbudowali. My zbudowaliśmy - powiedział. — A co zrobił Om? Om nadchodzi? Niech przyjdzie! Niech rozsądzi między nami!

- On nadchodzi już teraz - powtórzył Brutha. - Bóg.

Ludzie spojrzeli lękliwie w górę. Nastąpiła chwila, ta krótka chwila, kiedy świat wstrzymuje oddech i wbrew wszelkiej wiedzy oczekuje cudu.

...w górę, w lewo, a teraz na trzy, raz, dwa, TRZY...

- Vorbisie - wychrypiał Brutha.

- Czego? - burknął diakon.

- Ty umrzesz.

Był to zaledwie szept, ale odbił się od spiżowych wrót i dotarł w najdalsze zakątki placu...

Wzbudził niepokój, choć nikt dokładnie nie wiedział dlaczego.

Orzeł przemknął nadplaceni tak nisko, że ludzie schylali głowy. Potem wzleciał

nad dach Świątyni i skręcił w kierunku gór. Wszyscy odetchnęli. To tylko orzeł... Przez moment, tylko przez moment...

Nikt nie zauważył maleńkiego czarnego punktu spadającego z nieba.

Nie można pokładać ufności w bóstwach. Ale można polegać na żółwiach.

Uczucie prędkości i wichru w umyśle Bruthy, i głos...

...dolichaniechtoożezratunkuarghnieNieNieAargAniechto-NIENIEAARGH...

Nawet Vorbis się opanował. Była taka chwila, kiedy zobaczył orła... Ale nie.

Rozłożył ramiona i uśmiechnął się błogo do nieba.

— Przykro mi - powiedział Brutha.

Jeden czy dwóch ludzi, którzy uważnie obserwowali Vorbisa, mówili potem, że miał akurat dość czasu, by zmienić się wyraz jego twarzy. Zaraz potem dwa funty żółwia poruszającego się z prędkością trzech metrów na sekundę trafiły go między oczy.

To było objawienie.

A to działa na ludzi, którzy patrzą. Przede wszystkim zaczynają z całego serca wierzyć.

Brutha słyszał tupot biegnących stóp, czuł czyjeś ręce szarpiące jego łańcuchy. A potem głos:

I. On jest Mój.

Wielki Bóg wzniósł się ponad świątynią. Wzbierał i przemieniał się, w miarę jak spływała w niego wiara tysięcy wyznawców. Pojawiały się kształty ludzi z orlimi głowami, byków i złotych rogów, ale spleły się, łączyły i zlewały razem.

Cztery ogniste pociski wystrzeliły z chmury i strąciły trzymające Brutę łańcuchy.

II. On jest Cenobiarchą i Prorokiem Proroków.

Głos teofanii zagrział echem odbitym od dalekich gór.

III. Czy ktoś ma coś przeciw temu? Nie? Dobrze.

Obłok skondensował się w migotliwą, złocistą postać, wysoką jak sama Świątynia. Postać schyliła się, aż jej oblicze zawisło o kilka stóp nad Brutha, a szept, który rozbrzmiewał na całym placu, oznajmił:

IV. Nie przejmuj się. To dopiero początek. Ty i ja, maty! Wkrótce ludzie się przekonają, na czym naprawdę polega Plącz i Zgrzytanie Zębów.

Kolejny strumień ognia wystrzelił prosto w drzwi Świątyni. Zatrzasnęły się, a rozżarzony spiż stopił się i wymazał przykazania stuleci. -

V. Więc jak będzie, Proroku ?

Brutha wstał niepewnie. Urn podtrzymywał go z jednej strony, a Symonia z drugiej.

- Mmm? - wymamrotał oszołomiony.

VI. Twoje Przykazania?

- Myślałem, że powinny pochodzić od ciebie - zdziwił się Brutha. - Nic mi nie przychodzi do głowy... Świat zamarł w oczekiwaniu.

- Może „Myśl samodzielnie”? - zaproponował Urn, spoglądając zafascynowany na boską manifestację.

- Nie - zaprotestował Symonia. - Spróbuj czegoś w stylu Jedność społeczna jest kluczem postępu".

- Raczej nie zapada łatwo w pamięć - mruknął Urn.

- Gdybym mógł w czymś pomóc - wtrącił z tłumu Rękę Sobie Odrąbuję Dhblah - to bardzo by się przydało coś o dobrodziejstwach przemysłu słodczowo-

przekąskowego.

- Nie zabijać ludzi. Takie coś byłoby niezłe - dodał ktoś spośród gapiów.

- Na początek całkiem niezłe - zgodził się Urn. Zerknęli na Wybrańca. Brutha strząsnął z siebie ich ręce i stał sam, chwiejąc się lekko.

- Neeee... — powiedział. - Nie. Kiedyś też tak myślałem, ale się nie nadaje. Nie bardzo.

Teraz, pomyślał. Tylko teraz. W tym jednym momencie historii. Nie jutro, nie w przyszłym miesiącu. Zawsze już będzie za późno, jeśli nie teraz.

Patrzyli na niego.

- Daj spokój - rzucił Symonia. - Co ci się nie podoba? Z czymś takim trudno się klócić.

- Nie potrafię wyjaśnić — odparł Brutha. — Ale myślę, że ma to związek z tym, jak ludzie powinni się zachowywać. Moim zdaniem... Moim zdaniem trzeba robić pewne rzeczy, ponieważ są słuszne. Nie dlatego że bogowie każą. Innym razem mogą przecież wymyślić coś innego.

VII. Podoba mi się to o Niezabijaniu, wtrącił z góry Om.

VIII. Całkiem dobrze brzmi. Pospiesz się, mam jeszcze w planie trochę Porażania.

- Widzicie? — spytał Brutha. — Nie. Żadnego porażania. Żadnych przykazań, jeśli sam nie będziesz ich przestrzegał. Om uderzył pięścią w dach Świątyni.

IX. Rozkazujeś Mi? Tutaj? TERAZ? MNIE?

- Nie. Proszę.

X. To jeszcze gorsze niż rozkazywanie.

- Każda rzecz działa w obie strony.

Om znowu uderzył w swą Świątynię. Mur runął do wnętrza. Ta część tłumu, która nie zdążyła jeszcze w panice wybiec z Placu Żalów, zdwoiła wysiłki.

XI. Musi być Kara. Inaczej nie będzie Porządku!

- Nie.

XII. Nie potrzebuję cię! Mam już dość wiernych!

- Ale tylko dzięki mnie. W dodatku może nie na długo. To zdarzy się znowu. To zdarza się ciągle. Dlatego umierają bogowie. Nigdy nie wierzą w ludzi. Ale ty masz szansę. Musisz tylko... uwierzyć.

XIII. Co ? Mam słuchać głupich modlitw ? Opiekować się dziećmi ? Sprowadzać deszcz ?

- Czasami. Nie zawsze. Możemy dobić targu.

XIV. TARGU? Nie targuje się! Nie z ludźmi!

- Targuj się teraz - poradził Brutha - póki masz szansę. Bo pewnego dnia będziesz musiał dobijać targu z Symonią czy kimś takim jak on. Albo z Urnem czy kimś takim jak on.

XV. Mogę cię zniszczyć!

- Tak. Jestem całkowicie w twojej mocy.

XVI. Mogę cię zgnieść jak skorupkę jajka!

- Możesz.

Om zastanowił się.

Po czym rzekł:

XVII. Nie możesz używać Słabości jako Broni.

- To jedyna, jaką mam.

XVIII. Wiec dlaczego miałbym ustąpić?

- Nie ustąpić. Dobijać targu. Umawiać się ze mną w słabości. Albo pewnego dnia będziesz musiał zawierać umowę z kimś rozmawiającym z pozycji siły. Świat się

zmienia.

XIX. Ha! Chcesz religii konstytucyjnej?

- Czemu nie? Inne rodzaje nie funkcjonowały jak należy. Om oparł się o Świątynię. Jego gniew przygasał.

Rozdz. II, w. I. Dobrze wiec. Ale tylko na pewien czas. Ogromne, dymiące oblicze rozciągnęło się w uśmiechu. Na sto lat. Zgoda ?

- A po stu latach? *II. Zobaczymy.*

- Zgoda.

Palec wielkości drzewa wyprostował się, opuścił, dotknął Bruthy.

III. Potrafisz przekonywać. Przyda ci się to. Zbliża się flota.

- Efebianie? — domyślił się Symonia.

IV. I Tsortianie. IDjelibeybianie. I Klatchianie. Wszystkie wolne narody z wybrzeża. Aby zmiażdżyć Omnie na dobre. Albo źle.

- Nie macie zbyt wielu przyjaciół - zauważył Urn.

-Ja sam nas nie lubię, a przecież jestem nami — odparł Symonia. Podniósł głowę i spojrzał na boga. - Pomożesz nam?

V. Nawet we Mnie nie wierzysz!

- To prawda, ale jestem człowiekiem praktycznym.

VI. I odważnym, skoro deklarujesz Ateizm w obecności swego Boga.

- Przecież to niczego nie zmienia. Nie myśl, że zdołasz mnie nawrócić samym swoim istnieniem.

- Żadnej pomocy — oświadczył stanowczo Brutha.

- Co? - Symonia nie wierzył własnym uszom. - Przeciwnie nim wszystkim potrzebujemy wielkiej armii!

- Owszem. I nie mamy jej. Dlatego załatwimy to inaczej.

- Oszalałeś!

Spokój Bruthy był niczym pustynia.

- To możliwe.

- Musimy walczyć!

-Jeszcze nie.

Symonia gniewnie zacisnął pięści.

- Posłuchaj... Ginęliśmy dla kłamstw, przez wieki ginęliśmy dla kłamstw. - Zamachał rękami na Boga. - Teraz mamy prawdę, żeby za nią umierać!

- Nie. Ludzie mogą ginąć dla kłamstw. Ale prawda jest na to zbyt cenna.

Symonia bezgłośnie otwierał i zamykał usta, szukając właściwej odpowiedzi. Wreszcie znalazł taką - u zarania swej edukacji.

- Mówiono mi, że szlachetną rzeczą jest umierać dla boga -wymamrotał.

- Vorbis tak twierdził. A on był... głupi. Możesz ginąć za swoją

ojczyznę albo za rodzinę, ale dla boga powinienes żyć szczęśliwie i pracować każdego dnia swego długiego żywota.

- A jaki długi on będzie?

- Przekonamy się. Brutha spojrzał na Oma.

- Nie pokażesz się już w takiej postaci? *Rozdz. III, w. I. Nie. Raz wystarczy.*

- Nie zapominaj o pustyni. 77.

- Nie zapomnę.

- Chodź ze mną.

Brutha podniósł ciało Vorbisa.

- Myślę - rzekł - że wylądują na plaży, po efebiańskiej stronie fortów. Nie spróbują na skalistym wybrzeżu i nie mogą na klifach. Tam wyjdę im na spotkanie. - Zerknął na Vorbisa. - Ktoś powinien.

- Nie chcesz chyba iść tam sam?
- Dziesięć tysięcy nie byłoby dosyć. Jeden może wystarczyć. Zszedł po stopniach. Um i Symonia spoglądali za nim.

- On zginie - stwierdził Symonia. - Nie zostanie po nim nawet mokra plama na brzegu. - Obejrzał się na Oma. - Możesz go powstrzymać?

777. Możliwe, że nie zdołam tego uczynić.

Brutha dotarł już na środek placu.

- My w każdym razie go nie opuścimy - oświadczył Symonia.

IV. Dobrze.

Om przyglądał się, jak odchodzą. A potem został sam, jeśli nie liczyć tysięcy obserwujących go z obrzeży wielkiego placu. Chciałby wiedzieć, jak ma do nich przemówić. Właśnie do tego potrzebował takich jak Brutha. Dlatego wszyscy bogowie potrzebują takich jak Brutha.

- Przepraszam bardzo... Bóg spojrzał w dół.

V. Słucham.

- Tego... Pewnie-nie zdołam ci niczego sprzedać?

VI. Jak się nazywasz?

- Dhblah, boże.

V77. A tak. I jakie masz życzenie?

Kupiec przestępował nerwowo z nogi na nogę.

- Czy nie mógłbyś ogłosić jakiegoś drobnego przykazania? Na przykład czegoś o jedzeniu jogurtu w środy? Zawsze słabo schodzi w środku tygodnia.

VIII. Stoisz przed swoim Bogiem, a szukasz okazji do zysku ?

- Niby tak - przyznał Dhblah. - Ale moglibyśmy dojść do porozumienia. Kuj, póki żelazo gorące, jak mawiają inkwizytorzy. Cha, cha. Dwadzieścia procent? Co na to powiesz? Po odjęciu kosztów, naturalnie...

Wielki Bóg Om uśmiechnął się.

IX. Myślę, że byłby z ciebie mały prorok, Dhblah, powiedział.

- Właśnie. No właśnie. Niczego więcej mi nie trzeba. Staram się tylko jakoś przerobić na hummus koniec z końcem.

X. Żółwie należy zostawiać w Spokoju. Dhblah przechylił głowę.

- Nie brzmi najlepiej - stwierdził. - Chociaż... święte zwierzę... żółwiowe naszyjniki... Hm... Broszki, naturalnie. Szykretowe...

XI. NIE!

- Przepraszam, przepraszam. Rozumiem, o co chodzi. Oczywiście. Posążki żółwi. Myślałem już o nich. Niezły kształt. Przy okazji, nie mógłbyś sprawić, żeby taki posążek kołysał się od czasu do czasu? Takie ruchome posążki to niezły interes. Posąg Ossory'ego porusza się w każdy Post Ossoryjski. Podobno dzięki niewielkiemu urządzeniu z tłokiem, które działa w podziemiach. Ale prorokowi wychodzi to na dobre.

XII. Bawisz mnie, mały proroku. Sprzedawaj swoje żółwie, jak najbardziej.

- Prawdę mówiąc - dodał Dhblah - naszkicowałem już parę projektów...

Om zniknął. Zagrzmiało krótko. Dhblah w zadumie studiował swoje rysunki.

- ...ale chyba trzeba będzie usunąć z nich tego ludzika - mruknął do siebie.

Cień Vorbisa rozejrzał się dookoła. - Aha. Pustynia - powiedział.

Czarny piasek leżał w absolutnym bezruchu pod rozgwieżdżonym niebem. Wyglądał na zimny.

Vorbis nie planował jeszcze umierania. Właściwie... Nie bardzo sobie przypominał, jak umarł...

- Pustynia - powtórzył i tym razem w głosie pojawił się cień niepewności. A przecież za... życia nigdy i w żadnej sprawie nie odczuwał niepewności. Wrażenie było przerażające i obce. Czy tak się czują zwykli ludzie?

Wziął się w garść.

Śmierć był pod wrażeniem. Bardzo nieliczni potrafią po zgonie utrzymać formę dawnego myślenia.

Śmierć ze swej pracy nie czerpał przyjemności; była to emocja, którą uznał za trudną do opanowania. Istniała jednak satysfakcja...

- A zatem - rzekł Vorbis - pustynia. A na krańcu pustyni...? SAD.

- Tak, tak. Oczywiście.

Vorbis próbował się skupić. Nie potrafił. Czuł, jak odpływa od niego pewność. A przecież zawsze był pewien.

Zawahał się -jak człowiek, który otwiera drzwi do znanego pokoju i znajduje za nimi jedynie bezdenną otchłań. Wspomnienia wciąż tam były. Wyczuwał je. Miały właściwy kształt. Tyle że nie mógł sobie przypomnieć, czym są. Był jakiś głos... Przecież musiał być, prawda? Ale teraz pamiętał tylko dźwięk własnych myśli odbijających się we wnętrzu umysłu.

Teraz musi przekroczyć pustynię. Czego ma się obawiać?

Pustynia jest tym, w co wierzyłeś.

Vorbis zajrzał w głąb samego siebie.

I patrzył...

Opadł na kolana.

WIDZĘ, ŻE JESTEŚ ZAJĘTY, odezwał się Śmierć.

- Nie zostawiaj mnie! To taka pustka!

Śmierć spojrzał na nieskończoną pustynię. Pstryknął palcami i natychmiast podbiegł do niego wielki biały koń.

WIDZĘ STO TYSIĘCY LUDZI, oświadczył Śmierć.

- Gdzie? Gdzie?

TUTAJ, OBOK CIEBIE. ,

- Nie widzę ich!

Śmierć chwycił wodze.

A JEDNAK, rzekł. Koń ruszył truchtem.

- Nie rozumiem! - wrzasnął Vorbis.

Śmierć zatrzymał się.

SŁASZAŁEŚ MOŻE TAKIE POWIEDZENIE, rzekł, ŻE PIEKŁO TO INNI?

- Tak. Tak, oczywiście.

Śmierć skinął głową.

Z CZASEM, powiedział, PRZEKONASZ SIĘ, ŻE TO NIEPRAWDA.

Pierwsze łodzie zgrzytnęły o piasek, a żołnierze wyskoczyli do wody sięgającej im ramion.

Nikt nie wiedział dokładnie, kto dowodzi flotą. Kraje na wybrzeżu w większości nienawidziły się wzajemnie, nie w sensie osobistym, ale w oparciu o pewne zaszłości historyczne. Z drugiej strony jednak, czy konieczny był jakiś dowódca? Żaden z krajów, które wysłały swoje okręty, nie nienawidził innych bardziej niż Omni. Konieczne stało się, żeby przestała istnieć.

Generał Argavisti z Efebu był przekonany, że on jest wodzem. Choć bowiem

nie dysponował większością okrętów, to mścił się za atak na Efeb. Jednak imperator Borvorius z Tsortu siebie uważał za wodza, gdyż Tsort wysłał na wyprawę więcej okrętów niż ktokolwiek inny. Natomiast admirał Rhamap Efan z Djelibeybi wiedział, że to on dowodzi, gdyż był osobą przekonaną, że zawsze wszystkim dowodzi.

Jedynym kapitanem, który nie uważał się za dowódcę floty, był Fasta Benj, rybak pochodzący z bardzo małego narodu nomadów zamieszkujących mokradła. O ich istnieniu pozostałe kraje nie miały najmniejszego pojęcia, ale jego trzciniowa łódka znalazła się na kursie floty i została zgarnięta. Ponieważ plemię Fasty Benja wierzyło, że na świecie żyje pięćdziesiąt jeden osób, oddawało cześć gigantycznej traszce, używało bardzo dziwnego języka, którego nikt inny nie rozumiał, oraz nigdy nie widziało żelaza ani ognia, kapitan przez większość czasu tylko uśmiechał się oszołomiony.

Najwyraźniej dotarli do brzegu zbudowanego nie z trzciny i błota, jak należy, ale z małych szorstkich ziarenek. Wyciągnął więc swoją trzciniową łódkę na ląd, usiadł, patrzył z zaciekawieniem i czekał, co zrobią teraz ludzie w czapkach z pióropuszcami i błyszczących kamizelkach przypominających rybnie łuski.

General Argavisti rozejrzał się po plaży.

- Musieli przecież zauważyć, że nadpływamy - rzekł. - Dlaczego więc pozwolili nam zdobyć przyczółek?

Rozpalone powietrze falowało nad wydrami. Pojawiła się ciemna plamka, która rosła i nabierała kształtu w blasku słońca.

Żołnierze wylewali się na brzeg.

General Argavisti osłonił oczy.

- Ten człowiek idzie w naszą stronę - stwierdził.

- Może to szpieg? - zgadywał Borvorius.

- Nie bardzo rozumiem, jak mógłby być szpiegiem we własnym kraju - odparł generał. - Zresztą gdyby był szpiegiem, to by się skradał. Po tym można ich poznać.

Przybysz stanął u stóp pasa wydmy. Było w nim coś, co przyciągało wzrok. Argavisti wiele razy stawał wobec wrogiej armii, co jest rzeczą zwyczajną. Jeden cierpliwie czekający człowiek zwyczajny nie był. General zdał sobie sprawę, że ogląda się co chwilę, by na niego popatrzeć.

- Coś niesie - zauważył po chwili. — Sierzancie! Idźcie tam i przyprowadźcie go.

Sierzant wrócił po kilku minutach.

- Mówi, że spotka się z panem w połowie drogi, generale - zameldował.

- Czy nie kazałem go przyprowadzić?

- Nie chciał iść, generale.

- Macie przecież miecz, prawda?

- Tak jest. Ukłułem go nawet, ale się nie ruszył. I przyniósł jakiegoś trupa.

- Na pole bitwy? Wiecie, to nie piknik, gdzie każdy przynosi własne zapasy.

- Panie generale...

- Słucham?

- On mówi, że prawdopodobnie jest cenobiarchą. Chce rozmawiać o traktacie pokojowym.

- Chce rozmawiać? O traktacie? Znamy te traktaty pokojowe z Omnią. Idźcie i powiedzcie mu... Nie. Weźcie paru ludzi i sprowadźcie go tutaj.

Otoczony żołnierzami Brutha przeszedł przez zorganizowane pandemonium obozu. Powinienem się bać, myślał. Często się bałem w Cytadeli. Ale nie teraz. Przeszedłem przez strach na drugą stronę.

Od czasu do czasu któryś z żołnierzy popychał go mocno. Nie jest przyjęte, by

przeciwnik swobodnie wchodził do obozu, nawet jeśli chcą tego obie strony.

Doprowadzono go przed ustawiony na kozłach stół, za którym siedziało kilku potężnych mężczyzn w różnych mundurach oraz jeden niski człowieczek patroszący rybę i uśmiechający się pogodnie.

- A zatem... - zaczął Argavisti. - Cenobiarcha Omni, tak? Brutha zrzucił na piasek ciało. Wszyscy na nie spojrzeli.

- Znam go - oznajmił Borvorius. - To Vorbis! Ktoś go w końcu zabił, co? Mógłbyś przestać mi wciskać tę rybę? Czy ktoś wie, co to za człowiek? - zapytał, wskazując Fastę Benja.

- To był żółw - wyjaśnił Brutha.

- Żółw? Wcale mnie to nie dziwi. Nigdy im nie ufałem. Wiecznie się kręcą pod nogami. Słuchaj no, mówiłem przecież, że nie chcę ryby! On nie jest ode mnie, to pewne. Może to ktoś z waszych?

Argavisti z irytacją machnął ręką.

- Kto cię przysłał, chłopcze?

- Nikt. Przyszedłem z własnej woli. Ale możecie uznać, że przybywam z przyszłości.

- Jesteś filozofem? A gdzie twoja gąbka?

- Przyłączyliście, by wydać wojnę Omni. To nie jest dobry pomysł.

- Z punktu widzenia Omni, owszem.

- Z każdego punktu widzenia. Prawdopodobnie nas pokonacie. Ale nie wszystkich. I co zrobicie potem? Zostawicie tu garnizon? Na zawsze? W końcu nowe pokolenie spróbuje odwetu. Dlaczego to zrobiliście, nie będzie dla nich istotne. Będziecie ciemniznami. Przystąpią do walki. Może nawet zwyciężą. I zacznie się następna wojna. Aż pewnego dnia ludzie zapytają: Dlaczego wtedy nie załatwili tych spraw? Na plaży? Zanim wszystko się zaczęło? Zanim zginęło tylu ludzi? Teraz mamy tę szansę. Czyż nie sprzyja nam szczęście?

Argavisti przypatrywał mu się zdumiony. Po chwili szturchnął Borvoriusa.

- Co on powiedział?

Borvorius lepiej od pozostałych radził sobie z myśleniem.

- Czy mówisz o kapitulacji?

- Tak. Jeśli tak brzmi to słowo. Argavisti nie wytrzymał.

- Nie możesz tego zrobić!

- Ktoś musi. Wysłuchajcie mnie. Vorbis nie żyje. Zapłacił za swoje winy.

- Ale niewystarczająco. A co z waszymi żołnierzami? Chcieli złupić nasze miasto!

- Czy pańscy żołnierze wykonują rozkazy? ^ - Oczywiście!

- I zabiliby mnie teraz, gdyby im pan polecił?

- Ma się rozumieć!

- A przecież jestem nieuzbrojony - zauważył Brutha. Zapadła nerwowa cisza. Słońce świeciło jasno.

- Kiedy mówiłem, że wykonują... - zaczął Argavisti.

- Nie przybyliście tu na rokowania - przerwał mu Borvorius. — Śmierć Vorbisa niczego w zasadzie nie zmienia. Mamy zadbać o to, by Omnia nikomu już nie zagrażała.

- Nie *zagraża*. Wyślemy materiały i ludzi, by pomóc w odbudowie Efebu. I złoto, jeśli chcecie. Zredukujemy naszą armię. I tak dalej. Uznajcie, że nas pobiliście. Otworzymy nawet granice Omni dla innych religii, które zechcą wznosić tu swe świątynie.

W jego głowie odbił się echem głos, jakby osoby stojącej za plecami, która

mówi: „Przesuń białą królową przed czarnego króla”, kiedy człowiek myślał już, że gra samodzielnie.

L Co?

- To zachęci nas do... wysiłku. *II. Inni bogowie? Tutaj?*

- Rozwinie się wolny handel wzdłuż wybrzeża. Chcę, by Omnia zajęła swoje miejsce wśród innych krajów.

III. Słyszałem, że wspominasz o innych bogach.

- Jej miejsce jest na dnie - oświadczył Borvorius.

- Nie. To się nie uda.

IV. Czy moglibyśmy wrócić do sprawy innych bogów?

- Muszę panów na chwilę przeprosić - poinformował uprzejmie Brutha. - Chciałbym się pomodlić.

Nawet Argavisti nie zaprotestował, gdy Brutha odszedł kawałek wzdłuż brzegu. Jak głosił św. Ungulant każdemu, kto chciał słuchać, bycie szaleńcem miało pewne zalety. Ludzie wahali się, czy kogoś takiego powstrzymywać, w obawie że to tylko pogorszy jego stan.

- Słucham? — rzucił pod nosem Brutha.

V. Jakoś sobie nie przypominam żadnej dyskusji na temat innych bogów wyznawanych w Omni.

- Ależ to będzie z korzyścią dla ciebie - zapewnił Brutha. - Ludzie szybko się przekonają, że ci inni są do niczego. Prawda? Skrzyżował palce, kryjąc dłoń za plecami.

VI. Tu chodzi o religię, mój mały. Nie o jakieś nieszczęsne zakupy porównawcze. Nie będziesz poddawał swego Boga działaniu Rynku!

- Przepraszam. Rozumiem, że masz powody do obaw...

VII. Obaw? Ja? Przed bandą wystrojonych bab i mięśniaków, tych pozerów z trefionymi brodami?

- To świetnie. A więc załatwione.

VIII. Nie przetrwają nawet pięciu minut. ..Co?

- Teraz lepiej już pójdę i jeszcze raz spróbuję porozmawiać z tymi ludźmi.

Zauważył jakiś ruch między wydrami.

- Och, nie - jęknął. - Ci idioci...

Odwrócił się i co sił pognął w stronę wyciągniętych na brzeg okrętów.

- Nie! To nie tak! Słuchajcie! Słuchajcie!

Ale tamci także zobaczyli wojsko.

Z wyglądu było imponujące, może nawet bardziej niż w rzeczywistości. Kiedy rozeszła się wieść, że wyładowała wielka nieprzyjacielska flota mająca w planach na poważnie łupić, rabować oraz -ponieważ wrogowie pochodzili z krajów cywilizowanych - gwizdać i mrugać na kobiety, robić na nich wrażenie tymi swoimi przekłętymi krzykliwymi mundurami, kusić je tymi swoimi przekłętymi krzykliwymi towarami konsumpcyjnymi, wiadomo to, pokaże taki lustro z polerowanego brązu i już babie uderza do głowy, można by pomyśleć, że coś jest nie w porządku z miejscowymi chłopakami... Kiedy więc rozeszła się wieść, ludzie albo uciekali w góry, albo chwyтали jakiś poręczny, wygodny do zamachu przedmiot, kazali babci chować rodzinne skarby w bieliźnie i szykowali się do walki.

A na czele jechał żelazny wóz. Para unosiła się z komina. Urn widać zdołał go jakoś uruchomić.

- Głupcy! Głupcy! - krzyknął Brutha do świata jako takiego i biegł dalej.

Przybysze formowali już linie obronne. Ich dowódca, którykolwiek to był, zdumiał się, widząc atak prowadzony przez jednego człowieka.

Borrorius chwycił Bruthę, który wyraźnie chciał się rzucić na rząd włóczy.

- Rozumiem - powiedział. - Zająłeś nas rozmową, żeby twoi żołnierze mogli obsadzić pozycje, tak?

- Nie! Nie tego chciałem!

Borrorius zmrużył oczy. Przeżył w swoim życiu wiele bitew — nie dlatego że był głupcem.

- Nie - przyznał. - Może nie chciałeś. Ale to bez znaczenia. Posłuchaj mnie, naiwny młody księżulku. Czasami trzeba stoczyć wojnę. Sprawy zaszły za daleko, by wystarczyły słowa. Działają... inne siły. A teraz wracaj do swoich. Może kiedy wszystko już się skończy, obaj będziemy jeszcze żyli. Wtedy porozmawiamy. Najpierw walka, potem rokowania. Tak to działa, mój chłopcze. To jest historia. Idź już.

Brutha odwrócił się.

I. Czy mam ich porazić¹?

-Nie!

II. Mogę sprawić, że będą jako pył. Wystarczy, że powiesz stówko.

- Nie. To jeszcze gorsze niż wojna.

III. Mówiłeś przecież, że Bóg musi chronić swój lud...

- Jacy byśmy byli, gdybyśmy wymagali od ciebie rażenia uczciwych ludzi?

IV. Nie poprzebijani strzałami ?

- Nie.

Omnianie rozwijali szlak między wydmami. Wielu skupiło się wokół obitego żelazem wozu. Brutha spoglądał na to poprzez mgłę rozpaczy przesłaniającą mu oczy.

- Czy nie mówiłem, że chcę iść do nich sam? Oparty o Żółwia Symonia uśmiechnął się posępnie.

- Udało się? - zapytał.

- Myślę... Chyba nie.

- Wiedziałem. Przykro mi, że sam musiałeś się przekonać. Sprawy czasem tak jakby chciały się wydarzyć. Ludzie stają przed sobą i... i tyle.

- Ale gdyby tylko zechcieli...

- Pewnie. Mógłbyś tego użyć jako przykazania. Coś brzęknęło głośno i z boku Żółwia otworzyła się kłapa. Z otworu tyłem wysunął się Urn. Trzymał w ręku klucz.

- Co to jest? - spytał Brutha.

- To machina do walki - wyjaśnił Symonia. - Żółw Się Rusza, co?

- Do walki z Efebianami? Urn odwrócił się niespokojnie.

-Co?

- Zbudowałeś to... tę rzecz... żeby walczyć z Efebianami?

- Ale... No nie, nie... - Urn wyraźnie się zaniepokoił. -Walczymy z Efebianami?

- Ze wszystkimi — oznajmił Symonia.

- Aleja nigdy... Przecież jestem... Nigdy... Brutha przyjrzał się ostrzom na kołach i zębatym płytom pancerza.

- To maszyna, która sama się porusza - powiedział Urn. -Chcieliśmy jej użyć do... To znaczy... Słuchajcie, przecież ja nie chciałem...

-Jest nam potrzebna - stwierdził Symonia.

-Jakim nam?

- Co wylatuje przez ten długi dziób z przodu? - zainteresował się Brutha.

- Para - wyjaśnił smętnie Urn. -Jest połączony z zaworem bezpieczeństwa.

- Aha.

- Wylatuje bardzo gorąca - dodał Urn i przygarbił się.

- Tak?

- Właściwie to parzy.

Spojrzenie Bruthy przesunęło się z wylotu pary na wirujące ostrza.

- Bardzo filozoficzne - stwierdził.

- Zamierzaliśmy użyć jej przeciwko Vorbisowi - zapewnił Urn.

- A teraz nie użyjecie. Zostanie wykorzystana przeciwko Efebianom. Wiesz, kiedyś myślałem, że to ja jestem głupi. A potem spotkałem filozofów.

Symonia przerwał milczenie. Poklepał Bruthę po ramieniu.

- Wszystko się ułoży - obiecał. - Nie przegramy. W końcu... - uśmiechnął się zachęcająco - ...Bóg jest po naszej stronie.

Brutha odwrócił się. Nie był to techniczny cios, ale był dostatecznie silny, żeby Symonia okręcił się dookoła i złapał za podbródek.

- Za co to było? Przecież tego chciałeś!

- Mamy takich bogów, na jakich zasługujemy - oznajmił Brutha. — A moim zdaniem nie zasługujemy na żadnych. Głupcy. Głupcy! Najrozsądniejszy człowiek, jakiego w tym roku spotkałem, żyje na słupie na pustyni. Głupcy. Myślę, że powinienem wejść na słup jak on.

I. Dlaczego?

- Bogowie i ludzie, ludzie i bogowie... Wszystko dzieje się dlatego, że działa się tak wcześniej. To głupie. *II. Ale ty jesteś Wybrańcem.*

- To wybierz kogoś innego.

Brutha odszedł między szeregami naprędce zebranej armii. Nikt nie próbował go zatrzymać. Dotarł do ścieżki prowadzącej na klify i nawet się nie obejrzał, by spojrzeć na szyki wojsk.

- Nie będziesz oglądał bitwy? Potrzebny mi ktoś, kto będzie patrzył na bitwę.

Didactylos siedział na kamieniu z dłońmi złożonymi na łasce.

- O... To pan - rzucił gorzko Brutha. - Witamy w Omni.

- Pomaga, jeśli podchodzisz do tego filozoficznie — pocieszył go Didactylos.

- Ale przecież nie ma żadnego powodu, by walczyć!

- Owszem, jest. Honor, zemsta, obowiązek i takie rzeczy.

- Naprawdę pan tak uważa? Myślałem, że filozofowie powinni być logiczni.

Didactylos wzruszył ramionami.

- No cóż, według mnie logika to jedyny sposób, by być ignorantem według reguł.

- Miałem nadzieję, że skoro Vorbis nie żyje, wszystko się skończy. Didactylos spoglądał w swój wewnętrzny świat.

- Wiele czasu trzeba, żeby umarł ktoś taki jak Vorbis. Tacy ludzie pozostawiają echa w historii.

- Rozumiem, o co panu chodzi.

- Jak tam machina parowa Urna? - spytał filozof.

- Wydaje mi się, że trochę się martwi z jej powodu — odparł chłopiec.

Didactylos zachichotał i stuknął laską o ziemię.

- Ha! Uczy się! Każda rzecz działa w obie strony.

- Powinna - przyznał Brutha.

Coś podobnego do złocistej komety przemknęło po niebie nad Dyskiem. Om szybował niby orzeł, unoszony świeżością i mocą wiary. Przynajmniej jak długo potrwa. Wiara tak gorąca, tak rozpaczliwa, nigdy nie płonie zbyt długo. Ludzkie umysły nie są w stanie jej podtrzymywać. Ale póki trwała, był silny.

Centralna iglica Cori Celesti wznosi się z gór wokół Osi - dziesięć pionowych mil zielonego lodu i śniegu, a na ich szczycie wieże i kopuły Dunmanifestin.

Tam właśnie żyją bogowie świata Dysku.

A w każdym razie wszyscy ci, którzy coś znaczą. Co dziwne, chociaż dostanie się tam zajmuje zwykle bogu całe lata trudów, wysiłków i intryg, to kiedy tam trafi, wydaje się, że właściwie nic już nie robi. Pije tylko za dużo i dla rozrywki uprawia odrobinę lekkiego zepsucia. Wiele systemów rządów realizuje podobny schemat.

Bogowie zajmują się grami. Zwykle są to proste gry, gdyż bogowie łatwo się nudzą zajęciami zbyt skomplikowanymi. To niezwykle, że gdy pomniejsze bóstwa mają tylko jeden cel, wręcz są jednym celem, często przez miliony lat, wielcy bogowie miewają okres skupienia uwagi nie dłuższy niż zwykły komar.

A styl? Gdyby bogowie Dysku byli ludźmi, uważaliby trzy gipsowe kaczuszki za sztukę nazbyt awangardową.

Do głównego holu prowadziły dwuskrzydłowe wrota. Teraz zatrzęsły się od potężnego stukania.

Bogowie obojętnie podnieśli głowy znad tego, czym się akurat zajmowali, i zaraz stracili zainteresowanie.

Wrota runęły do wnętrza.

Om przekroczył nad ich szczątkami i rozejrzał się z miną kogoś, kto musi coś znaleźć i nie ma na to wiele czasu.

- Dobra - powiedział.

Io, bóg gromu, spojrzał z wysokości swego tronu i groźnie potrząsnął młotem.

- Kim jesteś?

Om podszedł, chwycił go za togę i błyskawicznie walnął czołem w nos.

Kto tak naprawdę wierzy jeszcze w boga gromu?

-AJ!

— Słuchaj no, przyjacielu, nie mam czasu na rozmowy z jakimś mięczakiem w prześcieradle. Gdzie są bogowie Efebu i Tsortu?

Io, trzymając się za nos, machnął drugą ręką w stronę środka holu.

- Ale nie musiałeś tego robić! - powiedział z wyrzutem.

Om ruszył przez salę.

W samym środku stało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało okrągły stół. Trochę bliżej stawało się podobne do modelu świata Dysku, kompletnego, razem ze słońcami i wszystkim. A z całkiem bliska w jakiś nieokreślony sposób zaczynało wyglądać jak prawdziwy Dysk, widziany z daleka, ale przysunięty. Coś się na nim nie zgadzało z odległościami, budził wrażenie zwiniętych ciasno wielkich przestrzeni. Prawdziwego Dysku nie pokrywała jednak siatka lśniących linii zawieszonych tuż nad powierzchnią - a może całe mile nad powierzchnią?

Om nie widział tego jeszcze, ale wiedział, co ma przed sobą. Cząstka i fala, jednocześnie mapa i miejsce na mapie odwzorowane. Gdyby skupił wzrok na kopule na szczycie maleńkiej Cori Celesti, z pewnością zobaczyłby siebie stojącego nad jeszcze mniejszym modelem... i tak dalej, coraz głębiej, aż do punktu, w którym wszechświat zwija się niczym ogon amonitu, stworzenia żyjącego miliony lat temu, które nigdy nie wierzyło w żadnych bogów...

Bogowie stali dookoła i przypatrywali się uważnie.

Om odsunął na bok drobną boginię dostatku.

Kostki frunęły tuż nad światem; stało tam również mnóstwo glinianych figurek i leżały sztony. Żadna omnipotencja nie była potrzebna, żeby wiedzieć, co się tu dzieje.

- Uderzył bie w doz! Om obejrzał się.

- Nigdy nie zapominam twarzy, przyjacielu. Dlatego lepiej zabierz stąd swoją, dobrze? Póki jeszcze coś z niej zostało. Wrócił do gry.

- Przeprasza - odezwał się głos przy jego pasie. Stała tam bardzo duża traszka.

-Tak?

- Ty nie powinna tak robić tutaj. Nie Porażać. Nie tutaj. Taka zasady. Ty chce walka, ty każe twoja ludzie walczyć z jego ludzie.

- Kim jesteś?

- P'tang-P'tang, ja.

- Jesteś bogiem?

- Absolutna.

- Tak? A ilu masz wyznawców?

- Pięćdziesiąt jeden.

Traszka spojrzała na Oma pytająco i dodała:

- Czy to mnóstwo? Nie umieć liczyć.

Wskazała dość prymitywnie ulepioną figurkę na brzegu w Omni.

- Ale mam stawka - oświadczyła. Om przyjrzał się małej postaci rybaka.

-Jeśli on zginie, będziesz mieć pięćdziesięciu wyznawców - zauważył.

- To więcej czy mniej niż pięćdziesiąt jeden?

- Dużo mniej.

- Absolutna?

- Tak.

- Nikt nie powiedział.

Kilkadziesiąt bóstw obserwowało wydarzenia na plaży. Om niejasno przypominał sobie efebjańskie posągi. Była tam bogini ze źle wyrzeźbioną sową... Tak.

Potał czoło. Nie było to boskie myślenie. Kiedy się jest tu, na górze, wszystko wydaje się prostsze. To tylko gra. Zapomina się, że na dole to wcale nie zabawa. Gina ludzie. Kończyny bywają obrabowane. Jesteśmy tutaj niczym orły, pomyślał. Czasami pokazujemy żółwiowi, jak się lata.

A potem go wypuszczamy.

- Tam, na dole, ludzie będą umierać - oświadczył boskiemu światu jako całości.

Tsortiański bóg słońca nawet się nie obejrzał.

- Po to przecież są — stwierdził. W ręku trzymał kubek z kośćmi, wyglądający całkiem jak ludzka czaszka z rubinami w oczodołach.

- A tak - mruknął Om. - Na chwilę o tym zapomniałem. -Spojrzał na czaszkę, po czym zwrócił się do drobnej bogini dostatku. - Co to takiego, skarbie? Róg obfitości? Mogę obejrzeć? Dzięki.

Wyrzucił z rogu trochę owoców. Potem szturchnął boga traszkę.

- Na twoim miejscu, przyjacielu, poszukałbym czegoś długiego i ciężkiego.

- Czy jeden to mniej niż pięćdziesiąt jeden?

- Tyle samo - odparł stanowczo Om. Zmierzył wzrokiem głowę tsortiańskiego boga.

- Ale ty ma tysiące - zauważył bóg traszka. - Ty walczy o tysiące. Om podrapał się w głowę. Za dużo czasu tam spędziłem, uznał. Nie mogę przestać myśleć na poziomie gruntu.

- Uważam - rzekł - że jeśli chcesz mieć tysiące, musisz walczyć o jednego.

Stuknął w ramię boga słońca.

- Hej, słoneczko!

A kiedy bóg się odwrócił, Om rozbił mu na głowie róg obfitości.

Nie był to zwykły grom. Jąkał się niczym zawstydzone supernowe. Potężne, rwące strugi dźwięku szarpały niebiosy. Piach strzelał fontannami w górę i wirował nad ciałami żołnierzy leżącymi twarzami w dół na plaży. Błyskawica ukuła ziemię, iskry przeskakiwały między ostrzami włóczy a klingami mieczy.

Symonia wytrzeszczył oczy w huczącej ciemności.

- Co to jest, do wszystkich piekieł? - zapytał leżącego obok człowieka.

Był to Argavisti. Spojrzeli na siebie nawzajem.

Znowu grom zagrzecotał na niebie. Bałwany wspinały się jeden na drugi i uderzały w okręty. Kadłub z przerażającą gracją zbliżał się do kadłuba, dodając do basowej melodii gromu kontrapunkty pękającego drewna.

Złamany maszt runął na piasek obok głowy Symonii.

- Zginiemy, jeśli zostaniemy tutaj - stwierdził sierżant. - Chodźmy.

Zataczali się wśród kłębow wodnego pyłu i piasku, między grupkami skulonych, modlących się żołnierzy. Wreszcie trafili na coś twardego, na wpół przysypanego.

Wczółgali się do oazy spokoju pod Żółwiem.

Inni już wcześniej wpadli na ten pomysł. Mroczne postacie siedziały albo leżały w ciemności. Przygnębiony Urn usiadł na swojej skrzynce z narzędziami. Pachniało wypatroszoną rybą.

- Bogowie się gniewają - stwierdził Borvoriusz.

- Są wściekli - dodał Argavisti.

- Ja też nie jestem w najlepszym nastroju - oświadczył Symonia. - Bogowie?

Ha!

- Nie jest to najlepsza pora na bezbożność - zauważył Rhamap.

- Efan.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz winogron.

- Nie wyobrażam sobie lepszej - odparł Symonia. Odlamek rogu obfitości odbił się od pancerza Żółwia, który zakołysał się na kolczastych kołach.

- Ale dlaczego się na nas rozgniewali? - nie rozumiał Argavisti.

- Robimy przecież to, czego chcą.

Borvoriusz spróbował się uśmiechnąć.

- Jak to bogowie - mruknął. - Z nimi źle, bez nich jeszcze gorzej.

Ktoś - tsortiański żołnierz - szturchnął Symonię i podał mu wilgotnego papierosa. Wbrew sobie, sierżant zaciągnął się mocno.

- Nieży tytoń - pochwalił. - To, co rośnie u nas, przypomina raczej wielbłądzi nawóz.

Przekazał papierosa przygarbionemu sąsiadowi z drugiej strony.

DZIĘKUJĘ.

Borvoriusz wydobyl skądś manierkę.

- Pójdiesz do piekła, jeśli dodasz sobie ducha? - zapytał.

- Na to wygląda - odparł z roztargnieniem Symonia. - Tylko Om może... - Zobaczył manierkę. - Aha, chodzi o alkohol? Prawdopodobnie tak. Ale kto by się przejmował? Przez tłum kapłanów i tak nie przedostanę się do ognia. Dzięki.

- Podaj dalej.

DZIĘKUJĘ.

Żółw zakołysał się od uderzenia pioruna.

- G'ny'himbe bo?

Wszyscy spojrzeli na kawałki surowej ryby i zachęcający uśmiech Fasty Benja.

- Mogę wygarnąć trochę węgla z paleniska - oświadczył po chwili Urn.

Ktoś klepnął Symonię po ramieniu, wywołując dziwne uczucie mrowienia.

BARDZO DZIĘKUJĘ. MUSZĘ JUŻ IŚĆ.

Sierżant zdał sobie sprawę z nagłego podmuchu powietrza, gwałtownego oddechu wszechświata. Obejrzał się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak fala unosi okręt i ciska nim o wydmy.

Daleki krzyk zabarwił wycie wichury.

Żołnierze patrzyli nieruchomo.

- Tam byli ludzie - szepnął Argavisti. Symonia rzucił manierkę.

- Idziemy - rzekł.

I kiedy wśród huraganu odciągali połamane deski, gdy Urn stosował wszystko, co wiedział o dźwigniach, kiedy używali hełmów jak łopat, by podkopać się pod wrak, nikt nie pytał, kogo naprawdę ratują ani jaki nosi mundur.

Mgła kłębiła się na wietrze, gorąca i strzelająca iskrami, a morze wciąż atakowało.

Symonia podniósł fragment masztu i nagle poczuł, że ciężar się zmniejsza - ktoś chwycił za drugi koniec. Podniósł głowę i spojrzął w oczy Bruthy.

- Nic nie mów - powiedział Brutha.

- Bogowie nam to robią?

- Nic nie mów!

- Muszę wiedzieć!

- To chyba lepiej, niż gdybyśmy sami to sobie robili, prawda?

- Tam są ludzie, którzy nie zdążyli zejść ze statków!

- Nikt nigdy nie twierdził, że to będzie przyjemne. Symonia odciągnął jakieś deski. Pod nimi leżał człowiek. Zbroję i mundur miał tak zabrudzone, że aż nierozpoznawalne, ale żył.

- Posłuchaj - rzekł Symonia. Wiatr szarpał jego płaszczem. - Nie poddam się! Nie wygrałeś! Nie robię tego dla żadnych bogów, nieważne, czy istnieją, czy nie! Robię to dla ludzi. I przestań się tak uśmiechać!

Dwie kostki upadły na piasek. Jarzyły się przez chwilę i strzelały iskrami, a potem wyparowały.

Morze się uspokoiło. Poszarpane kłęby mgły rozwiały się w nicość. Powietrze wciąż było przymglone, ale przynajmniej znów widzieli słońce, choć tylko jako jaśniejszy obszar na kopule nieba.

Raz jeszcze pojawiło się wrażenie, że wszechświat nabiera tchu.

Nagle pojawili się bogowie, przejrzyści, migoczący, trochę rozmyci. Słońce pobłyskiwało na sugestii złocistych loków, lir i skrzydeł.

Kiedy przemówili, mówili chórem; niektóre głosy wyprzedzały inne albo się spóźniały, jak zwykle gdy spora grupa próbuje wiernie powtórzyć to, co kazano im powiedzieć.

Om stał wśród nich, zaraz za tsortiańskim bogiem gromu, z wyrazem zamyślenia na twarzy. Dało się zauważyć - a może tylko Brutha to dostrzegł - że prawa ręka boga gromu znika za plecami w taki sposób, jak gdyby ktoś - gdyby można sobie wyobrazić coś takiego - wykręcał mu ją do granicy bólu.

To, co mówili bogowie, każdy z walczących słyszał w swoim ojczystym języku i zgodnie z własnym rozumieniem. W sumie jednak wszystko sprowadzało się do:

I. To nie jest Gra.

II. Tutaj i Teraz - Życie.

A potem było już po wszystkim.

- Będzie z pana doskonały biskup - zapewnił Brutha.

- Ja? - zdziwił się Didactylos. - Przecież jestem filozofem!

- To dobrze. Najwyższy czas, żeby i u nas jakiś się pojawił.

- I Efebianinem!

- To dobrze. Wymyśli pan lepsze sposoby rządzenia krajem. Kapłani nie powinni się tym zajmować. Ani żołnierze.

- Dziękuję — mruknął Symonia.

Siedzieli w ogrodzie cenobiarchy. Wysoko nad ich głowami krążył orzeł wypatrujący czegokolwiek, co nie jest żółwiem.

- Podoba mi się idea demokracji - stwierdził Brutha. - Trzeba mieć kogoś, komu nikt nie ufa. Dzięki temu wszyscy są zadowoleni. Proszę o tym pomyśleć. Symonia...

- Tak?

- Mianuję cię przywódcą Kwizycji.

- Co?!

- Chcę, żebyś z nią skończył. I chcę, żebyś to zrobił w sposób dla nich możliwie ciężki.

- Mam zabić wszystkich inkwizytorów? Zgoda!

- Nie. To by był łatwy sposób. Chcę jak najmniej śmierci. Ci, którzy to lubili, może. Ale tylko ci. Zaraz... gdzie jest Urn?

Ruchomy Żółw wciąż stał na plaży, z kołami zasypanymi piaskiem naniesionym przez sztorm. Urn był zbyt zakłopotany, żeby próbować go odkopać.

- Ostatnio, kiedy go widziałem, majstrował przy mechanizmie wrót - poinformował Didactylos. - Jest najszczęśliwszy, kiedy przy czymś majstruje.

- Owszem. Musimy mu znaleźć jakieś zajęcie. Irygacja. Architektura. Takie rzeczy.

- A co ty będziesz robił? - zainteresował się Symonia.

- Muszę skopiować bibliotekę - odparł Brutha.

- Przecież nie umiesz czytać ani pisać - przypomniał mu Didactylos.

- Ale umiem patrzeć i rysować. Dwie kopie. Jedna zostanie tutaj.

- Będzie mnóstwo miejsca, kiedy spalimy Septateuch - uznał Symonia.

- Niczego nie będziemy palić. Nie można robić wszystkiego od razu - rzeki Brutha.

Spojrzał w kierunku migotliwej wstęgi pustyni. Zabawne... Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak na pustyni.

- A potem... - zaczął.

- Tak?

Brutha opuścił wzrok ku polom uprawnym i wioskom wokół Cytadeli.

- A potem weźmiemy się do pracy - powiedział. - I tak każdego dnia.

Fasta Benj wiosłował do domu. Myślał intensywnie. Ostatnie kilka dni było bardzo udane. Spotkał wielu nowych ludzi i sprzedał sporo ryb. P'Tang-P'Tang ze swymi pomniejszych sługami przemówił do niego osobiście i kazał obiecać, że nie będzie prowadził wojen z jakimś miejscem, o którym nigdy nie słyszał. Fasta się

zgodził¹⁰.

Niektórzy z tych nowych ludzi pokazali mu zadziwiający sposób robienia błyskawic. Trzeba było uderzyć o kamień tym kawałkiem czegoś twardego, a małe błyskawice spadały na to coś suchego, co stawało się czerwone i gorące jak słońce. Kiedy dołożyło się drewna, robiło się większe, a kiedy położyło się na tym rybę, robiła się cała czarna. Ale jeśli człowiek był szybki, nie robiła się czarna, tylko brązowa i smakowała lepiej niż wszystko, co Fasta Benj jadł w życiu - to zresztą nie było takie trudne.

Dostał też kilka noży nie z kamienia i materiał wcale nie z trzciny, i ogólnie rzecz biorąc przyszłość Fasty Benja i jego ludu rysowała się w jasnych kolorach.

Nie był wprawdzie pewien, dlaczego dużo ludzi chciało uderzyć kamieniem wujka Pachy Moja, ale stanowczo przyspieszało to rozwój techniki.

Nikt, nawet Brutha, nie zauważył, że Lu-Tze zniknął z Cytadeli. Nie być zauważanym, ani jako obecny, ani nieobecny, to część zawodowych umiejętności mnichów historii. W rzeczywistości Lu-Tze spakował swoją miotłę i góry bonsai, po czym sekretnymi tunelami i niezwykłymi sposobami dotarł do ukrytej doliny w centralnych łańcuchach Ramtopów, gdzie czekał na niego opat. Opat grał w szachy w długiej galerii, skąd roztaczał się widok na dolinę. Fontanny chlupotały w ogrodach, a jaskółki wlatywały i wylatywały przez okna.

- Wszystko poszło dobrze? - zapytał opat, nie podnosząc głowy.

- Bardzo dobrze, panie - zapewnił Lu-Tze. - Chociaż musiałem trochę popchnąć sprawy.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił. - Opat obracał w palcach pionek. - Pewnego dnia przekroczysz granicę.

- To przez tę historię, jaką dziś dostajemy - wyjaśnił Lu-Tze. - Lichy materiał. Bez przerwy muszę ją łączyć...

- Tak, tak...

- Za dawnych czasów historia była o wiele lepsza.

- Rzeczy zawsze kiedyś były lepsze, niż są teraz. Taka jest natura rzeczy.

- Tak, panie. Panie...

Opat podniósł głowę, odrobinę zniecierpliwiony.

- Tego... Pamiętasz, księgi mówią, że Brutha zginął i nastąpiło stulecie straszliwych wojen.

- Jak wiesz, Lu-Tze, mój wzrok nie jest już taki jak dawniej.

- Bo teraz... to wygląda trochę inaczej.

- Nic nie szkodzi, byle tylko w końcu sprawy jakoś się ułożyły - rzekł opat.

- Tak, panie - zgodził się mnich historii.

- Masz parę tygodni do kolejnego zadania. Może trochę wypoczniesz?

- Dzięki, panie. Pomyślałem, że wybiorę się do lasu i popatrzę na kilka padających drzew.

- Dobre ćwiczenie. Bardzo dobre ćwiczenie. Nigdy nie zapominasz o pracy, co?

Kiedy Lu-Tze odszedł, opat spojrzał na swego przeciwnika.

- *Świetny pracownik - stwierdził. - Twój ruch.*

Przeciwnik długo i w skupieniu wpatrywał się w szachownicę. Opat czekał, by

¹⁰ Lud Fasty Benja nie znalazł słowa „wojna”, ponieważ nie mieli z kim walczyć, a życie i tak było ciężkie. Słowa P'Tang-P'Tanga dotarły więc do niego jako: „Pamiętasz, jak Pacha Mój uderzył swojego wuja dużym kamieniem? To podobnie, tylko bardziej źle”.

się przekonać, jakież to tworzy chytre, długoterminowe strategie. Po chwili jego przeciwnik stuknął kościstym palcem w jedną z figur.

PRZYPOMNIJ MI JESZCZE RAZ, powiedział. JAK SIĘ PORUSZA TEN MAŁY W KSZTAŁCIE KONIA?

W końcu Brutha umarł - w zwykłych okolicznościach. Osiągnął wspaniały wiek, ale to przynajmniej w Kościele nie było niczym nadzwyczajnym. Jak mawiał, trzeba każdego dnia mieć coś do roboty.

Wstał o świcie i podszedł do okna. Lubił oglądać wschód słońca.

Jakoś nie odbudowali wrót Świątyni. Przede wszystkim nawet Urn nie umiał znaleźć sposobu, aby usunąć dziwnie poskręcany stos metalu. W końcu więc postawili nad nimi stopnie. Po roku czy dwóch ludzie przyzwyczaili się; mówili, że to prawdopodobnie symbol. Nie czegoś konkretnego, ale jednak symbol. Bardzo symboliczny.

Słońce odbijało się za to od miedzianej kopuły nad biblioteką. Brutha zanotował w pamięci, żeby zapytać o postępy w budowie nowego skrzydła. Ostatnio ludzie zbyt często narzekali na tłok.

Przybywali zewsząd, żeby ją odwiedzić. Była to największa nie-magiczna biblioteka na Dysku. Zdawało się, że przeprowadziła się tutaj połowa filozofów z Efebu, a i Omnia dorobiła się już jednego czy dwóch własnych. Nawet kapłani zjawiali się w bibliotece, a to z powodu jej zbioru książek religijnych. Zgromadzono tam tysiąc dwieście osiemdziesiąt trzy książki religijne, a każda - zgodnie z głoszonymi przez siebie tezami - była też jedyną, jaką człowiek powinien przeczytać. Przyjemnie było popatrzeć na nie wszystkie razem. Jak mawiał Didactylos, nie można się nie śmiać.

Kiedy Brutha jadł śniadanie, subdiakon, którego zadanie polegało na odczytaniu planu dnia cenobiarchy i dopilnowaniu, żeby nie nosił bielizny na ubraniu, nieśmiało złożył mu gratulacje.

- Mmm? - zdziwił się Brutha. Owsianka kapnęła mu z łyżki.

- Sto lat - wyjaśnił subdiakon. - Odkąd wróciłeś z pustyni, panie.

- Naprawdę? Myślałem, że to dopiero, hm, pięćdziesiąt. Na pewno nie więcej niż sześćdziesiąt lat, mój chłopcze.

- Tego... Sto lat, panie. Sprawdziliśmy w księgach.

- Coś podobnego... Sto lat? Już sto lat? - Brutha bardzo ostrożnie odłożył łyżkę i spojrzał na gładką białą ścianę naprzeciwko. Subdiakon obejrzał się mimowolnie, by sprawdzić, co cenobiarcha tam widzi, ale nie dostrzegł niczego, tylko biel.

- Sto lat... - mrucał Brutha. - Hm... Wielki Boże, zapomniałem. - Roześmiał się. - Zapomniałem. Sto lat, tak? Ale tutaj i teraz... Subdiakon odwrócił się gwałtownie.

- Cenobiarcho!

Podszedł bliżej. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Panie?

Wybiegł z pokoju i ruszył po pomoc.

Ciało Bruthy osunęło się niemal z gracją i uderzyło czołem o blat. Miska przewróciła się, a owsianka pociekła na podłogę. Brutha wstał, nie oglądając się nawet na swe zwłoki.

- Ha... Nie spodziewałem się ciebie - rzekł.

Śmierć przestał opierać się o ścianę.

BYŁEŚ WIĘC SZCZĘŚLIWYM CZŁOWIEKIEM.

- Ale jest jeszcze tyle do zrobienia...

TAK. ZAWSZE JEST.

Brutha podążył za chudą figurą przez mur, gdzie - zamiast wygodki, która zajmowała to miejsce w normalnej przestrzeni — zobaczył...

...czarny piasek.

Światło było jaskrawe, krystaliczne, a czarne niebo usiane gwiazdami.

- Aha. Czyli naprawdę jest pustynia. Wszyscy tutaj trafiają? KTO WIE?

- A co czeka na końcu pustyni?

SAD.

Brutha zastanowił się.

- Na którym końcu?

Śmierć uśmiechnął się i odsunął na bok.

To, co Brutha wziął za kamień na piasku, okazało się zgarbioną postacią siedzącą na ziemi i obejmującą rękami kolana. Wyglądała jak sparaliżowana strachem.

Przyjrzał się uważnie.

- Vorbis? - powiedział. Zerknął na Śmierć.

- Przecież Vorbis zginął sto lat temu!

TAK. MUSIAŁ PRZEJŚĆ PRZEZ PUSTYNIĘ CAŁKIEM SAM. TYLKO ZE SOBĄ. GDYBY SIĘ OŚMIELŁ.

- I siedzi tu przez sto lat?

MOŻE NIE. CZAS TUTAJ PŁYNIE INACZEJ. JEST BARDZIEJ... OSOBISTY.

-Aha. Chcesz powiedzieć, że sto lat może minąć jak kilka sekund?

STO LAT MOŻE MJAĆ PRZEZ CAŁĄ WIECZNOŚĆ.

Czarne-na-czerni oczy spojrzały badawczo na Bruthę, który odruchowo, bez namysłu wyciągnął rękę... i zawahał się.

BYŁ MORDERCĄ, powiedział Śmierć. I TWORZYŁ MORDERCÓW. OPRAWCA. BEZ LITOŚCI. OKRUTNY. BEZDUSZNY. NIE ZNAJĄCY WSPÓŁCZUCIA.

- Tak. Wiem. Jest Vorbisem - odparł Brutha. Vorbis zmieniał ludzi. Czasami zmieniał ich w martwych ludzi. Ale zmieniał zawsze. W tym tkwił jego tryumf. Brutha westchnął ciężko.

- Ale ja jestem sobą - oświadczył.

Vorbis wstał niepewnie i ruszył za Brutha przez pustynię.

Śmierć przyglądał się, jak odchodzą.